



BARBARA WYSOCZAŃSKA

# Siła kobiet

FILIA



*Moim córkom: Julii i Idze*



# PROLOG

**czewiec, rok 1919**  
**Grasse – Prowansja, Francja**

Wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola ledwo rozkwitłej lawendy.

Dziewiętnastoletnia Rosalie zsiadła z roweru i oparła go niedbale o kamienny murek porośły kwiatami. Rozłożyła swobodnie ramiona i odrzuciła do tyłu głowę w wyrazie zachwytu i beztroskiej radości. Zmrużyła kobaltowe oczy przed oślepiającym słońcem. Znowu tu była! Znowu mogła czerpać garściami z magii tego miejsca. Rozkoszować się pięknem, spokojem, zapachami... Bo Rosalie rozumiała zapachy. Towarzyszyły jej każdego dnia.

Od porannego przebudzenia aż do późnego wieczora, kiedy ich woń stawała się mocniejsza, bardziej intensywna, wręcz nieziemska. Niektóre aromaty jedynie muskały lekką mgiełką, orzeźwiającym podmuchem; były niczym czuła pieśczoła, jak chociażby zapach jaśminu, który roztaczała wokół siebie matka Rosalie. Inne – mocniejsze, wyrazistsze – wyzwalały w niej pragnienie bycia piękną, zauważoną. To pragnienie zrodziło się jakiś czas temu, kiedy spacerując ulicami Paryża i przeglądając się w sklepowych witrynach, uświadomiła sobie, że jest już kobietą – i że ta kobiecość wymaga oprawy. Woni. Nieoczywistej, tajemniczej, takiej na kształt czarodziejskiego eliksiru, który z brzydkiego kaczątka przeobrazi ją w istotę o przymiotach niemalże boskich.

Bo czy mogła być kimś innym, mieszkając w środku zapachowej Mekki, gdzie w powietrzu unosił się aromat kwiatów? Gdzie odurzeni owym powietrzem mieszkańcy nie potrafili żyć inaczej, jak tylko tworząc wonne dzieła sztuki, znane na całym świecie? Bo takie było Grasse – francuska stolica perfum – miasto malowniczo położone na łagodnych zboczach Lazurowego Wybrzeża, miejsce wabiące nawet tych najbardziej opornych na czułe piękno. To tu najwięksi giganci perfumiarstwa, tacy jak Galimard, Molinard i Fragonard, wytwarzali to, co zwykłym śmiertelnikom wydawało się być na miarę boskiego cudu.

Rosalie zaledwie wczoraj wróciła z Paryża, po tym jak wreszcie zakończyła naukę na pensji dla dziewcząt i teraz zmierzała prosto do pracowni starego perfumiarza, Vincenta Lamara. Zastała go jak zwykle w czterech ścianach niewielkiego, zbudowanego z kamienia domku, przywodzącego na myśl oficynę. Domek przycupnął tuż nad skalistym wzniesieniem, z którego rozciągał się bajeczny widok na rozległe pola lawendy, róż i tuberozy. Rosalie od dziecka uwielbiała to miejsce. Kiedy jako dziewczynka przypadkiem trafiła do pracowni Lamara, jej świat zmienił się nie do poznania: zyskał barwy i zapachy, które przyciągały do siebie z ogromną siłą i pobudzały jej dziecięce, głodne wrażenia zmysłów. Zafascynowana, dzień w dzień siadała na małym zydelku przy masywnym stole i godzinami obserwowała, jak sędziwy mężczyzna w skupieniu mieszał, rozcierał, podgrzewał i ważył. Tworzył perfumy wręcz niebiańskie, jak gdyby utkane z ciszy, skupienia i miłości.

Wdychając woń rozległych pól lawendy, Rosalie próbowała sobie wyobrazić, jakie pachnące cuda z ich delikatnych płatków stworzy Lamar. Wprawdzie większość kwiatów z okolicznych plantacji szła do masowej produkcji, ale część kwitnących plonów przynoszono do lokalnej perfumerii, a stary wiedział, jaki z nich zrobić użytek.

Już od progu Rosalie poczuła odurzającą woń przeróżnych gatunków ziół: rozmarynu, tymianku i mięty, oraz kwiatów

i olejów. Kiedy po długich godzinach opuszczała wieczorem pracownię, zapach zostawał jej na skórze i włosach, ulatniając się powoli, subtelnie, roznosząc wokół niej pyszną aurę. Vincent Lamar też tak pachniał. Cały jego roboczy fartuch, długi do kostek, przesiąknięty był wonią kwiatowych esencji i płynnego wosku. Stary Lamar pachniał perfumami.

Teraz w niewielkiej izbie było duszno i aromatycznie, jak zawsze. Na grubo ciosanych drewnianych półkach, porozwieszanych na ścianach aż po sufit, stały równiutko poukładane niezliczone ilości naczyń w różnych kształtach i kolorach, a także książki i notatniki pełne zapisków, receptur i osobistych przemyśleń perfumiarza. Dziewczyna pozerła je głodnymi oczami, żądna wiedzy tkwiącej w przesiąkniętych aromatami stronach, a pan Lamar w swojej łaskawości raz na jakiś czas pozwalał jej otworzyć któryś z notatników i zagłębić się w jego tajemne treści. Rosalie nie miała pojęcia, że tylko ona jedna miała do tego prawo; prócz niej żaden inny śmiertelnik nie dostąpił zaszczytu czytania i analizowania zapisków Lamara. Wiedziała za to, że była jego oczkiem w głowie, bo przez lata, z ogromną cierpliwością i pobłażliwością, znosił jej obecność w pracowni. W końcu przywykł do niej tak bardzo, że kiedy z dziecka zmieniła się w młodą kobietę i wyjechała do szkoły w Paryżu, tęsknił za nią jak za córką.

– O zgrozo! Mogłem się spodziewać, że jak tylko wrócisz z tej swojej pensyjki dla bogatych panien, to będziesz mnie nawiedzać dzień w dzień! – mruknął z udawaną ironią, kiedy dziewczyna, zdyszana i radosna, wpadła do jego pracowni.

Nawet na nią nie spojrzał, całą uwagę skupiając na niewielkiej próbówce z czymś, co zapewne było nową kompozycją zapachową.

– Co to takiego? – zapytała, podchodząc bliżej.

Zignorowała ironiczną uwagę starca, wiedząc, że w rzeczywistości cieszy się z jej obecności. Sam przyznał, że kiedy



przebywała w Paryżu, brakowało mu jej ciekawości i wściubiania nosa we wszystko.

– Dwadzieścia cztery krople olejku cytrynowego, trzydzieści kropli absolutu gardenii i dwanaście kropli olejku goździkowego z pąków – wyrecytował.

Rosalie przymknęła oczy, kiedy Lamar wypuścił pipetką na jej nadgarstek małą kropelkę. Zmarszczyła nos, pozwalając akordom zapachowym wnikać w najczulsze zakamarki jej zmysłu powonienia. Uwielbiała ten moment, kiedy poznawała zapach po raz pierwszy. Kiedy mogła go poczuć, zdefiniować, a następnie pokochać albo odrzucić.

– Myśli pan, panie Lamar, że to mógłby być zapach miłości? – zapytała z na wpół przymkniętymi powiekami, delektując się słodkim aromatem.

– Każdy zapach, który tworzę, jest zapachem miłości – burknął starzec. – Ta miłość pochodzi od Boga, od jego wielkiej mocy i łaskawości...

– Ble, ble, ble! – przerwała mu dziewczyna, unosząc powieki.

Popatrzyła prosto w wodniste, otoczone gęstą siatką zmarszczek oczy staruszka. Nie umknęło jej uwagi, że przez ostatni rok jej pobytu w Paryżu pan Lamar bardzo się postarzał. Z drugiej strony dobiegał już osiemdziesiątki, więc jego ciało musiało w końcu się poddać prawom natury. To, że wciąż miał siłę i ochotę na wytwarzanie zapachów, mogło zadziwiać. Starsi okoliczni perfumiarze już dawno zaprzestali wszelkich aktywności, tylko Lamar zamykał się jeszcze w swoim małym, prowizorycznym laboratorium na przedmieściach Grasse, by uparcie tworzyć zapachy. Twierdził, że robi to, bo nie znalazł dotąd godnego siebie następcy, który mógłby przejąć po nim pałeczkę.

– Potrzebuję perfum – rzekła Rosalie bez ogródek.

Pan Lamar zaśmiał się ironicznie.

– Przecież masz ich mnóstwo. Zresztą, wyjdź na ulicę! Gdzie się nie obejrzysz, tam same perfumy!

– Potrzebuję czegoś wyjątkowego! Czegoś, co spowoduje, że...  
Nieważne. Potrzebuję i już!

– Sama możesz takie sporządzić. Przecież potrafisz. –  
Perfumiarz powiedział to obojętnym tonem, wracając do  
mieszania pachnidła.

– Panie Lamar, czy pożycz mi pan swoje notatki? – Entuzjazm  
i upór w głosie dziewczyny były tak wyraźne, że starzec oderwał  
wzrok od garnczka i popatrzył na nią karcąco.

– Co to, to nie, moja panno! Sporządź sobie własną recepturę,  
a moje notatki zostaw w spokoju! Już tyle razy widziałas, jak się  
robi perfumy, że na pamięć wiesz, co z czym połączyć.

Rosalie wyduła wargi, wyraźnie rozczarowana.

– Może i tak, ale te pana zapiski... Są wyjątkowe! Nie  
zapamiętałam nawet połowy z tego, co pan tam notował!

– I takie mają pozostać! Na luksus korzystania z nich trzeba  
sobie zasłużyć! Poza tym nie jestem jedynym perfumiarzem  
w tym mieście. Na pewno znajdziesz kogoś, kto z chęcią  
wprowadzi cię w tajniki tworzenia receptur.

Rosalie westchnęła i oparła się smukłym, dziewczęcym biodrem  
o drewnianą komodę, która kryła w sobie wszystko, co potrzebne  
do wyprodukowania wonności. Uważnie rozejrzała się po izbie,  
analizując, z czego mogłaby utkać swój zapach. Zapach miłości.

– Wkrótce wychodzę za mąż – rzuciła po chwili ściszym  
głosem, nawijając kosmyk złotych włosów na palec.

Vincent Lamar przerwał na chwilę pracę i spojrzał na nią  
przenikliwie.

– Gratuluję. – W jego głosie słyhać było jednak wahanie.

Rosalie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy jest czego. Nie znam mojego narzeczonego.  
Ojciec zaręczył mnie bez mojej wiedzy i zgody. Wiem tylko, że to  
Polak.

– Twój ojciec na pewno postąpił słusznie. Znam go i wiem, że to  
niezwykle rozsądny człowiek, który nie podejmuje pochopnych

decyzji.

– Ale Francuz byłby równie dobry! Czemu akurat Polak? – mruknęła z przekąsem dziewczyna, a na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

– Bo twój ojciec jest Polakiem. Zależy mu na tym, żeby podtrzymać w rodzinie polskie korzenie. Powinnaś rozumieć, jakie to ważne.

– A sam ożenił się z Francuzką!

– Dziecko moje! – Lamar westchnął. – Zawile są ludzkie losy, tak jak zawila jest historia narodu twojego ojca! On nie miał wyjścia, musiał uciekać do Francji przed zsyłką na daleką Syberię! To naturalne, że osiadł tu na stałe i znalazł sobie żonę. Wielu postąpiło podobnie jak on. Ale twój ojciec nie zapomniał o swoich korzeniach. W sercu i duszy wciąż jest Polakiem.

– I ja przez te jego tęsknoty i sentymenty muszę zachować jakąś głupią tradycję! – rzuciła naburmuszona Rosalie. – Tylko że ja nawet nigdy nie byłam w Polsce!

– Ale wiesz o niej wystarczająco dużo z ojcowskich opowieści i lekcji historii. Umiesz mówić po polsku, znasz polską muzykę i literaturę. Polska ma teraz swój czas! Właśnie odradza się jak feniks z popiołów, więc pomyśl, jakie to będzie niezwykle móc uczestniczyć w tym wspaniałym procesie powstawania młodego państwa! Ile w tym możliwości! To jak... Tworzenie nowego zapachu. Doskonałego.

Rosalie widziała, jak jej ojciec godzinami przesiadywał w swoim gabinecie i pisał listy, albo zwyczajnie rozmyślał. Jego myśli biegły ku tej Polsce, o której tyle mówił. Zastanawiała się, do czego tak mu to potrzebne. Źle mu było we Francji? Czegoś mu tu brakowało? Był zamożny dzięki uprawie sporej plantacji lawendy, która przynosiła niemałe zyski; miał pozycję w towarzystwie dzięki żonie Alice Ladoucette, której rodzina od pokoleń należała do francuskiej elity kwiatowych plantatorów w Grasse; mieszkał w urzekającym dziewiętnastowiecznym domu, otoczonym polami

lawendy. Podczas dopiero co zakończonej wielkiej wojny ojciec nie wstąpił do francuskiej armii z powodu złego stanu zdrowia, ale często wyjeżdżał – podobno z ważnymi misjami dyplomatycznymi. Kiedy wracał do domu, przywoził garść informacji z tego, co się dzieje na świecie, jak przebiega front i czy Francuzi mają szansę zwyciężyć Niemców. Mówił również o wielkiej rewolucji, która niczym burza przetaczała się przez wielką Rosję, niszcząc dawne przywileje rosyjskich panów. W tej rewolucji bolszewickiej upatrywał wolność dla Polaków, a upadek caratu nazywał wyzwoleniem z kajdan.

– Jeśli Rosja spłynie krwią walk bratobójczych, my będziemy mogli wyrwać z jej jarzma nasz kraj, Rosalie. Naszą Polskę – mawiał.

Podczas wyjazdów dyplomatycznych Feliks Tyszkowski nawiązał kontakty z ważnymi ludźmi, którzy obecnie decydowali o ostatecznym planie traktatu pokojowego w Wersalu, kończącego wielką wojnę. Często przy stole wspominał rozmowy z Romanem Dmowskim czy sławnym pianistą Ignacym Paderewskim, którzy często gościli w Paryżu i których znał osobiście. Nazywał ich patriotami, całym sercem i rozumem oddanymi sprawie polskiej i chęci tworzenia odradzającego się państwa. Ojciec mówił również o Józefie Piłsudskim, który rewolucyjną myślą budował podwaliny pod nowe państwo, choć częściej krytykował go za zbyt porywcze poglądy. Cenił jednak jego fachowość jako przywódcy i wojskowego, a o legionach Rosalie nasłuchiwała się już tyle, że w jej wyobraźni polski legionista był niczym grecki bóg.

Okazało się jednak, że prócz ważnych tematów politycznych, które ojciec poruszał, bywając na francuskich salonach, najwyraźniej szukał również narzeczonego dla swojej jedynej córki. Polaka.

Prawdziwego patrioty.

Rosalie chciała szczerze wierzyć, że ojciec wybrał dobrze. Kochał ją przecież. Była jego oczkiem w głowie, jedyną córką – jedynym

dzieckiem. Może momentami wydawał się zbyt surowy, uparty i stanowczy, kiedy patrzył na nią ponurym wzrokiem znad sumiastych wąsów, ale przy tym zawsze okazywał córce troskę. Z tą samą troską wysłał ją do prestiżowej szkoły w Paryżu, licząc na to, że nauczą tam Rosalie ogłady i właściwego spojrzenia na świat. Ogłady może i Rosalie Tyszkowska nabyła, ale spojrzenie na świat czerpała wyłącznie z książek, i to głównie tych zakazanych, które krążyły między uczennicami, skrywane przed surowym spojrzeniem nauczycieli.

– Wolę być tu, we Francji – mruknęła teraz. – Tu wszystko już jest i nic się nie musi odradzać! W dodatku wygraliśmy wojnę z Niemcami, więc mamy się z czego cieszyć! A ta Polska... To gdzieś strasznie daleko. Nawet ojciec tam nie był od mojego urodzenia. Może nawet nie ma tam po co jechać? Nie słyszałam, żeby w Paryżu ktokolwiek mówił z zachwytem o Polsce.

– Jesteś jeszcze młoda. Twoja nieznajomość życia jest wręcz porażająca, moje dziecko – skwitował Lamar. – Czego was tam uczyli w tej szkole dla bogaczy?

– Och, różnych rzeczy, ale głównie nudnych. Gdyby nie książki, nie wytrzymałabym tam tygodnia! Moja przyjaciółka Louise, z którą dzieliłam pokój, nie mogła znieść tych głupot, które nam wciskali do głów, i na własne życzenie wypisała się ze szkoły. Wyjechała z siostrą na front pomagać rannym żołnierzom. Pisała w liście, że nauczyła się tam więcej niż w jakiegokolwiek szkole.

– Zapewne. Wojna uczy pokory.

Rosalie bezwiednie wzięła do ręki buteleczkę z esencją różaną i przyłożyła ją do nosa. Esencja była świeża, bo nie dalej jak dwa tygodnie temu na plantacjach w Grasse zbierano płatki najpiękniejszych róż.

– To podobno jakiś ważny człowiek, ten mój narzeczony – paplała dalej, niewzruszona tym, że pan Lamar zdawał się jej nie słuchać, pochylony nad próbkami. Wiedziała jednak, że perfumiarz był skupiony nie tylko na pracy, ale i na niej. –

Przyjechał do Wersalu jako jeden z polskich delegatów, którzy mają zatwierdzić traktat pokojowy.

– Jak się nazywa?

– Lubowidzki. Imienia nie pamiętam, nie wiem nawet, czy ojciec je wspomniał. Ciągle tylko „pan Lubowidzki to, pan Lubowidzki tamto”! Aż do znudzenia!

– Bądź wdzięczna ojcu za ten wybór i ufaj Bogu, że to będzie dobry mąż.

– A czy ja będę dla niego dobrą żoną?

Starzec westchnął.

– Tylko Bóg raczy to wiedzieć...

Podobała jej się ta różana esencja. Była głęboka, szlachetna i miała w sobie jakąś nieodgadnioną tajemnicę. Jak miłość, o której Rosalie skrycie śniła. O której czytała w książkach i o której tyle słyszała w bezmyślnej paplaninie koleżanek ze szkoły.

– Czy pozwolisz mi ją wykorzystać? – To mówiąc, pokazała perfumiarzowi fiołkę z różanym zapachem.

– Jest dla ciebie za mocna. To zapach dojrzały, a tobie brakuje dojrzałości.

– Mam na imię Rosalie! Rosalie to róża, a róża to mój zapach.

Pan Lamar prychnął.

– Na wszystko masz gotową odpowiedź, moja panno! Skoro tak ci zależy, to weź sobie ten zapach, ale żebyś później nie marudziła, że boli cię od niego głowa!

– Dodam do tego różowy pieprz, malinę i... liście fiołka – mruknęła bardziej do siebie niż do perfumiarza, analizując w myślach wspomniane nuty. Nie zauważyła, że Lamar uśmiechnął się pod nosem, widząc jej skupienie.

– Stworzę go sama i będzie piękny! – stwierdziła, pogrążona w marzeniach – Najpiękniejszy! Wyobrażam sobie, jak będzie się ulatniał... Powoli...

– Dobrze, już dobrze! – przerwał jej Lamar z nutą irytacji. – Więc idź i zacznij go tworzyć, a mi pozwól się skupić na moim zapachu. Od tego twojego gadania mam mętlik w głowie! Na niczym nie można się skupić! Dałbym wiele, by poznać sposób, jak cię uciszyć!

Rosalie zrobiła minę i szybko porwała w dłoń pierwszy lepszy brulion, który leżał na stole, po czym energicznie zanotowała w nim ołówkiem to, co wymyśliła, żeby przypadkiem żadna myśl nie ulotniła się z jej głowy.

Do domu wróciła późnym popołudniem, wpierw objeżdżając rowerem wąskie uliczki starego miasta i delektując się urokami rodzinnych stron. Pedalując niespiesznie, rozmyślała o tym, jak zabierze się za komponowanie swoich perfum. Miała pełno pomysłów i już czuła w nozdrzach zapach, który miał sprawić, że przyszły mąż zakocha się w niej bez pamięci. Bo czyż mogło być coś bardziej odurzającego i czarodziejskiego niż piękny zapach? Zapach miłości.





*Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzeć w świecie.*  
Mahatma Gandhi

## **ROZDZIAŁ 1**

**marzec, rok 1924**

**Warszawa**

Rozalia Lubowidzka czuła, że wszyscy na nią patrzą. Nawet jeśli któryś z czcigodnych żałobników próbował ukryć swoją plotkarską ciekawość i wykazywał odrobinę dobrego wychowania, nie chcąc gapić się na nią zbyt ostentacyjnie, to i tak czuła skupiony na sobie ukradkowy wzrok. Wpatrywali się w nią, szukając w jej postawie śladów rozpacz. Być może nawet czekali na spazmatyczne szlochy nad spuszczaną do grobu trumną. Teatralny płacz byłby zupełnie na miejscu, wydawał się wręcz wymagany podczas pogrzebu tak czcigodnego człowieka, jakim był jej mąż Ignacy Lubowidzki. Tymczasem Rozalia stała przy grobie niewzruszona, z twarzą okrytą czarną woalką, która zasłaniała suche oczy. Wiatr, furkoczący jej żałobnym płaszczem, woalkę zostawił w spokoju, jakby wiedział, że młoda wdowa musi się za nią schronić niczym błędny rycerz za opuszczoną przyłbicą. Ktoś rozłożył nad jej głową parasol, nie zamierzała jednak dociekać kto.

Byle ten pogrzeb dobiegł końca. Byle ona mogła stąd odejść.

Dzień był zimny i deszczowy. Żałobnicy, bezbronni wobec ciężkich ołowianych chmur krążących złowieszczo po niebie, kulili się okutani płaszczami, naciągali na głowy kapelusze, a co zamożniejsi otworzyli parasole. Zewsząd słychać było miarowe uderzenia ciężkich kropel o lakierowaną drewnianą trumnę, leżącą na dnie otwartego jeszcze grobu.

Cmentarz Powązkowski tonął w morzu żałobników. W większości byli to gapie, którzy nie tylko nie znali osobiście posła Ignacego Lubowidzkiego, ale nawet nie widzieli go na oczy. Jednak w przypadku pogrzebu polityka, człowieka tak oddanego ojczyźnie, prawdziwego patrioty – jak o nim mawiano – należało przyjść na cmentarz, złożyć mu hołd, oddać ostatni pokłon. Nawet dziennikarze, po kryjomu zacierający ręce na myśl o tym, że w jutrzejszych gazetach będą mogli pokazać zdjęcia z pogrzebu, starali się zachowywać z należyty szacunkiem wobec zmarłego.

Odziane na czarno dewotki z namaszczeniem powtarzały modlitwy intonowane przez samego arcybiskupa Wojciecha Sułkowskiego, który nie tylko z czcią odprawił mszę żałobną w archikatedrze, ale i pofatygował się na cmentarz, krocząc dumnie na przodzie konduktu pogrzebowego. Niektórzy szeptali między sobą, że pogrzeb Ignacego Lubowidzkiego był niemalże tak uroczysty jak samego prezydenta Gabriela Narutowicza<sup>[1]</sup>.

Rozalia szła tuż za biskupem, ściskana mocno w ramię przez teściową Leokadię Lubowidzką, która z bóleści nie mogła samodzielnie utrzymać się na nogach. Rozalii kilkakrotnie przemknęło przez myśl, dlaczego Gustaw nie poda ramienia matce. Wtedy zapewne teściowa nie czepiałaby się jej tak kurczowo, wbijając w nią suche palce, niczym szpony drapieżnego ptaka. Jednak młodszy brat Ignacego zdawał się nie zauważać słabości matki, idąc dostojnym, miarowym krokiem tuż za trumną. Adrianna, ich siostra, szła nieco z boku, skulona, ze spuszczoną głową osłoniętą żałobnym kapeluszem. Kondukt pogrzebowy zamykali partyjni działacze Narodowej Demokracji, do której należał mąż Rozalii. Jeden z przedstawicieli Związku Ludowo-Narodowego z dumą dzierżył w dłoni łopoczący na wietrze sztandar endeckiej partii. Na pogrzebie brakowało jedynie jej założyciela, Romana Dmowskiego, który z powodu złego stanu zdrowia nie zdecydował się opuścić swojego majątku w Chłudowie

pod Poznaniem, ale wysłał wdowie i matce zmarłego list z kondolencjami.

Po przemówieniu arcybiskupa i kilku polityków trumnę przykryto wilgotną ziemią, przy gromkim i dramatycznym chórze żałobnych pieśni, mieszających się ze szlochem kobiet. Na koniec kompania wojskowa oddała salwy honorowe, a grabarz wbił drewniany krzyż z tabliczką:

*Ignacy Konstanty Lubowidzki*

*1889–1924*

*Mąż stanu Odrodzonej Polski*

*Działacz Narodowej Demokracji*

*Posel na Sejm II Rzeczypospolitej*

W zimnym, wilgotnym powietrzu unosił się spleśniały, lekko kwaśny zapach świeżo ubitej ziemi. Na grobie piętrzyły się kwiaty i wieńce, a wokół drewnianego krzyża zapłonęły świece.

Do Rozalii ktoś podszedł, uściśnął jej dłoń, wygłosił kondolencje. Później następny i kolejny. A ona stała sztywno, jak słup soli. Nie czuła bólu. Nie było w niej również żalu ani tęsknoty za zmarłym mężem. Wszystkie jej uczucia do człowieka, którego ciało zostało chwilę temu złożone w grobie, można było określić jednym słowem – obojętność. Bo tym był dla niej teraz Ignacy Lubowidzki – obojętnością. Nawet wiadomość o jego niespodziewanej i tragicznej śmierci nie wstrząsnęła nią tak, jak powinna wstrząsnąć żoną. Owszem, Rozalia była zaskoczona, wręcz nie dowierzała. Jednak w całej gamie uczuć, które wtedy nią targały, nie było nawet cienia wdowiej rozpacz. Było za to ogromne zdumienie wobec faktu, że Ignacy został zastrzelony w zamachu przez nieznanego sprawcę, kiedy wychodził wieczorem z jednej z warszawskich restauracji. Na wiadomość o tym tragicznym i niespodziewanym zdarzeniu teściowa Rozalii, Leokadia, dostała

nagłego ataku hysterii, na co cała służba we dworze w Kargominie zareagowała paniką.

– Wiadomo, kto to zrobił? – zapytała Rozalia policyjnego konstabla, kiedy ten przybył z wiadomością do Kargomina. Sama się sobie dziwiła, że jest tak opanowana. Ogarnął ją tylko dziwny, przejmujący chłód, który nieprzyjemnym drżeniem rozszedł się po ciele.

– Jeszcze nie wiemy, szanowna pani, ale pracujemy nad tym. Wkrótce złapią zamachowca. Podejrzewamy, że mógł to być ktoś z przeciwników politycznych pana Lubowidzkiego. Albo jakiś szaleniec.

Pierwszej nocy po tym, kiedy ta zadziwiająca informacja do niej dotarła, Rozalia próbowała zrobić rachunek sumienia. Miała nadzieję, że coś się w niej poruszy, że jakaś potraconą struna wrażliwości wycisnie z oczu choć jedną łzę. Wypadało godnie przyjąć rolę nieszczęśliwej wdowy. Należało tak postąpić nie tylko w oczach ludzi, ale i Boga, bo była przecież od pięciu lat poślubiona Ignacemu. Tylko że nic się nie wydarzyło. Nic nie było w stanie zmusić jej do żałości. Jedyne, co kołatało się w jej głowie, to myśli, że przetrwała te minione lata i oto właśnie szeroko rozwarły się przed nią bramy ucieczki z piekła. Oszołomiona tym, jakby nie dowierzając, pół nocy klęczała przed obrazem Matki Boskiej, modląc się nie za duszę męża, ale swoją. I była to jak dotąd jej najdłuższa i najzarliwsza modlitwa, bo przez całe swoje życie nie wierzyła ani w Boga, ani w Maryję.

Rano wdziała żałobę z postanowieniem, że choć w tej jednej kwestii podtrzyma tradycję i okaże w ten sposób szacunek rodzinie zmarłego. W środku jednak wszystko się w niej buntowało. Nie chciała już iść na ustępstwa, nie chciała udawać. Wraz z wiadomością o śmierci Ignacego wszystkie tamy, które wstrzymywały w niej gniew, nagle puściły. Gdzieś kiedyś usłyszała, że w piekle jest się wtedy, gdy straci się wszelką

nadzieję. A ona właśnie tę nadzieję odzyskała, więc piekielne czeluści beznadziei miała już za sobą.

Cały kargomiński dwór pograżył się w żałobie. Leokadia Konstatynowa Lubowidzka, wdowa po Konstantym Lubowidzkim, zamknęła się w swoim pokoju bliska utraty zmysłów, bo nie dalej jak dwa lata temu straciła schorowanego męża, i śmierć pierworodnego syna była dla niej kolejnym bolesnym ciosem. Adrianna – młodsza siostra Ignacego – zatopiła się w melancholii, która nakazała jej pójść do pobliskiego kościoła i tam oddać się modlitwie za duszę zmarłego brata.

Służba szeptała gorączkowo między sobą, pokojówki popłakiwały po kątach, ocierając ukradkiem kąciuki oczu i nie dowierzając w to, co się stało. Jednak Rozalia, przesiadując zamknięta w swoim pokoju, nie wierzyła w szczerść tych łez. Wiedziała przecież, że służący nie znosili Ignacego. Bali się go i schodzili mu z drogi, jak tylko zjawiał się w Kargominie. Przyjeżdżał z Warszawy niczym wielki pan, samochodem z osobistym szoferem, ubrany w szykowny garnitur i elegancki cylinder, który w Rozalii budził niesmak. Uważała, że mąż wygląda w nim na jeszcze poważniejszego, niż był w rzeczywistości, choć po prawdzie dawno już przekroczył trzydziestkę.

Jego obecność w Kargominie sprawiała, że każdy mieszkaniec dworu stąpał cicho i starał się nie rzucać w oczy, żeby przypadkiem nie stać się ofiarą gwałtownego gniewu pana. A ten bywał straszny. Służący niejednokrotnie odczuwali go na własnej skórze, podobnie jak Rozalia, która w pewnym momencie stała się głównym powodem wiecznego niezadowolenia męża.

Dzień po tragicznej wiadomości o śmierci Ignacego Rozalia, Leokadia i Adrianna Lubowidzkie spakowały walizki i odziane w żałobną czerń udały się pociągiem w prywatnym wagonie w podróż do Warszawy, gdzie miał się odbyć uroczysty, państwowy pogrzeb Ignacego. Leokadia z początku oponowała wobec pomysłu, żeby pochować ukochanego syna w Warszawie, a nie

w Kargominie, gdzie przecież przyszedł na świat i gdzie znajdował się grób jego ojca, ale list od delegatów rządowych przekonał ją, że człowiek z taką pozycją i szacunkiem społecznym jak jej syn powinien spocząć na Powązkach, ku chwale ojczyzny.

W stolicy powitano je z honorami, ulokowano w najlepszym warszawskim Hotelu Europejskim i zapewniono o chęci zaspokojenia każdej, najmniejszej nawet potrzeby, żeby zadośćuczynić paniom w tym jakże trudnym dla nich czasie żałoby. Policja złożyła im krótkie i zdawkowe wizyty, informując o toku śledztwa i zadając ogólne pytania, wyraźnie jednak nie łącząc żadnej z tym jakże tragicznym zabójstwem.

Uroczystości pogrzebowe zorganizowały ugrupowania endeckie, z którymi związany był Ignacy Lubowidzki, a wdowie i matce słało zewsząd listy z kondolencjami. Jednak dni dzielące je od pogrzebu zdawały się Rozalii dziwnym, nierzeczywistym snem. Jakby cała sytuacja nie dotyczyła jej samej, lecz jakby nagle ktoś nieopatrznie wrzucił ją w wir wydarzeń, które nie miały z nią nic wspólnego.

Pogrzeb dobiegł końca, a ona, stojąc nad grobem męża, odetchnęła z ulgą. Czuła, że publiczne odgrywanie pogrążonej w żalu wdowy jest z jej strony cyniczną hipokryzją, nie miała jednak dość odwagi, by wobec wszystkich przyznać się do prawdziwych uczuć. Jeszcze nie teraz. Nie mogła przyznać, że czuje ulgę, albo co gorsza – że ma ochotę zatańczyć na grobie męża, bo tak groteskowe wizje przewijały się jej przez głowę. Na razie musiała w ciszy i spokoju przemyśleć tę niespodziewaną sytuację. Dalsze życie Rozalii stało pod wielkim znakiem zapytania. Bo kim nagle stała się bez Ignacego? Była wyłącznie wdową. Dwudziestoczteroletnią wdową. A co powinna robić wdowa? Jak się zachowywać? Nikt jej nie przygotował na taki scenariusz. Nikt nie wyjaśnił, jak należy postąpić, gdy nagle przestaje się być żoną czcigodnego męża. A to, jak bardzo mąż zdominował jej życie, wiedziała tylko ona.

\* \* \*

Zuzanna Grabińska znowu czuła ten bolesny ucisk w żołądku, przechodzący nieprzyjemnym skurczem na całe ciało. Strach i bezsilność dławiły ją i nie pozwalały swobodnie oddychać. Ale walczyła z tym. Resztkami woli próbowała stawić czoło temu cierpieniu, które osłabiało ją tak bardzo, że nie miała dość siły, by skupić się na córeczce. Te ataki paniki powtarzały się coraz częściej i powoli przestawała sobie z nimi radzić. A Lili trzęsła się w pościeli, ogarnięta kolejnymi gorączkowymi drgawkami. Jej małe ciało, choć mokre od potu, było lodowato zimne.

Zuzanna gładziła dziecko po drobnych pleckach, po wilgotnych, ciemnych włosach i odmawiała w myślach wszystkie modlitwy świata, błagając Wszechmogącego, żeby gorączka spadła.

Łomotanie do drzwi ciasnego mieszkanka tylko spotęgowało ucisk w gardle. W pierwszej chwili, pod wpływem paniki, Zuzanna chciała je zignorować. Ale szybko uświadomiła sobie, że to i tak nic nie da. Jak będą chcieli, to wejdą. Wyłamią drzwi i wejdą.

Drżącymi wargami pocałowała córeczkę w skroń i pełna obaw, z trudem dźwignęła się z łóżka. Miała nadzieję, że to jednak doktor. Wezwała go przecież.

W korytarzu stała Romana Stawecka, właścicielka kamienicy, w której Zuzanna wynajmowała mieszkanko. Kobieta miała groźnie naburmuszoną minę i wspierała dłonie na pulchnych biodrach, które opinała wzorzysta spódnica.

– Podobno mała znowu gorączkuje – rzuciła oskarżycielskim tonem, nie siląc się na formułkę powitania. – Chłopak od Dąbrowskich poleciał po doktora. Pytałam po co, to powiedzieli, że twoja mała znowu chora.

Zuzanna wyszła na korytarz i przymknęła za sobą drzwi.

– To nic wielkiego. Zwykłe przeziębienie.

– Nie chcę tu żadnej choroby! Już mówiłam, jeśli mała ma gruźlicę, to won stąd!

– To naprawdę zwykle przeziębienie, pani Stawecka. Lili jutro będzie zdrowa.

Na ustach Zuzanny pojawił się wymuszony uśmiech. Próbowwała rozluźnić ciało, żeby nie pokazać po sobie zdenerwowania, ale bezskutecznie. Była spięta do granic możliwości. Nie mogła swobodnie oddychać. Paraliżował ją strach. Bała się, że Stawecka wejdzie do mieszkania i zobaczy, w jakim stanie jest Lili, a wtedy na pewno wyrzuci je obie na bruk jeszcze tej nocy. I gdzie się wtedy podzieją? Dokąd pójdą? Szpital przyjmie matkę z dzieckiem na jedną noc, może dwie, a później czeka je przytułek dla bezdomnych. A tam Lili nie przeżyje. Tam nikt nie pozwoli dziecku przeżyć.

– Byłam dzisiaj na tym pogrzebie – mruknęła Stawecka jakby od niechcenia, uważnie przyglądając się Zuzannie spod przymrużonych powiek. – Było dużo ludzi. Pół Warszawy. Żegnali go jak króla.

Zuzanna zeszywniała. Starła się udawać obojętną, ale marnie jej to wychodziło. Na samo wspomnienie Ignacego Lubowidzkiego czuła jeszcze większy strach. Bezwiednie chwyciła się futryny.

– Czemu nie poszłaś? – kontynuowała z sarkazmem właścicielka kamienicy, wlepiając w Zuzannę ciekawskie spojrzenie.

– Nie chciałam zostawiać Lili.

– Mogłaś pójść z nią. Przecież to jej...

– Pani Romko... – Zuzanna westchnęła i zachwiała się od nagłego zawrotu głowy. Dopiero teraz poczuła głód i uświadomiła sobie, że od rana nie miała nic w ustach. Od kilku dni prawie nic nie jadła. – Nie chciałam, żeby Lili na to patrzyła... To nie są widoki dla małej dziewczynki.

Stawecka uśmiechnęła się półgębkiem.

– A co jej powiesz? Że co się stało? Będzie przecież pytać.

– Lili nie wie. Ignacy był dla niej wujkiem.



Kobieta zaśmiała się kpiąco.

– No tak! Taki pan jak on nigdy nie przyznałby się, że jest ojcem bękarta!

Zuzanna zadygotała. Z nerwów i strachu. I z osłabienia. Pociemniało jej w oczach.

– Pani Romko, ja nic od niego nie chciałam. Lili to moja córka.

– Ano twoja, urodziłaś ją. Ale to też jego dziecko! Poseł od siedmiu boleści! Gdybyś widziała, jak go żegnano! Jakie honory! Przemówienia! Jakby był samym prezydentem! – prychnęła. – A ta jego żonka, istna mimoza. Nie byłaś ciekawa, jak wygląda? Trza było iść i zobaczyć. Z czystej ciekawości.

– Nie byłam ciekawa.

– Wstydziałaś się pewnie. Ona taka światowa pani, Francuzka, a ty... Prostaczka. Zwyczajna dziwka. – Bezcelny wzrok kobiety ześlizgnął się po okrytym prostą sukienką ciele Zuzanny. – Co teraz zrobisz? Znajdziesz sobie kolejnego promotora? Pamiętaj, że czynsz trzeba płacić.

– Poradzę sobie.

W tym momencie obie usłyszały szybkie kroki na schodach, a po chwili na piętrze pojawił się doktor z walizeczką w ręku. Na widok pań zatrzymał się w pół kroku i uchylił kapelusza.

– Dobry wieczór. Przyszedłem do Lili.

Zuzanna gwałtownie otrząsnęła się z marazmu.

– Jest lekko przeziębiona, ale...

– Więc chodźmy do niej – przerwał jej szybko doktor, bezceremonialnie wchodząc do mieszkania. Bez słowa minął Stawecką, jawnie ją ignorując i zdając się nie zauważać jej wścibskiego spojrzenia.

– Pani Romko, porozmawiamy jutro. Muszę wrócić do córki – rzekła Zuzanna z roztargnieniem i, nie zważając na protesty kobiety, weszła z doktorem do mieszkania i zatrzasnęła drzwi, po czym przekręciła klucz w zamku, gdyby przypadkiem tamta

miała ochotę wejść bez zaproszenia. Kiedy się odwróciła, doktor już siedział na łóżku dziewczynki i się nad nią pochylał.

– Znowu ma gorączkę – stwierdził z nieudawaną troską, dotykając dużą dłońią jej delikatnego czoła. – Drugi raz w tym miesiącu.

– Wiem.

– Kaszle?

– Tak... Czy to może być gruźlica?

– Nie wykluczam tego, ale na razie też nie potwierdzam. Mała powinna być objęta leczeniem szpitalnym.

Zuzanna westchnęła i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie stać mnie na to.

Doktor podniósł głowę i popatrzył jej w oczy. W jego sędziwej, ale szczerzej twarzy widać było troskę i współczucie.

– Panno Grabińska, na dłuższą metę moje leczenie może okazać się nieskuteczne. Lili powinna zmienić otoczenie i klimat, ale przede wszystkim powinna przejść terapię w szpitalu. Należałoby wykonać badania, żeby wykluczyć lub potwierdzić gruźlicę. Wiele na nią wskazuje, ale to może być również inna choroba płuc.

– A jakie to ma znaczenie? Każda taka choroba może być dla niej śmiertelna – odparła Zuzanna ze znużeniem.

Dziewczynka przebudziła się, kiedy doktor przyłożył do jej piersi zimny stetoskop. Przez chwilę poruszała się nieprzytomnie, aż nagle zaczęła gwałtownie kaszleć, tracąc przy tym zupełnie oddech.

Zuzanna w panice usiadła na łóżku i chwyciła dziecko w ramiona. Trzymała je tak długo, aż mała złapała w końcu powietrze w płuca i zaczęła płytko oddychać.

Doktor z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Podam lek na gorączkę – rzekł w końcu. – To powinno pomóc. Jutro z rana proszę iść do apteki i kupić kolejną dawkę. Podawać w razie wzrostu temperatury.

– Doktorze, czy to się będzie często powtarzać? – Zuzannę po raz kolejny tego dnia sparaliżował strach. Lili, choć w gorączce, ufnie przytuliła się do piersi matki.

– Tego nie wiem. To zależy, jak zaawansowana jest choroba i jak silny organizm ma córka. Niech pani pomyśli o szpitalu. Czy pan Lubowidzki...

Zuzanna gwałtownie uniosła wzrok i spojrzała na doktora rozgorączkowana. Na wzmiankę o Ignacym coś ścisnęło ją w gardle.

Mężczyzna chyba się zmieszał, zdając sobie sprawę z absurdalności tego, co chciał powiedzieć.

– Proszę wybaczyć moją śmiałość. Wiem, że dzisiaj odbył się pogrzeb pana Ignacego, ale może coś pani zostawił... Jakoś zabezpieczył. Lili jest przecież jego córką.

– Nic mi nie zostawił – rzuciła Zuzanna głucho, zanurzając twarz we włosach dziewczynki. – Ostatnie pieniądze, jakie mi dał, przeznaczyłam na czynsz. Już nic mi nie zostało.

Doktor przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem pokiwał głową ze zrozumieniem. Podniósł się i wyjął z torby buteleczkę z lekiem. Kiedy stawiał ją na stoliku, równocześnie sięgnął do kieszeni batystowej kamizelki i wysupłał z niej kilka monet. Zuzanna popatrzyła na niego pytająco.

– To na kolejny lek dla Lili – wyjaśnił łagodnie i uciekł wzrokiem. – Proszę mi nie dziękować. Powinna pani pomyśleć o swojej przyszłości. I o małej.

Zuzanna kiwnęła głową, modląc się, żeby łzy, które cisnęły jej się do oczu, nie spłynęły po policzkach. Nie chciała, żeby ten miły, starszy człowiek, który zrobił już tyle dobrego, zobaczył jej rozpacz i niemoc. Nie chciała okazywać przed nim słabości.

– Nie musi mi pani płacić za wizytę. Domyślam się, że to, co się ostatnio wydarzyło, mocno pogorszyło pani sytuację materialną.

W jej gardle urosła wielka gęsia skórka. Doktor odwrócił się i skierował do drzwi, a ona szybkim ruchem starła z policzka łzę i po krótkim

„dziękuję” wypuściła mężczyznę na korytarz. Kiedy wyszedł, natychmiast wróciła do łóżka Lili. Ponownie wzięła córkę w ramiona i zaczęła płakać. Dopiero teraz poczuła, że już dłużej tego nie zniesie, że musi wyrzucić z siebie te wszystkie emocje, które nią targały. Niedające spokoju wyrzuty sumienia stały się jej zmorą nie mniejszą niż choroba Lili. Kołysała dziecko, aż ono przebudziło się i popatrzyło na matkę dużymi, ciemnymi oczami. Zuzanna pomyślała, że nic nie jest tak piękne jak te oczy. I że żadnych nigdy nie kochała tak bardzo. Córka była dla niej całym światem. Wszystkim, co miała. I dla niej musiała być silna. Musiała przetrwać. Tylko dla niej.

Późną nocą, kiedy gorączka Lili spadła, Zuzanna usiadła przy wyszczerbionym stoliku i wzięła do ręki kartkę i pióro – to samo, które kiedyś podarował jej Ignacy, żeby mogła pisać do niego listy. To były czasy, kiedy jeszcze udawał, że ją kocha, kiedy silił się na drobne uprzejmości, a ona z ufnością wierzyła w jego szczerą intencję. Wierzyła naiwnie, że jest dla niego kimś więcej niż tylko dziwką.

Teraz też zamierzała napisać list. Inny niż zwykle, być może jednak najważniejszy. Myśli same zaczęły wychodzić z jej głowy i przybierać kształt słów, które powoli, niezdarnym pismem, zapisywała na kartce. Kiedy skończyła, złożyła list na dwoje i popatrzyła na Lili. Dziewczynka obudziła się i przyglądała matce z nikłym uśmiechem na bladej twarzyczce.

\* \* \*

Gustaw Lubowidzki inaczej zapamiętał Rozalię. W jego nielicznych wspomnieniach z czasów, kiedy Ignacy dopiero co ją poślubił, bratowa była wesołą trzpiotką, w dodatku pachnącą różami. Ten zapach szczególnie zapadł mu w pamięć, bo intensywny aromat jej perfum długo nie dawał o sobie zapomnieć. Potem Gustaw wyczuwał go już zawsze, kiedy była w pobliżu,

i miał wrażenie, że coś go wręcz zmusza, by choć na chwilę zwrócić na nią uwagę. Mimowolnie robił to, ale pilnował się, żeby nigdy nie przyłapał go na tym jego starszy brat. Nie chciał, żeby Ignacy miał mu za złe, że zbyt natarczywie przygląda się jego świeżo poślubionej żonie.

Zapamiętał również jej uśmiech – pojawiał się na jej jasnej twarzy zawsze wtedy, kiedy nikt się tego nie spodziewał. Ten uśmiech dziwnie zaskakiwał i oszałamiał w poważnym, statecznym towarzystwie, w którym każdy starał się – delikatnie mówiąc – powściągać swoje emocje. Ona nie potrafiła być powściągliwa. Była denerwująco szczerą i prostolinijną, zbyt temperamentna jak na okoliczności, co stanowiło bezsprzeczny dowód na to, że jest raczej Francuzką niż Polką. Gustawowi wydawała się przez to jeszcze bardziej urocza. Jej głos był niezwykle melodyjny, nieco chrapliwy, z francuskim akcentem, którego nie potrafiła się pozbyć, choć po polsku mówiła doskonale. Wielokrotnie widział zgorzenie malujące się na obliczach poważnych, dystyngowanych matron, kiedy Rozalia narzucała się ze swoim śmiechem i młodością, za nic mając sztywne zasady dobrego polskiego wychowania. Ona wolała innego rodzaju *savoir-vivre*... Taka była, zanim stracił ją z oczu na kolejne cztery lata. Czy gdyby głębiej zajrzał w jej źrenice, dostrzegłby w nich to, co wywoływało zmianę spojrzenia? Czy zauważyłby strach? Ból? Poníženie? Czy za tą fasadą uśmiechu i wdzięku umiałby zobaczyć to, co tak skrętnie próbowała od początku ukryć?

Teraz kobieta, na którą patrzył, wydawała się zupełnie inna. Dojrzała i zupełnie pozbawiona dawnej dziewczęcej swobody i spontaniczności. Zbyt szczupła, odrobinę za blada, poruszała się nerwowo w czarnej żałobnej sukience bez ozdób. W spojrzeniu kobaltowych oczu była pustka. Ale nie smutek czy rozpacz po utracie męża. To było coś więcej. Jakby w głębi jej źrenic uwyraźniło się całe cierpienie, którego przez ostatnie lata doświadczyła. Jakby tylko w oczach dało się dostrzec to, co na co

dzień skrzętnie skrywała pod pozorem uprzejmości, obojętności i powściągliwych gestów. Gustaw domyślał się, że to nie nagła śmierć Ignacego odcisnęła na niej to piętno. Zrobił to on sam.

Gustaw próbował skupić się na słowach notariusza, który poważnym, uroczystym tonem odczytywał testament Ignacego, lecz mimowolnie uciekał wzrokiem do niej. I dopiero po chwili uświadomił sobie, dlaczego tak było. Czuł wstyd. Ogromne poczucie winy zawładnęło nim, jak tylko ją zobaczył. Bratowa przyjechała do Warszawy na uroczystości pogrzebowe w towarzystwie jego matki i siostry, ale nie przywitała się z nim. Ani z nim, ani z nikim innym. Wyraźnie też unikała jakiegokolwiek towarzystwa. Kiedy stanęli ze sobą twarzą w twarz, obrzuciła go zdawkowym, chłodnym spojrzeniem i, nie zaszczycając słowem powitania, zniknęła w swoim apartamencie hotelowym. Gustawowi, zbitemu z tropu i kompletnie zaskoczonemu, pozostał przed oczami jedynie wizerunek jej bladej twarzy. Oszepeconej. Poszarpanej. Zbrukanej. Choć niegdyś tak urodziwej. Nie dostrzegł jednak, aby Rozalia wstydziała się swojej twarzy. Wręcz odniósł wrażenie, że obnosiła się z tą blizną na policzku niczym z trofeum, pokazując wszystkim – spójrzcie, co mi zrobił! Bo Gustaw nie miał wątpliwości, że tę szpetną pamiątkę pozostawił jej po sobie jego brat i myśl ta doskwierała mu okrutnie, jakby sam przyczynił się do okaleczenia kobiety.

Kiedy notariusz odczytywał ostatnią wolę Ignacego, Rozalia jak zwykle była nad wyraz poważna, jakby wykuta z kamienia. Gustaw czuł jednak, że to nie smutek spowodowany tragiczną śmiercią męża wymusił w niej tę posagową powagę. To było coś, co wypływało z jej wnętrza; jakaś siła, która jeszcze nie znalazła ujścia, ale tylko czekała na odpowiedni moment, żeby eksplodować. Powaga była jedynie maską, którą Rozalia nałożyła, żeby zmylić każdego, kto chciałby się z nią skonfrontować.

– Pani Rozalia Lubowidzka – odczytał głośno, wyraźnie i z wyuczoną powagą notariusz, poprawiając na nosie okulary

w złotych oprawkach. – „Wolą moją jest, aby moja szanowna żona Rozalia Tyszkowska-Lubowidzka otrzymała połowę należącego do mnie majątku, na który składają się, jak odczytano wyżej, pod warunkiem że w chwili mojej śmierci ukończyła czterdzieści lat. Jeśli ten warunek w chwili odczytywania owego testamentu nie został spełniony, moja żona otrzyma spadek dopiero, kiedy ponownie wyjdzie za mąż. Ma to zabezpieczyć fortunę przed niepotrzebnym i lekkomyślnym roztrwonieniem. Kolejna połowa majątku przechodzi na moje legalne dzieci – a jeśli takich nie ma, to oddaję go moim najbliższym – matce Leokadii Lubowidzkiej, siostrze Adriannie Lubowidzkiej i bratu Gustawowi Lubowidzkiemu, po równej jednej trzeciej części”.

„Do diabła!” – zaklął w myślach Gustaw, przyglądając się reakcjom bratowej i matki. Jedna tkwiła na miejscu niewzruszona, a u drugiej kącik ust drgnął nieznacznie, co stanowiło objaw ukrytej satysfakcji. Domyślał się, że matka jest zadowolona, bo nie od dziś wiadomo, że Rozalia nigdy nie była jej wymarzoną synową.

– „Nie ma odstępstwa od tego postanowienia, chyba że zajdą okoliczności, o których nie wiem w chwili, kiedy spisuję ten testament. Podpisano – Ignacy Konstanty Lubowidzki” – dokończył notariusz uroczyście.

Jego wzrok zza drucianych oprawek okularów ześlizgnął się na młodą wdowę, siedzącą na krześle nieruchomo i sztywno, jakby połknęła kij.

– Szanowna pani Rozalio Lubowidzka – zwrócił się do kobiety. – Według tego, co widnieje w testamencie, jest pani zobowiązana ponownie wyjść za mąż.

Rozalia wstała. Biła od niej duma i powaga. Żaden mięsień nie drgnął na jej twarzy.

– Tylko pod warunkiem, że zechcę skorzystać z majątku mojego zmarłego męża – odparła z godnością. – Panie rejencie, chce nam pan przekazać coś jeszcze czy to koniec odczytu?

– Nie ma tu nic więcej do dodania, szanowna pani. Testament został odczytany w całości.

– W takim razie dziękuję. – Skinęła głową, odwróciła się sztywno i bez słowa pożegnania wyszła z gabinetu notariusza.

Gustaw, zaskoczony, chciał pójść za nią, ale coś mu mówiło, że nie powinien tego robić. Nie miał do tego prawa. Popatrzył na matkę i siostrę, ale te również wstały z krzeseł. Notariusz podszedł do nich usłużnie i pożegnał się z szacunkiem, całując obie damy w wierzch dłoni.

– Jeszcze raz proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. Pan Ignacy był wspaniałym człowiekiem. To, co się wydarzyło... To naprawdę straszne. Miejmy nadzieję, że policja szybko znajdzie i ukarze sprawcę tego haniebnego mordu.

Leokadia rąbkiem jedwabnej chusteczki otarła zbłąkaną łzę.

– Dziękuję, szanowny panie. Jestem wdzięczna za okazane współczucie. Śmierć mojego syna... – urwała gwałtownie, zanosząc się nagłym, dramatycznym szlochem. – Gustawie, zabierz nas do hotelu – zarządziła zbolalym głosem, zwracając się do jedyne go syna, jaki jej pozostał. – Chcę się spakować. Jutro z samego rana wracamy do Kargomina. Ach, i jeszcze jedno... Szanowny panie – spojrzała na rejenta – jeśli mógłby pan dopilnować, żeby na grobie mojego syna zawsze były świeże kwiaty... Oczywiście godnie zapłacę.

– Proszę się o to nie kłopotać, droga pani. Grób pana Lubowidzkiego będzie pod dobrą opieką. To dla nas zaszczyt i oczywisty obowiązek.

Leokadia, wyraźnie usatysfakcjonowana odpowiedzią, kiwnęła głową i drżącą ręką w czarnej jedwabnej rękawiczce złapała syna pod ramię i wszyscy troje, wraz z Adrianną, wyszli z urzędu notarialnego.

Rozalia stała samotnie na chodniku, tuż przy wejściu do gmachu kancelarii, mijana przez przechodniów, którzy zerkali na nią



z ciekawością. Błady promień marcowego słońca zatańczył w jej karmelowych włosach.

Wyglądała tak, jakby próbowała zaczerpnąć powietrza. Ubrana w czarny płaszcz, z włosami upiętymi na karku w skromny kok, trzymając w dłoni torebkę z lakierowanej skóry, wyglądała elegancko i dystyngowanie. Wzrok miała nieprzenikniony. Patrzyła gdzieś w dal, na toczący się swoim rytmem ruch uliczny, jednak jakby nie widząc tego wszystkiego, co się wokół niej działo. Jakby wszystkie jej myśli skupione były na innym miejscu i innym czasie.

Gustaw, nie wiedząc czemu, gapił się na nią bez słowa. Mierząc jej samotną postać, pomyślał, że nie tak wyobrażał sobie swój powrót do Warszawy. Nie spodziewał się, że przyjedzie tu na pogrzeb starszego brata, ani do głowy mu nie przyszło, że zastanie jego żonę w stanie kompletnej desperacji.

Nie do końca wiedząc, jak się w stosunku do niej zachować, zignorował jej samotność i skinieniem głowy przywołał taksówkę, bo uczipiona jego ramienia matka zaczęła właśnie ubolewać, jak źle się czuje i natychmiast musi wrócić do hotelu.

[1] Gabriel Narutowicz – pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, wybrany w 1922 roku. Urząd prezydenta pełnił przez pięć dni. Został zastrzelony przez zamachowca w czasie wizyty w galerii „Zachęta”.



## ROZDZIAŁ 2

Rozalia kątem oka dostrzegła spieszącego w jej stronę stajennego. Minę miał nietęgą, co znaczyło, że znowu zdenerwowała go swoim zachowaniem. Mimo to, zupełnie się tym nie przejmując, mocniej zacisnęła popręg siodła, jakby na przekór nie tylko jemu, ale i całemu światu.

– Szanowna pani! Pozwoli pani, że ja to zrobię! – wykrzyczał stajenny z wyraźną pretensją w głosie.

– Nie ma takiej potrzeby. Już osiodłałam Rachelę.

Widziała, jak Ambroży ciężko wzdycha. Był niepocieszony, wręcz zły. Dostał wyraźne polecenie od pani Leokadii Lubowidzkiej, by za nic w świecie nie pozwalać pani Ignacowej samodzielnie czyścić i siodłać konia.

– Co ludzie powiedzą! – utyskiwała zgorszonym tonem Leokadia, a na jej czole między brwiami pojawiała się głęboka zmarszczka. – To wstyd! Zachowujesz się jak pomocnik stajennego! – rugała niewzruszoną synową. – Jakby nie stać nas było na służbę! Nie zapominaj, kim był twój mąż!

Takiego biadolenia teściowej Rozalia zmuszona była słuchać na okrągło. „Wiem, kim był mój mąż” – odpowiadała ponuro w myślach, przedrzeźniając nieco Leokadię. „Wiem to aż za dobrze”.

Nie zamierzała jednak się stosować do zaleceń teściowej. Już nie. Postanowiła ignorować nakazy i zakazy obowiązujące w dworze i to postanowienie skutecznie wprowadzała w czyn; Ambroży nie miał więc innego wyjścia, jak tylko przyglądać się bezradnie, jak młoda pani zuchwale i bezczelnie wykonuje jego pracę.

– Spokojnie, Ambroży, przecież nikomu nie powiem.

Tylko że Ambroży zdawał sobie sprawę, że to, czy pani Rozalia powie komukolwiek o swoim wybryku, czy też nie, nie ma najmniejszego znaczenia, bo pani Leokadia Lubowidzka i tak o wszystkim się dowie. Mieszkańcy Kargomina regularnie donosili właścicielce dworu o postępkach jej niepokornej synowej. Tak było zawsze, od początku. Od dnia, kiedy Rozalia, jako dopiero co poślubiona panu Ignacemu, przekroczyła próg domostwa i swoim zbyt swobodnym, ostentacyjnym zachowaniem zgorszyła teściów. Nie powitała ich z godnością i powściągliwością. Nie dygnęła. Nie pocałowała księdza proboszcza w rękę, choć ten również specjalnie przybył do dworu, by powitać jego nową mieszkankę. Uśmiechnęła się tylko zalotnie i bez skrępowania weszła jak... jak do siebie. Krążyła wokół, oglądała wszystko z zaciekawieniem, komentowała po francusku starodawny wystrój swojej nowej sypialni i wzdychała nad surowością wnętrza. Raziły ją mnogość ołtarzyków na każdej komodzie i porozwieszane wszędzie święte obrazy. Kiedy jeden z nich – ten, który wisiał w jej sypialni – zdjęła ze ściany, a na jego miejsce powiesiła pejzaż przywieziony z Francji, zdumieniu i plotkom nie było końca. Leokadia omal nie przypląciła tego omdleniem.

Tak było na początku – kiedy Rozalia jeszcze nie była świadoma, jakie życie czeka ją u boku znanego polityka. Kiedy jeszcze nie wiedziała, że będzie wyłącznie wydmuszką, błyszczącą ozdóbką, ładnie wyglądającym manekinem bez prawa do własnego zdania, uśmiechu i jakiegokolwiek swobody. Zaraz po jej przyjeździe każdy w Kargominie mówił tylko o niej – młodej, nieokrzesej

Francuzce, która swoim bezpretensjonalnym zachowaniem gorszyła i oszałamiała równocześnie. Nie wiedziała, że Leokadia na każdym spotkaniu towarzyskim oświadczała, że młodej synowej brakuje ogłady, bo przyjechała z Francji, ale wkrótce nabierze właściwych manier i stanie się wystarczająco skromna i pobożna. Bo kto to widział, żeby kobieta zameźna używała perfum! To zbytek przeznaczony wyłącznie dla aktorek i wiadomo jakich... dam.

Rozalia kłusem przemknęła przez szeroko rozwartą bramę dworu i, mijając niewielki kościółek, popędziła Rachelę w stronę pobliskiego lasu. Tylko tam mogła oddychać, tylko tam czuła się naprawdę sobą, nieśledzona uważnym, karcącym wzrokiem Leokadii i zdradzieckiej służby. Gnała na oślep, doskonale znając każdą ścieżkę, każde drzewo, każdy pęd wyrastający z wilgotnego mchu. Wiedziała, że klacz zna te miejsca równie dobrze jak ona. Obie przemierzały tę okolicę wzdłuż i wszerz niezliczoną ilość razy, jednego dnia ciesząc się promieniami słońca, innego walcząc z porywistym wiatrem, a jeszcze kolejnego kuląc się pod biczem rzęsiście padającego deszczu. Każda z tych chwil była wyjątkowa, bo każda była dla niej substytutem wolności, której Rozalia tak pragnęła i za którą tak rozpaczliwie tęskniła.

Wjechała do lasu i zatrzymała się na polanie, tuż nad wesoło szemrzającym strumykiem.

Tego dnia było pięknie. Pełnia wiosny sprzyjała spacerom, więc Rozalia zeskoczyła z końskiego grzbietu, przywiązała zwierzę do drzewa i ruszyła leśną dróżką przed siebie. Z upodobaniem wdychała zapach wilgotnego mchu, kory, rozkwitłych fiołków i leśnych dzwoneczków, które ścieliły się przed nią niczym barwne kobierce. Każdy z tych zapachów instynktownie mieszała w myślach z aromatami innych kwiatów, owoców i ziół, tworząc najpiękniejsze kompozycje zapachowe, jakich dawniej uczył ją Vincent Lamar. Wspominała nieskończone pola lawendy, które letnią porą zakwitną niedaleko jej rodzinnego domu w Grasse

i jak zwykle będą rozsiewać magiczną woń w całej okolicy. Tęsknota, którą odczuwała za domem, była wręcz fizyczna, bo tak bardzo pragnęła wyrwać się z tej dziwnej Polski, w której tkwiła od pięciu lat, zamknięta niczym dzikie zwierzę w klatce. Mąż zdominował jej życie do tego stopnia, że żyła wyłącznie myślą, a raczej obawą, kiedy Ignacy przyjedzie z Warszawy. Podczas jego kilkutygodniowych nieobecności w Kargominie, gdy zajmowały go wyłącznie polityka i obowiązki w sejmie, Rozalia zbierała siły i energię, żeby stawić mu czoła, gdy wróci.

Zawsze jednak przegrywała.

I nie umiała się z tym pogodzić. Resztkami dumy próbowała odzyskać dawną siebie – tę wesołą dziewczynę z Grasse, która jeździła na rowerze do pracowni pana Lamara, czy zadziorną pannę ze szkoły w Paryżu, która w czerwonym berecie, wraz z przyjaciółką Chloe, odwiedzała kawiarnie na placu Pigalle, gdzie można było spotkać paryską bohemę z Ernestem Hemingwayem i Pablem Picassem na czele.

W małżeństwie jej życie wyglądało inaczej. Wiedziała, że coś się zmieni, ale nie sądziła, że wszystko. Jakby nagle ktoś zamknął ją – wolnego ptaka – w ciasnej klatce z grubych prętów. Albo pozbawił ją powietrza do oddychania.

Nie było radości ani miłosnych uniesień, o jakich marzyła.

Był strach. I ten strach, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu czynił z niej kobietę bezwolną.

Ignacy tłamsił ją – ostrym słowem, bezczelnym spojrzeniem, brutalnym dotykiem. Był apodyktyczny i bezwzględny i wyraźnie mierzył go jej zbytnia swoboda.

Na początku małżeństwa Rozalia, nieświadoma charakteru męża, buntowała się otwarcie i hardo wyrażała gwałtowny sprzeciw, zdumiona brutalną nachalnością Ignacego. Przestała jednak to robić, kiedy Ignacy bez skrępowań, rok po ślubie, wezwał do niej lekarza, wpierając jej, że jest chora.

Lekarz stanowczo orzekł, że w jego mniemaniu młoda, buntownicza żonka wymaga specjalistycznej opieki psychiatrycznej. Mówiąc to, bezczelnie patrzył Rozalii prosto w oczy, nie dbając o to, że jej policzek jest siny i obolały od uderzenia z otwartej dłoni, którym wcześniej poczęstował ją mąż, bo nie miała ochoty spełniać jego seksualnych zachcianek. W mniemaniu Ignacego, który rościł sobie do niej prawo jak do własności, miała być zawsze chętna i zawsze uległa wobec jego – jak to określał – męskich potrzeb.

Rozalia brzydziła się tego, co Ignacy z nią robił. Ale tylko uległość trafiała do jego świadomości, bo wyraźnie jej mąż czuł się prawdziwym mężczyzną zawsze wtedy, kiedy bez pytania i bez jej zgody zdierał z niej ubranie, albo gwałtownie podciągał do góry sukienkę i siłą brał to, co mu się święcie należało.

Z początku oponowała. W końcu przestała to robić.

– Szanowny pan Lubowidzki troszczy się o panią jak należy – rzekł lekarz z właściwą swemu urzędowi powagą. – Ale jeśli nie będzie go pani słuchać, będę zmuszony wystawić stosowne skierowanie na specjalistyczną terapię w szpitalu psychiatrycznym.

– Czy mój mąż poinformował pana doktora, w jakich kwestiach żąda ode mnie posłuchu? – zapytała z odrazą, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, który nagle poczerwieniał na twarzy. Najwidoczniej spodziewał się dostrzec w oczach pacjentki strach, może pokorę, a widział w nich tylko upór.

– No cóż... Podobno... Wspominał, że nie jest pani uległa w tych sprawach.

– W tych, to znaczy w jakich? – zapytała bez ogródek, nie próbując ułatwiać przekupnemu lekarzowi sprawy.

– W sprawach... Mażeńskich... Damsko-męskich.

– A czy mąż wspominał, że jest w stosunku do mnie brutalny?

– No cóż... – Doktor potarł policzek. – Mężczyzna ma swoje prawa i potrzeby. Jeśli żona nie może ich spełnić... Ma on prawo

stosować nieco bardziej radykalne środki. Jeśli będzie pani uległa, mąż zaprzestanie praktyk, które tak pani przeszkadzają. Poza tym jest pani zobowiązana urodzić dziecko, a jak dotąd w tej kwestii... nic się nie wydarzyło.

– On mnie bije!

– Takie rzeczy są dozwolone, a wręcz wskazane, jeśli żona wymaga dyscypliny.

To wtedy, po wizycie doktora, który cynicznie zagroził, że zamknie Rozalię w szpitalu, zaczęła się jej małżeńska gehenna, trwająca kolejne lata. Ignacy bez skrupułów wpierw brutalnie ją okaleczył, nie panując nad własną furią i bijąc ją bez opamiętania, a później zamknął w rodzinnym Kargominie pod czujnym okiem matki i służby, zabraniając Rozalii kiedykolwiek pojawić się w Warszawie.

Dni stały się dla niej piekłem, a noce męczarnią. Wpatrywała się w swoje okaleczone odbicie w lustrze, które dobitnie i z dziwną ironią przypominało jej, kim jest dla własnego męża. Czuła na policzku permanentny, piekący ból po tym, jak Ignacy ugodził ją ostrym niczym brzytwa nożem. Zrobił to w szale gniewu, chcąc ją napiętnować, okaleczyć i upokorzyć. Po wszystkim chyba sam zdumiał się swoją porywcznością, bo bez pożegnania wyjechał z Kargomina do Warszawy i nie było go przez kilka tygodni.

Rana, profesjonalnie opatrzona, w końcu się zagoiła, ale na policzku pozostała szpetna blizna. Jednak to nie ona bolała Rozalię najbardziej. Więcej blizn kobieta miała w sercu i głowie, i to one bolały najdotkliwiej. Snuła się bez celu po wielkim domu, nie znajdując ani sensu w obecnej sytuacji, ani zajęcia, które mogłoby ją skutecznie oderwać od ponurych myśli. Niekończące się godziny nudy przymusowo spędzała z teściową i siostrą Ignacego w pobliskim kościele na nabożeństwach, które nie przynosiły jej ulgi. Bo Bóg nie przemówił do niej ani razu. Nie dał



ani wyzwolenia, ani ukojenia, a recytowane modlitwy wzmacniały w niej jedynie poczucie lęku i beznadziei.

– Bo nie masz dziecka! – karcącym tonem wypominała jej teściowa, widząc u synowej narastającą apatię. Czy to była prawda? Być może. Ale Rozalia nie pragnęła dziecka. Nie tęskniła za nim. Tęskniła jedynie za wolnością.

Wspominała dawne, beztroskie życie w Grasse i chwilami czuła, że się załamała, że nie zniesie kolejnego bicia i poniżenia. Ale jakaś część jej wciąż myślała o wolności. O innym świecie, w którym kiedyś żyła.

Błagała męża i teściową, żeby pozwolili jej wyjechać do Francji – do domu, ale zarówno Ignacy, jak i Leokadia stanowczo zabraniali, jakby przeczuwając, że Rozalia nigdy już do Polski, a tym bardziej do Kargomina nie wróci.

Ostatnią deską ratunku były dla niej listy, które słała do rodziców z prośbą, żeby natychmiast zabrali ją od męża brutalą. Ale odpowiedź zawsze była taka sama i zawsze tylko od ojca. „To twój mąż i jesteś mu winna posłuszeństwo”.

Matka nigdy do niej nie napisała.

Teraz Ignacy nie żył od dwóch miesięcy, a wspomnienia wciąż ją nawiedzały, wciąż bolały. Jednak czy miały jeszcze jakieś znaczenie? Przeżyła małżeńską gehennę i była wolna. Sama. Bez niego. Bez jego cienia, który złowieszczo podążał za nią, nie dając zapomnieć, że musi być mu posłuszna, bo jest jego poślubioną żoną.

Powoli układała w głowie plan na dalsze życie i rozmyślała o tym, gdzie się udać. Bo to, że chciała z Kargomina uciec, było dla niej oczywiste. Nie mogła zostać w miejscu, gdzie wszystko przypominało jej męża, gdzie przy śniadaniu jego rozmodlona matka wspominała go z czcią, niczym świętego, a ksiądz na ambonie nie wiedział już, jakich to górnolotnych słów użyć, żeby opisać radość niebiańską z powodu kolejnej nieskalanej duszy u Piotrowej bramy.

Jedyną drogą do wolności była dla niej Francja. Ale ojciec i matka od czasu pogrzebu jeszcze się nie odezwali i nie dali żadnego znaku, że powinna wrócić do domu. Że przyjmą ją z otwartymi ramionami.

Do dworu jak zwykle powróciła późnym popołudniem. Nie przejmowała się tym, że pora obiadowa już dawno minęła. Każde odstępstwo od panujących w Kargominie zasad było jej małym zwycięstwem, które po śmierci Ignacego na nowo budowało w niej poczucie własnej wartości, choć teściową Leokadię doprowadzało do szaleństwa.

Ambroży odebrał od niej konia, tłumacząc, że niedawno przyjechał pan doktor Lubowidzki i prosił, żeby pani natychmiast zechciała spotkać się z nim we dworze.

„Kolejny Lubowidzki, który myśli, że może mi rozkazywać” – pomyślała z przekąsem, czując narastający bunt. Poszła jednak do dworu z postanowieniem, że spotka się z bratem zmarłego męża, ale nie będzie grała przed nim roli zapłakanej wdowy.

Energicznym krokiem wkroczyła do bawialni.

Stukot jej wysokich butów do konnej jazdy już w sieni odbijał się echem od ścian domu, zaburzając świątobliwą i pełną namaszczenia żałobną ciszę, która chyba już na stałe zadomowiła się w każdym kącie.

Rozalia zauważyła zdziwienie na twarzy Gustawa, kiedy prześlizgnął się wzrokiem po jej postaci, zgrabnie unikając patrzenia na oszpeconą twarz. Pewnie wolałby widzieć ją obleczoną w żałobną czerń, jak przystawało wdowie po jego bracie, a tymczasem ona stanęła przed nim w luźnej spódnicy do konnej jazdy i białej, prostej koszuli. Otaksował spojrzeniem również jej długie, jasne włosy, które, czesane wiatrem, już dawno przestały przypominać spleciony na karku warkocz. Wreszcie na krótko zatrzymał wzrok na twarzy. Spojrzał na poszarpaną bliznę na prawym policzku, która ciągnęła się od prawego ucha aż do kącika ust, lekko zniekształcając ich dawny kształt.

– Wybacz mój strój, szwagrze, ale nie mogłam pozwolić, byś czekał zbyt długo, więc nie zdążyłam się przebrać – rzekła oschle, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że nie przejmuje się wyglądem.

Skinął głową w odpowiedzi i odwrócił się w stronę okna, jakby jej widok był dla niego nieprzyjemny.

– Na długo przyjechałeś do Kargomina? – zapytała od niechcienia, próbując stłumić lekkie zdenerwowanie, które nie wiadomo czemu zawsze jej towarzyszyło w jego obecności. Karciała się za to, ale nie umiała tego powstrzymać.

Szpicruta miękko wylądowała na pobliskim fotelu, a Rozalia ujęła w dłoń stojącą na srebrnej tacy karafkę z wodą. Zauważyła, że jej palce drżą.

– Jutro wracam do Warszawy. Mam tam sporo spraw... – Jego głos był niski, głęboki, wibrujący.

– Oczywiście – przerwała mu ze zbyt teatralnym westchnieniem, upijając łyk wody. – Ignacy zostawił po sobie wiele niedokończonych spraw. Później wrócisz pewnie do Brześcia?

– Tak.

Rozalia widywała Gustawa rzadko. Tak naprawdę starała się w ogóle go nie oglądać. Każde spotkanie rodzinne, w którym zmuszeni byli uczestniczyć oboje, wprawiało ich w zakłopotanie; na szczęście przez te wszystkie lata było ich niewiele. Rzadko ze sobą rozmawiali, a jeśli już, to wyuczonymi formułkami o pogodzie, atmosferze panującej w nowej Polsce i innych prozaicznych rzeczach, które w żaden sposób nie naruszały granicy ich prywatności. Może dlatego, że Rozalia wciąż miała w pamięci czerwcowy wieczór sprzed pięciu lat, kiedy poznała Gustawa. Było to na jednym z przyjęć w Paryżu, w którym uczestniczyła wraz z rodzicami. Takich przyjęć organizowano wtedy całe mnóstwo, bo niemal codziennie świętowano zakończenie wielkiej wojny i uchwalanie kolejnych postanowień traktatu pokojowego podpisywanego w Wersalu. To wtedy Rozalia

miała poznać swojego przyszłego męża, którego wybrał jej ojciec. Wiedziała o nim tylko tyle, że narzeczony nazywa się Lubowidzki. Nie знаła jego imienia, nie miała pojęcia, jak wygląda.

Gustaw był pierwszym Lubowidzkim, którego poznała, a raczej wypatrzyła w tłumie gości. Wskazał jej go poproszony o to kelner.

Młody, wysoki i szczupły, na pierwszy rzut oka nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Rozalia nie pomyliła się zbyt, bo wkrótce dowiedziała się, że Gustaw był jedynie rok młodszy.

Stał przy szeroko otwartych drzwiach prowadzących do sali bankietowej, ubrany w galowy mundur polskiego żołnierza Błękitnej Armii generała Hallera. Jego wygląd oszołomił ją wtedy do tego stopnia, że nie mogła oderwać od niego oczu, choć on zdawał się jej nie dostrzegać, zajęty rozmową z jakimś mężczyzną. Podobały jej się jego wysoka i smukła sylwetka, swobodne gesty, ciemne, trochę zbyt długie włosy, gęstą grzywką opadające mu na czoło. Patrzyła na niego, jak młoda dziewczyna patrzy na swojego oblubieńca, i nie przyszło jej do głowy, że może się mylić.

Szybko otaksowała wzrokiem salę pełną gości i upewniła się, że żadnego z jej rodziców nie ma w pobliżu. Większość gości wciąż zebrana była w saloniku muzycznym, gdzie wybitny polski pianista i polityk Ignacy Paderewski dawał popis swoich fortepianowych umiejętności, zaszczycając wszystkich interpretacją Chopina.

To, co Rozalia zamierzała zrobić, zakrawało na zuchwałość, ale przecież nikt nie zabraniał pannom zapoznać się z przyszłym narzeczonym. Czy było w tym coś złego? Kto mógłby ją za to skarcić? Sam narzeczony? Przecież to on poprosił ojca o jej rękę, więc zapewne będzie szczęśliwy, że panna jest mu przychylna. Wprawdzie w szkole w Paryżu wpajano jej, jak należy zachowywać się w towarzystwie, ale wszystkie te konwenanse wydawały jej się takie nudne i nieprzystające do rzeczywistości.

Z tymi myślami przemierzyła salę wypełnioną gośćmi i zbliżyła się do młodego żołnierza. Cieszyła się, że tego wieczoru wygląda

naprawdę pięknie w uszytej specjalnie na tę okazję prostej, pastelowej sukni w kolorze kości słoniowej, ozdobionej drobnymi perłami. Długie włosy w odcieniu płynnego złota pokojówka ufryzowała jej w misterny kok, również przewleczony sznurem pereł, które Rozalia dostała na tę okazję od matki. Najważniejsze jednak było to, że miała na sobie swój zapach – utkany z płatków róż, misternie skomponowany przez nią samą wyłącznie po to, żeby rozkochać w sobie przyszłego męża. Miała nadzieję, że oszołomi młodzieńca tym zapachem. Oczaruje. Uwięzi. Choć Vincent Lamar uparcie powtarzał, że te perfumy są dla niej zbyt ciężkie.

– *Monsieur* Lubowidzki? – zapytała po francusku z szerokim uśmiechem, zmuszając młodego mężczyznę, żeby na nią spojrzał.

Zrobił to. Odwrócił wzrok od rozmówcy i popatrzył na nią. Miał ciemne, głębokie oczy. W pierwszej chwili dostrzegła w nich zaskoczenie, ale trwało to tylko ułamek sekundy, bo jego twarz zmieniła się, nabrała kolorów, a on sam, wyraźnie zdumiony, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Do usług, *mademoiselle* – odparł w końcu niskim głosem i skłonił się szarmancko, wyraźnie próbując ukryć zakłopotanie. – Czy mogę łaskawie zapytać, jak się panienka nazywa?

Zaśmiała się z kokieterią, choć czuła przyspieszone bicie serca, a usta jej drżały od nadmiaru emocji.

W tym czasie nieznanemu rozmówcy pana Lubowidzkiego, widząc, co się dzieje między tym dwojgiem młodych, uprzejmie skinął głową i odszedł, nie chcąc przeszkadzać w prywatnej rozmowie.

– Rosalie Tyszkowska – odparła dziewczyna z wdziękiem, podając mu dłoń. – Jestem córką Feliksa Tyszkowskiego.

– *Mademoiselle*... Tyszkowska...

Zdawało jej się, że mężczyzna nagle zbladł. Niepewnie, nieco zmieszany rozejrzał się po sali, ale najwidoczniej nie znalazł tego, czego szukał, bo znów wrócił do niej spojrzeniem. Tym razem jednak było już ono powściągliwe, wręcz chłodne. Zaskoczył ją

tym. Mogła przysiąc, że jeszcze minutę temu patrzył na nią z zachwytem! Co się stało? Czyżby myśl o tym, że będzie musiał ją poślubić, była mu niemiła?

Dość sztywno ujął jej palce w dłoń i pocałował.

– Wkrótce i tak mieliśmy się poznać, więc pomyślałam, że możemy to zrobić już teraz – paplała trochę zażenowana.

Żałowała, że tak bez przemyślenia wyrwała się do niego. Ale teraz nie miała już odwrotu, więc musiała wyjść z tej niezręczności z twarzą. Chyba jednak powinna uważniej słuchać na lekcjach dobrego wychowania.

– Wiem, że pan i ja... – urwała, czując beznadzieję całej sytuacji, której on nawet nie próbował ratować. Stał tylko wyprostowany na baczność i patrzył na nią.

– Mój ojciec powiedział mi...

– Pani mnie z kimś pomyliła – przerwał jej nagle, najwyraźniej nie chcąc, żeby kończyła swój wywód.

– Słucham?

– To pomyłka. Nie jestem tym, za kogo mnie pani uważa. Proszę o wybaczenie, że do tej pory nie przedstawiłem się należycie. Nazywam się Gustaw Lubowidzki i jestem młodszym bratem Ignacego Lubowidzkiego. To Ignacy ma panią poślubić... Nie ja.

– Och!

To było jak siarczysty policzek. Wstydu, który ją wtedy ogarnął, nie dało się porównać z niczym innym. Chciała się zapaść pod ziemię, uciec na koniec świata, schować na księżycu, byle nie patrzeć nigdy więcej w oczy tego mężczyzny.

Nie zdradził jej jednak ani przed bratem, ani przed rodzicami, że wyszła przed nim na kompletną idiotkę. Zachował się z godnością i była mu za to wdzięczna.

To pamiętne przyjęcie w Paryżu wryło się w jej pamięć i zenująco powracało zawsze, ilekroć spotykała Gustawa. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale Rozalia podświadomie czuła, że Gustaw też tego nie zapomniał. Jak się okazało, był już wtedy zresztą

zaręczony z panną Amelią Radkiewicz, przyjaciółką z dzieciństwa, z którą zamierzał się ożenić po powrocie do Polski. Do ślubu jednak – jak się później okazało – nie doszło, bo panna Radkiewicz niespodziewanie zerwała zaręczyny z Gustawem i w tajemnicy przed wszystkimi poślubiła jego najlepszego przyjaciela, Juliana Paluszkiewicza. Zły i upokorzony Gustaw na pewien czas odizolował się od rodziny i znajomych, a zupełnie niespodziewanie pomogła mu w tym wojna z bolszewikami. W 1920 roku wyruszył wraz z Błękitną Armią walczyć z czerwoną zarazą, która zagrażała nie tylko raczkującemu państwu polskiemu, ale i całej Europie.

Gustaw, oprócz tego, że był żołnierzem, z wyróżnieniem ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, więc poza walką na froncie zajmował się tam również leczeniem rannych. Po osławionym „cudzie nad Wisłą”, kiedy to Armia Czerwona pod dowództwem generała Michaiła Tuchaczewskiego została zmuszona do odwrotu, i po ostatecznej wygranej w wojnie polsko-bolszewickiej Gustaw definitywnie odszedł z wojska. Wyjechał na wschód, do niewielkiego Brześcia na Polesiu, i zatrudnił się w tamtejszym szpitalu. Wszyscy w rodzinie wiedzieli jednak, że zrobił to wyłącznie po to, żeby szukać zapomnienia po nieszczęśliwej miłości do Amelii i odciąć się od nieprzychylnych plotek. Ktoś podobno poinformował go w liście, że Amelia krótko po ślubie z Paluszkiewiczem zmarła, wydając na świat dziecko, które również nie przeżyło. Od tamtego momentu Gustaw nie pojawił się ani w Kargominie, ani w Warszawie, a rodzina wiedziała o nim tylko tyle, ile sam pisał w listach, czyli niewiele.

Od tamtych wydarzeń minęło pięć lat, a on wciąż się nie ożenił, choć miał już dwadzieścia dziewięć lat. Jego matka powoli traciła na to nadzieję i upominała syna ostro w listach. Gustaw jednak w tej kwestii zdawał się być niewzruszony.

– Jestem lekarzem. Nie mam czasu na rodzinę – powtarzał uparcie i unikał kontaktu z rodziną jak ognia.

Do powrotu z Brześcia zmusiła go dopiero niespodziewana śmierć brata.

Jak dotąd jednak nie rozmawiał z Rozalią. Złożył jej jedynie szybkie i krótkie kondolencje i starał się zachowywać dystans, który jej samej często wydawał się sztuczny i wymuszony.

Teraz też zachowywał się przesadnie dystyngowanie, a ona nie po raz pierwszy zastanowiła się, czy zawsze musi być taki sztywny. Jakby nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Jakby nic nie było w stanie go poruszyć.

– Przyjechałem, bo muszę z tobą porozmawiać – rzekł chłodnym, oficjalnym tonem.

Rozalia usiadła w fotelu. Starła się zachowywać naturalnie i swobodnie, choć była to wymuszona gra z jej strony. Za nic nie chciała, żeby Gustaw widział w niej kobietę nieszczęśliwą i samotną, nawet jeśli rzeczywiście tak się czuła.

– Czy coś wiadomo w sprawie zabójstwa Ignacego? Znalezione sprawcę? – zadała to pytanie z czystej kurtuazji, choć tak naprawdę niewiele ją to obchodziło. Nie zamierzała dociekać, kto uwolnił ją od męża tyrana. Chyba że jedynie po to, by podziękować zabójcy, ale tymi przemyśleniami nie zamierzała się z nikim dzielić.

– Niestety nie. Policja nadal prowadzi śledztwo, ale dochodzenie stanęło w miejscu. Nikt nic nie wie, nikt nic nie widział. Jeśli coś się zmieni, na pewno nas o tym poinformują. Jednak nie o tym chciałem z tobą rozmawiać.

– A o czym?

Odchrząknął i jakby się zmieszał.

Rozalia nie mogła nie przyznać, że w nieco za długich, kędzierzawych włosach wyglądał wyjątkowo dobrze. Wciąż uważała go za przystojnego, choć dawno wyleczyła się z tej niezdrowej fascynacji, której uległa, kiedy zobaczyła go po raz



pierwszy. Teraz był starszy, poważniejszy, a przez to zdawał się jeszcze bardziej niedostępny. Zauważyła, że zmarszczka rysująca się wokół jego wąskich ust delikatnie się pogłębiała, kiedy mówił.

– Znasz treść testamentu. Wiesz, że Ignacy zapisał ci połowę swojego majątku.

– Chyba nie o tym samym testamencie mówimy – rzuciła kpiąco. – Według tego, co usłyszałam na oficjalnym odczycie, nie należy mi się nawet złamany grosz.

– Należy ci się połowa majątku pod warunkiem, że ponownie wyjdiesz za mąż.

Zmarszczyła brwi.

– Więc nic mi się nie należy – dodała z naciskiem.

Gustaw milczał przez chwilę, jakby zbierał słowa. W końcu zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał się, nie chcąc zbyt zmniejszać dystansu między nimi.

– Uważam, że w takim wypadku powinnaś... Uważam, że moim obowiązkiem jest zadbać o ciebie, więc najrozsądniej będzie, jeśli...

Rozalia poczuła nagły przyływ gorąca. Odruchowo wstała z fotela i stanęła naprzeciw niego. Jej pierś falowała pod wpływem przyspieszonego oddechu, ale on kurtuazyjnie unikał tego miejsca wzrokiem. Omijał również bliźnię szpecącą jej twarz. Nie patrzył w oczy, choć zapragnęła, żeby to zrobił. Wówczas dostrzegłby jej opór i dumę.

– Najrozsądniej będzie, jeśli weźmiemy ślub. Oczywiście jak tylko skończy się żałoba – dokończył rzeczowym tonem.

– Nie.

– Słucham?

– Nie! – powtórzyła głośniejszym i bardziej stanowczym głosem, choć czuła, że w środku cała drży. – Nie wyjdę za ciebie. Ani teraz, ani za pół roku, ani nigdy.

Skrzywił się z ironią.

– Rozalio, rozumiem twój sprzeciw, masz prawo być zaskoczona. Niedawno straciłaś męża...

– Nic nie rozumiesz! – wycedziła z goryczą. – Skoro masz czelność stanąć przede mną i prosić mnie o rękę po tym wszystkim, co mnie spotkało w ciągu ostatnich pięciu lat, to znaczy, że nic nie rozumiesz!

– Wiem, że małżeństwo z moim bratem nie należało do udanych...

– To małżeństwo było... koszmarem... – Ostatnie słowo było ciche jak szept.

Wciąż kotłowały się w niej emocje, choć wydawało jej się, że już się od nich uwolniła. A jednak nie – to wciąż bolało. Wciąż było zbyt świeże.

Gustaw wydawał się wstrząśnięty, choć przecież musiał się domyślić, co jego brat czynił... Przecież nie był ślepy i znał porywczy charakter brata.

– Wybacz... – Jego głos zabrzmiał ochryple. – Wiem, że Ignacy bardzo cię skrzywdził, ale obiecuję... Że ja tego nie zrobię. Niczego od ciebie nie wymagam. Nie chcę. Nie będę egzekwował praw... Chcę jedynie, żebyś dostała swoją część majątku.

– Po co?

– Bo tylko tak mogę zadośćuczynić ci to... To wszystko...

Przez chwilę zapragnęła mu uwierzyć. Przez malutki ułamek sekundy pomyślała nawet, że kiedyś podświadomie za nim tęskniła – za tym młodym chłopcem w błękitnym mundurze, którego ujrzała na przyjęciu w Paryżu. Żałowała, że to nie on okazał się tym, którego wybrał dla niej ojciec. Może on byłby inny. Może by jej nie skrzywdził. Jednak ta niedorzeczna myśl szybko została zastąpiona kolejną – ponurą i zimną. Już nigdy nie zaufa żadnemu mężczyźnie. Nigdy. A już zwłaszcza takiemu, który nosi nazwisko Lubowidzki.

– Nie jesteś mi nic winien. To nie twoja wina, że Ignacy był potworem. Znajdź sobie piękną kobietę i ożeń się. Miej z nią

dzieci. Ja nie mogę ich mieć. Jak wiesz, nie doczekaliśmy się z Ignacym potomstwa, choć twój brat intensywnie się o to starał...

– Nie zależy mi na tym.

– Więc tym bardziej powinieneś rozumieć moją odmowę.

Chciała wyjść z bawialni, ale złapał ją za rękę. Poczowała jego zapach – mieszanek piżma, skóry i cygar.

Zesztywniała i odskoczyła od niego jak oparzona, dając tym samym do zrozumienia, że nie życzy sobie, żeby ją dotykał.

– Rozalio, na mocy prawa nie dostaniesz nic, chociaż byłaś jego żoną – powiedział powoli, patrząc jej w oczy.

– A co cię to obchodzi?

– Próbuję ratować dobre imię swojej rodziny.

– Dobre imię twojej rodziny niewiele dla mnie znaczy.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, aż wreszcie odsunął się na bezpieczną odległość.

Przytaknął, choć wiedziała, że jej słowa w żaden sposób go nie przekonały. Być może miał zamiar naciskać, prosić, ale pod jej twardym spojrzeniem skapitulował.

– Chciałbym przekazać ci coś jeszcze – rzekł. Wyjął z kieszeni marynarki białą kopertę. – Dostałem to od pewnej kobiety, przyniosła mi to do hotelu. Poprosiła, żebym ci to przekazał.

– Mnie?

– Tak. Powiedziała, że to list dla żony Ignacego. Widać było, że kosztowało ją to sporo trudu, żeby do mnie przyjść.

Rozalia uniosła brwi w wyrazie zaskoczenia.

– Nie przedstawiła się?

– Nie. Nie znam jej. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Być może ten list zawiera coś ważnego, jakąś wskazówkę w sprawie zabójstwa. Może ta kobieta coś widziała.

– Jestem zdumiona, że go nie otworzyłeś – zadrwiła.

– Jest zaadresowany do ciebie.

– I co z tego? Twój brat by to zrobił. Nie dbał o moją prywatność.

Gustaw nie skomentował jej słów. Podał jej kopertę, a Rozalia otworzyła ją szybkim ruchem, nie tracąc czasu na szukanie nożyka do papieru.

List napisany był wyraźnym, choć niezbyt starannym pismem.

Rozalia prędko przesunęła wzrokiem po treści, ale zdecydowała, że musi go przeczytać uważnie, w całości. Mimowolnie opadła na fotel, jakby zapominając o obecności szwagra.

*Szanowna Pani Rozalio,*

*proszę wybaczyć moją śmiałość, ale piszę do Pani ten list, bo kieruje mną wyłącznie rozpacz. W innym wypadku nigdy nie ośmieliłabym się Panią niepokoić.*

*Pani zmarły mąż, Ignacy Lubowidzki, od czterech lat opiekował się mną i moją córeczką. Teraz, po śmierci Pani męża, obie zostałyśmy bez opieki i środków do życia, a moja córka Lili jest ciężko chora. Jedyne wsparcie finansowe jest w stanie wyciągnąć moją córeczkę z choroby. Nie prosiłabym o to, ale pan Lubowidzki był blisko związany ze mną i moją córką. Jeśli odmówi Pani pomocy, pójdę do prasy i nagłośnię mój związek z Pani mężem.*

*Z wyrazami pokory i szacunku*

*Zuzanna Grabińska*

Serce Rozalii zabiło w piersi z zawrotną szybkością. Na odwrocie listu znajdował się warszawski adres kobiety.

Bezwiednie podała list Gustawowi.

– Trzeba to zgłosić na policję! – rzekł stanowczo, przeczytawszy treść.

– Nie.

– Ta kobieta cię szantażuje!

– Właśnie poinformowała mnie, że mój mąż utrzymywał kochankę i dziecko!

– Skąd możesz mieć pewność, że to jego dziecko?

– A czyje? – rzuciła z irytacją. – Myślisz, że płaciłby, gdyby nie było jego? Pewnie bał się skandalu!

– I dlatego musimy przekazać ten list policji!

Rozalia wstała gwałtownie z fotela.

– Ani się waż! To sprawa między mną a tą kobietą! Sama to załatwię!

Gustaw westchnął, zrezygnowany.

– Więc co zamierzasz?

– Pojechać do Warszawy i spotkać się z nią.

– Pojadę z tobą.

– Nie!

– Rozalio, ta kobieta może być niebezpieczna! To szantażystka! Zresztą, dzielnica, w której mieszka, jest... delikatnie mówiąc... – zawahał się. – Szemrana.

– Dziękuję za troskę, ale nie potrzebuję twojej pomocy. Uwolniłam się od jednego Lubowidzkiego, więc drugi też nie jest mi potrzebny!

Zauważyła, że bardzo go to dotknęło. Poczul się urażony, chyba nawet był wściekły, ale nie zamierzała go przeproszać. Już dość się naprzeproszała przez ostatnie pięć lat.

– W porządku – zgodził się w końcu. – Ale pozwól mi towarzyszyć ci w drodze do Warszawy. I tak miałem zamiar tam wrócić.

– Chcesz mnie pilnować?

– Nie – odparł z rosnącą irytacją. – Chcę mieć pewność, że bezpiecznie dotarłaś do miasta.

– A co cię to obchodzi? Jeszcze nie tak dawno nie interesowało cię, co robi ze mną twój brat, a nagle martwisz się, czy jestem bezpieczna w podróży.

– Nie miałem na to wpływu. Byłaś jego żoną.

Słyszając to, skrzywiła się z odrazą i wyszła z pokoju.

\* \* \*

Rozalia bardziej wyczuła, niż usłyszała, że teściowa weszła do jej sypialni. Jak zwykle bez pukania. Stała w progu i podparła się o futrynę, robiąc przy tym zbolaną minę, która miała podkreślić wieczne cierpienie jej ciała, spowodowane bólami reumatycznymi. Czern żałoby podkreślała niezdrową bladość suchej cery. Ciemne włosy z pasmami siwizny, uchwycone srebrną klamrą na karku, nadawały jej wyraz surowy i poważny. W dłoni trzymała różaniec z agatów i srebra, po którym bezwiednie przebierała kościstymi palcami. Rozalia знаła te gesty aż za dobrze – napatrzyła się na nie przez lata małżeństwa z Ignacym. Leokadia udawała żarliwą katoliczkę, ale w rzeczywistości różaniec służył jej wyłącznie jako rekwizyt do odstawiania codziennego spektaklu nachalnej pobożności. Ile w tym było fałszu! Ile obłudy, która przyprawiała Rozalię o niemalże mdłości. Nigdy, w żadnym spojrzeniu teściowej, nie dostrzegła ciepła, czułości czy choćby sympatii. Nawet do synów, których podobno tak ceniła, zwracała się oschle albo wręcz obcesowo. Czy tego uczył ją jej Bóg, do którego tak fanatycznie się modliła?

– Co ty wyprawiasz? – rzuciła do synowej, mierząc wzrokiem pokój, na środku którego stały pootwierane kufry podróżne.

– Pakuję się.

Rozalia postanowiła, że nie da się sprowokować, choć wiedziała, że będzie ją to kosztować wiele nerwów. Pakowała już drugi kufer, wypełniając go osobistymi rzeczami, od ubrań po pamiątki i przedmioty użytku codziennego. Nie poprosiła o pomoc żadnej z licznych pokojówek, bo chciała to zrobić sama. Tylko wtedy mogła mieć pewność, że w jej kufrach nie znajdzie się ani jeden przedmiot przypominający jej zmarłego męża. Zamierzała odesłać bagaże samochodem pocztowym do Warszawy, a do pociągu zabrać jedynie podręczną walizkę z niezbędnymi rzeczami.

– To widzę, ale po co? – Głos Leokadii stał się skrzekliwy od nadmiaru tłumionej emocji, a ona sama zaczęła dziwnie rzeźić

i charczeń. – Gdzie się wybierasz, nie informując mnie o tym?

– Nie ma powodu, bym po śmierci Ignacego miała panią jeszcze o czymkolwiek informować. Przestałam być żoną, więc i nie muszę być synową.

– Co za bezczelność! Mów do mnie „matko”, jak należy synowej zwracać się do matki męża!

Rozalia przerwała pakowanie kufra i popatrzyła na teściową. W jej niebieskich oczach czaił się chłód. Przez ostatnie dwa miesiące dzień w dzień patrzyła na teatralną bolesć tej kobiety, mieszającą się z jawną pogardą dla niej, i miała tego dość. Serdecznie dość.

– Matkę mam jedną! – rzuciła ostro.

Leokadia zadygotała ze złości.

– Zawsze wiedziałam, co z ciebie za jedna! Jak tylko Ignacy przywiózł cię z Francji, czułam, że to się źle dla niego skończy! Dama! Francuzka! – syczała z pogardą. – Błagałam go, żeby znalazł sobie przyzwoitą żonę tu, w Polsce, ale nie! Uparł się na ciebie! Na te twoje słodkie oczy! Bo z Francji! Bo z dobrej rodziny! Poślubił cię tam, na obcej ziemi, bez naszej zgody i obecności, i spójrz, czym to się skończyło! Mój syn nie żyje, a ty bezczelnie pokazujesz, kim jesteś! Cieszysz się, że go nie ma! Szczycisz się tym!

– Ignacy nie żyje, ale nie ja go zabiłam.

– Licz się ze słowami, dziewczyno!

– Staram się to robić, choć przychodzi mi to z trudem.

– Pięć lat małżeństwa na nic się zdało! Jesteś tak samo pozbawiona ogłady jak w dniu, kiedy przekroczyłaś próg tego domu. Ignacy nie miał na ciebie siły!

– Choć używał jej przy każdej okazji – rzuciła Rozalia z sarkazmem.

Zauważyła, że Leokadia mocniej zacisnęła usta. Być może raziły ją te ślady, które na ciele Rozalii zostawiał jej syn, choć nigdy głośno tego nie przyznała. Tylko raz, kiedy Ignacy w szale

wściekłości zranił Rozalię nożem w twarz, jego matka, wstrząśnięta, ukryła synową w swoim pokoju, wyraźnie bojąc się gniewu nieobliczalnego syna. Przygotowała nawet okład na głęboką ranę, którą w ostateczności i tak trzeba było zszyć. Doktor, który przyjechał zająć się pacjentką, nie dociekał przyczyny tragedii, choć zapewne domyślał się, że Rozalia nie zraniła się sama.

– Ledwie dwa miesiące temu zostałam wdową. Czy nie umiesz uszanować powagi sytuacji i zachować się jak należy? – Ton kobiety z oskarżycielskiego nagle stał się płaczliwy, ale Rozalia wiedziała, że to część manipulacji, którą teściowa stosowała wobec niej od lat. To samo robiła z córką Adą, która z kolei nie umiała się matce sprzeciwić i potulnie przytakiwała jej w każdej sytuacji.

– A co? Może powinnam siedzieć w domu okryta czernią i umartwiać się, że mój świętej pamięci mąż spoczywa w grobie? Z całym szacunkiem dla pani żałoby, ale ja nie zamierzam tu tkwić. Nie ma tu dla mnie miejsca. Nigdy nie było!

– Ludzie będą gadać!

– Pewnie tak, ale mnie to nie obchodzi.

Widziała, jak bardzo jej odpowiedź wstrząsnęła Leokadią. Na bladą twarz kobiety wystąpił niezdrowy rumieniec, a usta zadrgały w jakimś nerwowym tiku.

– Nie pozwolę, żebyś wystawiła na pośmiewisko reputację mojego syna. Jesteś wdową! Masz się zachowywać należycie!

– Nigdy nie zachowywałam się należycie i pani o tym wie. Oboje z Ignacym próbowaliście ułożyć mnie na swoją modłę, ale wam się nie udało. Tłamsiliście mnie, poniżaliście i poddawaliście próbom, którym nigdy nie sprostałam, bo w głowie zawsze miałam tylko jedną myśl: że kiedyś uwolnię się z tego piekła!

Leokadia była wyraźnie oburzona brutalną szczerością synowej. Palce bezwiednie przebiegające po różańcu zadrgały.

– Jesteś niewdzięczna! – wybuchnęła. – Po tym wszystkim, co dla ciebie robiłam! Traktowałam cię lepiej niż własną córkę!



– Zwłaszcza wtedy, kiedy zatykała pani uszy, jak Ignacy mnie bił.

Leokadia sapnęła.

– Nie pochwalałam tego, ale co mogłam zrobić? Wiesz, jacy potrafią być mężczyźni...

– Teraz już wiem – mruknęła Rozalia bardziej do siebie niż do teściowej.

Ponownie zabrała się za pakowanie rzeczy. Z szuflady sekretarzyka wyjęła gruby notatnik – stary, sfatygowany, ale najcenniejszy. Były to zapiski Vincenta Lamara, wszystkie jego najważniejsze receptury, które skrupulatnie notował przez większą część swojego życia. Rozalia zdumiała się bardzo, kiedy dwa lata temu notatnik dotarł do niej pocztą z Francji, opieczętowany i zaadresowany przez urząd notarialny w Grasse, wraz z obszernym listem, w którym urzędnik wyjaśniał, że Vincent Lamar zmarł w wyniku choroby, a w ostatniej woli zapisał jej ten brulion z osobistymi notatkami. Zdumienie i radość z tak cennego prezentu mieszały się z bólem z powodu śmierci drogiego przyjaciela. Rozalia przeglądała zapiski ze łzami wzruszenia, myśląc, że cała magiczna spuścizna perfumiarza trafiła w jej ręce. To dało jej nadzieję, otworzyło oczy i pozwoliło wierzyć, że coś się może w jej życiu zmienić.

– Rozmawiałam z Gustawem i wiem, że zaproponował ci małżeństwo, choć Bóg wie, po co to zrobił! – kontynuowała Leokadia swój wywód. – To niedorzeczne. Złamałaś życie Ignacemu, to i z Gustawem byłoby to samo.

– Może być pani spokojna, nie przyjąłam oświadczyn.

Teściowa nie skomentowała. Weszła głębiej do pokoju, oglądając pokrótce zawartość kufków, jakby spodziewała się znaleźć tam coś niedozwolonego, co mogłaby krnąbrnej synowej wytknąć.

– Dokąd zamierzasz jechać?

– Na początek do Warszawy.

– Chyba oszalałaś! W Warszawie wszyscy znali Ignacego! Jeśli zaczniesz paradować tam bez krzty przyzwoitości, wybuchnie skandal!

– Naprawdę pani myśli, że będę się tym przejmować? Że cokolwiek mnie to obchodzi? Ignacy nie dbał o mnie, więc czemu ja mam dbać o jego pośmiertną reputację?

– Wyrachowana dziewczucha!

Rozalia uśmiechnęła się szeroko, gładząc otwartą dłonią sfatygowaną okładkę brulionu Vincenta Lamara.

– Nie, szanowna pani. W końcu jestem sobą.

Leokadia sapnęła.

– A co ze mną? Pomyślałaś, co się ze mną stanie, kiedy wyjedziesz? Kto mi poda szklankę wody, jeśli zachoruję?

– Ma pani córkę. Ona się panią zajmie.

Kobieta sapnęła z irytacją.

– Ta dziewczyna to istne skaranie boskie! Nic nie umie! Do niczego nie ma zapału!

– Więc ma pani jeszcze tabun służących, które chętnie spełnią każdą pani zachciankę.

Na taką odpowiedź Leokadia nie miała już riposty. Stała tylko wściekła i przyglądała się, jak Rozalia pakuje ostatnie rzeczy.

– Jak zamierzasz dotrzeć do Warszawy?

– Gustaw zaoferował mi swoje towarzystwo.

– To nie jest przyzwoite. Gustaw nie powinien...

W tym samym momencie Gustaw stanął w progu pokoju.

– Mamo, wracam do Warszawy, więc przy okazji będę towarzyszył Rozalii – odparł spokojnie, unikając spojrzenia bratowej.

Leokadia się zapowietrzyła.

– Ktoś może was wziąć na języki! Twoja bratowa – podkreśliła to słowo – dopiero owdowiała i ktoś może pomyśleć...

– Uspokój się, mamo. Rozalia nie jest zainteresowana moimi konkurami. Dała mi to jasno do zrozumienia.

Rozalia zbyła tę uwagę milczeniem, choć usłyszała w tonie szwagra nutę urazy i drwiny i poczuła pewną satysfakcję.



## ROZDZIAŁ 3

Dwór w Kargominie, leżący pół dnia drogi od Poznania, otoczony polami i lasem, był kwintesencją polskości. Wybudowany w dziewiętnastym wieku przez rodzinę Lubowidzkich, stanowił wzór ziemskiego majątku. Okoliczne folwarki, będące własnością rodu, przynosiły mu odpowiednio wysokie zyski, pozwalające na dostatnie życie. A utrzymywana przez Lubowidzkich parafia na każdej mszy wychwalała zalety i dobroć ziemskich właścicieli.

Rozalia rozstawała się teraz z tym symbolem polskości bez cienia wzruszenia czy żalu. Nigdy nie czuła się tu dobrze. Kargomin nie był jej domem. Tak bardzo różnił się od tego, w którym mieszkała z rodzicami we Francji, że wspomnienie beztroskiego dzieciństwa i młodości w Grasse utrudniało jej wszelkie próby przywiązania się do dworu męża.

Teraz, kiedy gotowa już była do wyjazdu, nie wzruszały jej żalosne utyskiwania teściowej ani poważne miny pokojówek, które w równym rzędzie zegnały ją bez słowa, kiedy wraz z Gustawem wsiadała do taksówki. Spojrzała tylko na Adę, która w żałobnej sukience stała w otoczeniu białych kolumn podtrzymujących dach nad sienią domu, i patrzyła na Rozalię z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Zdawało się, że w oczach dziewczyny czał się jakiś smutek, może żal. Owszem, Rozalia lubiła Adę. Traktowały się z serdecznością, ale trudno im było nawiązać mocniejszą nić porozumienia. Być może dlatego, że Rozalia była pięć lat starsza

od Ady i dziewczyna – jeszcze do niedawna podlotek, dopiero wkroczyła w poważne towarzystwo. A może dlatego, że Ignacy stał między nimi jak cień. Rozalia nie zdążyła głębiej się nad tym zastanowić, bo myślami była już daleko od tego przeklętego miejsca, które w ostatnich latach stało się jej więzieniem.

Prawdą było jednak, że choć dusiła się w Kargominie i pragnęła stąd uciec, to nie lubiła również Warszawy. Już bliski Kargominowi Poznań był jej zdaniem miejscem ciekawszym, mniej wydumanym, a bardziej prawdziwym.

W Warszawie bywała rzadko, a jeśli już, to jej znajomość stołecznego miasta ograniczała się wyłącznie do restauracji i eleganckich willi w najświetniejszych dzielnicach, w których mieszkali wpływowi i zamożni znajomi jej męża. Ignacy nigdy nie miał potrzeby spacerować z żoną ulicami odrodzonej stolicy. Nie pokazał jej życia i zgiełku Warszawy, która wcześniej przez trzy pokolenia była pod wpływem zaborców. Nie zapoznał również z naturalnie toczącym się miejskim rytmem. Rozalia nigdy nie poznała warszawskich bazarów i gwarnych kawiarni, nie jechała publicznym tramwajem i nie oglądała witryn sklepowych, jak czyniła to, będąc w Paryżu. Nigdy nie zapuszczała się w dzielnice robotnicze i mniej reprezentacyjne niż te, którymi kroczył jej dumny, szanowany mąż. Uliczny chaos, scalający mozaikę przeróżnej narodowości mieszkańców, był jej obcy. Porównywała Warszawę do Paryża, który znała bardzo dobrze, i to porównanie wypadło blado, bo w jej oczach stolica Polski nie była nowoczesnym europejskim miastem, a wciąż zacofanym gospodarczo tworem po niedawnej Kongresówce, które usilnie próbowało za nowoczesne uchodzić. Nawet Chopin w oczach Rozalii wydawał się bardziej francuski niż polski. Nie umiała sobie wyobrazić, jak wielki kompozytor mógł niegdyś grywać koncerty w Belwederze, bo jego twórczość łączyła wyłącznie z kulturalnym Paryżem.

Gustaw pomógł jej wyjść z pociągu i zajął się bagażem.

Podczas podróży rozmawiali mało, bo Rozalia unikała wszelkich tematów, a mężczyzna wyraźnie nie próbował jej się narzucać, choć czuła, że przygląda się jej ukradkiem. W końcu zajął się jakąś medyczną lekturą, a ona w milczeniu oglądała znikający za oknem krajobraz, rozmyślając o tajemniczej kochance Ignacego, z którą zamierzała się spotkać.

Kiedy dotarli na Dworzec Wileński, oboje wyraźnie odczuli ulgę, że droga wreszcie dobiegła końca, a tym samym przykry obowiązek wspólnego, milczącego towarzystwa.

Na ulicę Piusa XI, mieszczącą się tuż przy gwarynych Alejach Ujazdowskich, dotarli wynajętą dorożką. Rozalia bez trudu rozpoznała elegancką kamienicę z czerwonej cegły, w której mieszkała jej ciotka Klara Tyszkowska, młodsza siostra jej ojca. Miejsce to było przed laty domem rodzinnym Feliksa Tyszkowskiego, zanim został zmuszony uciekać z Polski. Teraz, po śmierci dziadków Rozalii, mieszkała tu wyłącznie ciotka Klara, która naturalną kolejną rzeczą została spadkobierczynią okazałego mieszkania.

Rozalia gościła w dawnym mieszkaniu ojca tylko raz, bo Ignacy wyraźnie nie życzył sobie, żeby składała wizyty ciotce, tej „pozał się Boże emancypantce”. Z jakiego powodu tak o niej mówił – nigdy Rozalii nie wyjaśnił. Ciotka Klara chyba też nie czuła potrzeby spotykania się ze swoją jedyną bratanicą, bo nie nalegała, żeby Rozalia zechciała ją odwiedzić, choć doskonale wiedziała, że córka Feliksa na stałe przyjechała z Francji do Polski. Raz jeden wysłała jej zaproszenie, ale po tym, jak Rozalia grzecznie odmówiła, tłumacząc się napiętym grafikiem spotkań męża, zaproszenie na kolejną wizytę nigdy nie zostało powtórzone.

Teraz młoda wdowa nie miała pewności, czy ciotka ucieszy się na jej widok. Nie знаła jednak w Warszawie nikogo innego, kto mógłby jej pomóc i zapewnić dach nad głową, a Gustawa nie zamierzała prosić o jakąkolwiek przysługę. Zresztą, on sam

zamieszkał w którymś z warszawskich hoteli, na co ją w obecnej sytuacji nie było stać, a wkrótce zamierzał wrócić do Brześcia.

Kiedy opuszczała dorożkę, szwagier pomógł jej wysiąść i wyciągnął bagaż; Rozalia się wzdrygnęła, kiedy poczuła na dłoni dotyk jego szorstkich palców. Nie lubiła, kiedy ktoś ją dotykał. Ktokolwiek.

– Zamierzasz spotkać się z tą kobietą? – zapytał na odchodne.

– Tak. Pojadę do niej. Chcę ją poznać.

– Po co? Żeby się katować widokiem kochanki swojego męża?

Zacisnęła usta.

– Po prostu chcę. Nie muszę ci tłumaczyć dlaczego.

– Więc pozwól, że pojadę z tobą.

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

– To wyłącznie moja sprawa. Dziękuję za towarzystwo podczas podróży, ale na tym powinniśmy poprzestać.

– Nie poinformujesz mnie o niczym?

– Nie. Chyba że będzie to coś, o czym powinieneś wiedzieć.

Gustaw skinął głową.

Rozalia miała wrażenie, że w jego ciemnych oczach pojawiło się zniecierpliwienie, jakby z trudem panował nad sobą. Zgiełk uliczny nieco stłumił jego słowa, kiedy się odezwał.

– W takim razie, życzę ci szczęścia. Gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała...

– Wiem, gdzie cię szukać.

Skłonił się sztywno i wskoczył do dorożki.

Rozalia nie obejrzała się za nim, kiedy odjeżdżał.

Kamerdyner ciotki Klary zdziwił się, widząc ją na progu z bagażem, w dodatku bez żadnej zapowiedzi.

– Ciocia nie wie o moim przyjeździe, ale proszę ją zawiadomić – rzekła do starszego mężczyzny, który zmierzył ją uważnym, zdumionym i podejrzliwym wzrokiem.

– A kogo mam zapowiedzieć?

– Rozalię. Rozalię Tyszkowską-Lubowidzką.



Kamerdyner otworzył szeroko oczy ze zdumienia, ale szybko się opamiętał i z kamienną twarzą wprowadził Rozalię do sieni.

Stała pośrodku wyłożonego czarno-białą mozaiką korytarza, z którego na piętro prowadziły lakierowane dębowe schody z misternie rzeźbioną poręczą. Klara Tyszkowska pojawiła się na nich błyskawicznie. Stała u szczytu i zmierzyła bratanicę zdziwionym wzrokiem, zatrzymując go nieco dłużej na poszarpanej bliźnie na jej policzku. Jedyłą reakcją na to było wyraźne zaciśnięcie wyszminkowanych ust i ledwo słyszalne westchnienie.

Rozalia zauważyła, że jej ciotka, pomimo czterdziestu dwóch lat, wciąż jest ładna i zgrabna, ubrana w modną, prostą w talii sukienkę, jakie nosiły teraz wyłącznie nowoczesne kobiety. Wyróżniała się również elegancką fryzurą ostrzyżoną na krótkiego boba, na wzór współczesnych aktorek, oraz makijażem podkreślającym jej niewątpliwą, dojrzałą urodę.

Rozalię już dawniej zastanawiało, dlaczego ciotka Klara nigdy nie wyszła za mąż, skoro była wyjątkowo urodziwą damą i musiała wzbudzić zainteresowanie niejednego mężczyzny. Ojciec rzadko wspominał siostrę, bo pamiętał ją jeszcze jako dziecko i nigdy się nie zastanawiał, dlaczego nie ułożyła sobie życia u boku jakiegoś szanowanego obywatela.

– Rozalia! Co za niespodzianka. Nie spodziewałam się ciebie, duszko!

– Wiem, ciociu, ale nie miałam czasu napisać. Decyzję o przyjeździe do Warszawy podjęłam błyskawicznie.

Klara uniosła kształtne brwi.

– Coś się stało? Oczywiście oprócz tego, że dwa miesiące temu niespodziewanie zostałam wdową. Przyjmij moje... – rzuciła wymowne spojrzenie na bliźnię – ...kondolencje.

– Postanowiłam wyjechać z Kargomina – wyjaśniła krótko Rozalia. – Nie mam się gdzie zatrzymać, więc przyjechałam do ciebie.

Klara przez chwilę patrzyła na bratanicę z powagą, lustrując uważnie jej postać, aż wreszcie westchnęła i wolno zeszła po schodach, kołysząc biodrami i eksponując kształtne nogi w jedwabnych pończoszkach.

– Byłam na pogrzebie Ignacego – zaczęła. – Ale nie podeszłam do ciebie. Ta kobieta, jego matka, tak zaborczo trzymała cię pod rękę.

Rozalia zbyła to milczeniem.

– Domyślam się, że przechodzisz trudny okres... – kontynuowała ciotka ostrożnym tonem, wciąż nie spuszczać z niej wzroku. Nagle wydała się Rozalii podobna do jej ojca – te same głęboko niebieskie oczy i ten sam, nieco ironiczny uśmiech. Nawet ich gesty były podobne.

– Nie czuję żałoby. Chcę jak najszybciej wrócić do Francji – wyjaśniła Rozalia.

– Więc co cię zatrzymuje?

– Niedokończone sprawy.

Klara otaksowała wzrokiem jej bagaż, który kamerdyner zdążył już postawić na korytarzu.

– Więc co zamierzasz?

– Na początek chciałabym zamieszkać z tobą, ciociu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Ze mną? Nie możesz wynająć jakiegoś... Mieszkania?

– Nie mam pieniędzy.

– Och! – wyrzuciła z siebie Klara, próbując z finezją zatuszować zaskoczenie. – No cóż... W takim razie... Wiktorze, zanieś bagaż pani Lubowidzkiej do pokoju gościnnego. – Te słowa skierowała do kamerdynera, który natychmiast wykonał polecenie.

Tyszkowska raz jeszcze zmierzyła bratanicę uważnym wzrokiem, tym razem mniej zaskoczonym, a bardziej krytycznym, i powiedziała:

– Masz tylko tę jedną walizkę? Po pięciu latach małżeństwa?

– Jutro powinny dotrzeć pozostałe bagaże.

– No dobrze... Nie jestem sama, mam w tej chwili gości, ale poproszę, żeby wyszli. Idź za Wiktorem do pokoju gościnnego i odśwież się, a później przyjdź do jadalni. Pewnie jesteś głodna. Powiadomię kucharkę, żeby coś ci przygotowała.

– Nie musisz się kłopotać, ciociu.

– Oczywiście, że nie muszę, ale wyglądasz jak śmierć na chorągwi i jeszcze możesz mi tu zemdleć.

Gośćmi okazały się trzy przyjaciółki Klary, które tradycyjnie jak co tydzień przybyły na partyjkę brydza i płoteczki. Nie mogły się nadziwić, kiedy gospodyni oznajmiła im, że nagle wypadło jej coś pilnego i musi natychmiast przerwać spotkanie towarzyskie. Wcześniej pouczyła Rozalię, żeby ta nie wychodziła z pokoju gościnnego, nie chcąc narażać bratanicy na niepotrzebne, ciekawskie komentarze.

– Te kwoki by cię rozdziobały, gdyby się dowiedziały, że tu jesteś. Od miesiąca trąbią tylko o zabójstwie twojego męża. Oczywiście uknuły już tysiąc teorii spiskowych, kto mógł to zrobić. Widzą w nim kolejnego Narutowicza i zastanawiają się, kto będzie następny. Mój Boże, co się w tym kraju wyrabia! Zewsząd słyhać tylko o zamachach! Czy wiesz już coś więcej na temat śmierci swojego męża?

Rozalia usiadła przy nakrytym piękną porcelaną stole, a pokojówka nalewała do jej talerza parującą zupę. Młoda kobieta zdążyła w międzyczasie rozejrzeć się po pokoju i nigdzie nie dostrzegła świętych obrazów ani dewocjonałów, które królowały w Kargominie. Były tu za to stylowe meble, modne zasłony w oknach, lustra i wazony z kwiatami. Na lakierowanym stoliku stał gramofon.

– Nie. Jak dotąd, nie złapano sprawcy.

Klara usiadła na krześle obok i upiła łyk wina, które wcześniej naląła sobie z kryształowej karafki, obserwując Rozalię ze szczerym zainteresowaniem, niczym unikatowy eksponat w muzeum.

– Twój mąż nie był święty. Wiele osób miało powód, żeby to zrobić.

Rozalia spojrzała na ciotkę, nie kryjąc zdziwienia. W jej świadomości tkwiło przekonanie, że Ignacy był postrzegany przez ludzi jako prawy i uczciwy człowiek, podziwiany i szanowany obywatel. Będąc posłem na sejm, miał ogromne poparcie w Warszawie i nie tylko, a politycy, z którymi zdarzyło jej się parę razy zetknąć, wyraźnie go podziwiali. Mówili, że Ignacy jest niezwykle ambitny i z pewnością daleko zajdzie. Imponował ogładą, inteligencją i doskonałym wykształceniem, które zdobył na uczelniach w Warszawie, Wiedniu i Paryżu. To, że był okropnym mężem, stanowiło tylko jej osobisty problem.

– Chyba nie jesteś zdziwiona? Zamierzasz go bronić? – prychnęła Klara drwiąco. – Przecież widzę, co ci zrobił.

– Skąd wiesz, ciociu, że to on?

– Bo widziałam już niejedno i niejedno przeżyłam. Nie jestem ślepa.

– Niektórzy są wyjątkowo ślepi. Nie widzieli tego, co się działo.

– Raczej zamykali oczy. To akurat powszechna przypadłość.

Rozalia skupiła się na jedzeniu zupy. Dopiero kiedy skończyła i czekała na drugie danie, odezwała się bez żalu:

– Ignacy był potworem. Bił mnie i zamykał, kiedy przyszła mu na to ochota. Uwięził mnie w Kargominie pod czujnym okiem swojej matki.

Klara pokręciła głową.

– Na litość boską, dziecko! Dlaczego nie uciekłaś? Dlaczego tkwiłaś w tym piekle?

– Gdzie miałam uciec? Tu, w Warszawie, wszyscy go znali. Nikt by mi nie uwierzył. Zresztą... Ignacy zagroził, że jeśli spróbuję komuś cokolwiek powiedzieć, zamknie mnie w zakładzie dla obłąkanych.

Klara dopiła lampkę wina i naląła sobie kolejną. Rozalia pomyślała, że ciotka chyba często w taki sposób kołła nerwy, bo

robiła to z wyjątkową wprawą i werwą. Nigdy nie widziała, żeby Leokadia w tak otwarty sposób raczyła się winem.

– Od początku wiedziałam, że to małżeństwo to był zły pomysł! – rzuciła ciotka po chwili. – Twój ojciec przed laty napisał do mnie list, że oddaje cię Lubowidzkiemu, a ja próbowałam mu to wyperswadować, ale nadaremnie. Słyszałam o Ignacym to i owo. Karierowicz, bez reszty zapatrzony w swojego mentora Dmowskiego. Tylko że do pięć Dmowskiemu nie dorastał! Podobno go słuchał, uczył się od niego, jak budować nową Polskę, ale prawda była taka, że jego poglądy... Były nic niewarte.

– Jakie poglądy? – Rozalia nigdy nie interesowała się tym, co reprezentował sobą jej mąż, i dlatego uwaga ciotki o poglądach Ignacego niezwykle ją zaskoczyła. Był politykiem, więc żyła w przekonaniu, że działał wyłącznie na korzyść Polski. Budował nowe fundamenty i tworzył podwaliny pod odradzające się po czasach podziału państwo. A nie było to łatwe, bo młoda Polska stanowiła zlepek różnych narodowości, wyznań i przekonań, wynikających z życia przez ponad sto lat w trzech różnych zaborach.

– Twój mąż był radykalnym nacjonalistą. Oczywiście poglądy te przejął od Dmowskiego. Tylko że to, co w Dmowskim jest dobre, on przeinaczył na własną megalomańską modłę. Wiesz pewnie, że twój mąż w młodości działał w „Zetce”<sup>[2]</sup> – rzuciła ciotka, dopijając wino. – Tam nawtykali mu do głowy bzdur. Wyrażał gwałtowny sprzeciw przeciwko wszystkiemu, co niepolskie. Sprzeciwiał się asymilowaniu mniejszości narodowych z Polakami, głównie Żydów i Ukraińców. Żądał zjednoczenia państwa z kościołem i organizował marsze patriotyczne, które miały obudzić w Polakach ducha polskości. Jednak najbardziej denerwowały go kobiety.

– Kobiety?

– Tak, kobiety! I tu jest pies pogrzebany. On nienawidził kobiet! Pogardzał nami, uważał nas za gorsze i głupsze i dawał temu

wyraz w swoich politycznych dywagacjach.

– A skąd ty, ciociu, możesz o tym wiedzieć...

Klara zaśmiała się z ironią.

– Och, kochana! Niejedno w życiu widziałam i niejedno przeżyłam. Przed wojną należałam do Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich. Byłam wtedy młodą, szaloną dziewczyną, wierzącą w ideały. – Nalała sobie jeszcze odrobinę wina i zakręciła kieliszkiem. Burgundowy płyn zawirował. – Razem z naszą liderką Pauliną Kuczalską-Reinschmit<sup>[3]</sup> zgłaszałyśmy do Rady Miejskiej Warszawy wnioski o przyznanie kobietom praw politycznych. Wtedy to było trudne do zrealizowania, znajdowaliśmy się pod zaborem. Ale po wojnie sprawa miała się już zupełnie inaczej. W nocy przed sześciu laty, której nigdy nie zapomnę, na krótko przed podpisaniem przez Józefa Piłsudskiego dekretu nadającego prawa wyborcze kobietom, stałyśmy pod willą Naczelnika z parasolkami w dłoniach. Nie wspomnę nawet, jak było wtedy zimno, bo to był już listopad. Domagałyśmy się prawa głosu. My też chciałyśmy budować nową Polskę – nie na modłę wyłącznie męskiego egoizmu, ale również naszą, polskich kobiet. Piłsudski z początku nie chciał z nami rozmawiać i trzymał nas pod willą kilka godzin, a twój przyszły mąż, chcąc się przypodobać swoim partyjnym kolegom z prawicy i widząc, co się dzieje, postanowił napuścić na nas kordon policji, żeby wszystkie aktywistki przegonić. Nie wiem, jak by się to dla nas skończyło, gdyby nie ostry sprzeciw Piłsudskiego, który zabronił policji wszelkiej interwencji.

– Nie miałam o tym pojęcia!

– Ach! – Klara machnęła ręką. – To było dawno, jeszcze przed twoim ślubem. Ówczesnym premierem, krótko zresztą, był wtedy Ignacy Daszyński. Chwała mu, że zapisał się w historii naszego narodu jako ten, który przedstawił deklarację o przyznaniu prawa wyborczego Polkom. Twojemu mężowi wyraźnie się nie podobało, że kobiety nie tylko zyskały prawo wyborcze, ale mogły również

startować w wyborach do sejmu. Ignacy był najzagorzalszym przeciwnikiem kandydatek. Ośmieszał je w prasie, szykanował na publicznych wiecach, poniżał w ławach sejmowych. A ludzie go słuchali, bo miał poparcie. Polemizował nawet w tych kwestiach z Tadeuszem Żeleńskim, który o prawach kobiet mówi otwarcie i bez skrępowań.

– Mnie nigdy nie pytał o poglądy polityczne.

– To oczywiste! – prychnęła Klara. – Według niego byłaś pozbawioną mózgu gęsią, która potrzebna mu była jedynie jako ozdoba!

– I matka jego dziecka.

Klara przytaknęła.

– I matka, którą z tego, co wiem, nigdy nie zostałam. Swoją drogą, może to i lepiej, bo teraz jesteś wolna, nic cię nie trzyma i nie łączy z tym człowiekiem. Możesz o nim zapomnieć i zacząć nowe życie.

– Bez grosza przy duszy – rzuciła Rozalia z przekąsem. – Wydziedziczył mnie, choć byłam jego żoną i należy mi się połowa majątku.

Klara z dezaprobatą potrząsnęła głową.

– To już cios poniżej pasa! Uważam, że nie powinnaś tego tak zostawić. Należy ci się zadośćuczynienie za krzywdy, które ci wyrządził. Zwłaszcza za tę bliznę na twarzy.

Rozalia bezwiednie przejechała palcem po szramie na policzku.

– Nie jesteś już tak ładna jak kiedyś. Oszpecił cię – zauważyła Klara z brutalną szczerością. – A szkoda. Uroda nie raz pomaga.

– To nie ma znaczenia. I tak nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż, więc nie ma obawy, że przez oszpecenie nie znajdę kandydata na męża.

– Byłabyś głupia, gdybyś zdecydowała się na kolejne małżeństwo – przyznała ciotka. – Ja żyję sama, jak wolny ptak, i spójrz na mnie! Nikt mi nie mówi, co mam robić i jak mam żyć, choć wielu by chciało! Byli tacy, co próbowali ustawić mnie w szeregu!

– Jesteś wyjątkiem, ciociu – odparła Rozalia z przekąsem. – Mało która kobieta tak żyje. Poza tym stać cię na to.

– Owszem. Mam sporą sumkę po rodzicach i dobrze mi z tym, choć niektórym bardzo to przeszkadza. A wracając do ciebie, co zamierzasz dalej robić?

Rozalia wzruszyła ramionami.

– Wrócić do Francji. Najszybciej jak to możliwe.

– Ale najpierw postanowiłaś zostać u mnie? – mruknęła ciotka z ironią. – Nie powiem, żeby mnie to cieszyło. Mam swoje życie, przyzwyczajenia... Twój ojciec nigdy się mną nie przejmował. Nie interesowało go, jak sobie radzę. Więc czemu ja mam się przejmować tobą?

– Nie zostanę tu dłużej, niż to konieczne – zapewniła ją Rozalia.

– Jak tylko będę mogła, wrócę do Francji. Ale najpierw mam tu do załatwienia pewną sprawę.

Rozalia znów pomyślała o kobiecie, która napisała do niej list. Zamierzała się z nią spotkać najszybciej, jak to możliwe. W gruncie rzeczy wyłącznie z jej powodu przybyła do Warszawy; gdyby nie wiadomość od kochanki męża, pewnie byłaby już w drodze do Francji – bez pieniędzy, upokorzona i jako wdowa, ale z cichą nadzieją, że rodzice przyjmą ją pod swój dach.

– Więc dobrze... – W głosie Klary słychać było pewną rezygnację. – Zostań. A później się zobaczy. Ale nie licz, że będę cię niańczyć. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty.

– A ja mam nadzieję, że nie będziesz tego robić, ciociu – odparła Rozalia z pełnym przekonaniem.

\* \* \*

Gustaw Lubowidzki na czas pobytu w Warszawie wynajął wygodny i elegancki apartament w Hotelu Europejskim, ale powoli zaczął żałować tej decyzji. Cenił sobie spokój i prywatność, a tu, gdziekolwiek się nie pokazał – czy to w hotelowej



restauracji, czy w sali czytelniczej, bądź zwyczajnie przechodząc przez hotelowe lobby – spotykał jakiegoś przedstawiciela warszawskiej elity, który nie umiał minąć go obojętnie. Zaczepiano go na okrągło. Pytano o pracę, politykę, wojnę, ale przede wszystkim o brata. Jakby Ignacy był centrum wszechświata. Jakby tylko o nim warto było rozmawiać.

Teraz, na widok endeckiego posła Związku Ludowo-Narodowego, Maksymiliana Żółkowskiego, jednego z bliskich znajomych Ignacego z partii, zamierzał jak najszybciej uciec z jego pola widzenia, ten jednak dostrzegł go błyskawicznie. Podeszedł do niego pospiesznie, uśmiechając się nonszalancko spod równo przyciętego wąsa.

Gustaw nie bez drwiny zauważył, że jeszcze parę lat temu Maksymilian był dobrze wyglądającym mężczyzną po trzydziestce, zwracającym uwagę niejednej damy, a teraz powiększająca się łysina dawała o sobie znać, choć mężczyzna usilnie próbował ukryć ją resztkami rzadkich, mysich pasemek, zaczesując je na bok. Spod eleganckiej marynarki i dopasowanej do niej kamizelki z przyczepioną złotą dewizką, wylewał się okrągły, duży brzuch, a nalana, czerwona twarz zdradzała upodobanie do alkoholu.

– Gustaw! Podobno wyjechałeś do Kargomina, ale jak widzę, szybko wróciłeś.

– Zaledwie godzinę temu – mruknął mężczyzna, próbując ukryć rozdrażnienie. – Właśnie zamierzałem odświeżyć się po podróży i odpocząć.

Żółkowski przyjacielsko objął go ramieniem.

– Chodź na cygaro. Zdążysz się odświeżyć, a na pogawędkę nigdy nie ma czasu. – Poprowadził Gustawa w stronę pokoju dla palących gości – Powspominamy Ignaca... Bez niego nic nie jest takie samo. Aż trudno uwierzyć w to, co się stało! Cała Warszawa nie może się otrząsnąć z tej tragedii.

Gustaw po raz chyba setny pomyślał z przekąsem, że po zamachu uznano Ignacego niemalże za świętego. Denerwowało go

to, bo on sam wewnętrznie próbował uporać się ze śmiercią starszego brata, szukając równocześnie usprawiedliwienia dla jego poczynań w ciągu ostatnich pięciu lat. Jego żal i żałobę po starszym bracie rozsady wstyd i poczucie winy. Nie wiedział, czemu tak mu to doskwiera, ale skrzywdzona bratowa siedziała mu w głowie i nie chciała z niej wyjść. Powtarzał sobie, że to nie jego sprawa, że nie powinien się tym przejmować, ale nie umiał inaczej. Po śmierci Amelii obiecał sobie, że już nigdy żadna kobieta nie zawładnie jego umysłem ani sercem, ale Rozalia... To było wyłącznie poczucie winy; wyrzucał sobie, że nie zdołał powstrzymać brata przed wyrządzeniem jej krzywdy. Że jej nie obronił.

Mężczyźni weszli do rozległego pokoju obitego drewnem i skórą. W powietrzu unosił się zapach drogich cygar. O tej porze nie było tu innych gości, więc mogli się czuć swobodnie. W mig pojawił się kelner i zapytał, jakie trunki podać, ale obaj grzecznie odmówili, choć Gustaw zdziwił się, że Żółkowski nie skusił się na szklaneczkę czegoś mocniejszego.

– Chyba że chcesz coś zjeść. W końcu jesteś po podróży – zauważył Żółkowski.

Gustaw odmówił.

Maksymilian rozsiadł się wygodnie na wyściełanej ciemnym aksamitem sofie i wyciągnął z kieszeni cygaro, po czym bez słowa podał je Lubowidzkiemu. Kolejne wpięrow przyłożył do nozdrzy i dopiero odpalił.

– Długo zostaniesz w Warszawie?

– Nie wiem. – Gustaw usiadł w fotelu. – Czekam na postępy policji w sprawie zabójstwa.

Maksymilian niedbale machnął ręką.

– Szybko się nie doczekasz. Partia uruchomiła już wszelkie kontakty, a i tak nie znaleźli żadnego śladu. Jakby zamachowiec rozpląnął się w powietrzu. Jakby to był duch, nie człowiek. Nawet broni nie znaleźli. Zastrzelono go w centrum Warszawy, na oczach

świadków, pod najświetniejszą restauracją w mieście, a nikt nic nie wie.

– Partia interesuje się tym zabójstwem?

– Oczywiście! Twój brat miał ogromne poparcie i wpływy. Uważano, że wkrótce może stanąć na czele rządu, a tu pach! – To mówiąc, Maksymilian wyciągnął ramię i wykonał gest dłonią, jakby strzelał z pistoletu. – Pytanie tylko kto? Lewica? Komuniści? Może sam Piłsudski to zlecił? Niby siedzi w tym swoim Sulejówku i oddaje się pisaniu, ale ja w jego polityczną śmierć nie wierzę. On chce władzy, a to, co się dzieje w sejmie, bardzo mu nie odpowiada. Rząd broni konstytucji, a on chciałby rewolucji.

Gustaw skrzywił się z niesmakiem.

– Piłsudski?

Nie od dziś wiadomo było, że zwolennicy panującej w Polsce prawicy i jej założyciela Romana Dmowskiego nie znosili Józefa Piłsudskiego. Mieli go za rewolucjonistę i wywrotowca, dalekiego od radykalnych i konserwatywnych poglądów, jakie głosili katoliccy prawicowcy. Cieszono się, że po wyborach do sejmu i wyznaczeniu nowego prezydenta Stanisława Wojciechowskiego Piłsudski odsunął się w cień i wyjechał z Warszawy do majątku w Sulejówku.

– Przecież to wariat! – kontynuował Żółkowski. – Niby taki z niego patriota, niby tak za Polską jest, a parlament burdelem nazywał!

– To, co się dzieje w sejmie, trudno nazwać inaczej – rzucił Gustaw z drwiną. – Od lat posłowie kłócą się w niewybredny sposób, za nic mając polską rację stanu.

– My to wiemy, ale publicznie tego nie rozgłaszamy. A Piłsudski... Ech, szkoda gadać... Myśli, że tylko on ma rację, bo założył te swoje legiony i w wojsku upatruje zbawienie.

Gustaw wiedział, że Polacy borykali się z ogromnym bezrobociem i w większości byli skrajnie biedni; do tego

dochodziły analfabetyzm, brak edukacji i powszechnego dostępu do służby zdrowia. W tym wszystkim były jeszcze problemy z regulacją praw dla mniejszości narodowych – głównie Żydów, Ukraińców i Białorusinów, a politycy, zamiast zajmować się tym na bieżąco, wykazywali się skrajną ksenofobią. Polska, która po odzyskaniu niepodległości miała się stać dla obywateli upragnionym, wyczekiwany rajem, była niczym teatr kłótni, głupoty i bezradności. Żadna frakcja polityczna – od endecji po piłsudczyków – nie miała pomysłu, jak z głębokiego kryzysu wyjść i zbudować silne, nowoczesne państwo. Chcąc zapobiec ostatecznej ruinie finansowej kraju, wprowadzono ratunkową reformę walutową Władysława Grabskiego, która miała wyciągnąć państwo z gigantycznej hiperinflacji, ale każdy, kto miał odrobinę oleju w głowie, wiedział, że to wyłącznie kropla w morzu potrzeb tego ogarniętego bratobójczymi kłótniami państwa.

– Piłsudski jest porywczy i ma cięty język, ale nie sądzę, żeby chciało mu się nasyłać mordercę na Ignacego. Po co miałyby to robić?

Maksymilian zaciągnął się cygarem.

– Jak to po co? Ignacy był jego przeciwnikiem politycznym. Ciągłe mówił głośno, że Polacy są zdolni do dumy narodowej i żaden Żyd, bolszewik czy Prusak nie będzie nam mówić, jak mamy żyć i Polskę budować. Ignacy chciał Polski narodowej! Katolickiej! To nasza spuścizna od dziada pradziada i tego się trzeba trzymać. Tradycja, Gustaw, tradycja! Twój brat o to walczył na mównicy sejmowej i na wiecach.

– Nie przesadzaj. Mój brat nie miał aż takich wpływów. Może zwyczajnie źle szukacie? Może to nie był mord polityczny?

– Więc jaki? Człowieku, to zrobił ktoś z naszych! Polaków!

– A policja bardzo się ociąga. Nie mają podejrzanych, nie mają świadków oprócz tych, którzy towarzyszyli mojemu bratu w restauracji. Nawet przesłuchania idą im jak po grudzie.

Komisarz Józef Wójcik, który prowadzi to śledztwo, mówi, że trudno im namierzyć sprawcę, bo badają każdą okoliczność.

– Boją się, żeby nie wywołać niepotrzebnych rozruchów na ulicach. Jeśli aresztują niewłaściwą osobę, może dojść do politycznych demonstracji, a kto je będzie rozganiał? Kto weźmie za to odpowiedzialność?

Gustaw skrzywił się z niesmakiem.

– Myślę, że przeceniacie rolę Ignacego. Nie sądzę, żeby aż tak bardzo zależało komuś na jego śmierci, bo bano się jego kariery politycznej. Uważam, że Ignacy miał wrogów gdzie indziej.

– Wrogów? – parsknął Maksymilian. – Ten człowiek do rany przyłóż? Który przekupkom na ulicy rzucał monety z kieszeni, żeby zobaczyć wdzięczność na ich twarzach?

– A potem wydziedziczył swoją żonę – syknął Gustaw przez zęby.

– Jak to?

– Nieważne... – zreflektował się Lubowidzki, wypuszczając z ust dym cygara.

Żałował, że o tym wspomniał, ale ta myśl sama wyszła z jego głowy. Wszystko dlatego, że wciąż myślał o tym, co spotkało Rozalię. Nie chciał jej współczuć, próbował się od tego odciąć, zwłaszcza kiedy tak obcesowo odrzuciła jego oświadczenia. Bezskutecznie.

Nagle poczuł, że ma dość rozmowy z Żółkowskim. Zgasił cygaro i podniósł się z fotela.

– Wybacz, ale już pójdę. Jestem zmęczony.

– Nie! – wykrzyknął mężczyzna z przesadnym entuzjazmem, próbując go zatrzymać. – To bardzo ciekawe, co mówisz... – Zamachał niedbale cygarem. – Nasz drogi Ignacy wydziedziczył panią Lubowidzką? Pewnie dlatego, że nie dała mu dziedzica. Ciągłe mówił, że nie mają dzieci i że bardzo go to martwi.

– To nie nasza sprawa.

Maksymilian zaśmiał się rubasznie.

– Może i nie nasza, ale bardzo ciekawa! Widziałem panią Lubowidzką na pogrzebie, ale nie miałem sposobności z nią porozmawiać. Biedaczka, musi być załamana. Nie dość, że została wdową, to jeszcze bez grosza przy duszy. Chyba musi znaleźć sobie kolejnego kandydata na męża, który...

Gustaw sam nie wiedział dlaczego, ale nagle poczuł gwałtowny, dojmujący gniew. W okamgnieniu doskoczył do Żółkowskiego, wyrwał mu z dłoni cygaro i rzucił niedbale na popielniczkę, po czym złapał Maksymiliana za poły eleganckiej marynarki i bez trudu podniósł z sofy, patrząc mu wściekle w oczy. Widział, że Żółkowski przestraszył się jego siły i gwałtowności.

– Nie obrażaj mojej bratowej i nie waz się rozsiewać plotek na jej temat, bo nie będę patrzył na to, kim jesteś, gdy dopadnę cię w ciemnym zaułku i rozkwaszę ci mordę! Nie zapominaj, że jestem do tego zdolny!

– Grozisz mi?

– Nie. Tylko ostrzegam.

Maksymilian wyrwał się z uścisku Gustawa i nerwowo poprawił sobie kamizelkę i marynarkę. Twarz miał czerwoną od nagłej emocji.

– Nie zamierzam obrażać pani Lubowidzkiej. Nie znam jej za dobrze. Ignacy rzadko z nią bywał, bo ciągle trzymał ją w Kargominie. Wspominał jedynie, że wciąż nie mogą doczekać się dziecka.

– I na tym, że jej nie znasz, poprzestańmy! – rzucił Gustaw z naciskiem. – Żona mojego brata niedawno została wdową, więc uszanujmy jej żałobę.

– Oczywiście. Przez wzgląd na Ignaca. Zresztą, sam ten temat zacząłeś i nagle stałeś się drażliwy. To do ciebie nie pasuje, jesteś przecież lekarzem. – Maksymilian, już jakby spokojniejszy, znowu rozsiadł się na sofie, choć w jego twarzy widać było urazę, że Gustaw napadł na niego tak nagle i bez ostrzeżenia. – Masz taki sam porywczy charakter jak Ignac – zauważył z ironią. – On też

wściekał się z byle powodu. Ale miał charyzmę i ludzie go słuchali. Może pójdiesz w jego ślady? Jego nie ma, ale ty mógłbyś go zastąpić. Nazwisko bardzo by ci pomogło. Lubowidzki ten czy tamten, co za różnica?

Gustaw próbował się otrząsnąć. Sam nie wiedział, co w niego wstąpiło, ale żałował swojego gwałtownego wybuchu. Zawsze umiał być powściągliwy i panował nad nerwami, a teraz sam przed sobą przyznawał, że zachował się jak głupi szczeniak. Miał nadzieję, że Żółkowski szybko o tym zapomni i nie będzie rozpowiadał plotek o wydziedziczeniu Rozalii przez Ignacego. Rozalia do tej pory nikogo w Warszawie nie obchodziła i Gustaw miał cichą nadzieję, że tak pozostanie. Ośmieszanie jej publicznie nie byłoby niczym dobrym ani dla niej, ani dla ich rodziny.

– Polityka mnie nie interesuje – rzucił oziębło. – Mam swoją pracę i to mi wystarcza.

– Tak dobrze ci w tym Brześciu? Co tam masz? Dom? Żonę? Może kochankę? Nie mów tylko, że całymi dniami przesiadujesz w szpitalu.

Gustaw uznał, że zostawi to bez komentarza. Nigdy nie tłumaczył się nikomu ze swojego życia prywatnego i teraz też nie zamierzał tego robić, zwłaszcza przed kimś takim jak Żółkowski.

– Może jednak zostaniesz w Warszawie na dłużej? – zagadnął Maksymilian, wyraźnie próbując zmienić drażliwy temat. Unikał Gustawa wzrokiem. – W szkole wojskowej szukają oficerów do szkoleń dla młodych kadetów. Nadałbyś się. Jesteś przecież oficerem, weteranem dwóch wojen.

– Wojsko mnie nie interesuje. Przeszedłem do cywila i jestem wyłącznie lekarzem.

– Ale masz predyspozycje. Walczyłeś w bitwie warszawskiej.

Gustaw skrzywił się z niesmakiem.

– Maks, skończ z tym. Wybacz, ale jestem naprawdę zmęczony po podróży. Pozwól, że cię pożegnam.

Maksymilian niedbale machnął ręką.

– No cóż... Rozmowa z tobą nie należy do tak przyjemnych jak te, które toczyliśmy z Ignacym. Ale idź, skoro musisz. Ja też wybieram się wkrótce na obiad z ministrem sprawiedliwości. Jeśli dowiem się czegoś w sprawie Ignaca, dam znać. Może komisarz Wójcik zrobił jakieś postępy w śledztwie.

– Będę wdzięczny.

– A o panią Lubowidzką się nie martw. Będę milczał jak grób i nie pozwolę, żeby ktoś mówił o niej nieprzychylnie.

– Oczywiście przez wzgląd na Ignaca – dodał Gustaw z drwiną.

[2] Związek Młodzieży Polskiej „Zet” – konspiracyjna organizacja polskiej młodzieży akademickiej, działająca w trzech zaborach. Głównym jej celem było dążenie do niepodległości.

[3] Paulina Kuczalska-Reinschmit – polska działaczka społeczna, wydawczyni i publicystka, feministka nazywana Wodzem, Hetmanką, Sterniczką.





## ROZDZIAŁ 4

Rozalia obudziła się w środku nocy, zrana potem. Miała sen, ale nie potrafiła przypomnieć sobie jaki. Wiedziała tylko, że przeraził ją do tego stopnia, że przebudziła się w paralizującym strachu. Serce kołatało jej się w piersi, a świadomość powracała powoli, jak po najgorszym koszmarze.

Przez otwarte okno do małego pokoju wsączała się srebrzysta smuga księżyca, rozświetlając wnętrze bladą, dziwnie upiorną poświatą. Obce kąty wydawały się zimne i nieprzyjazne.

Zerknęła na drzwi, ale były zamknięte.

„On tu nie przyjdzie” – powtórzyła w myślach, próbując opanować dudniące serce. „Nie ma się czego bać. On nie żyje”. I nagle zdało jej się, że dostrzega w kącie pokoju zarys jego wysokiej, ciemnej sylwetki, a po jej ciele spełznął dreszcz strachu.

Był tam. Stał za fotelem i patrzył na nią. Nie docierało do niego światło księżyca, więc w mroku nocy pozostawał prawie niewidoczny. Zdawał się być jedynie cieniem. Wiedziała jednak, że to on. Czują to. Cierpliwie obserwował ją, jak spała, a teraz czekał na dogodny moment, żeby ją zaatakować. Żeby znowu zrobić jej krzywdę. Uderzyć. Zgwałcić. Upokorzyć. Z rosnącym przerażeniem czekała, kiedy do niej podejdzie, kiedy jej dotknie, a czas oczekiwania wybijał przyspieszony rytm jej serca. Nim jednak się poruszył, Rozalia wrzasnęła w panice tak głośno, że

odgłos jej krzyku rozniósł się wibrującym dźwiękiem po uśpionym mieszkaniu.

– Rozalio!

Ciotka Klara wpadła do pokoju na bosy i w koszuli nocnej. Zaraz za nią wbiegli kamerdyner i pokojówka, również w strojach nocnych, zdumieni i wystraszeni, najwyraźniej nieprzyzwyczajeni, żeby ktoś krzyczał po nocy.

Rozalia usiadła na łóżku, drżąc w spazmach. Już nie krzyczała, ale ukryła twarz w dłoniach, próbując stłumić strach, który przed chwilą tak szaleńczo ją zawładnął. Cierpienie przychodziło jak fala, wciąż na nowo. Jej ból i strach były wręcz namacalne.

– To nic, to tylko zły sen. – Klara usiadła na łóżku i wzięła ją w objęcia. – Wszystko już dobrze, dziewczyno. Nie bój się.

Rozalia instynktownie odepchnęła ciotkę i skuliła się w kącie łóżka. Trwała tak w bezruchu, a Klara, nie próbowała już jej dotykać. Nakazała jedynie kamerdynerowi i pokojówce wyjść z sypialni.

Rozalia w końcu powoli uspokoiła oddech, choć wciąż była blada i spocona, a koszula lepiła jej się do ciała.

– Miałam wrażenie... Wydawało mi się, że on tu jest. Że patrzy na mnie i... Znowu mnie dotknie.

– Nie ma go tu – ucięła Klara spokojnym tonem. – Twój mąż nie żyje i już nigdy cię nie skrzywdzi.

Rozalia spojrzała na ciotkę, jakby nie rozumiejąc. W jej dużych, niebieskich oczach wciąż czaił się lęk, ale powoli pojawiała się w nich również zwątpienie.

Klara zrozumiała, że jej bratanica jest nie tylko przerażona, ale i zagubiona. Wyraźnie nie wiedziała, jak dalej pokierować swoim życiem bez męża, który przez ostatnie pięć lat zdominował ją bez reszty, trzymając w kleszczach ciągłego lęku.

– Połóż się i spróbuj zasnąć, a ja posiedzę przy tobie. Zapalę lampę, żebyś czuła się bezpieczniej. – Głos ciotki był wyjątkowo czuły i kojący.

Klara pomogła Rozalii ułożyć się wygodnie na łóżku, jakby bratanica była małą dziewczynką, i czule okryła ją kołdrą.

Choć pod delikatnym dotykiem Rozalia wciąż drżała, to jednak w końcu zasnęła.

Rano przy śniadaniu nie rozmawiały o tym, jakby obie zgodnie uznały, że nic się nie stało. Klara zajęta lekturą „Gazety Porannej”, udawała, że nie dostrzega bratanicy, a sama Rozalia postanowiła zapomnieć o nocnym zdarzeniu, choć oczy miała podkrążone od niewyspania, a twarz bladą.

– Kochana, idę dzisiaj z przyjaciółmi do Małej Ziemiańskiej[4]. Może wybierzesz się ze mną? Trochę się rozerwiesz, poznasz kogoś... Wiem, że obowiązuje cię żałoba, ale...

– Nie noszę żałoby – odparła Rozalia z powagą.

Popatrzyła na ciotkę, a ta ze zrozumieniem pokiwała głową.

– No tak. Zauważyłam. Więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ze mną poszła. Nie możesz tu tkwić sama jak kołek.

– Mam do załatwienia pewną sprawę. Nie będę się nudzić.

Ciotka uniosła brwi.

– Co to za sprawa?

– Nic szczególnego. Muszę się z kimś spotkać.

– Tylko nie zgub się w mieście – upomniała ją ciotka, spoglądając znad gazety. – Podejrzewam, że nie znasz zbyt dobrze Warszawy.

– Nie zgubiłam się w Paryżu, to i w Warszawie dam radę.

– Nie udawaj takiej światowej! Wystarczy, że trafisz nie do tej dzielnicy co trzeba, i możesz wpaść w nie lada kłopoty. Nie wiesz, jakie plugastwo czai się w bramach tego miasta. Może wezwać szofera? Wprawdzie przyjeżdża tylko w wyjątkowych sytuacjach, bo taka przyjemność sporo kosztuje, ale...

– Dziękuję, ciociu, pojedę dorożką – ucięła Rozalia szybko, nie chcąc wdawać się w dalsze gadki.

– Skoro tak... Nie będę nalegać. Wrócisz na obiad?

– Nie wiem. Nie kłopotz się tym, ciociu.

– Ależ nie zamierzam! Powiedziałam przecież, że nie będę twoją niańką.

Rozalia uśmiechnęła się pod nosem.

Z domu ciotki wyszła przed południem, ubrana skromnie, żeby nie rzucać się w oczy. Nie założyła jedynie kapelusza, bo nie zwykła go nosić.

Adres wypisany na odwrocie listu wskazywał na Powiśle. Dorożkarz, choć początkowo się skrzywił, słysząc, dokąd ma jechać, bez trudu odnalazł kamienicę przy ulicy Karowej i tam się zatrzymał.

Dzielnica rzeczywiście była podła, a budynek wyjątkowo obskurny i zaniedbany, z tylną, mocno zniszczoną bramą wychodzącą na podwórze pełne błota i nieczystości. Rozalia zdziwiła się, że Ignacy – taki wielki pan, który wybrzydzał w kwestii porcelany, na jakiej należy podawać mu obiad, spotykał się z kochanką w tak marnym miejscu.

– Czekać na panią? – zapytał dorożkarz, kiedy zapłaciła mu za kurs.

W pierwszej chwili zawahała się, nie wiedząc, ile czasu zabawi, ale w końcu poprosiła mężczyznę, żeby zaczekał. Bała się, że w takiej dzielnicy może nie złapać kolejnej dorożki, a nie miała ochoty wracać stąd na piechotę.

Powoli rozejrzała się wokół z niesmakiem, mając pewne obawy, czy dobrze zrobiła, że wybrała się tu w pojedynkę. Po krótkim namyśle wkroczyła do ciemnego korytarza kamienicy. Od razu uderzyła ją ohydna woń stęchlizny i nieczystości. Jej eleganckie pantofle na obcasach przykleiły się do lepkiej od brudu podłogi. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Przemknęło jej przez głowę, że może jednak mogła przyjechać tu z Gustawem. Bądź co bądź, z nim byłaby bezpieczniejsza. Teraz jednak nie chciała się już wycofać; nerwowo rozejrzała się po korytarzu, szukając drzwi z numerem, który znała z listu. Na parterze ich nie znalazła, więc weszła po skrzypiących stopniach na górę.

Przez niewielkie okienko na półpiętrze, którego parapet stał się cementarzyskiem dla much, wsączało się do ciemnej przestrzeni słabe światło dnia. Obok okienka znajdował się wychodek; ze szpary niedomkniętych drzwi wydobywał się śmierdzący odór, aż Rozalia zmuszona była wstrzymać oddech, próbując zahamować zalewającą ją falę mdłości.

Odnalazła właściwe drzwi, jak tylko weszła na piętro. Oddychając miarowo, zapukała i czekała z bijącym sercem.

Po chwili w drzwiach ukazała się młoda, uderzająco piękna kobieta. Burza czarnych loków okalała jej delikatną, śniadą twarz, w której wyróżniały się kształtnie zarysowane usta i oczy koloru głębokiej zieleni. Spojrzała na Rozalię z nieodgadnionym wyrazem twarzy, który mógł zdradzać zarówno zdumienie, jak i niechęć. Ubrana była w skromną, kraciastą sukienkę, zapinaną na rząd guzików wyeksponowanych na kształtnym biuście i schodzących ku szczupłej, zgrabnej talii.

Rozalia zawahała się na chwilę, zdumiona ostentacyjną urodą kobiety, aż w końcu odezwała się spokojnie, choć jej głos brzmiał nieco ochryple:

– Dzień dobry. Czy pani Zuzanna Grabińska?

Kobieta odruchowo poprawiła smukłymi palcami czarne, niesforne loki.

– To ja – rzekła, choć w jej głosie słyhać było pewne wahanie.

– Dostałam od pani list. Nazywam się Rozalia Lubowidzka.

Zuzanna Grabińska wydeła usta i zmierzyła Rozalię od stóp do głów, zatrzymując spojrzenie na policzku.

– To pani... – rzekła, jakby z nutą rozczarowania w głosie. – Myślałam, że jest pani ładniejsza.

Rozalia zmarszczyła brwi.

– Chyba musimy porozmawiać – rzuciła oschłym już tonem, bo uwaga kobiety nieco ją uraziła. – Czy mogę wejść? Nie chciałabym rozmawiać na korytarzu... – Nie dokończyła, bo Grabińska odsunęła się nieznacznie, zapraszając Rozalię gestem do środka.

Wnętrze mieszkania składało się z jednej niewielkiej izby. Było ciasne i ciemne, z malutkim okienkiem, przez które przedostawało się niewiele światła. Pod ścianą stało jednak schludnie pościelone łóżko i bieliźniarka, a niewielki okrągły stół był czysty i okryty obrusem. Wyposażenie izby stanowiła również mała kuchnia węglowa, kredens z naczyniami, a na podłodze pod zlewem leżała duża cynowa miska, zapewne służąca do mycia.

Rozalia objęła to wszystko wzrokiem, szukając oznak obecności dziewczynki, o której była mowa w liście. Nie dostrzegła jednak śladu dziecka. Żadnych zabawek, ubranek – nic.

To miejsce było tak liche, że zupełnie nie pasowało do Ignacego. Rozalia zastanawiała się, czy to właśnie tu jej mąż przychodził po cielesne rozkosze i czy robili to na tym nędznym łóżku, czy może spotykali się z Zuzanną Grabińską w innym miejscu.

– Może pani usiądzie? – zaproponowała gospodyni, wskazując ręką krzesło przy stole.

Rozalia podziękowała skinieniem głowy i usiadła. Dopiero teraz wyczuła nieznaczny ruch pod stołem.

– Lili, wyjdź. Nie ma się czego bać. Przyszła do nas miła pani.

– Nie pani Romka? – Spod blatu dobiegł cienki, dziecięcy głosik.

– To nie pani Romka. To inna pani. Nasz gość. Wyjdź, córeczko, i przywitaj się.

Spod obrusa wyrzała mała główka w czarnych loczkach, ujarzmionych przez wstążkę z kokardą. Oczy małej były tak samo zielone jak jej matki, ale coś w wyrazie jej twarzy wydało się Rozalii znajome. To coś przemknęło przez głowę kobiety jak cień. Oblała ją fala gorąca. Rozalia wpatrywała się w delikatną twarzyczkę dziecka, uświadamiając sobie, że jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości co do ojcostwa Ignacego, to właśnie się one rozwiały. Wypisz, wymaluj, to z pewnością była jego córka.

– Jak masz na imię? – zapytała łagodnie, próbując uśmiechnąć się do małej.

– Lilianna, psze pani. Ale mamunia mówi na mnie Lili.

– Lilianna to ładne imię. Ja jestem Rozalia.

Na twarz dziewczynki wykwitł uśmiech. Znowu schowała się pod stół, ale za chwilę wyszła spod niego na czworaka, podniosła się i dumnie stanęła przed Rozalią. Wyglądała jak mała lalka – chudziutka i blada, o dużych, błyszczących oczach i z ciemnymi lokami. Ubrana w nieco za dużą, wyblakłą sukieneczkę, prezentowała się komicznie. W malutkiej dłoni trzymała szmacianą lalkę.

– Ile masz lat, Lili?

Dziewczynka wyciągnęła rączkę i zgięła kciuk.

– Tyle.

– Cztery? – To mówiąc, Rozalia kątem oka zerknęła na opierającą się o kredens Zuzannę.

Kobieta niedbałym ruchem ręki odgarnęła z policzka pukiel niesfornych włosów i nieznacznie skinęła głową. Rozalia miała wrażenie, że wykonując ten gest, kobieta drżała, jakby ta sytuacja była dla niej równie trudna i kłopotliwa, co dla Lubowidzkiej.

– Tak. Lili ma prawie cztery lata – potwierdziła, patrząc Rozalii prosto w oczy. – Urodziła się w lipcu 1920 roku.

„Rok po naszym ślubie” – pomyślała Rozalia.

– Lili, idź się teraz pobawić w swoim kąciku – powiedziała łagodnie, ale stanowczo Zuzanna.

Dziewczynka posłusznie spełniła polecenie, usiadła na łóżku i zajęła się lalką. Grabińska przeniosła spojrzenie na Rozalię.

– Możemy rozmawiać przy niej. Kiedy się bawi, nic innego się nie liczy. Poza tym i tak niewiele jeszcze rozumie.

– Czy to, co napisała pani w liście, to prawda? – wyszeptała bez ogródek Rozalia, wytrzymując spojrzenie kobiety. – To jego córka?

– Po co miałabym kłamać? – Zuzanna wzruszyła ramionami, siadając naprzeciwko Lubowidzkiej.

– Chociażby po to, żeby mnie szantażować.

Zuzanna prychnęła i odwróciła wzrok. Starła się być wyniosła, ale Rozalia wyczuła w niej wrodzoną nieśmiałość. I obawę.



– Nie lubię szantażu. Chcę tylko dostać to, co mi się należy. Ignacy płacił mi regularnie, ale już go nie ma, więc...

– Czy on i pani...? – Rozalia nie dokończyła, bo Zuzanna znowu prychnęła. Wciąż udawała pewną siebie, ale to była gra. Rozalia wyczuła to bez trudu.

– Czy byliśmy kochankami? – zapytała jakby od niechcenia. – To oczywiste, inaczej nie miałabym dziecka. Jednak po porodzie... Coś się zmieniło. – Przez twarz kobiety przemknął cień goryczy. – Nie jestem głupia, wiem, jacy bywają mężczyźni. A utrzymanie dziecka kosztuje.

– Dlaczego nie pójdzie pani do pracy?

Grabińska skrzywiła się z wyraźną pogardą.

– Nie pani sprawa!

– Rozumiem, że zamierza pani utrzymywać się z tego, co ja zapłacę?

Kobieta zbyła to milczeniem. Jej wzrok instynktownie powędrował do córeczki bawiącej się lalką. Rozalia również zerknęła w stronę małej. Dziewczynka była tak urocza, że trudno było oderwać od niej wzrok. Podniosła słodką twarzączkę i popatrzyła na Rozalię z jasnym uśmiechem. Rozalia żałowała, że nie ma nic dla dziecka, jednak nie przyszło jej do głowy, że powinna coś przynieść. Nie znała się na dzieciach, bo dotąd nie miała z nimi do czynienia, ale Lili wzbudziła w niej tak niespodziewaną tkliwość, że zapragnęła wręczyć małej jakiś upominek, żeby choć przez chwilę zobaczyć radość w błyszczących oczach.

– Ignacy płacił mi za jedzenie i ubranie dla dziecka. Większość jednak wydawałam na leki – rzekła Zuzanna, patrząc na córkę.

– Lili nie wygląda na chorą.

– Ale jest chora...

Rozalia wstała z krzesła i popatrzyła Zuzannie prosto w oczy. Znowu uderzyło ją to, jakie były piękne. Przestała się dziwić, że mogły uwieść jej męża. Żałowała jedynie, że nie uchroniły jej

przed nim. Że ta urodziwa i młoda kobieta nie miała w sobie tyle mocy, żeby usidlić Ignacego na dobre i odzegnać go od małżeństwa z nią – Rozalią. Patrząc na Grabińską, nie czuła wstrętu i nienawiści, który być może powinna odczuwać do kochanki męża. Czuła jedynie żal. I współczuła jej, bo Zuzanna wydała jej się zagubiona i nieszczęśliwa. Jak ona sama.

– Przykro mi, ale nie zapłacę pani ani grosza. Podobnie jak pani, jestem bez pieniędzy. Mój mąż nie zapisał mi nic z majątku.

Zuzanna wyraźnie drgnęła.

– Jeśli mi pani nie zapłaci... Pójdę do gazety.

Rozalia, nie spuszczając z niej wzroku, wzruszyła ramionami.

– Proszę bardzo – rzekła lekko. – Nic mnie to nie obchodzi. Mój mąż zdradzał mnie i upokarzał, a ja mam go chronić? Bronić jego dobrego imienia? Nie zamierzam. Jeszcze dziś może pani iść do prasy i ogłosić całej Warszawie, że Ignacy Lubowidzki był pani kochankiem i że... – Spojrzała wymownie na bawiącą się Lili.

Zuzanna patrzyła na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– A co z panią? Przecież to panią upokorzy.

– Mnie już nic nie upokorzy. Ten, który to robił... Nie żyje.

Rozalia widziała, jak twarz Zuzanny się zmienia i jak wykwita na niej zdumienie. Pewnie nie tego się spodziewała. Być może liczyła, że upokorzona Lubowidzka padnie przed nią na kolana, błagając, żeby ta nie ujawniła swojego związku z Ignacym ani tego, że ma z nim nieślubne dziecko. Tylko że Rozalia, patrząc tej młodej i urodziwej kobiecie w oczy i czując dziwny, kompletnie niespodziewany przypływ sił witalnych, zrozumiała, że nie zamierza się przed nikim korzyć ani tłumaczyć. Zwłaszcza z tego, co robił jej niewierny mąż, którego szczerze nienawidziła.

– Chyba że... – zaczęła po chwili, przeciągając samogłoski. – To ja zagrozę pewnym osobom, że rozgłoszę prawdę o zdradzie mojego męża. Jest ktoś, kogo to zabolí. Zdobędę w ten sposób pieniądze i zapłacę pani za milczenie. Tyle, ile pani zażąda.

– Zamierza pani ogłosić publicznie, że jej mąż miał kochankę?! – W głosie Grabińskiej brzmiała taka drwina, że Rozalia aż się zaśmiała.

Samo myślenie o tym nagle zaczęło sprawiać jej ogromną przyjemność. Co powiedzą ci wszyscy wpatrzeni w niego obywatele, kiedy ich wspaniały Ignacy Lubowidzki spadnie z piedestału? Kiedy dowiedzą się, jakim był dwulicowym skurwysynem? Że pod przykrywką porządnego strażnika zasad moralnych sam dopuszczał się zdrady z kobietą niższego stanu, i podejrzanej reputacji, której w dodatku zrobił nieślubne dziecko. Już sama myśl o tym, co powie na to Leokadia Lubowidzka, napawała Rozalię wyjątkową satysfakcją.

– To zależy, czy będę musiała.

Zuzanna nie spuszczała z Rozalii wzroku.

– Dlaczego miałabym czekać? Co na tym zyskam? Przecież jeszcze dziś mogę iść do dowolnej gazety w tym mieście i sprzedać informację o pani mężu. Każdy go znał, więc gazety będą zachwycone, a już jutro cała Warszawa będzie huczała od plotek.

Rozalia wykrzywiła usta w krzywym uśmiechu.

– A ja bez trudu mogę zrobić z pani pierwszą dziwkę w stolicy – wyszeptwała chłodno. – Tylko szkoda Lili, bo reputacja jej matki będzie się za nią ciągnęła jak cień przez całe życie.

Mięsień na twarzy Zuzanny drgnął nerwowo.

– Jeśli się zgodzę, jak długo miałabym czekać? – zapytała zmienionym głosem, przetykając ślinę. – Nie ukrywam, że potrzebuję pieniędzy na już.

Rozalia ponownie zerknęła na dziewczynkę, która teraz wpatrywała się w nią z kącika łóżka, zauroczona obecnością ładnej pani. Znowu poczuła dziwną, trudną do opanowania falę czułości do tej małej, drobnej istotki o zielonych oczach. Miała jednak nadzieję, że Zuzanna Grabińska tego nie widzi. Nie chciała, żeby kochanka Ignacego dostrzegła jej zbyt intensywne zainteresowanie małą, które zresztą ją samą bardzo dziwiło.

- Wrócę za parę dni i postaram się pomóc. Przyniosę pieniądze.
- Dlaczego mam pani zaufać?
- Nie musi pani, ale wtedy nic pani ode mnie nie dostanie.

Grabińska przez chwilę wpatrywała się w nią w skupieniu, jakby analizowała w głowie tę nedorzeczną propozycję. W końcu skinęła głową.

– Dobrze. Poczekam. Ale jeśli mnie pani oszuka...

– Wtedy bez wyrzutów może pani ogłosić całej Warszawie, że Ignacy był pani kochankiem.

Zanim wyszła, Rozalia zdecydowała się jeszcze podejść do Lili. Ukucnęła przy niej i pogłaskała dłonią po delikatnym policzku. Dotyk jedwabistej skóry dziecka wywołał dziwną wibrację w jej sercu.

– Cieszę się, że cię poznałam, Lili – szepnęła z uśmiechem. – Mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy.

– Przyjdzie pani do nas?

– Tak.

– Kiedy?

– Wkrótce.

Twarz dziewczynki rozjaśnił uśmiech.

– A pani Romka nie będzie już na nas krzyżeć?

Rozalia odwróciła się do Zuzanny i spojrzała na nią pytająco.

– To właścicielka kamienicy – wyjaśniła Grabińska z przekąsem. – Lili boi się jej, bo ta ciągle tu przychodzi i krzyczy. Taka już jest.

Rozalia wyprostowała się.

– Rozumiem. Przykro mi, że Lili musi tego słuchać.

Grabińska w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

Kiedy Rozalia wyszła z dusznego mieszkania na ulicę, odetchnęła z ulgą. Dopiero teraz uświadomiła sobie, ile ta wizyta kosztowała ją nerwów. Udawała sama przed sobą, że nic jej to nie obchodzi, bo przecież nienawidziła Ignacego, a jednak widok tak niewątpliwie pięknej kobiety, jaką była Zuzanna Grabińska,

dotkliwie ją upokorzył. Powinna spodziewać się, że kochanka jej męża będzie od niej piękniejsza, ale rzeczywistość przerosła jej wyobrażenia.

Dorożkarz, tak jak obiecał, czekał na nią, choć minę miał niewesołą, więc spodziewała się, że zażąda od niej sowitej, pewnie podwójnej zapłaty. Wsiadła jednak do dorożki i poprosiła, żeby zawiózł ją do domu ciotki Klary.

Sama nie wierzyła w to, co się przed chwilą wydarzyło, ani w plan, który tak bezczelnie zakiełkował w jej głowie. Zapragnęła jednak zrealizować go krok po kroku. Postanowiła odebrać Lubowidzkim to, co jej, i zawalczyć o własną dumę. Tylko tyle mogła zrobić, żeby z twarzą opuścić ten kraj i wrócić do domu.

Niechętnie uświadomiła sobie, że musi się spotkać z Gustawem. Nie chciała, żeby myślał, że jest jej do czegoś potrzebny, ale z drugiej strony jeśli miała zamiar coś ugrać, to bez jego pomocy będzie to znacznie trudniejsze.

Pojechała do niego na drugi dzień. Znalazła go w sali treningowej Hotelu Europejskiego. Nie spodziewał się jej, więc wyraźnie zdziwił się, kiedy zobaczył ją stojącą w drzwiach. Mimo to nie przerwał treningu, więc przez kilka kolejnych minut Rozalia, stojąc z boku, obserwowała jego szermiercze zmagania ze sparing partnerem. Wiedziała, że Gustaw oprócz tego, że był lekarzem, był również żołnierzem. Wiedziała, że walczył w wielkiej wojnie i tej z bolszewikami, oraz że brał udział w obronie Warszawy w 1920 roku. Jednak dopiero teraz dostrzegła bijącą od niego siłę i zwinność. Jego trafienia w przeciwnika były precyzyjne, wykonywane z wyjątkową finezją, choć zdawała sobie sprawę, że w prawdziwej walce były niczym innym jak brutalną sztuką zabijania. Patrzyła na ruchy szerokich ramion, na lekkość, z jaką trzymał szpadę, która tańczyła w jego dłoni, poddana jego woli. Obraz ten zafascynował ją do tego stopnia, że nie mogła oderwać od mężczyzny wzroku. Ignacy nigdy nie walczył, nie trenował, nie pojedynkował się. Ignacy był

dandysem. Paniczykiem szczyjącym się kwiecistą mową i wyszukanymi manierami.

Gustaw zdawał się zupełnie inny.

W końcu szermierze zakończyli sportowy pojedynek, a przeciwnik Gustawa kulturalnie skłonił się przed nią i opuścił salę treningową, zostawiając ich samych.

– Jestem zaskoczony – rzekł Gustaw, podchodząc do bliżej.

Włosy skręconymi kosmykami kleiły mu się do czoła i karku. Był wyraźnie zdyszany, oddychał płytko, a zapach świeżego potu dotarł do jej wyczulonych nozdrzy. Jej wzrok na krótko spoczął na jego mokrej od potu koszuli, pod którą rysowały się twarde mięśnie klatki piersiowej.

– Nie wiedziałam, że trenujesz szermierkę.

Wytarł ręcznikiem spocony kark.

– Nic o mnie nie wiesz. Prawie się nie znamy.

Popatrzyła mu w oczy i poczuła dziwny ucisk w dole brzucha. Nie tego się spodziewała. Znała siebie, znała swoje reakcje na mężczyzn i była świadoma tego, że mąż zdusił w niej wszelkie pragnienia. Nie chciała nawet myśleć o bliskości fizycznej z mężczyzną, a Gustaw nagle wywoływał w niej jakiś trudny do zdefiniowania, pierwotny niepokój, którego nigdy wcześniej nie czuła.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekła szybko, próbując stłumić dziwną słabość, która ją ogarnęła.

Instynktownie odgarnęła za ucho kosmyk jasnych włosów wychodzący z upiętej fryzury. Zauważyła, że Gustaw dostrzegł ten mimowolny gest i na chwilę zapatrzył się w jej profil.

– Pozwól, że się przebiorę i spotkamy się w hotelowej restauracji. Zjemy razem obiad.

– Wolałabym nie. Nie mam ochoty na towarzystwo innych ludzi. Porozmawiajmy tutaj.

Rozłożył ramiona w geście poddania.

– W porządku. Więc o czym chciałaś rozmawiać?

Rozalia odsunęła się od niego na bezpieczną odległość i oparła o marmurowy parapet szerokiego okna, przez które do sali treningowej wpadały promienie słońca. Milczała, jakby szukając właściwych słów, a on obserwował ją z powagą, cierpliwie oczekując, aż coś powie.

– Byłam u tej kobiety – odezwała się w końcu. – U Zuzanny Grabińskiej. Widziałam również jej córkę i nie mam wątpliwości, że to dziecko Ignacego.

Twarz Gustawa nie wyrażała żadnych emocji. Zapewne nie był zaskoczony tym, co usłyszał, ale też mogła spodziewać się z jego strony sprzeciwu, a przynajmniej wątpliwości co do ojcostwa Ignacego. A tymczasem Gustaw zdawał się przyjąć to, co powiedziała, bez cienia zaprzeczenia.

– Dziewczynka ma cztery lata i jest do niego bardzo podobna. Urodziła się rok po naszym ślubie.

– Przykro mi.

Rozalia pokiwała głową.

– W skali tego, co twój brat mi uczynił, jego zdrada nie ma większego znaczenia – odparła głucho.

Zauważyła, że zerknął na bliznę na jej policzku, jakby ten jawny dowód brutalności Ignacego uwierał go, wręcz mu przeszkadzał.

– Szantażowała cię? – zapytał w końcu.

– Nie. Nie zdążyła, bo ukradłam jej wszelkie argumenty.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Co to znaczy?

– Sama postanowiłam rozgłosić, że mój wspaniały i czcigodny mąż Ignacy Lubowidzki zdradzał mnie z kochanką i miał z nią dziecko. Lilianna Grabińska jest jego pierwszorodną córką. Chyba że... – urwała, bo zauważyła, że mięsień na twarzy Gustawa nieznacznie drgnął – Ty, twoja matka i siostra oddacie mi połowę majątku Ignacego – dokończyła, dumnie unosząc podbródek. – To moja cena za milczenie.

– Szantażujesz mnie?

- Nazwij to, jak chcesz.
- Proponowałem ci majątek.
- W zamian za małżeństwo!
- Nie zrobiłbym ci krzywdy – odparł ochrypłym głosem.
- Naprawdę myślisz, że mogłabym ci uwierzyć? Że dam się zamknąć w klatce małżeństwa kolejnemu oprawcy nazwiskiem Lubowidzki, który będzie za mnie decydował, co mam robić, jak myśleć, gdzie chodzić i z kim rozmawiać?

Widziała, jak zacisnął szczękę. Wyraźnie dotknęły go te ostre, brutalnie prawdziwe słowa.

- Nie jestem jak Ignacy!
- Nie zamierzam się o tym przekonywać! – rzuciła. – Wiem jedynie, że pochodzicie z tego samego domu.

– Dobrze więc... – rzekł spokojnym tonem, choć widziała, że kosztowało go to sporo wysiłku. – Jaki masz plan?

– Na początek potrzebuję kilkaset złotych dla Zuzanny Grabińskiej na opłacenie jej milczenia. Obiecała, że będzie milczeć. Kobieta żyje z córką w ciężkich warunkach, a mała podobno jest chora.

– Zamierzasz litować się nad kochanką męża? – zapytał drwiąco.

– Nie nad nią, tylko nad jej dzieckiem. To nie wina małej, że przyszła na świat jako bękart.

– Jakaś ty wielkoduszna!

Rozalia skwitowała to zmarszczeniem brwi.

– Następnie żądam, żebyście wspólnie z twoją matką i Adą przepisali na mnie tę część majątku, którą przekazał wam Ignacy. Tę, która powinna należeć do mnie.

– Mój brat zdecydował inaczej.

– Zadrwił ze mnie! Proszę, żebyś przekonał do tego matkę i siostrę. Jeśli tego nie zrobisz, cała Warszawa się dowie, że Ignacy nie tylko utrzymywał kochankę i nieślubną córkę, ale również znęcał się nad żoną. I opowiem wszystko ze szczegółami.



– Prosisz mnie? – W głosie Gustawa wyraźnie słyhać było kpinę. Postąpił krok w stronę Rozalii.

– Tak – odparła chłodno.

– Obawiam się, że nic tym nie ugrasz. Nikogo nie obchodzi, że Ignacy miał kochankę. Kto jej nie ma? A jeśli chodzi o ciebie...

– Nikt mi nie uwierzy? – dokończyła za niego, patrząc mu w oczy.

– Właśnie. Wezmą cię na języki, a może i oskarżą, że to ty go zabiłaś w akcie zemsty.

Oczy Rozalii zabłyśły dziko.

– Przekonajmy się o tym. Nie wiesz, do czego jest zdolna skrzywdzona kobieta...

– Rzeczywiście, nie wiem. Do tej pory żadnej nie skrzywdziłem.

– Zrobił kolejny krok w jej stronę, ale odsunęła się gwałtownie, więc się zatrzymał.

Nie chciała, żeby się do niej zbliżał. Nie chciała, żeby ją dotykał. Nic od niego nie chciała oprócz tego, żeby jej pomógł zdobyć pieniądze. Jej pieniądze. Widząc jednak zacięty upór na jego twarzy, zrozumiała, że nie ma na co liczyć. Dlaczego pomyślała, że Gustaw ugnie się przed szantażem i zgodzi się oddać część majątku? Jak mogła być aż tak głupia? Bo w swojej fałszywej trosce o nią zaproponował nieprzemyślane małżeństwo? Bo gdzieś raz, przez chwilę, zdawało jej się, że może mu na niej zależeć? Uświadomiła sobie, że po raz kolejny wykazała się naiwnością, jak czyniła to setki razy wcześniej z Ignacym.

Nie widząc reakcji z jego strony, skierowała się powoli do wyjścia z sali treningowej, próbując ukryć rozczarowanie. Jego głos zatrzymał ją w połowie drogi.

– W porządku. Zrobię to – rzucił ponuro. – Przekonam matkę i siostrę i oddamy ci majątek Ignacego. Ale wiedz, że nie robię tego, żeby uchronić dobre imię mojego brata przed skandalem.

– Więc czemu chcesz to zrobić?

– Bo uważam, że te pieniądze należą do ciebie. Przez pięć lat byłaś jego żoną.

Tym wyznaniem przygwoździł ją do ziemi. Zdumiona nie mogła się ruszyć. Nie mogła nawet spojrzeć na niego, bo ogarnęło ją dziwne wzruszenie i nie chciała, żeby to dostrzegł.

– Jutro pojedę do Kargomina – kontynuował. – A jak wrócę do Warszawy, umówię notariusza na przepis majątku.

– A jeśli twoja matka i siostra nie wyrażą zgody?

– Zgodzą się. Mogę ci to obiecać.

W odpowiedzi skinęła tylko głową i wyszła z sali treningowej, nawet na niego nie patrząc.

Miała nadzieję, że Gustaw dotrzyma słowa i odda jej część majątku. Należało jej się. Za te wszystkie krzywdy, których doznała. Za ból, który wciąż w niej tkwił jak drzazga. Za to, że wciąż wstydziła się patrzeć na siebie w lustrze.

Na razie jednak musiała coś zrobić, żeby zdobyć trochę pieniędzy. Musiała przecież jak najszybciej opłacić milczenie Zuzanny Grabińskiej.

[4] Mała Ziemiańska, a właściwie Ziemiańska – cukiernia znajdująca się w latach 1918–1944 przy ul. Mazowieckiej 12 w Warszawie. Była jednym z najważniejszych miejsc spotkań inteligencji warszawskiej: poetów, literatów, artystów malarzy, dziennikarzy i aktorów. Do bywalców lokalu należeli m.in. poeci z grupy Skamander: Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Kazimierz Wierzyński, Julian Tuwim.



## ROZDZIAŁ 5

– No cóż... *Madame*, jest piękny, unikatowy! – Złotnik, Żyd w średnim wieku, nisko pochylony nad naszyjnikiem, podziwiał pod szkłem powiększającym kunszt wykonania biżuterii.

Kolia ze złota i platyny, ozdobiona diamentami i perłami, zdawała się być utkana delikatnie niczym koronka. Rozalia miała ją na sobie tylko raz, podczas jednego z przyjęć w Belwederze, na którym była wraz z Ignacym. To wtedy zatańczyła z jakimś młodzieńcem, którego imienia nawet nie pamiętała, i to wtedy Ignacy pobił ją po raz pierwszy. Przypomniała sobie swój ból i gniew, który wówczas czuła. I to upokorzenie, kiedy tak piękna, wystrojona w modną suknię, z luksusową kolia na szyi, osunęła się na podłogę pod siłą ciosu, który jej zadał, kiedy znaleźli się w zaciszu ich apartamentu. Później ciągnął ją brutalnie za włosy wzdłuż całego pokoju, sycząc, że sama go do tego zmusza. A ona dławiła się z bólu. Kolejny cios w głowę był tak bolesny, że na krótko straciła przytomność.

– Ile za nią dostanę? – Rozalia otrząsnęła się ze wspomnień.

Mówiła po francusku, a złotnik odpowiadał jej w tym samym języku.

– Hmm, to prawda, że naszyjnik jest wyjątkowy, ale wzór jest już odrobinę przestarzały... Będę musiał go nieco przerobić, odświeżyć...

– Ile? – ponownie zapytała Rozalia, tym razem ostrzejszym tonem.

Żyd popatrzył na nią, marszcząc brwi.

– Pięć tysięcy, zważywszy na wartość pereł i diamentów – rzucił prędko.

– Pięć tysięcy? Jest wart co najmniej osiem!

– Droga pani, naszyjnik jest niewiadomego pochodzenia...

Rozalia szybko wyjęła z torebki niewielką, oprawioną w skórę książeczkę i podała ją złotnikowi.

– Naszyjnik został wykonany w Paryżu, w 1900 roku, przez najlepszego ówczesnego złotnika *monsieur* Francisa Le Bona. To jest certyfikat.

– Hmm... No tak.

Rozalia, słysząc ton w głosie Żyda, jednym ruchem zamknęła pudełko z naszyjnikiem.

– W porządku. Pójdę do kogoś innego. Takich jak pan w Warszawie nie brakuje. – Już zamierzała schować pudełko z biżuterią do torebki, ale złotnik powstrzymał ją ruchem ręki.

– Dobrze, niech będzie sześć.

– Siedem!

– Sześć i pół.

Rozalia pokiwała głową i skierowała się w stronę drzwi, ale Żyd zatrzymał ją w ostatniej chwili.

– Dobrze, już dobrze, niech będzie siedem! Moja strata! Mam tylko jeden warunek: będę miał u pani pierwszeństwo pierwokupu kolejnej biżuterii, jeśli jeszcze pani taką posiada.

Rozalia uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Oczywiście. – Ponownie odłożyła na lakierowany kontuar pudełko z naszyjnikiem i szybkim ruchem zdjęła z palca ślubną obrączkę. Zupełnie zapomniała, że wciąż ją nosi.

– Proszę wycenić jeszcze to.

Niecałą godzinę później, po spisanej i sfinalizowanej transakcji, Rozalia wyszła od złotnika na zalaną słońcem warszawską ulicę,

bogatsza o osiem tysięcy nowych złotych. Z satysfakcją pomyślała, jak łatwo udało jej się zdobyć pieniądze, żeby zapłacić niewielką sumkę Zuzannie Grabińskiej za milczenie. Bała się, że jeśli nie zrobi tego dostatecznie szybko, Grabińska pójdzie do prasy i wszystko wygada. Wtedy Rozalia mogłaby jedynie pomarzyć o uzyskaniu swojej części majątku po Ignacym.

\* \* \*

Sonia Cichocka, właścicielka zakładu krawieckiego, patrzyła na Zuzannę z jawną pogardą. Najpierw zmierzyła ją beczelnym wzrokiem od stóp do głów, a później wykrzywiła usta w cynicznym uśmiechu.

– Naprawdę myślisz, że przyjmę cię z powrotem po tym wszystkim?

– Umiem szyć. Wie pani o tym. – Zuzanna starała się, żeby w jej głosie nie było słychać drżenia. Nie chciała, żeby właścicielka pracowni zauważyła, ile dumy i niechęci Zuzanna musiała w sobie zdusić, żeby tu przyjść i prosić o pracę.

– Nie jesteś w tym lepsza od innych. Za to na pewno lepiej umiesz się szlajać!

Grabińska poczuła złość. Rumieniec gniewu oblał jej policzki, ale próbowała ukryć emocje, żeby nie dać się ponieść złości. Wiedziała, że wtedy nie będzie miała najmniejszych szans na pracę w tym zakładzie.

– Jesteś pierwsza lepsza! – kontynuowała kobieta z wyraźną pogardą. – Jak tylko ten twój bogaty kochaś kiwnął na ciebie palcem, poleciałaś za nim jak suka. Co ty sobie myślałaś? Że się z tobą ożeni? Z taką dziwką? Przecież on miał żonę!

Zuzanna zacisnęła usta. Powoli zaczynała dygotać ze złości i upokorzenia. W pierwszym odruchu miała ochotę wyjść z tego miejsca i zatrzaskać za sobą drzwi. Już dawno nauczyła się odsuwać w cień i nie stawiać oporu. Nauczyła się być

niewidoczną. Ale za chwilę przypomniała sobie o Lili. Musiała zostać i błagać o pracę. Musiała to zrobić dla córeczki.

– Nie rumień mi się tu, łajzo, bo wiesz, że mówię prawdę! Jesteś latawicą! Do tego z dzieckiem! Nie moja wina, że ktoś twojego kochasia zastrzelił i zostałaś na lodzie!

– Mogę robić wykroje. – Zuzanna mówiła prawie szeptem, starając się, żeby jej głos nie brzmiał błagalnie. Resztki jej dumy rozpadały się jak domek z kart.

– Nie!

– Proszę... Choć kilka godzin dziennie. Potrzebuję tej pracy.

– Już cię kiedyś przyjąłem na takich warunkach i co? Odeszłaś po miesiącu, jak tylko pan poseł wpadł tu z furią i zabrał cię na oczach wszystkich moich dziewcząt. Nie dam się więcej tak traktować! Plotkowano o tym przez kilka dobrych tygodni!

– Ignacy... Pan Lubowidzki bywał porywczy.

Cichocka skrzywiła się z niesmakiem.

– Porywczy? To był wariat! Nie wspomnę też o Stefanie. To, co z nim zrobiłaś, było wyjątkowo podłe.

Zuzanna domyślała się, że to nie o Ignacego Cichockiej chodziło.

– Wie pani, że próbował mnie skrzywdzić.

– Skrzywdzić? – Cichocka sapnęła. – Powinnaś się cieszyć, że raczył na ciebie spojrzeć przychylnym okiem, bo łajza jesteś, a odepchnęłaś go jak jakaś księżniczka!

Zuzanna odrzuciła przed laty konkury brata właścicielki zakładu i Stefan Cichocki każdemu, kto tylko chciał słuchać, opowiadał, że Zuzanna upokorzyła go i znalazła sobie kochankę. Nie wspominał tylko, że był w stosunku do niej nachalny i obcesowy, a Zuzanna go nie znosiła. Już sam widok jego wypomadowanej fryzury przyprawiał ją o dreszcz odrazy. Był przy tym dużo od niej starszy, bo dobiegał czterdziestki i zawsze wpatrywał się w nią z bezczelną lubieżnością, jakby rozbierał ją samym tylko wzrokiem. Jeden raz, nakłoniona przez Sonię, Zuzanna zgodziła się pójść z nim na kolację, ale wieczór zakończył

się dla niej przykrym incydentem. Kiedy wracali wieczorem pustą ulicą, Cichocki niespodziewanie zaciągnął ją w bramę kamienicy i tam brutalnie przycisnął do ściany. Nie zważał na jej protesty, nachalnie całując ją z brutalną gwałtownością, która ją przerażała. Próbowwała go odepchnąć, ale nie miała dość siły. Ratunek przyszedł niespodziewanie ze strony przypadkowego mężczyzny, który usłyszał krzyk i szarpaninę w bramie. Złapał Cichockiego za kark i z furją odepchnął od przerażonej Zuzanny. W ten sposób poznała Ignacego Lubowidzkiego. Dziwnym trafem przejeżdżał tamtędy autem ze swoim osobistym szoferem, a że nocne ulice były puste, obaj musieli usłyszeć jej tłumiony krzyk. To spotkanie przed pięciu laty nie tylko odmieniło jej życie, ale też stało się dla niej punktem zwrotnym.

Zanim Zuzanna poznała Ignacego, pracowała w zakładzie krawieckim Soni Cichockiej jako szwaczka. Znała się na modzie i wykrojach, potrafiła właściwie dobrać strój do oczekiwań klientów. Z chwilą poznania Ignacego Lubowidzkiego, kiedy on sam zaczął niepokojąco często zjawiać się w pracowni Cichockiej z prośbą o uszycie dla niego garniturów na miarę, Zuzanna domyśliła się, że to nie o garnitury mu chodzi. Lubowidzkiego stać było przecież na te markowe, od samego Bogusława Hersego z ekskluzywnego domu mody na Marszałkowskiej. Do pracowni Cichockiej przychodził wyłącznie dla niej.

– Nie przyłaź tu więcej! – Głos właścicielki zakładu kipiał od pogardy. – Nie jesteś tu mile widziana. Nie zatrudnię cię ani teraz, ani nigdy! Jeśli znów cię tu zobaczę, wezwę policję i powiem, że mnie nachodzisz!

Zuzanna z trudem przełknęła ślinę. Wyszła z zakładu krawieckiego na skąpaną deszczem ulicę. Całą drogę na Powiśle biegła, nie zważając na powiększające się na chodnikach kałuże. Raz się potknęła i zmoczyła dół sukienki, ale zebrała fałdy i pobiegła dalej. Przechodnie uciekali w różnych kierunkach, chowając się w sklepach, bramach i innych miejscach, które



mogłyby uchronić ich przed czerwcową ulewą. A ona biegła, przemoknięta do suchej nitki. W końcu zdjęła mokre pantofle i dalej biegła na bosaka, byle szybciej. Na szczęście nie miała pończoch, bo już dawno nie stać jej było na taki luksus, choć niegdyś Ignacy obdarzał ją tymi z prawdziwego jedwabiu. Sprzedała je, kiedy brakowało jej na leki dla Lili czy jedzenie.

Przejeżdżający ulicą samochód ochlapał ją brudną wodą z kałuży. Nie zatrzymała się jednak. Gęsty deszcz niemiłosiernie siekł po twarzy. Przynajmniej nikt nie widział, jak płacze. Nikt nie zauważył łez, które, skąpane w deszczu, były dla ludzkich oczu zupełnie niewidoczne. Jeden raz z jej piersi wyrwał się głuchy szloch, ale szybko go stłumiła i gnała przed siebie na oślep, dławiąc się bezsilnością i upokorzeniem. Do mostu na Wiśle dotarła kompletnie zdyszana. Oparła się całym ciałem o metalową barierkę i nieprzytomnym wzrokiem spojrzała w nurt wezbranej rzeki, której tafla marszczyła się od padających kropel. Zuzanna, mokra od deszczu i łez, wpatrywała się w nurt pod sobą.

„Wystarczyłaby chwila, ułamek sekundy” – pomyślała. Mogłaby się uwolnić od tego wszystkiego, co tak ją przygniatało i nie pozwalało dalej żyć. Mogłaby umrzeć.

– Co pani robi? – Odgłos padającego deszczu i szum rzeki tłumił głos mężczyzny, który nagle wyrósł przed nią jak spod ziemi. Też był cały przemoknięty, a z ronda jego eleganckiego kapelusza ciurkiem ściekała woda. Patrzył na nią z powagą i troską. Jego szare oczy były łagodne jak u dziecka.

– Nic... Zmęczyłam się, bo biegłam całą drogę. Musiałam odsapnąć.

– To dobrze, bo wystraszyłem się, że może chce pani skoczyć.

Nieprzytomnym wzrokiem znów popatrzyła w nurt rzeki.

– Skoczyć? Nie... Mam córkę. Muszę do niej wrócić – powiedziała drżącym głosem. Miała nadzieję, że mężczyzna nie zauważył, że płakała.

– Bardzo pada, a ja mam samochód. Podwiozę panią do domu. – Wskazał na samochód stojący na środku mostu. Zuzanna niemo przytaknęła i pozwoliła nieznajomemu poprowadzić się do auta. Nie bez wstydu podała mu adres kiepskiej dzielnicy, w której mieszkała, ale on nie skrzywił się z odrazą. Jedynie skinął głową, dając jej do zrozumienia, że wie, gdzie to jest.

– Dziękuję – powiedziała słabym głosem, kiedy zatrzymał się na Karowej, pod kamienicą, w której mieszkała.

– Żałuję, że nie dojrzałem pani szybciej. Nie byłaby pani aż tak przemoknięta.

– To nic.

Kiedy chciała wysiąść z samochodu, usłyszała jeszcze jego uprzejmy głos:

– Nazywam się Julian Paluszkiewicz. Jestem prawnikiem w kancelarii Paluszkiewicz Ojciec i Syn mieszczącej się na Krakowskim Przedmieściu. Gdyby pani czegoś potrzebowała...

Zuzanna mimowolnie zadrżała.

– Nie potrzebuję pomocy. – Wysiadła z auta i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Do swojego mieszkania dotarła zupełnie przemoknięta. Weszła do brudnego korytarza i zadygotała.

– Na litość boską! Nie mogłaś przyjechać tramwajem? – Maria Komorowska, sąsiadka z poddasza, która opiekowała się Lili w czasie jej nieobecności, popatrzyła na Zuzannę z trwogą, kiedy ta weszła do mieszkania, prawie słaniając się ze zmęczenia i z trudem oddychając.

– Jesteś zupełnie przemoknięta!

– To nic... – odparła Zuzanna, choć trzęsła się z zimna.

Sukienka kleiła jej się do ciała, a buty, które trzymała w dłoni, ociekały deszczem. Nie zważając na to, zatrzymała zdumiony wzrok na Rozalii Lubowidzkiej, siedzącej z wielkopańską godnością przy skromnym stole. Wdowa po Ignacym wyglądała dziwnie, jak zjawą, w tym małym, obskurnym mieszkanku. Jej

jasna, alabastrowa cera wydawała się idealnie gładka, a złote włosy, ufryzowane w modny węzeł, dodawały młodej kobiecie szyku i elegancji. Wrażenie psuła jedynie poszarpana blizna na prawym policzku, która nachalnie rzucała się w oczy.

Przy żonie Ignacego, na małym stołeczku, siedziała Lili. Na widok matki zerwała się jednak z siedzenia i podbiegła do niej, po czym objęła ramionkami jej mokre udo. Zuzanna przygarnęła dziewczynkę do siebie.

– Co pani tu robi? Nie powinna pani tu być!

– Czekam na panią.

Sąsiadka się zaczerwieniła.

– Zuziu, wpuściłam panią, bo mówiła, że się znacie. Nie wiedziałam, że się zezłóscisz.

– Już dobrze, pani Mario. Rzeczywiście znamy się z panią... – Zuzanna urwała, bo nie wiedziała, czy powinna wymienić gościa z nazwiska. Bądź co bądź, była to żona Ignacego Lubowidzkiego, o którym przecież wszyscy na ulicy wiedzieli, że utrzymuje Zuzannę i dziecko. Niby nie było to tajemnicą, ale nikt jak dotąd nie miał śmiałości powiedzieć o tym głośno, a Ignacy przez lata skutecznie uciszał każdego, kto próbował siać niepotrzebne plotki. Pieniądz miał ogromną moc, zwłaszcza wśród biedoty. I to nawet nie musiały być duże pieniądze – wystarczyło parę groszy rzucone jak psu ochłap, a każdy siedział cicho i liczył te parę monet, jakby mu co najmniej manna z nieba spadła.

– Więc co pani tu robi?

– Przyszłam, tak jak się umawiałyśmy. – Rozalia brzmiała rzeczowo i poważnie.

Jej twarz przez cały czas była zimna, jakby wykuta z kamienia. Żadnych emocji. Zuzanna zazdrościła jej tego, bo ona aż dygotała ze zdenerwowania.

Delikatnie odsunęła córkę, zdjęła mokre buty i sięgnęła po lichego ręcznika, po czym zaczęła wycierać mokre kosmyki skręconych włosów.

– Pani Mario, dziękuję za opiekę nad Lili. Zostawi nas pani same? I... czy może pani zabrać na chwilę moją córkę do siebie?

Sąsiadka w mig znalazła się przy wyjściu.

– Jakby co, daj znać. – Skinieniem przywołała dziewczynkę i wyszły.

Kiedy kobiety zostały same, Rozalia Lubowidzka wyjęła z eleganckiej torebki pakunek owinięty w szary papier.

– Mam nadzieję, że na początek wystarczy.

Zuzanna tęym wzrokiem wpatrywała się w zawiniątko.

– Co to jest?

– Pieniądze, które obiecałam. Na początek. Resztę przyniosę nieco później. Musi być pani cierpliwa. Jak mówiłam, Ignacy nie zapisał mi majątku, ale jego rodzina jest skłonna mi go oddać.

– Byłam jego kochanką – rzuciła nagle Zuzanna bez ogródek.

– Wiem o tym.

– Nie przeszkadza to pani?

Rozalia wzruszyła ramionami.

– To nie ma dla mnie znaczenia. Dzięki pani mogę uzyskać to, co mi się należy.

– Czyli?

Lubowidzka uśmiechnęła się krzywo.

– Zadośćuczynienie za małżeństwo.

Zuzanna zmarszczyła brwi. Wróciła do wycierania włosów, ale teraz szło jej słabiej, bo całą uwagę koncentrowała na tej dziwnej, szalonej kobiecie. Bo co do tego, że Rozalia Lubowidzka była szalona, Zuzanna nie miała wątpliwości. Nie rozumiała tej kobiety, nie odgadywała jej pobudek i to ją martwiło. Może jednak nie powinna była pisać do niej tego listu? Może postąpiła nierozsądnie i teraz przyjdzie jej za to zapłacić? Kto wie, do czego żona Ignacego mogła być zdolna, skoro tak łatwo wybaczała Zuzannie to, że przez lata była kochanką jej męża i w dodatku urodziła mu nieślubną córkę. Z tych rozważań wyrwał ją głos Rozalii:

- Bierze pani te pieniądze czy jednak się pani rozmyśliła?
- Biorę.
- To dobrze. Rozumiem, że nasza współpraca wciąż trwa i mogę na panią liczyć? Nie rozgłosi pani, że była utrzymanką Ignacego? Wolałabym, żeby to wciąż była moja karta przetargowa.
- Próbuje mnie pani wykorzystać.
- Ale godnie za to płacę. Bądź co bądź, to ja byłam jego żoną. W hierarchii stoję nieco wyżej od pani, choć, jak przypuszczam, obie byłyśmy traktowane tak samo, a ja może nawet nieco gorzej.
- Nic nie rozgłoszę. Na razie.
- To dobrze. Proszę zostawić to mnie. Dużo więcej pani na tym zyska.

Zuzanna była kompletnie oszołomiona. Czy ta kobieta z niej kpi, naśmiewa się jak wszyscy inni, żeby we właściwym momencie wbić w nią szpilę, poniżyć i nazwać dziwką? Kto, jak nie ona, miał do tego największe prawo?

- Przyniosłam też coś dla Lili.

Na stole leżały sporych rozmiarów słoik z cukierkami i dwie tabliczki czekolady Wedla. Zuzanna nie wiedziała, co powiedzieć. Coś ścisnęło ją w gardle. Wpatrywała się w tę dziwną kobietę, nie mogąc wykrztusić słowa. Rozalia Lubowidzka powoli wstała i udała się w stronę wyjścia.

Gdy się obejrzała, Zuzanna zdobyła się na to, żeby spojrzeć tej kobiecie w oczy. Była pewna, że żona Ignacego czyta w niej jak w otwartej księdze.

\* \* \*

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! – Ciotka Klara śmiała się do rozpuku, kiedy Rozalia opowiedziała jej przy kolacji o swojej rozmowie z Gustawem. Przyznała również, że była u kochanki Ignacego i poznała jego córkę. Nie wspomniała tylko, że

odwiedziła żydowskiego złotnika, żeby spieniężyć biżuterię od Ignacego.

– Nie jesteś taką gęsią, za jaką cię brałam! Masz charakter, dziewczyno! Niejedna na twoim miejscu nie miałaby odwagi żądać tego, co ty, ani tym bardziej stanąć twarzą w twarz z kochanką męża!

– Tylko w ten sposób mogę odzyskać choć część tego, co mi się należy. Nie wiem, czy Leokadia i Ada zgodzą się oddać pieniądze, ale zawsze mogę mieć nadzieję.

Klara rozsiadła się wygodnie w fotelu i zapaliła papierosa w długiej lufce. Dopiero wróciła z popołudniowego spotkania z przyjaciółmi w oranżerii pałacu Saskiego, więc była w doskonałym nastroju. Już w holu opowiadała Rozalii z entuzjazmem, że jej serdeczna przyjaciółka hrabina Zofia Czarnecka kupiła sobie parę dni temu najnowszy model bugatti, którym samodzielnie śmigała po torze wyścigowym, ku ogromnemu strapieniu jej obrzydliwie bogatego i nudnego męża, wywołując tym również niemałe poruszenie w kręgach śmietanki towarzyskiej.

– Kochanie, zasługujesz na oklaski! – mówiła teraz do Rozalii. – Twój mąż był gnidą, więc niech się teraz przewraca w grobie, że jego żona tak śmiało sobie poczyna!

Rozalia pomyślała, że to słaba pociecha, zważywszy na to, ile cierpienia i upokorzeń musiała znieść przez ostatnie lata. Jej obecne postępowanie było zaledwie próbą zadośćuczynienia sobie tych krzywd, ale czuła, że jeszcze długa droga przed nią, zanim nauczy się żyć samodzielnie, bez cienia Ignacego pełzającego złowrogo po jej karku. Nie wiedziała, skąd czerpie siłę i nadzieję ani co pcha ją do dalszego życia. Może to, że wciąż była młoda? Że krew wciąż krążyła w jej żyłach, a ona każdym wyczulonym zmysłem odbierała bodźce ze świata? Może to, że tak bardzo tęskniła za rodzinną Prowansją i nie mogła doczekać się chwili, kiedy opuści tę dziwną Polskę, która stała się jej więzieniem?

A może to, że wciąż wierzyła, że coś tam jeszcze na nią czeka. Z utęsknieniem wypatrywała chwili, kiedy wsiądzie do pociągu i wyruszy w drogę powrotną do Francji. Tam stworzy sobie nowy dom, a w nim to, co kochała najbardziej – pracownię pachnideł. I nigdy, przenigdy nie podziękuje ojcu, że ten bez mrugnięcia okiem oddał ją mężczyźnie, który na pięć długich lat złamał jej życie.

– A swoją drogą, ten doktor Lubowidzki to też dziwny typ – rzekła ciotka z nutką sarkazmu. – Uważaj na niego, Rozalio. Ta jego uległość względem ciebie jest dość podejrzana. Nie wydaje ci się, że zbyt łatwo zgadza się na twoje argumenty?

– Już wcześniej chciał mi oddać majątek Ignacego.

Ciotka uniosła brew w wyrazie zaskoczenia.

– Jak to?

– Zaproponował mi małżeństwo.

– Niewiarygodne! – prychnęła Klara. – Był aż tak głupi, że sądził, iż się zgodzisz?

Rozalię nagle to rozśmieszyło. Wcześniej nie myślała o tym w taki sposób; potrzeba było ciotki Klary, by spojrzała na tamtą sytuację z innego punktu widzenia. Śmiała się po raz pierwszy od bardzo dawna, a śmiech ten zawibrował w całym jej ciele rozkosznym dreszczem. Nie myśląc nad tym, co robi, sięgnęła do cygaretki ciotki po papierosa i odpaliła go, choć nigdy wcześniej tego nie robiła. Jej śmiech zamienił się w krztuszący kaszel, kiedy zaciągnęła się pierwszy raz.

– Złociutka, nie tak! Jeszcze chwila i się udusisz! Powoli! – pouczała ją ciotka z figlarnym błyskiem w oku.

Rozalia zbladła na twarzy, czując nagle mdłości.

– Może jednak podziękuję za papierosa – mruknęła.

– Och, nauczysz się. Zobaczysz, ile w tym przyjemności. To jak z pierwszym kochankiem: z początku czujesz się dziwnie nieswojo, nawet nieprzyjemnie, a później... nie jesteś w stanie robić nic innego!

– Nie zamierzam mieć kochanka – rzuciła Rozalia z przekąsem.  
– Mąż skutecznie mi to obrzydził.

– Och, a powinnaś! Dla przyjemności. Wyłącznie dla przyjemności. – Kiedy ciotka o tym mówiła, oczy błyszczały jej tajemniczo, a Rozalia na ułamek sekundy pomyślała o Gustawie, choć nie wiedziała, czemu właśnie o nim.

– A swoją drogą pisałam do twojego ojca... – rzekła ciotka, niespodziewanie zmieniając temat i wytrącając Rozalię z nieprzyzwoitych myśli – Dzisiaj dostałam odpowiedź.

Rozalia zaskoczona uniosła brew.

– Pisałaś, że mieszkam u ciebie?

– O tym też, ale nie tylko. Mam spory kłopot... W Konstancinie pod Warszawą jest mały pałacyk należący do naszej rodziny. Sypie się i potrzebuje solidnego remontu, a niestety nie stać mnie na to. Twój ojciec nie wysłał mi nawet franka na ten cel. Pałacykiem zainteresowały się władze miasta, bo chcą tam urządzić pensjonat.

– Chcesz go sprzedać?

Klara wzruszyła ramionami.

– Nie mam wyjścia. Jak mówiłam, nie stać mnie na remont. Oczywiście będę musiała podzielić się z twoim ojcem, bo połowa należy do niego... Jutro zamierzam tam pojechać z rzeczoznawcą i wycenić nieruchomość. Może pojedziesz ze mną?

– Czemu nie? I tak nie mam tu nic do roboty, dopóki Gustaw nie wróci z Kargomina.

– Doskonale! Więc jutro po śniadaniu. Zapowiada się ładna pogoda, więc może wycieczka będzie udana!

\* \* \*

Do Konstancina obie panie dojechały Kolejką Wilanowską. Pogoda po wcześniejszej burzy rzeczywiście sprzyjała podróżom, rozpieszczając ciepłym, bezwietrznym powietrzem. Dopiero na



miejscu rozpadał się drobny czerwcowy deszcz, który pobudził rozkwitłą ziemię, aż ta zanosła się odurzającym aromatem traw i kwiatów. Rozalia czuła to wszystko, wdychając go głęboko w płuca, oszołomiona bogactwem woni i otaczającej ją zieleni.

Konstancin był miejscowością uzdrowiskową, do której przybywała wyłącznie śmietanka towarzyska Warszawy – artyści, literaci, sportowcy, a także bankierzy, lekarze i prawnicy. Wśród nich bywali również politycy, zażywając tu wszelkich wygód, zabaw i rozkoszy, z dala od zgiełku dusznej i gwarnej Warszawy. Wokół Konstancina rozciągały się lasy i parki, prowadziło wiele ścieżek spacerowych, a także szlaki do konnej jazdy; niczym wstęga, płynęła też urokliwa rzeka Jeziorka, zachęcająca do spływów kajakowych.

– To tu mieszkali moi dziadkowie? – zapytała Rozalia, z zachwytem wędrując wzrokiem wszędzie tam, gdzie przyroda rozpościerała swoje najpiękniejsze oblicze.

Jechały teraz krytą daszkiem dorożką w stronę pałacyku Tyszkowskich. Siąpiący deszcz im nie przeszkadzał. Rozalia czuła, jak z każdym oddechem jest jej coraz lepiej, a jej ciało opuszcza bolesne napięcie, które towarzyszyło jej codziennie od kilku lat.

– Nie. Przyjeżdżali tu jedynie na wypoczynek. Twój dziadek, jak wiesz, pracował w Warszawie, inwestując w magazyny do przechowywania żywności. Nie miał czasu bywać w Konstancinie zbyt często. A babcia zajmowała się domem i edukacją twojego ojca i moją. Pałacyk był miejscem wyłącznie rekreacyjnym. Jednak po śmierci dziadka popadł w kompletną ruinę. Feliks uciekł z kraju przed wyrokiem, a ja i twoja babcia nie miałyśmy dość funduszy na remont i utrzymanie pałacyku.

Rozalia rozglądała się wokół coraz bardziej zaintrygowana. Podobało jej się to miejsce z ubitymi, brukowanymi ścieżkami, szlakami zachęcającymi do przechadzek w głąb lasu... I te zapachy... Oszalamiające! Unoszące się wokół pyszną aurą,

dodające energii do życia, wzbudzające tęsknotę za zatrzymaniem tych woni w maleńkiej buteleczce. Rozalia wciąż miała nieodpartą potrzebę tworzenia zapachów, mimo że przez lata tego nie robiła i bała się, że zapomniała, jak łączyć składniki.

– Nie żal ci, ciociu, pozbywać się pałacyku w tak urokliwym miejscu?

– Och, kochanie! W ogóle tu nie bywam! Nie mam na to ani czasu, ani pieniędzy. Renta w spadku po rodzicach nie starcza na takie fanaberie jak pałacyk w uzdrowisku!

To akurat Rozalia rozumiała doskonale. Ona sama posunęła się przecież do szantażu, żeby zdobyć pieniądze na dalsze, w miarę stabilne życie, bez potrzeby ponownego wychodzenia za mąż. Wiedziała przecież, że rodzice nie byłiby szczęśliwi, gdyby wróciła do Francji bez grosza przy duszy, licząc na ich utrzymanie. Ojciec zapewne od razu ponownie wydałby ją za mąż, a na to się zgodzić nie mogła.

Zastanawiała się niekiedy, dlaczego kobiety nie mogły tak po prostu, bez żadnego wstydu ani kłopotu pracować zarobkowo. Bo co to znaczy, że damie nie wypadało? Dama musiała trwać u boku męża, nie hańbiąc się żadną pracą, a zajmując się wyłącznie domem i dziećmi. Owszem, co innego kucharka, pokojówka czy guwernantka, one pracowały, ale przez to miały na zawsze zamknięte drzwi do świata elit. Pomyślała o Zuzannie Grabińskiej, która też utrzymywała się wyłącznie z tego, co dał jej Ignacy. Czy ona również czuła się upokorzona, prosząc go o pieniądze? Czy może jednak robiła to z czystą satysfakcją, wręcz premedytacją, ciesząc się, że nie musi kłaść się żadną poniżającą pracą, wykorzystując do zdobycia korzyści materialnych wyłącznie swoje ponętne ciało?

Te rozmyślenia przerwał Rozalii widok niewielkiego pałacyku, który wyłonił się zza leśnego zagajnika. Prowadziła do niego ubita dróżka, otoczona z dwóch stron żywopłotem, który przy całej swojej urodzie ewidentnie wymagał już ręki ogrodnika.

– A oto i pałacyk „Magnolia”. – Ciotka Klara z wypiekami na twarzy patrzyła na wylaniającą się z oddali niewielką budowlę.

– „Magnolia”? Nie mówiłaś, że tak się nazywa.

– To potoczna nazwa. Tak nazwała go moja mama, bo od strony ogrodu pałac porastają rozłożyste, białe magnolie. Zresztą jak się przypatrzysz bliżej, to on sam przypomina taką rozkwitłą magnolię.

Rzeczywiście – niewielki pałacyk, wzniesiony jeszcze w czasach *belle époque*, z białą, choć wymagającą odświeżenia fasadą, obrośniętą dzikim winem, i neogotyckimi oknami ozdobionymi secesyjnymi ornamentami, był niezwykle urokliwy. Najefektowniej prezentowała się jednak balustrada krętych schodów, prowadzących do drzwi frontowych – mocno już zniszczona, ale dumnie ozdobiona bogatymi motywami roślinnymi.

– Żal bierze, że muszę go sprzedać – westchnęła ciotka, patrząc na pałacyk z widoczną nostalgią. – Ktoś go kupi i pewnie zrobią z niego pensjonat dla kuracjuszy.

– Przecież nie przyjeżdżasz tu od dawna, to czemu nagle tak ci szkoda?

– Och, bo wspomnienia same cisną mi się do głowy! Tyle pięknych chwil tu spędziłam. Tu się zakochałam...

– Naprawdę? – Rozalia popatrzyła na ciotkę z błyskiem zainteresowania w oczach. – Opowiedz!

– Nie ma o czym. Nie było w tym nic wzniosłego ani romantycznego. Poznałam go na jednym z przyjęć, które organizowano latem dla zabicia czasu. Był młodym oficerem, ledwo po szkole. Przesłano go do Warszawy i... poznaliśmy się. Byłam wtedy bardzo młoda, miałam ledwie szesnaście lat.

– I co się stało?

Klara wzruszyła ramionami.

– Nic. Twój ojciec był już wtedy na wygnaniu, a wiadomo, co myśłano o Rosjanach. Mój ukochany był Rosjaninem. Nasze

zakochanie trwało krótko, ale... Pamiętam go do dziś. Był piękny jak nikt inny. – Klara teatralnie westchnęła.

– Wiesz, co się z nim stało?

– Nie mam pojęcia. Pewnie wrócił do Petersburga, skąd pochodził, i tam się ożenił. Zapomniał o mnie, choć ja o nim nie zapomniałam.

– Czy to dlatego nigdy nie wyszłaś za mąż?

– Bój się Boga, nie! Skąd ci to przyszło do głowy?!

– Nigdy nie miałaś męża...

– Bo nie chciałam. Ale to już historia na inny czas. Teraz chodźmy obejrzyć tę ruinę i zastanowić się, ile jest warta.

Wysiadły z dorożki i skierowały się do drzwi wejściowych, po czym wspięły się ostrożnie po schodach śliskich od siąpiącego deszczu. Rozalia, krocząc wolno, rozglądała się wokół uważnie, wzrok zatrzymując na herbacianej róży, dziko rosnącej w przyfrontowym ogródku. Wyobraziła sobie, jak pachnie róża – słodko i tajemniczo – i przypomniała sobie niekończące się pola róż w Grasse. Wspomniała również perfumy, które kilka lat temu stworzyła, żeby rozkochać w sobie Ignacego. Jakie to było głupie z jej strony, jakie lekkomyślne i naiwne! Wspomnienie to jednak ponownie obudziło w niej instynkt poznawania zapachu każdego kwiatu, który w całej okazałości prezentował przed nią swoją rozkwitłą urodę. Nie myśląc o tym, co robi, zbiegła ze schodów do małego ogródka i zerwała różę. Tak jak podejrzewała, zapach ją oszołomił i rozbudził głębokie pragnienie tworzenia perfum.

– Czy jest tu więcej róż?

– Owszem, ale wymagają pielęgnacji i ręki ogrodnika. Od zawsze pięknie tu rosły.

„Można by założyć tu hodowlę” – pomyślała Rozalia, rozglądając się bezwiednie po zapuszczonej okolicy. Kiedy weszły do wnętrza pałacyku, wciąż trzymała przy twarzy rozkwitły kwiat, sycąc się jego wonią.

Kolejne zdumienie ogarnęło ją, kiedy weszły z ciotką do sieni – niewielkiej, ale bardzo jasnej, dzięki dużym oknom, przez które niczym w oranżerii przedostawało się światło dnia. Ściany w kolorze wyblakłego błękitu ozdobione były wizerunkami delikatnych, eterycznych motyli – tak pięknych, że wyglądały jak żywe. Rozalii zdawało się, że te małe, pastelowo-kolorowe owady fruwały zewsząd, tworząc wokół niej jakąś magiczną, fantastyczną krainę. Patrzyła zdumiona i oszołomiona zarazem.

– Co to jest? – pytanie samo wyrwało się z jej ust.

– Motyle. Moja matka je uwielbiała. Wynajęła specjalnego artystę malarza, który na jej życzenie stworzył to чудо.

– Są niesamowite! Jak żywe!

– To prawda. Zaskakują każdego, kto widzi je po raz pierwszy. Nikt prócz niej nie wpadł na pomysł wymalowania w sieni motyli. Może to infantylne, ale moja matka taka już była.

Rozalia kręciła się wolno wokół, jak natchniona, a ciotka Klara patrzyła na nią z czającym się na ustach uśmiechem.

– Jesteś śliczna.

– Słucham? – Rozalia oderwała wzrok od motyli i popatrzyła na ciotkę. Jej błękitne oczy błyszczały jak w gorączce.

– Mówię, że jesteś śliczna. Pomimo tej blizny na twarzy wciąż widać w tobie urodę. Kiedy się czymś zachwycasz, rozkwitasz.

Rozalia bezwiednie wzruszyła ramionami.

– Nie jestem próżna – prychnęła. – Uroda nie ma dla mnie znaczenia.

Ciotka Klara uśmiechnęła się pod nosem. Może chciała coś dodać, ale w tym momencie drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich oczekiwany rzeczoznawca. Ubrany w szykowny garnitur, uchylił przed paniami kapelusza. W dłoni trzymał lakierowaną walizeczkę.

– Szanowna pani! Jak miło znów panią spotkać! – Z przesadną kurtuazją pochylił się nad ciotką i pocałował ją w dłoń.

– Mnie również, panie Leopoldzie. To moja bratanica, Rozalia Tyszkowska-Lubowidzka – Klara przedstawiła Rozalię, kiedy mężczyzna oderwał wargi od dłoni Klary i popatrzył na towarzyszącą jej bratanicę.

– Lubowidzka? Czy jest pani żoną... tego Lubowidzkiego?

– Wdową – sprostowała Klara poważnym tonem, nie dając Rozalii dojść do słowa.

– Rzeczywiście – poprawił się szybko mężczyzna. – Bardzo mi przykro. Proszę przyjąć moje szczerze kondolencje.

Rozalia zdawała się go jednak nie słuchać, z fascynacją oglądając wnętrze, które tak ją zachwyciło.

Leopold Kalinowski – bo tak nazywał się rzeczoznawca – widocznie nie przejął się jawną ignorancją Rozalii, bo z entuzjazmem poszedł z ciotką Klarą do jasnego, pobliskiego saloniku. O czymś nieprzerwanie dyskutowali, podczas gdy Rozalia, nie przejmując się nimi, weszła schodami na piętro.

Wąski korytarz prowadził do kilku pomieszczeń – teraz zamkniętych, ale, jak się okazało, niezamkniętych na klucz. Pchnęła pierwsze z nich i weszła do niewielkiego, ale przytulnego pokoju z wyjściem na balkon. Otworzyła okno, wyszła na zewnątrz i wpatrzyła się w rozległy ogród przed sobą, upstrzony letnimi kwiatami i drzewami dającymi cień przed słońcem. Pośrodku pyszniła się fontanna dziko pokryta bluszczem i pełna przegniłych liści. Deszcz przestał już padać, a lekki wiaterek roznosił zewsząd woń wilgotnej roślinności.

Wyobraźnia Rozalii pracowała, a serce zakłuło boleśnie z tęsknoty za ukochaną Prowansją. Nozdrza wypełniały jej słodkie, odurzające zapachy nadchodzącego lata. Wyobraziła sobie, jak piękny musiał być ten niewielki ogród pielęgnowany ręką ogrodnika. Czowała tętniące w nim życie, jak wówczas, gdy wraz z Rachelą przemierzała leśne ścieżki w Kargominie.

Kolejne pomieszczenie, do którego weszła, było łazienką – zniszczoną i zatechłą, ze starą, wymagającą remontu kanalizacją,

ale również z imponującym oknem wychodzącym na ogród. Rozalia wyobraziła ją sobie całą w alabastrze, pełną luster na wzór tych, które niegdyś oglądała w Wenecji.

Chodziła tak od pokoju do pokoju, dotykając opuszkami palców zakurzonych przedmiotów, przykrytych prześcieradłami mebli, wyobrażając sobie, kto mógł te pomieszczenia zajmować. Który z tych pokoi należał do jej ojca? W którym spędzał beztroską młodość podczas wakacji? Lubił ten dom? Ten sielski spokój i piękno płynące z otoczenia? Czy dlatego zamieszkał w Prowansji? Bo tęsknił za tym urokliwym, nostalgicznym miejscem, teraz przykrytym kurzem wspomnień?

Jej rozmyślania przerwało wejście ciotki Klary, toczącej ożywioną rozmowę z rzeczoznawcą, który zdawał się być pod jej ogromnym urokiem, bo nie spuszczał z ciotki wzroku. Zwłaszcza z jej karminowych od szminki ust.

– Tu jesteś, Rozalio! Właśnie rozmawiamy z panem Leopoldem, że willa nie jest w najgorszym stanie i można by wziąć za nią niezłą sumkę.

Rozalia popatrzyła na ciotkę zamglonym wzrokiem.

– Ile?

– Och, to jest jeszcze do dogadania. Musimy przeliczyć koszty...

– Czy ojciec też będzie o tym decydował?

– Niestety tak. Jest współwłaścicielem.

Rozalia nie skomentowała, tylko w milczeniu znów zaczęła krążyć po pokoju, obejmując wzrokiem kolorową tapetę na ścianie, kasetonowy sufit, skrzypiący drewniany parkiet.

– Napiszę do niego – rzuciła wreszcie, jakby od niechcienia.

– Ale po co? Już do niego pisałam i wyraził zgodę na sprzedaż.

Rozalia zatrzymała się w pół kroku.

– Jestem jego jedyną spadkobierczynią. Poproszę, żeby zapisał mi swoją część. Teraz. Natychmiast.

– Chcesz sprzedać ten dom na spółkę ze mną? – zapytała ciotka, nieco zaskoczona.

Rozalia wolno pokręciła głową.

– Nie. Chcę odkupić od ciebie twoją część, ciociu. Chcę, żeby ten dom należał do mnie.

Dopiero gdy powiedziała to na głos, uświadomiła sobie, co to oznacza. Sama zdumiała się własną śmiałością i tym, że tak spontanicznie podjęła tę nieprzemyślaną decyzję. Ale równocześnie dotarło do niej, że tego właśnie chce.

Potrzebowała jedynie pieniędzy.





## ROZDZIAŁ 6

Gniew zdawał się rozsadzać Leokadię Lubowidzką od środka. Już przy obiedzie patrzyła na syna podejrzliwym wzrokiem, zdumiona jego nagłym, niezapowiedzianym przyjazdem z Warszawy. Ukryła jednak to zaskoczenie pod maską milczenia. Przyjęła Gustawa godnie, z powściągliwością, oszczędnie szafując zadowoleniem, jakby wciąż próbowała dawać wszystkim do zrozumienia, że żałoba po starszym synu nie pozwala jej na zbytne okazywanie uczuć temu młodszemu. W pierwszej kolejności wypytała syna o śledztwo – czy policja już coś wie? Czy mają nowy trop? I czy Gustaw odwiedza grób brata? Pytając o to ostatnie, zadławiła się szlochem i płakała kilka minut, wpatrując się w oprawione w ramkę zdjęcie Ignacego i wycierając oczy batystową chusteczką.

Teraz jednak żalność ustąpiła złości, a ta spadła na nią jak grom z jasnego nieba, kiedy Gustaw wyjaśnił jej i Adzie, z czym przyjechał.

– Chyba nie mówisz poważnie! – syknęła Leokadia z odrazą, chwytając nabożnie w dłonie różaniec z agatów. – Przybywasz tu jak zdrajca i oznajmiasz mi, swojej rodzonej matce w żałobie, że mam oddać spadek po zmarłym synu tej bezczelnej, kłamliwej...

– Nie kończ, matko – upomniał ją Gustaw, zerkając kątem oka na siostrę, która siedziała w fotelu z miną więcej niż znudzona.

„Kiedy ona tak wyrosła?” – zadał sobie pytanie, patrząc na jej kobiecą postać, delikatne, pociągłe rysy twarzy i ciemne włosy

zwijające się w gęste pukle. Ada miała już dwadzieścia lat i nie była dziewczynką, którą jeszcze niedawno w niej widział. Stała się młodą kobietą. Domyślił się, że matka zapewne niedługo wyda ją za mąż. Może nawet już znalazła dla niej odpowiedniego kandydata. Nie znał dobrze swojej siostry, ale nie dostrzegał w niej szczególnego entuzjazmu do spotkań towarzyskich, podczas których mogłaby znaleźć sobie odpowiedniego męża.

– Jak możesz jej bronić, skoro ta kobieta w bezczelny sposób próbuje nas okraść! Do tego chce publicznie upokorzyć naszą rodzinę, opowiadając jakieś kłamstwa! – Leokadia kontynuowała wywód, a kąciki wąskich ust ułożonych w podkowę zdawały się pociągać za sobą bladą skórę jej suchych policzków.

– Ignacy ma córkę.

– Nie mów mi, że wierzysz w te brednie!

Gustaw zmierzył matkę zimnym wzrokiem.

– Ignacy miał kochankę... – dodał, powoli cedząc słowa, jakby chciał, żeby do matki w końcu to dotarło. – Która urodziła mu córkę. Twoją wnuczkę, mamó! Ta kobieta domaga się pieniędzy, bo Ignacy utrzymywał ją przez ostatnie cztery lata.

– Też coś! Co ludzie powiedzą? Co pomyślą o Ignacym? Takie pomówienie! Taki wstyd! Nie będę miała śmiałości spojrzeć księdzu w oczy!

– Jeśli oddamy Rozalii jej część majątku, nikt nie musi o tym wiedzieć. Rozalia zapłaci tej kobiecie za milczenie i będzie po sprawie.

– Tą sprawą powinna się zająć policja! – stanowczo orzekła Leokadia.

– Niech policja najpierw znajdzie sprawcę śmierci Ignacego, a później zajmuje się całą resztą.

– Więc ty zapłać tej kobiecie. Nie pozwól, żeby ta manipulantka szargała dobre imię naszej rodziny!

– Nie zrobię tego.

– Dlaczego? Nie zależy ci na naszej rodzinie? Tak mi odpłacasz za lata wychowania?

– Nie będę płacił za ukrywanie grzechów mojego brata!

Leokadia nachmurzyła się jeszcze bardziej.

– Jak myślisz, dlaczego Ignacy był taki nieszczęśliwy? Dlaczego szukał pocieszenia w ramionach innej kobiety?

– Uważasz, że to wina Rozalii?

– Oczywiście! Ta Francuzka zniszczyła mu życie i reputację. Nie mógł pokazać się z nią publicznie. Wstydził się jej!

– Bo ją okaleczył!

Leokadia pobladła.

– Nie oskarżaj swojego brata! On nie żyje i należy mu się szacunek!

Gustaw skrzywił się z goryczą.

– A co powiesz o szacunku do jego żony, kiedy Ignacy ją bił i okaleczał?

Palce Leokadii na paciorkach różańca przebiegały z zawrotną szybkością.

– Nie było cię tu i nie widziałeś, jak potrafiła doprowadzić go do ostateczności. On taki nie był! To był dobry, wartościowy człowiek. Wszyscy go poważali, ale ta kobieta sprowadzała go na manowce! Mieszkałam z nią przez pięć lat pod jednym dachem i to, czego się napatrzyłam, woła o pomstę do nieba! Nie wiem, czego uczyli jej w tej Francji, ale zachowywała się jak histeryczka! Nigdy nie powinnam zgodzić się na to małżeństwo! Przez nią mój syn cierpiał!

– Nie miałaś na to wpływu, mamó. Ignacy nie pytał cię o zdanie.

Te obcesowe słowa wyraźnie uraziły Leokadię, bo matka odwróciła się do niego plecami i jakby zgarbiła pod naporem usłyszanych słów. Gustaw nie czuł się jednak winny. Denerwowała go krótkowzroczność matki, która nie dostrzegała zła i hipokryzji, które królowały pod jej dachem. Lub nie chciała ich dostrzec.

– Ksiądz żalił się, że Rozalia od dawna nie chciała się spowiadać. Pewnie miała tyle grzechów na sumieniu, że wstydziła się klęknąć w konfesjonale. Nawet dziecka nie potrafiła mu urodzić! Co to za żona, co dziecka nie rodzi? Sam widzisz, że Ignacy mógł mieć dzieci, ale ta kobieta... Biedak poznał się na niej, ale było już za późno...

Gustaw mimochodem zauważył, że jego siostra przysłuchiwała się wszystkiemu w milczeniu, z nikłym zainteresowaniem. Wyglądała, jakby za chwilę miała zasnąć, choć rozmowa między Gustawem a matką była dość burzliwa.

– A co ty o tym myślisz? – zapytał Adę, zaskakując tym sam siebie. Nigdy nie pytał siostry o zdanie. Ona sama chyba była zdumiona, bo popatrzyła na niego ze zdziwieniem, wyrwana z marazmu.

– Nie wiem... – odparła słabo, ledwo słyszalnym głosem.

– Zrzekniesz się majątku dla Rozalii?

– Oczywiście, że nie! – rzuciła gwałtownie matka, nawet nie patrząc na córkę.

– Mamo, pytam Adę, nie ciebie – upomniał ją Gustaw.

– Ona nie ma tu nic do powiedzenia!

– Część majątku należy do niej.

– Co nie znaczy, że sama może o tym decydować! – obruszyła się Leokadia. – Jest na to za młoda. Wyjdzie za mąż, to będzie zabierać głos.

– Wtedy to jej mąż będzie decydował – odparł Gustaw z przekąsem.

– I co w tym złego? Dziewczyna powinna znać swoje miejsce. Pielęgnowanie cnót niewieścich to nasz moralny obowiązek, a nic tak nie pomaga cnotcie jak przykładowy mąż.

– Pod warunkiem, że ten przykładowy mąż nie zdradza swojej żony, jak to robił Ignacy. Ta rozmowa nie prowadzi do niczego dobrego, mamo, a skoro tak boisz się skandalu, oddanie Rozalii jej

części majątku to jedyne rozsądne wyjście. Nie zaprzeczysz przecież, że była twoją synową przez pięć lat.

Leokadia zadygotała ze złości.

– Wstydz się! Bronisz tej kobiety, choć wiesz, co to za jedna! Widzę, że i ciebie zdążyła omamić. Oplotła cię swoimi mackami tak bardzo, że nawet chciałeś się z nią ożenić! Mój Boże! Dobrze, że do tego nie doszło!

– Już mówiłem, że Rozalia nie była zainteresowana małżeństwem ze mną – rzucił mężczyzna, z trudem tłumiąc gniew. Nie lubił, kiedy matka mu to wypominała, ale z drugiej strony traktował tamto zdarzenie jak kartę przeciwko niej.

– To tylko cyniczna gra z jej strony. Jeszcze cię zmanipuluje i pobiegiesz do niej jak pies do suki! Już ja ją znam!

Gustaw poczerwieniał na twarzy. Nawet Ada uniosła brwi, zaskoczona niewybrednym językiem matki, która już nie przebierała w słowach.

– Sam widzisz, że coś jest na rzeczy. Złóścisz się, jak o niej mówię! – rzuciła Leokadia sucho.

– Złószczę się, bo mnie obrażasz, mamo!

– To nie przynoś mi wstydu! Dlaczego dotąd nie znalazłeś sobie żony? Wszyscy mnie o to pytają! Sprawa z Amelią była dawno temu, powinieneś już otrząsnąć się z tej głupiej miłostki. Masz dwadzieścia dziewięć lat i nawet nie pomyślisz, że już najwyższy czas się ustatkować! Dom, żona, dzieci... Czy ja naprawdę za dużo od was wymagam? Czy nie mam prawa zażyć spokojnej starości z wnukami u boku?

Gustaw wstał. Skłonił się sztywno przed matką i siostrą i wyszedł z salonu. Był wzburzony. Gniew narastał w nim z każdą minutą coraz bardziej. Zgodził się na prośbę Rozalii, ale zaczynał tego żałować. Co go obchodziło, że Ignacy miał kochankę i dziecko? Co go obchodziła Rozalia? Czy nie dość mu było własnego życia, że jeszcze postanowił mieszać się w czyjeś?

„Muszę jak najszybciej wrócić do Brześcia” – pomyślał. Tam był jego dom i jego miejsce. Tam byli jego pacjenci, którzy czekali na niego. Był lekarzem i tylko o tym powinien myśleć i pamiętać.

\* \* \*

Adrianna Lubowidzka uważała swoje życie za szare i pozbawione sensu. Pomimo dwudziestu lat nie dostrzegła barw życia, jakie toczyły młode panny w jej wieku. Wciąż czuła, że nie jest dość dobra, nie dość wyjątkowa, żeby zasłużyć sobie na coś więcej niż pusta, jałowa i bezsensowna egzystencja w Kargominie. Nie była również piękna ani nawet ładna. Była nijaka. Pospolita. Jediną jej zaletą było to, że wywodziła się z rodziny Lubowidzkich, a przez to postrzegano ją jako dobrze wychowaną, dość majątną pannę, która znajdzie właściwego sobie kandydata na męża. Tylko że w tym wszystkim nie było jej. Była niewidzialna.

Jej bracia to co innego – obaj przystojni, wzbudzający powszechne zainteresowanie, wykształceni. Zarówno Ignacy, jak i Gustaw nigdy nie musieli się zbytnio wysilać, żeby zasłużyć na uznanie. Już samo nazwisko Lubowidzkich budziło ogólny szacunek z racji tego, że niegdyś ich ojciec też służył w wojsku. Rodzice byli dumni z synów, a matka głośno wyrażała wszem wobec swoje uznanie zwłaszcza dla Ignacego, który jeszcze będąc studentem na paryskiej Sorbonie, doszedł tak daleko, że bez trudu rozpoczął karierę polityczną jako uczeń i protegowany samego Romana Dmowskiego. Gustaw nie inaczej – może w młodości nieco bardziej porywczy od Ignacego, nie tylko ukończył z wyróżnieniem medycynę, ale i w mig odnalazł się w wojsku, gdzie szybko awansował do stopnia kapitana i został w wielkiej wojnie oficerem dowodzącym armii generała Hallera. Za to Ada w niczym nie przypominała żadnego z braci – była raczej szarą myszką, żyjącą w ukryciu pod czujnym okiem swojej surowej matki. A ta dbała, żeby dziewczynka zawsze była

schludnie ubrana, miała doskonałe maniery, uczyła się gry na fortepianie i nie wyrażała własnego zdania, kiedy jej o to nie proszono. A że nie proszono jej o zdanie nigdy, to Ada wszystkie swoje myśli skrywała głęboko w sobie, tłumiąc żal, złość, strach czy smutek. Długo nie wolno jej było bywać w towarzystwie, bo Leokadia Lubowidzka nie życzyła sobie, żeby córka psuła sobie reputację. Pozwolono jej jedynie raz na jakiś czas na wieczorku towarzyskim zagrać coś na fortepianie, bo to akurat wychodziło Adzie znakomicie.

Znudzona życiem w prowincjonalnym Kargominie, pozbawiona wszelkich rozrywek i bodźców, jakie potrzebne są młodym ludziom do wesołości, Ada zamykała się w swoim pokoju i bez końca czytała książki. Najpierw tylko te, które polecała jej prywatna guwernantka; wreszcie zaczęła pochłaniać okazałą bibliotekę ojca. Robiła to jednak w ukryciu, bez wiedzy i zgody rodziców. Najbardziej zafascynowała ją literatura Elizy Orzeszkowej i Marii Konopnickiej. Obie panie w swoich utworach piętnowały poddańczą głupotę kobiet i namawiały je do samodzielności, a nawet podejmowania pracy dla własnej niezależności – i to najsilniej działało na wyobraźnię młodej dziewczyny. Poglądy pozytywistycznych autorek były tak różne od tego, czego uczyła ją matka, i równocześnie tak fascynujące. Życie dziewczyny nabrało nieco barw dopiero, kiedy Lubowidzcy zgodzili się wysłać ją do prywatnej szkoły w Poznaniu. Tam poznała świat wiedzy, sztuki i filozofii, o jakich istnieniu nie miała pojęcia. Oszołomiona nagłą wolnością, odbierała wszelkie bodźce, zarówno intelektualne, jak i towarzyskie. Wprawdzie nie mogła uczestniczyć w żadnych zabawach z młodzieżą, bo to było w szkole surowo zabronione, ale poznała tam chłopców i dziewczęta, ludzi takich jak ona – młodych, żądnych wiedzy, ciekawych świata, gotowych na eksplorowanie intelektualnych meandrów. Wnikliwie studiowali wiedzę z książek i gazet, toczyli dyskusje i spory na różne tematy, śmiali się i rozmawiali nawet o polityce, choć Adzie



wciąż wypominano, że nie powinna nic mówić, bo przecież ma brata polityka i może mu czymś zaszkodzić. Nikt za to nie patrzył na jej ewidentny brak urody – tam nie była wyłącznie panną, kandydatką na żonę. Była kimś. Czuła się kimś. To był dla niej wyjątkowy czas, owocny, szczęśliwy, który jednak skończył się tak samo szybko, jak zaczął. Trzy lata od przyjęcia Ady do szkoły Leokadia kategorycznie zażyczyła sobie, żeby córka wróciła na stałe do Kargomina. Nie ukrywała, że zamierza przygotować Adę do przyszłego zamążpójścia, a głupoty szkolne nie są jej do tego potrzebne. Dziewczyna pod przymusem wróciła do domu rodzinnego, choć czuła, że z chwilą opuszczenia murów szkoły jej życie przestało mieć jakikolwiek sens. Nie czekała na to tajemnicze szczęście, którego – według powszechnych głosów – mogła zaznać jedynie u boku męża. Nie chciała tego. Wzdrygała się na samą myśl, że być może będzie zmuszona przechodzić taką samą małżeńską gehennę, jaką przez lata znosiła jej bratowa Rozalia. Napatrzyła się zbyt wiele. Za dużo słyszała. I zbyt często musiała udawać, że jej to nie rusza, żeby teraz ze spokojem oczekiwać od życia tego samego. I znowu popadła w apatię, dziwne odrętwienie spowodowane bezsensownością dnia, z nostalgią wspominając czas, kiedy mogła bez przeszkód wyrażać swoje opinie wśród szkolnych kolegów.

Gustaw znalazł ją siedzącą w ogrodzie, w cieniu rozłożystego kasztanowca. Jak zwykle coś czytała. Wyglądała niezwykle skromnie w czarnej, prostej sukience, podkreślającej bladość jej cery. Nawet włosy splecione w węzeł miała przewiązane czarną aksamitną wstążką, która według matki dobrze wyrażała żalobę.

– Zabierz mnie ze sobą – rzuciła nagle, bez wstępów, kiedy brat się do niej zbliżył. Widziała, że się zdziwił.

– Do Brześcia?

– Nie, do Warszawy. Chciałabym pójść na uniwersytet. – Kiedy to powiedziała, na jej blade policzki wystąpił ognisty rumieniec.

Gustaw uśmiechnął się krzywo. Usiadł na ławce obok niej.

- I co ci po tym uniwersytecie?
- Chcę się uczyć. Studiować. Chcę być prawniczką.
- Ty? Prawniczką?
- Będę bronić biedoty.

Gustaw zaśmiał się z ironią.

– I sama będziesz klepać biedę, bo biedota ci za usługi nie zapłaci.

– Przestań! Mówię poważnie! Ty mogłeś się uczyć. Ignacy też. A ja siedzę w domu z matką i uczę się haftów i rysunku. Na co mi hafty i rysunek?

– Inne panny też to robią.

– Inne panny są głupie! – rzuciła opryskliwie. – Myślą tylko o tym, kiedy znajdą męża. Już nawet nie spotykam się towarzysko z Zosią Pilecką, bo ona też gada tylko o tym, że za miesiąc wychodzi za męża. Matka chce mnie wydać. Teraz dała spokój, bo mamy żałobę, ale w przyszłym roku odda mnie bez dwóch zdań.

Gustaw uśmiechnął się pod nosem.

– A co w tym złego?

Ada wzruszyła ramionami, ale jej usta wykrzywiły się w jakimś bolesnym grymasie.

– Nie chcę być jak Rozalia. – Popatrzyła bratu w oczy. – On ją bił. Bardzo. Widziałam to i słyszałam. Słyszałam jej krzyki i płacz. Nieraz błagała go, żeby tego nie robił, ale on wtedy wpadał w jeszcze większy szał. Mówił, że go prowokuje. Kiedyś pobił ją tak mocno, że dwa dni leżała bez życia.

– Dlaczego nie napisałaś mi o tym wcześniej? Przyjechałbym. – Głos Gustawa pod wpływem wzburzenia stał się nienaturalnie ochryply. Widziała, że jego ładne dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści.

– I co byś zrobił? Była przecież jego żoną, a Ignacy był naszym bratem. Nie miałaś prawa się wtrącać. Mama prawie nigdy się nie wtrącała i mi też kazała siedzieć cicho, nawet jak chciało mi się płakać ze strachu.

– Nie wiem, co bym zrobił. Może mógłbym temu zapobiec.

Popatrzyła na niego z błyskiem w oczach.

– Teraz masz szansę zapobiec kolejnej katastrofie. Nie pozwól, żeby matka wydała mnie za męża.

– Ada...

– Zrzeknę się tej części. Oddam Rozalii pieniądze, ale zabierz mnie ze sobą.

Westchnął. Jego opór ją przytłaczał i zrozumiała, że nie ma szans. Nie był po jej stronie.

– Nie mogę. Nie mógłbym się tobą zająć. Muszę wrócić do Brześcia – rzekł, zgodnie z jej przewidywaniami.

Ada miała ochotę wybuchnąć złością, może nawet zacząć płakać albo wręcz błagać brata. Ale zamiast tego tylko spuściła głowę i, zupełnie go ignorując, wróciła do lektury.

– Może kiedyś... – zreflektował się. – Pomyślę o tym. Obiecuję.

Ale ona już na niego nie patrzyła. Zbyła go. Skoro nie chciał jej pomóc, to ona też nie miała mu nic więcej do powiedzenia.

Na drugi dzień rano, bez emocji, oświadczyła, że odda swoją część pieniędzy bratowej.

– Niech to będzie rekompensata za to, że nigdy nie stanęliśmy w jej obronie – rzuciła chłodno.

\* \* \*

Rozalia wkroczyła do saloniku ciotki Klary z kilkoma listami w dłoni.

Klara raczyła się właśnie jakimś wyjątkowo wybornym winem, bo minę miała iście rozanieloną, i rozparta wygodnie w fotelu, machała stopą w takt muzyki płynącej z gramofonu.

– Ciociu, kim jest Maria Witebska? – zapytała Rozalia bez ogródek.

Już od jakiegoś czasu ogromnie ją to intrygowało, ale nauczona upominaniem Leokadii Lubowidzkiej, że nie powinna się wtrącać

w nie swoje sprawy, nigdy nie podjęła tego tematu. Patrzyła tylko co dzień, jak na stoliku w korytarzu piętrzy się korespondencja adresowana na to właśnie nazwisko. W końcu jednak nie wytrzymała i ciekawość wzięła górę, zwłaszcza że, gdy zapytała o to kamerdynera, ten z poważną miną jedynie zmierzył ją zdumionym wzrokiem.

Na ustach Klary czaił się delikatny uśmiech.

– To wprost zadziwiające, że zapytałaś mnie o to dopiero teraz.

Rozalia uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

– Nie chciałam być wścibska, ale ciągle przychodzi tu mnóstwo listów na to nazwisko.

– No tak. To do mnie. Maria Witebska to ja.

– Ty? – Rozalia bezwiednie usiadła na sofie z listami w dłoni. – Ale jak? Dlaczego?

– Och, to mój... Pseudonim artystyczny, czy jak to się tam nazywa. No po prostu, inne nazwisko.

– Ale po co? Od kogo są te listy? Codziennie przychodzi ich mnóstwo! Czytasz to wszystko?

Klara westchnęła i upiła łyk wina.

– Powinnaś była powiedzieć ci od razu, ale nie wiedziałam, jak to przyjmiesz. W końcu byłaś żoną... Wiesz kogo. Maria Witebska to pseudonim, którym się posługuję w mojej pracy. Jestem redaktorką gazety „Głos Kobiet”.

– Co takiego? – Rozalia nie dowierzała temu, co właśnie usłyszała – Ty, ciociu? Redaktorką?

– A myślisz, że stać by mnie było na takie życie wyłącznie z renty po rodzicach? Przecież nie mam męża, który mógłby mnie utrzymywać. Od kilku lat redaguję gazetę wraz ze swoją serdeczną przyjaciółką, hrabiną Zofią Czarnecką.

– Tą od bugatti?

– Dokładnie tą. Oczywiście jej mąż nie ma o niczym pojęcia, bo gdyby się dowiedział... Biedak nie jest już młody i mógłby zejść na

zawał... Zofia ma spore możliwości finansowe i to pomaga nam w utrzymaniu gazety. Poza tym... Kocham to, co robię.

– Ale... czemu jako Maria Witebska?

– Bo gdybym robiła to pod własnym nazwiskiem, wybuchłby skandal. Nasza gazeta jest dość... Specyficzna. Mało tam przepisów na wypieki i porad, jak czyścić srebra. Za to sporo myśli rewolucyjnej. Piszemy o sprawach kobiet w sposób prosty, ale i szokujący. Mówimy o ich problemach i potrzebach. Seks, ciąża, antykoncepcja, bezpieczna aborcja. Kobieta ma prawo decydować o własnym ciele, bez rozporządzania nim przez mężczyzn, którzy później wypierają się ojcostwa.

Rozalia otworzyła usta ze zdumienia.

– Jesteś niesamowita!

Klara zmarszczyła brwi.

– Nie ma w tym nic niesamowitego. Po prostu ja i moje redakcyjne koleżanki uważamy, że kobiety mają prawo do rzetelnej wiedzy na temat swoich spraw. Pomagają nam zaprzyjaźnieni lekarze i inni specjaliści w danej dziedzinie. Oczywiście ich nazwiska nigdy nie zostaną ujawnione, bo to przekreśliłoby ich karierę, a na nas sprowadziło nie lada kłopoty... – Klara westchnęła. – Ten kraj wciąż nie jest gotowy na prawdę, postęp i wolność. Wciąż żyjemy wciśnięci w karby zasad moralnych, które nijak się mają do prawdziwego życia. Kobieta nie ma prawa decydować o sobie, bo mąż utrzymuje ją finansowo i decyduje, jak ma wyglądać, w co się ubierać i z kim spotykać. Nawet co ma czytać! Jakby kobieta nie miała własnego rozumu! Jakby wypuszczona na wolność nagle nie potrafiła się odnaleźć! Brak rzetelnej wiedzy i edukacji naraża kobiety na poniżenie i gwałty.

– Wiem o tym aż za dobrze – wtrąciła Rozalia z goryczą.

– Właśnie. A nie powinno tak być! Znam wiele mądrych, przedsiębiorczych kobiet, które chcą dać świadectwo, że mamy prawo do decydowania o sobie. Polska jest na etapie rozwoju, więc

my, jako obywatelki, musimy głośno domagać się istnienia w tym państwie. Nie można nas ignorować! Musimy dawać świadectwo, że kobieta jest ważna i jej głos jest ważny. Moja gazeta to robi.

– A te listy? – Rozalia wskazała na koperty. – Od kogo są?

– Od kobiet. Od naszych czytelniczek. Piszą o swoich problemach i oczekują pomocy. Czytam je wszystkie i staram się odpowiadać na łamach „Głosu Kobiet”. Niejeden raz udało nam się uchronić kobietę przed tragedią, a nawet... samobójstwem. Oczywiście nie piszemy tylko o trudnych i smutnych rzeczach. Znajdzie się i coś o modzie, i o muzyce, sztuce i poezji. Prowadzimy wywiady z aktorkami. Ostatnio na rozmowę z nami zgodziła się Zula Pogorzelska. Cóż za wspaniała kobieta! Jej ojciec był lekarzem, więc sporo problemów kobiet jest jej znanych.

– Nie mogę uwierzyć, że robisz to wszystko! Ojciec nigdy...

– Twój ojciec nie ma o tym pojęcia i lepiej, żeby tak zostało. Moja działalność ma sens, bo robię to incognito. I tak przychodzi do naszej redakcji sporo anonimów z pogrózkami, że mamy wstrzymać wydawanie tej gazety z piekła rodem i zamknąć redakcję, bo inaczej spłonimy na stosie publicznej hańby i ośmieszenia.

Rozalia popatrzyła na nią z podziwem. To wszystko nie mieściło jej się w głowie.

– Skąd masz w sobie tyle odwagi?

Klara się roześmiała. Podniosła się z fotela, odstawiła na stolik kieliszek z winem i zaczęła tańczyć wokół pokoju w rytm płynącej muzyki. Rozalia wodziła za nią wzrokiem. Cóż to był za luz! Jaka radość i zadowolenie z siebie!

– Robię to z miłości do życia, moja duszko! Bo chcę, żeby było lepsze, piękniejsze!



## ROZDZIAŁ 7

Zuzanna była zdziwiona, kiedy się okazało, że drzwi do jej mieszkania są otwarte. Mogłaby przysiąc, że wychodząc, zamknęła je na klucz. Trzymając za rękę Lili, weszła do środka; jej oczom ukazała się szperająca w jej osobistych rzeczach Romana Stawecka. Właścicielka kamienicy nawet nie siliła się na zachowanie pozorów. Bezczelnie pootwierała wszystkie szafki i szuflady i powyrzucała ich zawartość na podłogę.

– Co pani robi?!

Kobieta sapnęła i popatrzyła na Zuzannę z grymasem drwiny na spuchniętej i czerwonej od emocji twarzy.

– Szukam, czy nie masz tego więcej. Widzę, że ten twój kochanek jednak nie zostawił cię bez grosza przy duszy. Znalazłam całkiem niezłą sumkę.

Zuzanna zbladła, patrząc na gruby, owinięty papierem pakunek w dłoni Staweckiej. Były to banknoty, które parę dni temu otrzymała od Rozalii Lubowidzkiej – cały majątek, jaki obecnie posiadała. Właśnie wracała ze spotkania z właścicielem nowego mieszkania, które zamierzała wynająć, by jak najszybciej uciec z tej śmierdzącej i ciasnej nory.

– Proszę mi to natychmiast oddać!

– Chyba żartujesz! Nie zamierzam ci niczego oddawać, bo te pieniądze należą się mnie! Przez tyle lat pozwalałam ci tu mieszkać za marne grosze z tym bachorem i jeszcze tolerowałam



tego kochasia od siedmiu boleści, który przyjeżdżał do ciebie jak do kurwy tym swoim luksusowym samochodem i nie raczył nawet grosza zapłacić za usługi, które mu świadczyłaś w moim mieszkaniu! Za takie rzeczy to się w burdelu płaci, moja droga!

Zuzanna oblała się szkarłatem, a Lili, uczepiona sukienki matki, zaczęła płakać.

– Niech pani to odda albo zadzwonię na policję!

– Ależ dzwoń, ty głupia ladacznico! I co im powiesz? Że ci pieniądze zabrałam? To ja im powiem, że się prostytuowałaś, a to, jak wiesz, jest surowo karalne! I co zrobisz z dzieckiem? Oddadzą je do przytułku! Ot, co!

Zuzanna objęła mocniej dziecko ramieniem, dygocząc ze zdenerwowania. W końcu doskoczyła do Staweckiej, próbując wyrwać jej z ręki pakunek z banknotami, ale tamta rąbnęła ją pięścią w twarz z taką siłą, że Zuzanna zachwiała się i upadła na ziemię.

Lili z histerycznym płaczem dopadła do matki.

– Mamuniu!

– To nic, córciu. Nic mi nie jest – uspokajała córkę drżącym głosem, choć czuła, że z kącika jej ust wypływa strużka krwi. Językiem wybadła pęknięty ząb.

– Wynoś się stąd, ty kurwo, albo zawołam moich synów! Oni nie będą się z tobą cackać jak ja!

Zuzanna ciężko wstała z podłogi.

– Te pieniądze są moje. Potrzebuję ich – wycharczała.

– Gównu potrzebujesz! Chcesz pieniędzy? To znajdź sobie nowego gacha, który będzie ci płacił! Zabieraj się stąd i nie wracaj!

Lili płakała przeraźliwie, uczepiona rączkami spódnicy matki, aż dostała nagłego ataku hysterii.

Zuzanna zrobiła krok do przodu, chcąc minąć kobietę, ale ta zaszła jej drogę i popatrzyła zimno w oczy.

– Mówiłam, żebyś się stąd zabierała! – syknęła.

- Muszę wziąć swoje rzeczy.
- Nic nie musisz! Wynoś się! Ale już!

\* \* \*

Lato minęło tak szybko, jak się pojawiło, i nadeszła deszczowa jesień. Wrzesień nie rozpieszczał aurą – ciągle deszcze i wilgotne mgły zwiastowały rychłe nadejście zimnej pory. Do Warszawy ciągnęły rzesze urlopowiczów, którzy letni czas spędzali z dala od miasta. Bulwary i parki złote od jesiennych liści, zaludniły się od szkolnej młodzieży, a klubokawiarnie wypełnili głośni studenci. Dyskutowano głównie o tym, że piątego września podczas otwarcia Targów Wschodnich we Lwowie, terrorysta z Ukraińskiej Organizacji Wojskowej dokonał nieudanego zamachu bombowego na polskiego prezydenta, Stanisława Wojciechowskiego. Podnosiło się coraz więcej zaniepokojonych głosów, a studenci organizowali uliczne demonstracje przeciwko opieszałości władzy względem anarchistów. Przy tej okazji wspomniano również morderstwo Ignacego Lubowidzkiego sprzed kilku miesięcy i to, że wciąż nie złapano sprawcy, oraz dawny, nieudany zamach na Józefa Piłsudskiego we Lwowie. Atmosfera stawała się coraz cięższa, podsycana nienawiścią do obcych, zwłaszcza przybyszy ze wschodu, których coraz bardziej się bano. Ludzie oczekiwali, że ktoś w końcu zrobi z tym właściwy porządek. Tylko nie wiedzieli najważniejszego: kto miałby to być i co to znaczy właściwy porządek.

Rozalia podchodziła do tych wszystkich informacji z chłodnym dystansem. Policja od tygodni, a właściwie miesięcy, nie dawała żadnego znaku, że coś ruszyło do przodu, a ona też szczególnie o to nie zabiegała. Pojawiły się nawet spekulacje, że może morderca dawno już nie żyje, bo przecież to niemożliwe, żeby tak zapadł się pod ziemię. Rozalia odcinała się od plotek; próbowała

żyć z dala od tej sprawy, nie myśląc o zmarłym mężu i na siłę próbując wymazać jego obraz ze wspomnień.

Natychmiast po tym, jak otrzymała majątek od Lubowidzkich, odkupiła od ciotki Klary jej udziały w pałacyku „Magnolia” w Konstancinie.

Lubowidzcy przekazali jej spore pieniądze po Ignacym, choć sama Leokadia nie pojawiła się na przepisaniu majątku u notariusza. Zjawili się natomiast Ada i Gustaw. Oboje w trakcie spotkania nie wyrazili żadnego sprzeciwu w kwestii oddania Rozalii pieniędzy otrzymanych wcześniej od Ignacego, a wola Leokadii Lubowidzkiej dotarła listownie spisana jej ręką i sygnowana przez miejscowego notariusza.

Rozalia nie zastanawiała się nad tym, jak Gustawowi udało się przekonać matkę do przekazania majątku. Była mu jedynie wdzięczna, choć nie starała się tego okazywać zbyt wylewnie. Kiedy zaproponował jej wspólny obiad dla uczczenia tego wydarzenia, oschle i stanowczo odmówiła. Zrobiła to przez wzgląd na siebie, bo nie zamierzała pozwolić, żeby jakikolwiek mężczyzna ponownie zawładnął jej myślami. A tak mogłoby się stać, gdyby pozwoliła Gustawowi na niewielką nawet zażyłość. Miała tego świadomość, bo samotność była najdłuższym cieniem, który kładł się na jej obecnym życiu, a do tego Gustaw przyciągał ją do siebie w jakiś dziwny, nieoczekiwany sposób.

Feliks Tyszkowski – ojciec Rozalii – przepisał na córkę część udziałów w pałacyku „Magnolia”, które posiadał na wyłączność, ale w liście do niej ani słowem nie nawiązał do tego, że przed kilkoma miesiącami została wdową i być może powinna wrócić do Francji. Nie zaproponował również opieki ani pomocy. Jego list był rzeczowy, lecz obojętny.

Matka wciąż się nie odzywała, jakby los córki zupełnie jej nie interesował, co ogromnie zdumiewało Rozalię. Zawsze miała z *maman* ciepłe stosunki i nigdy nie dochodziło między nimi do nieporozumień ani zgrzytów. Mama była kochająca i czuła.

Dlaczego więc teraz Alice milczała jak zaklęta, nie wyrażając ubolewania nad sytuacją córki?

Rozalia ostatecznie podjęła decyzję o pozostaniu w Warszawie i wyjazd do Francji odłożyła na późniejszy czas, co ją samą nieco zaskoczyło. Odbudowa pałacyku „Magnolia” pochłonęła ją bez reszty. A ten okazał się piękniejszy, niż to sobie wyobrażała, choć również ogromnie wymagający.

Wynajęła robotników budowlanych i z entuzjazmem zabrała się za remont całego budynku, obiecując sobie, że zaniedbanym ogrodem zajmie się na wiosnę. W nadzorowaniu prac remontowych pomagała jej niezawodna ciotka Klara, która podsuwała jej coraz to nowsze magazyny wnętrzarskie z nowoczesnymi aranżacjami. Wpierw jednak Rozalia skupiła się na odnowieniu ścian i podłóg, a także podłączeniu elektryczności i nowej kanalizacji, która miała służyć w trzech luksusowych łazienkach. Tę największą, sąsiadującą z pokojem z widokiem na ogród, wybrała dla siebie i urządziła tak, żeby stanowiła jej osobiste, intymne królestwo: z ogromną porcelanową wanną, patynowanymi kranami i lustrami weneckimi w mosiężnych ramach. Specjalnie zaprojektowane półki miały służyć do przechowywania niezliczonej ilości pachnideł i aromatycznych olejków, które Rozalia uwielbiła, a które Ignacy uważał za zbędną i szkodliwą kobiecą fanaberię. Kiedy po raz pierwszy użyła przy nim pachnidła, skrytykował ją ostro, mówiąc, że tylko dziwki używają perfum, a przyzwoitej kobiecie to nie przystoi.

– We Francji wszyscy kochają perfumy.

– Nie jesteśmy we Francji, tylko w Polsce – przypomniał jej wtedy.

Jedno pomieszczenie, do którego wchodziło się od tyłu, niegdyś będące służbówką, Rozalia przeznaczyła na przyszłą pracownię perfumierską. W głowie wirowało jej od pomysłów i już nie mogła się doczekać, aż zamknie się we własnych czterech ścianach i zacznie tworzyć, łączyć, kreować. W Kargominie przez lata nie

miała takiej możliwości, choć jej wyczulony zmysł węchu nie raz dopominał się o swoje prawa.

– Co też ci przyszło do głowy! – ubolewała Klara, patrząc z niedowierzaniem, jak bratanica przegląda fachową prasę na temat innowacji w produkcji perfum. – Nie możesz po prostu kupić sobie jakiegoś flakonika w perfumerii? Od razu musisz go sama wyprodukować?

– Muszę – kwitowała Rozalia, nie próbując nawet tłumaczyć ciotce, skąd u niej takie zamiłowanie do zapachów. Przecież to było takie oczywiste: skoro urodziła się i wzrastała w Grasse, nie mogło być inaczej! I ta miłość odzywała się w niej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Jakby właśnie w ten sposób miała odnaleźć samą siebie. W wolnych chwilach, wieczorami, siadała nad notesem Vincenta Lamara i zaczytywała się w recepturach, zapominając o bożym świecie. Próbowала również raz na zawsze zapomnieć o Ignacym, ale jego cień wciąż za nią podążał, wywołując bolesne wspomnienia. Z tego też powodu stroniła od ludzi i nie dała się ciotce Klarze wciągnąć w wir towarzyskich spotkań, choć ta namawiała ją wielokrotnie.

– Chociaż do kina byś ze mną poszła. Byłaś w nim kiedyś? To pierwszorzędna rozrywka, i do tego taka modna! W Paryżu wszyscy chodzą do kina!

– Nie mam ochoty – kwitowała Rozalia, ucinając rozmowę.

Pałacyk „Magnolia”, wyremontowany i pachnący nowością, powoli zaczął zapełniać się meblami głównie w stylu art déco, które wносиły do wnętrza świeży powiew nowoczesności i elegancji. Niektóre Rozalia sprowadzała z zagranicy, inne kupowała u lokalnych fabrykantów mebli. Przez cały ten czas wciąż mieszkała u ciotki Klary, która tak przyzwyczała się do obecności bratanicy, że nie wyobrażała sobie, by ta wkrótce miała się wyprowadzić. A Rozalia im dłużej przebywała z ciotką pod jednym dachem, tym lepiej poznawała jej osobliwy sposób egzystencji. Klara Tyszkowska nie żałowała sobie radości życia – spotykała się

z gronem przyjaciół, zabawiała się na przyjęciach z wątpliwej renomy artystami, którzy zażywali morfinę i pili absynt, zaczytywała się w żurnalach dla kobiet, i to głównie tych, które wybijały kobietom z głowy pogląd, że jedyną właściwą drogą dla panien jest zamążpójście i macierzyństwo. Może dlatego zaakceptowała to, że Rozalia postanowiła, podobnie jak ona, żyć w pojedynkę i już nigdy nie mieć męża. Jedyne, do czego bezustannie namawiała bratanicę, to żeby ta znalazła sobie kochanka.

– Zwiędiesz i w końcu uschniesz – powtarzała z nutką bezczelności i iskrą w oku. – Kobieta potrzebuje męskich ramion. Potrzebuje, żeby ktoś ją kochał i pieścił.

– Ja tego nie potrzebuję.

– Głupstwa gadasz!

– Do tej pory mężczyzna jedynie bił mnie i gwałcił – odpowiadała Rozalia z brutalną szczerością, ale ciotka się nie zrażała, bo przy kolejnych okazjach znów powtarzała jej, że powinna wziąć sobie młodego i przystojnego kochanka.

Dopiero po jakimś czasie Rozalia odkryła, że bezpruderyjna, bezwstydną i wiecznie zadowolona z siebie ciotka sama zmienia mężczyzn jak rękawiczki. To było nie do pomyślenia! Pozwoliła sobie nawet na pozowanie nago jednemu młodemu artyście malarzowi z Akademii Sztuk Pięknych, który, zauroczony dojrzałą urodą Klary, nie mógł się oprzeć jej wdziękowi i jeszcze tego samego wieczora wylądowali w łóżku.

– Och, duszko. Nie bądź taka zachowawcza. To, że ty nie masz ochoty na przyjemności, nie oznacza, że ja też mam ich sobie odmawiać. W końcu życie ma się tylko jedno.

Wraz z nadejściem zimy i Bożego Narodzenia Rozalia zdecydowała się wreszcie zamieszkać we własnym, odremontowanym pałacyku w Konstancinie.

– Bój się Boga! I co tam będziesz robiła! Sama! – zdziwiła się Klara, kiedy Rozalia poinformowała ją o planie przeprowadzki.

– Zaproszę cię na bożonarodzeniowy obiad.

– Co to, to nie, moja kochana. Wybieram się na przyjęcie świąteczne do Lidii Roszkowskiej.

– Lidia Roszkowska? Czy to nie przypadkiem żona tego deputowanego, co się tak o wszystko wyklóca w sejmie?

– Ta sama. Jej świętojebliwy mąż, podobnie jak twój nieboszczyk, znalazł sobie kochankę. Lidia tak się wściekła, że wywalila go na zbity pysk! Nie słyszałaś o tym? Cała Warszawa o tym huczy!

– Nie mam czasu na plotki.

– A sama chciałaś stać się ich królową. Nie zapominaj, że jeszcze parę miesięcy temu byłaś gotowa obwieścić światu, że twój wspaniały mąż miał kochankę.

„Ale nie musiałam tego robić” – pomyślała Rozalia. Dość łatwo udało jej się odzyskać pieniądze od Lubowidzkich, w dodatku Zuzanna Grabińska po przyjęciu swojej części – tak jak obiecała – zamilkła. Nie poszła do prasy, nie rozpowiedziała wszystkim, że jest matką nieślubnej córki Ignacego. Rozalia widziała się z nią ostatni raz we wrześniu, kiedy kobieta zamierzała wyprowadzić się z mieszkania na Karowej. Twierdziła, że poszuka sobie z Lili innego, przyjemniejszego lokum. Rozalia nie dowiedziała się jednak, gdzie zamieszkały. Żałowała trochę, bo pomyślała, że mogłaby od czasu do czasu odwiedzić dziewczynkę. Polubiła ją. Mała wywoływała w niej nieznanę dotąd uczucie tkliwości, które ją samą ogromnie zaskakiwało. Jednak z biegiem czasu tak bardzo pochłonęły ją prace w pałacyku, że zapomniała zarówno o Lili, jak i o kochance męża i nie poświęcała im już ani minuty podczas swoich rozmyślań.

\* \* \*

Adwokat Julian Paluszkiewicz nie znał bardziej parszywego miejsca niż przytułki dla bezdomnych. Nienawidził tam chodzić.

Nienawidził widoku ludzi, którzy nie mieli nadziei na lepszy los. Nie patrzył tym biedakom w oczy, bo ich spojrzenia zostawały z nim na długo i nawiedzały go często, nawet w snach. Przychodził tu jednak, ponieważ czuł wewnętrzną potrzebę pomocy innym. Nie mógł opłacić tym ludziom dachu nad głową ani każdemu zapewnić jedzenia, ale raz w miesiącu, w ramach dobroczynności, oferował bezpłatne usługi prawnicze, które niejednemu pomogły odzyskać pracę, stracone mieszkanie czy ukradzione pieniądze. Ojciec drwił z tych jego praktyk, ale Julian nie umiał inaczej. Matka od dziecka powtarzała mu, że ludzie lepiej urodzeni są zobowiązani do pomocy tym, którzy nie mają zaradności życiowej. Spełniał więc swoją misję najlepiej, jak potrafił, uważając, że to uwalnia go również od zgryzoty samotności.

Szedł wolno między rzędami brudnych, śmierdzących pryczy. Było zimno, bo mróz na zewnątrz szczypał w uszy, a przytułek miał skromną ilość opału i nie mógł zapewnić swoim podopiecznym właściwego ciepła. Ktoś pociągnął go za marynarkę, ktoś inny zawołał: „Panie, pożycz pan grosza! Oddam, jak będę miał! Jak mamuszkę kocham!”, ale on tym razem nie zwracał na to uwagi. Nie zatrzymał się przy żadnym z tych biedaków. Stary dozorca prowadził go do kogoś, kto podobno potrzebował jego natychmiastowej pomocy.

– Taka mała ta dziewczuszka – tłumaczył mężczyzna. – Aż żal bierze. Jak czegoś się nie zrobi, umrze tu.

Dotarli na miejsce i Julian przystanął zaskoczony. Na wąskiej, brudnej pryczy, w pozycji półleżącej, siedziała młoda kobieta. Owinięta wełnianą chustą, w ramionach trzymała śpiacą, kilkuletnią dziewczynkę. Bez trudu rozpoznał tę kobietę, choć wyglądała dużo gorzej niż wtedy, kiedy widział ją po raz pierwszy.

Wolno wyciągnął rękę i by jej nie przestraszyć, delikatnie potrząsnął ją za ramię.



– Szanowna pani, pamięta mnie pani? Już się kiedyś spotkaliśmy.

Otworzyła piękne, zielone oczy. Jej wzrok był zamglony, jakby błądziła w innym świecie.

Julian poczuł, że coś ściska go za gardło.

– Latem. Na moście. Była ulewa i odwiozłem panią do domu – dodał.

Na początku kariery obiecał sobie, że postara się nie podchodzić do prowadzonych spraw osobiście, ale widok tej kobiety... Poruszył go do głębi. Zapamiętał ją z tamtego ulewnego dnia, jak stała zupełnie przemoczona i wpatrywała się w rzekę. Odniósł wtedy wrażenie, że chciała do niej wskoczyć. Przestraszył się; dlatego wybiegł z samochodu – żeby ją powstrzymać. Była taka śliczna i zarazem budząca litość. Teraz wydała mu się jeszcze bardziej krucha, niczym potłuczona porcelanowa lalka, pełna skaz i pęknięć, która rozpadnie się pod czyimś zbyt mocnym dotykiem.

Kobieta przez chwilę mrugała oczami. Dopiero po chwili się zorientował, że próbowała stłumić łzy.

– To pan... – wyszeptała łamiącym się głosem. – Jest pan moim aniołem stróżem?

– Zapewne. Jestem tu po to, żeby pani pomóc. Pani i pani córeczce.

Kobieta bezwiednie pogłaskała dziecko po bladym policzku. Dziewczynka spała, bo nie poruszyła się pod dotykiem matki, ale z jej usteczek wydobywała się malutka strużka pary.

– Proszę, niech pan znajdzie Rozalię Lubowidzką. Ona mi pomoże.

– Kogo?

– Rozalię Lubowidzką – powtórzyła kobieta z pewnym naciskiem. – To wdowa po Ignacym Lubowidzkim. Jeśli ją pan odnajdzie...

– Wiem, kto to jest – rzucił szybko, z roztargnieniem zastanawiając się, co ta kobieta z przytułku dla bezdomnych może

mieć wspólnego z Rozalią Lubowidzką.

– Powie jej pan o mnie? Ona mi pomoże.

Przytaknął.

– Powiem – obiecał.

– Nie wiem, gdzie mieszka – kontynuowała kobieta niemal szeptem. – Gdybym wiedziała...

– Jak się pani nazywa?

– Zuzanna Grabińska. – Jej głos się załamał. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale słabość odbierała jej mowę.

– Jadła coś dzisiaj? – To pytanie Julian skierował do dozorczy.

– Niewiele. Tu nie hotel, sam pan wie. A ona wszystko małej oddaje.

– Wrócę tu i pomogę pani – obiecał, ponownie pochylając się nad kobietą.

Nie miał jednak pewności, czy Zuzanna Grabińska go słyszy. Wyglądała tak, jakby zapadła w letarg.

– Lubowidzka. Będzie jej pan szukał? – wychrypiała nagle.

– Nie muszę. Wiem, gdzie jest.

\* \* \*

Rozalia zdziwiła się, widząc w progu mieszkania ciotki Klary nieznanego sobie mężczyznę, który w dodatku poinformował kamerdynera, że przyszedł nie do właścicielki, a do niej. Zmierzyła go szybkim, ale uważnym wzrokiem. Wydawał się być po trzydziestce, dobrze ubrany, elegancki, z twarzą poważną, lecz życzliwą. Przywitał się uprzejmie – najpierw z kamerdynerem, a później z nią i od razu kulturalnie przedstawił.

– Nazywam się Julian Paluszkiewicz. Jestem adwokatem.

– Czy my się znamy? – Rozalia nie kryła zdziwienia.

– Niezupełnie. Znałem pani zmarłego męża. Niegdyś przyjaźniłem się również z pani szwagrem. Razem służyliśmy w wojsku.

– Z Gustawem? – Nagle olśniło ją, kim jest stojący przed nią mężczyzna. Przypomniała sobie, że jednak kojarzy to nazwisko. To ten mężczyzna ukradł Gustawowi narzeczoną, Amelię Radkiewicz.

– Czy to pana żona...

Przytaknął.

– Była narzeczoną Gustawa. Pewnie pani wie, że Amelia i ja...

– Wiem – przerwała mu, nie mając ochoty wysłuchiwać niczyich zwierzeń. – Znam tę historię. – Zdziwiła się jednak, że mężczyzna o tak pospolitej powierzchowności zdołał Gustawowi odebrać narzeczoną. Nie był zbyt przystojny, raczej nie przyciągał uwagi, ale być może miał zalety, których nie widać na pierwszy rzut oka.

Julian wskazał gestem na bawialnię.

– Pozwoli pani, że wejdem? Chciałbym z panią o czymś porozmawiać. O czymś być może niecodziennym, ale niezwykle ważnym.

– Oczywiście.

Zaproponowała herbatę, ale odmówił, tłumacząc, że wstąpił tylko na chwilę.

– Przepraszam, że nachodzę tak bez zapowiedzi...

– Nie mieszkam u siebie. To mieszkanie mojej cioci, panny Klary Tyszkowskiej – wyjaśniła, kiedy usiedli na sofie.

– Wiem.

Zaskoczona, uniosła brwi.

– Więc jak mnie pan znalazł?

– Jak wspomniałem, jestem adwokatem. Znam wielu ludzi w Warszawie i znałem również pani męża. Przykro mi z powodu jego śmierci.

Zbyła to milczeniem.

– Wciąż nie lubi się pan z Gustawem? – zapytała z bezczelną ciekawością. – Bo wiem, że mój szwagier miał do pana ogromny żal.

– Nie rozmawialiśmy ze sobą od lat. Od czasu mojego ślubu z Amelią.

– To było krótko po tym, jak ja wyszłam za mąż za Ignacego?

– Tak. – Twarz mężczyzny, gdy o tym mówił, nie wyrażała żadnych emocji.

– Przykro mi z powodu śmierci pańskiej żony i dziecka – rzekła ze szczerym współczuciem.

– Dziękuję. Nauczyłem się z tym żyć, a raczej... Bez niej. Bez Amelii. Pani to co innego, pani niedawno straciła męża – zaakcentował słowo „niedawno”.

– I również uczę się żyć bez niego – odparła zimnym tonem, nie siląc się na fałszywą tęsknotę. – Więc co pana do mnie sprowadza? Bo chyba nie chce pan rozmawiać o moim mężu ani pańskiej żonie.

– To dość niecodzienna sprawa. Spotkałem dziś pewną kobietę. Prosiła mnie, żebym panią odnalazł.

– Mnie?

– Podobno pani ją zna. To młoda kobieta z córeczką. Na oko cztero-, pięcioletnią. Wiem, że mieszkały przy ulicy Karowej, przynajmniej tak twierdziła kobieta, o której mówię.

Rozalia wciągnęła głęboko powietrze.

– Zuzanna Grabińska.

– Więc zna ją pani?

– Tak. Spotkałyśmy się parę razy. A pan? Skąd pan wie, gdzie mieszkała?

– Latem odwiozłem ją do domu.

Rozalia skrzywiła się z przekąsem.

– I przyznaje się pan do tego tak zwyczajnie?

Paluszkiewicz poczerwieniał.

– To nie tak, jak pani myśli, nic nieprzyzwoitego. Spotkałem panią Grabińską podczas wielkiej ulewy. Była przemoknięta, a do domu miała spory kawałek... – urwał, widząc powątpiewającą minę Rozalii. – Nie musi mi pani wierzyć – skwitował. – Ale pani

Grabińska pilnie potrzebuje pomocy. Wraz z córką znalazła się w przytułku dla bezdomnych. Przebywa w przerażających warunkach, jest głodna...

– Jak to możliwe?! – Rozalia nie wierzyła własnym uszom.

Przecież nie dalej jak trzy miesiące temu zapłaciła Grabińskiej sporą sumę pieniędzy.

– Ta kobieta jest w tragicznym położeniu. Jeśli czegoś nie zrobimy, ona tam umrze, a wraz z nią to nieszczęśliwe dziecko.

Rozalia energicznie wstała z sofy i zaczęła krążyć po pokoju. Myśli przelatowały jej przez głowę lotem błyskawicy. Pomyślała o Lili – małej, słodkiej dziewczynce, która przecież była chora, wymagała opieki lekarskiej. Tak przynajmniej twierdziła Zuzanna. W przytułku dla bezdomnych nie miała najmniejszych szans na przeżycie.

– I poprosiła pana, żeby... – urwała, zatrzymując się w pół kroku i patrząc mężczyźnie w oczy.

– Tak. Błagała, żebym panią znalazł. Jestem gotów pomóc, mam możliwości, jestem adwokatem, ale sama pani wie, że nie mogę zaopiekować się samotną kobietą z dzieckiem.

– No tak, to byłoby nieprzyzwoite – rzuciła Rozalia z nieukrywany sarkazmem. – Lepiej pozwolić kobiecie umrzeć na ulicy niż się nią zaopiekować. Przecież co ludzie powiedzą.

Paluszkiewicz wstał. Rozalia widziała, że poczuł się urażony jej uwagą, ona za to odczuła satysfakcję. Drażniła ją dwulicowość mężczyzn, ta ich pogarda dla upadku moralnego kobiet, choć sami byli jej sprawcami i wykorzystywali kobiety bez cienia zażenowania.

– Ma pani rację. To niedorzeczne – przyznał niespodziewanie Paluszkiewicz.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem. Była pewna, że będzie szedł w zaparte, przekonywał, że nie może wziąć odpowiedzialności za los samotnej kobiety. A tymczasem przyznał jej rację i dostrzegła

w jego spojrzeniu, że rzeczywiście tak myślał. Zawstydził się własnej małości.

– W takim razie proszę mnie zawieźć do tego przytułku. Musimy zabrać stamtąd Zuzannę Grabińską i jej córeczkę. I to jak najszybciej.

\* \* \*

Grudzień zaczarował świat. Gęsto padający śnieg zasypał drogi, pola i lasy. Spokojna okolica Konstancina wydawała się uderzająco piękna, jakby nierzeczywista, uśpiona pod białym puchem, skrzącym się perłowo w bladym słońcu.

Rozalia z okna swojej nowej jadalni spoglądała na zimowy ogród. Skuta lodem, nieodrestaurowana jeszcze fontanna wyglądała krucho i majestatycznie, a uginające się pod ciężarem śniegu bezlistne krzewy tworzyły czarno-biały krajobraz spokoju i nostalgii.

Rozalia mieszkała tu zaledwie od tygodnia, a już zdążyła pokochać to miejsce. Choć zasypane śniegiem, było magiczne. Wręcz baśniowe. Cały Konstancin w porównaniu z gwarną Warszawą zdawał się być spokojną, sielską ostoją. Rozalia nie zdołała polubić Warszawy, nie urzekło jej to miasto. Konstancin jednak pokochała i była to miłość od pierwszego wejrzenia, od pierwszej chwili, od pierwszego oddechu wśród odurzających zapachów teraz już uśpionej przyrody.

Zapatrzona w okno, nie zauważyła Zuzanny Grabińskiej, która bezszelestnie niczym duch stanęła w otwartych drzwiach jadalni i wyraźnie wahała się, czy wejść. Chyba czekała, aż Rozalia na nią spojrzy i wyrazi zgodę.

Skrzypnięcie klepki podłogowej wyrwało panią domu z zamyślenia.

– Lili śpi?

– W końcu tak. – Głos Zuzanny brzmiał prawie jak szept. – Wydaje mi się, że czuje się lepiej.

– A ty? Też czujesz się lepiej?

– Tak. Dziękuję.

Rozalia zmierzyła ją wzrokiem.

Grabińska była blada, niemalże przezroczysta i przeraźliwie chuda. Sukienka, którą dostała od Rozalii, wisiała na niej jak worek. A jeszcze kilka miesięcy temu miała tak piękne kształty – jędrne piersi, okrągłe biodra. Wtedy Rozalia nie miała wątpliwości, co uwiodło jej męża. Zazdrościła jej tej ewidentnej urody. Teraz Zuzanna wyglądała jak śmierć na chorągwi i raczej wątpliwe było, aby mogła kogokolwiek uwieść. Jedynie jej włosy, nieokiełznana fala bujnych loków, umyte pachnącym szamponem były zaskakująco piękne.

– Usiądź. Zjemy razem obiad – zaproponowała łagodnym tonem Rozalia.

– Nie mogę. Nie powinnam...

– Oczywiście, że powinnaś. Jesteś zbyt chuda.

Grabińska bez słowa przemieściła się od drzwi do wielkiego dębowego stołu, nakrytego białą porcelaną. Nieśmiało odsunęła krzesło i usiadła, wstydząc się spojrzeć Rozalii w oczy. Już nie była tą drwiącą kobietą, która parę miesięcy temu przyjęła ją w swoim obskurnym mieszkaniu, szantażując dla zdobycia pieniędzy. Dramat ostatnich kilku tygodni wyraźnie odbił się nie tylko na jej twarzy, ale i całej postaci. Wyglądała na pokonaną, głęboko nieszczęśliwą i przerażająco samotną.

– Ta kucharka, co mi ją ciocia poleciła, naprawdę nieźle gotuje. Spróbuj. – Rozalia próbowała silić się na uprzejmość. – Zupa z suszonych grzybów, a na drugie danie potrawka z królika. Brakuje mi francuskiej kuchni, ale no cóż...

Zuzanna posłusznie nalala zupy z porcelanowej wazy.

– Nie powinnam tu być – rzekła nieśmiało.

– A gdzie powinnaś? W tym śmierdzącym, zawszawionym przytułku? Lili by tam umarła.

Zuzanna spojrzała na nią ze łzami w kącikach oczu. Widać było, że dławi się powstrzymywanym płaczem. Nie mogła przełknąć ani łyżki zupy.

Rozalii zrobiło się wstyd, że tak obcesowo ją potraktowała, ale z drugiej strony nie rozumiała, jak Zuzanna mogła roztrwonić wszystkie pieniądze, i to w tak krótkim czasie? Przecież suma, którą otrzymała, zapewniłaby jej spokojne życie co najmniej przez rok, a może i więcej. Może te wszystkie złe opinie o biedakach nie były przesadzone, bo oni rzeczywiście nie potrafili zadbać o godną egzystencję?

– Byłam jego kochanką – powiedziała nagle Zuzanna, nie patrząc Rozalii w oczy, błędząc gdzieś rozbieganym wzrokiem.

– Wiem. Już mi to mówiłaś. Nie musisz ciągle tego powtarzać.

– Więc jak pani może, mimo to, zapraszać mnie pod swój dach? I moje dziecko? To jego dziecko...

– Przecież tego chciałaś. Poprosiłaś pana Paluszkiewicza, żeby mnie odnalazł.

– Nie tego się spodziewałam... Liczyłam na pani dobroć, ale nie na tyle...

Rozalia zacisnęła usta. Zadrzała. Zamiast współczucia znowu odezwał się w niej ten gniew, który pielęgnowała w sobie przez lata małżeństwa, a który pomagał jej przetrwać najgorsze chwile.

– Nienawidziłam Ignacego! I żałuję, że nie zdołałaś mnie od niego uwolnić!

Zuzanna spuściła głowę. Rozalia nie wiedziała, o czym ta kobieta myśli, ale żal i ból wypisane miała w całej swojej postaci. Była taka żałosna. Tak przerażająco zagubiona.

– Dziękuję, szanowna pani. Gdyby nie pani...

– Nie nazywaj mnie tak. Mam na imię Rozalia. Chcę, żebyś mówiła mi po imieniu.

Kobieta starła wierzchem dłoni łzę z policzka.



– Rozalia – powtórzyła prawie szeptem, jakby ekscytując się tym imieniem. – Dziękuję. Uratowałaś mnie i moją córeczkę przed niechybną śmiercią.

– Raczej pan Paluszkiewicz. To on cię znalazł w tym przytułku.

Zuzanna niemo przytaknęła. Widać było, że wdzięczność zarówno dla Juliana Paluszkiewicza, jak i dla Rozalii Lubowidzkiej, ogromnie ją przytłaczała. Kiedy tydzień temu znaleźli ją w przytułku, Grabińska była w fatalnym stanie. Głodna, przemarznięta, brudna. Jednak dość szybko doszła do siebie. Wymagała jedynie porządnej kąpieli, czystych ubrań i ciepłych posiłków, które postawiły ją na nogi. Gorzej miała się Lili. Dziewczynka była chora, miała gorączkę i silny kaszel. Jednak doktor, który ją zbadał, stwierdził, że to raczej nic poważnego. Najprawdopodobniej zwykła infekcja, jakie często dopadają biedaków w takich parszywych miejscach jak przytułki dla bezdomnych. Dziewczynka była przecież mocno wyziębiona i zagłodzona z powodu warunków, w jakich przebywała.

– I dlatego myślę, że wkrótce pani córeczka będzie zdrowa – odparł rzeczowo, nie chcąc straszyć wycieńczonej zimnem i głodem Zuzanny. Rozalia wzięła jednak mężczyznę na stronę i zapytała, czy Lili rzeczywiście nic poważnego nie dolega.

– Tego nie wiem, szanowna pani. Dziewczynka jest wątła i długo przebywała w złych warunkach. Infekcja mogła zająć płuca.

– Kiedy będzie coś wiadomo?

– Myślę, że za kilka, może kilkanaście dni. Ale po co pani ta dwójka? Chce pani ściągnąć na siebie kłopoty?

Rozalia gniewnie zmarszczyła brwi.

– Co pan przez to rozumie?

– Ta kobieta panią wykorzysta, a może i okradnie. Widać, że to ulicznica. Lepiej odesłać ją tam, skąd przyszła. Będzie pani spokojniejsza i bezpieczniejsza.

– Nie prosiłam pana o wyrażanie opinii na ten temat! – obruszyła się Rozalia. – Proszę postawić diagnozę na temat stanu

zdrowia dziewczynki, a resztę głupich komentarzy zachować dla siebie! – dodała oschle.

Obiecała sobie, że więcej po tego doktora nie pośle, a bez głębszego zastanowienia zdecydowała, że udzieli Zuzannie i małej Lili schronienia w swoim nowym domu. Pałacyk był duży i wygodny i bez problemu mógł pomieścić nowych lokatorów. Rozalia nawet była zadowolona, że nie będzie musiała od początku mieszkać w nim sama, bo nie miała pewności, czy potrafi oswoić samotność i żyć w pojedynkę. Zuzanna Grabińska stała się dla niej swoistą tarczą przed własnymi lękami. Nie miała więc wątpliwości, że chce przygarnąć kobietę i jej dziecko pod swój dach, nawet jeśli kogoś miałyby to dziwić bądź bulwersować.

Nie dziwiło to Juliana Paluszkiewicza, który jej decyzję przyjął z ulgą i wdzięcznością. Widać było, że z jakiegoś powodu los panny Grabińskiej i jej córki nie był mu obojętny.

Rozalia zajęła się więc opieką nad tą żalosną, wygłodzoną i przemarznątą kompanią. Pomogła jej ciotka Klara, która zrobiła niezbędne zakupy i przywiozła do pałacyku ciepłe ubrania zarówno dla Zuzanny, jak i dla Lili.

Po skończonym obiedzie Rozalia i Zuzanna wspólnie udały się do pokoju, w którym spała dziewczynka, by sprawdzić, czy z Lili wszystko w porządku. Dziecko, przykryte czystą pościelą, z główką na puchowej poduszce, wyglądało jak mała, śliczna lalczka.

Patrząc na nie, Rozalia pomyślała, że to musi być ogromne szczęście być matką. W niej samej nigdy nie obudził się instynkt macierzyński. Być może dlatego, że zbyt zajęta była radzeniem sobie ze strachem przed mężem i przeraźliwą samotnością, która była jej nieodłączną towarzyszką przez ostatnie lata. Uderzyła ją jednak głęboka więź, którą dostrzegła między Zuzanną i Lili. Poczula nawet malutkie uczucie żalu i zazdrości, bo wiedziała, że ona nigdy takiej nie zazna.

– Jest do niego podobna – rzekła niespodziewanie, kiedy obie patrzyły na śpiącą dziewczynkę.

Zuzanna skinęła głową, domyślając się, o kim mówi Rozalia.

– Czy dobrze ją traktował?

Matka Lili delikatnie westchnęła.

– Wiedział, że jest jego. Dlatego płacił na jej utrzymanie.

– Ale czy dobrze ją traktował?

– Nigdy nie nazwał jej córką – w głosie Zuzanny Rozalia usłyszała nutę goryczy.

– Przykro mi – wyszeptała.

– To nic. Nie miałam prawa tego oczekiwać.

Rozalia nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Ona również uczyła się tej niecodziennej sytuacji. Też próbowała oswoić się z myślą, że pod jej dachem mieszka dziecko, które spłodził jej mąż. Znienawidzony mąż. A jednak dziewczynka odkrywała w niej ogromne pokłady czułości i tkliwości i Rozalii do głowy by nie przyszło, że miałyby ją odrzucić.

Wieczorem obie z Zuzanną zasiadły przy trzaskającym ogniem kominku, z filiżankami parującej herbaty, choć Grabińska wciąż płochliwie powtarzała, że nie powinna tego robić. Bo jej nie wypada. Wyraźnie zawstydzono ją, że Rozalia tak ostentacyjnie domagała się jej towarzystwa. Wręcz o nie zabiegała.

Teraz Rozalia bez ogródek zapytała Zuzannę, co ta zrobiła z pieniędzmi.

– Zabrała mi je właścicielka kamienicy, w której mieszkałam, Romka Stawecka – odpowiedziała zapytana zgodnie z prawdą, choć jej głos podszyty był wstydem.

– Jak to zabrała?

– Ukradła. Znalazła pieniądze, kiedy nie było mnie w domu. Ciągle wyrzucam sobie, że nie ukryłam ich dość dobrze.

Rozalia zjeżyła się oburzona.

– Głupia! Dlaczego się nie upomniałaś?

– Próbowałam, ale zagroziła mi policją. Wyrzuciła mnie i Lili z mieszkania, a nie miałam już pieniędzy, żeby znaleźć coś innego.

– To raczej ty powinnaś była wezwać policję! Przecież zostałam okradziona!

Zuzanna spuściła głowę. Jej dłonie drżały nienaturalnie.

– Nikt by mi nie uwierzył.

Rozalia westchnęła. Rozumiała rozterki Zuzanny, bo ona myślała dokładnie tak samo, kiedy Ignacy ją bił. Wiedziała, że nikt, a zwłaszcza policja, jej nie uwierzy. Tkwiła więc w piekle i zakłamaniu, licząc na to, że kiedyś wszystko samo się odmieni. Teraz patrzyła na Zuzannę Grabińską, zmęczoną i upodloną. Obie były związane z tym samym mężczyzną i obie drogo za to zapłaciły. Różniło je jedynie to, że Rozalia miała pieniądze i prawo do nazywania się wdową, a Zuzanna nie miała nic oprócz wstydu i nieślubnej córki.

– Ile masz lat? – To pytanie wyrwało się Rozalii spontanicznie.

– Dwadzieścia sześć.

– Więc jesteś starsza ode mnie. Próbowałaś szukać pracy?

Zuzanna sapnęła i skrzywiła się z goryczą.

– Wielokrotnie. Nikt nie chciał zatrudnić samotnej matki z chorą córką. Mówili, że niepotrzebna im dziwka. Bo za taką mnie uważano. – Umilkła, jakby próbowała odnaleźć właściwe słowa. Spuściła głowę. – Nie użalam się nad sobą, bo wiem, co zrobiłam, godząc się być jego kochanką. Ale przez to straciłam szansę na normalne życie.

Rozalia przyglądała się jej w skupieniu.

– A kiedyś było normalne?

– Tak. Zanim poznałam... Zanim to się zaczęło. Byłam szwaczką. Starczało mi na skromne utrzymanie.

– A co z twoją rodziną? Urodziłaś się tu? W Warszawie? Masz tu kogoś?

Zuzanna pokręciła głową.

– Nie. Urodziłam się na wsi. Moi rodzice to biedni ludzie utrzymujący się z roli. Mam jeszcze czworo rodzeństwa, trzech braci i jedną siostrę. Siostra wyszła za mąż za chłopaka ze wsi, a ja... uciekłam do Warszawy. Liczyłam na lepsze życie. – Ostatnie zdanie wypowiedziała jakby szeptem. Rozalia zauważyła, że przez cały czas wyłamywała sobie palce, jakby ten gest miał jej pomóc opanować nadmiar emocji.

– Nie chciałaś wyjść za mąż? Jesteś przecież bardzo ładna. Na pewno miałaś adoratora.

– Chciałam być z mężczyzną z miłości. – Gdy to mówiła, głos jej się załamał. Odwróciła głowę, żeby nie patrzeć na Rozalię. – Nie powinnam tego mówić, ale... Kochałam go. Ignacego. Był moim pierwszym i... jedynym mężczyzną. Imponował mi.

Rozalia poczuła, jak przesywa ją zimno. Dziwnie było słyszeć od innej kobiety, że ta kochała jej męża. Nie umiała sobie wyobrazić, że Ignacy mógł być dla Zuzanny inny – czuły. Nie mieściło jej się to w głowie. Ona nigdy go takiego nie знаła.

– Wiedziałaś o mnie? – zapytała ochryplym głosem.

Zuzanna pokiwała głową.

– Z początku nie, ale później, jak zaszłam w ciążę, Ignacy wyznał mi, że jest żonaty. Nigdy nie liczyłam na to, że on i ja... Że moglibyśmy... – mówiła pospiesznie, język jej się plątał. – On był wielkim panem, posłem. A ja zwykłą, prostą dziewczuchą. Ale jak się dowiedziałam, że istniejesz, że jesteś jego żoną... Nienawidziłam cię. – Zadrzała. – Zazdrościłam ci, że z nim jesteś, że masz go na co dzień.

Rozalia poczuła, że robi jej się słabo. Ogarnęły ją nagłe mdłości, których nie umiała powstrzymać. Prędko wstała i wybiegła z pokoju prosto do łazienki, by tam zwymiotować całą zjedzoną kolację. Wstrząśnięta opłukała twarz i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Mimowolnie przejechała palcem po policzku. Po szramie. Takich szram miała wiele – w okaleczonej duszy,

w sercu. Każda jej myśl o mężu była podszyta bólem, jakby nadal ciał ją nożem. Bez skrupułów. Bez litości.

A ta kobieta mówiła o nim inaczej. Z miłością.

Kiedy kilka minut później wróciła do salonu, Zuzanny już tam nie było.

Tej nocy Rozalia nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w padający za oknem śnieg, a kiedy udało jej się na dłużej przymknąć oczy, znowu śniła o Ignacym. Obudziła się nad ranem, zlana potem i wystraszona. Bała się, że gdy zamknie oczy, ponownie go zobaczy. Będzie stał nad nią jak upiór i czekał, żeby zrobić jej krzywdę.

Wstała z łóżka i ubrała się w zimową podomkę. Zeszła na dół, do dawnej służbówki, w której teraz urzędowała małą pracownię. Usiadła na krześle przy dębowym stole i podwinęła pod siebie bosą stopę. W tej pozycji pochyliła się nad sfatygowanym i wysłużonym notatnikiem Vincenta Lamara.

*12 kropli olejku cynamonowego z kory*

*18 kropli olejku ylang-ylang*

*18 kropli olejku cytrynowego*

*18 kropli absolutu róży*

Czuła ten zapach. Wyobrażała go sobie. Westchnęła na myśl o tym, ile rozkoszy jest w stanie dać jedno doskonale pachnidło. Ile w nim uczuć, zmysłowości. Ile serca.

Pragnęła stworzyć ten zapach. Chciała go poczuć na sobie. Znowu chciała być piękna.



## ROZDZIAŁ 8

Gustaw od lat nie spędzał Bożego Narodzenia w rodzinnym domu. Tym razem zrobił wyjątek i przyjechał do Kargomina ze względu na matkę i siostrę. Wydawało mu się, że obie, pogrążone w żałobie, mogą potrzebować jego wsparcia i towarzystwa. Okazało się jednak, że bardzo się mylił. Matka traktowała go chłodno i obcesowo, na każdym kroku wypominając, że bez mrugnięcia okiem oddał majątek Ignacego tej pozał się Boże szantażystce, a Ada zdawała się w ogóle nie zwracać na niego uwagi, pogrążona we własnym świecie. Nie miał pojęcia, co robiła, kiedy na kilka godzin dziennie zamykała się w swoim pokoju. Mógł się jedynie domyślać, że pewnie czytała książki.

Matka nie omieszkała poinformować go kategorycznie, że na wiosnę zamierza wprowadzić Adę w towarzystwo, aby ta mogła w końcu znaleźć sobie właściwego męża.

– Niedługo będzie starą panną i już nikt się nią nie zainteresuje – zrzędziła. – Gdyby nie żałoba, pewnie i w tym roku znalazłby się ktoś chętny do ożenku. Zofia Pilecka z sąsiedztwa wyszła za mąż latem i już spodziewa się dziecka.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? Przecież kiedy Ada wyjdzie za mąż, zostaniesz sama w Kargominie.

– Co za brednie! Ada zostanie tutaj!

– A jeśli jej mąż się na to nie zgodzi?



– A czemu miałby się nie zgodzić? Dwór jest zadbane, duży i wygodny. Idealny do życia i wychowywania dzieci. Mogłabym zająć się wnukami. Może w końcu się ich doczekam, bo niestety ta perfidna intrygantka, która była żoną Ignacego, nie zdołała ich urodzić! Choć może to i lepiej, bo nie wiadomo, co by z takiej matki wyrosło.

– Mamo, masz wnuczkę. Ignacy cztery lata temu został ojcem.

– Nie waż się wspominać w moim domu tej ladacznicy i jej bękarta! To brednie wyssane z palca!

Gustaw westchnął z irytacją, ale już nie skomentował niesprawiedliwego wyroku matki.

– Mamo, dlaczego nie pozwolisz Adzie samej decydować o tym, czego chce?

– Samej decydować? To śmieszne! Jest moją córką i skoro nie ma ojca, który byłby za nią odpowiedzialny, ja muszę podjąć się tej roli. To chyba oczywiste!

– Tylko że Ada jest już dorosła. Skończyła dwadzieścia lat.

– Ale ma pusto w głowie! Nie myśli o tym, co ważne. Nawet w kościele nie umie się należycie zachować. Musiałbyś widzieć, jak błądzi nieprzytomnym wzrokiem po ścianach, kiedy ksiądz wygłasza kazanie. Aż mi się gorąco ze wstydu robi! Ludzie już plotkują między sobą, że to dziwaczka. Potrzebny jej porządny mężczyzna, który nauczy ją ogłady. Jak tylko zostanie matką, to te bzdurne myśli o czytaniu szybko wyfruną jej z głowy. Kto to widział, żeby panna w jej wieku ciągle siedziała z nosem w książkach!

– W mieście coraz więcej panien zaczyna się edukować. To całkiem naturalne. Uczęszczają nawet na uniwersytet.

Matka prychnęła.

– Fanaberie! Żadna porządna rodzina nie wysłałaby córki na uniwersytet. Wiadomo, że uczą się tylko te, których nikt nie chce, czyli brzydkie stare panny bez przyszłości. Twój ojciec zawsze powtarzał, że miejsce kobiety jest w domu. Kobieta powinna

troszczyć się o męża i dzieci, a nie zaśmiewać sobie głowę jakimiś głupstwami! Ada może nie jest najładniejsza, ale ma sporo zalet, które mogą jakiemuś porządnemu mężczyźnie przypaść do gustu. Gdyby jednak bardziej garnęła się do zajęć domowych...

Gustaw słuchał tych wywodów i powoli zaczynał myśleć, że może rzeczywiście powinien zabrać Adę do miasta. Jeśli tego nie zrobi, matka zdominuje ją do tego stopnia, że jego siostra stanie się zgorzkniałą matroną.

W Kargominie spędził Wigilię i dwa dni świąt. W tym czasie odwiedził mieszkańców pobliskiej wioski, by upewnić się, czy wszyscy są zdrowi i nie potrzebują jego lekarskiej pomocy, choć matka gderiała, że nie powinien tak się z nimi spoufalać, bo zechcą, żeby leczył ich za darmo. Rzeczywiście odmawiał wszelkiej zapłaty, więc chłopci gościli go, jak mogli, a do dworu wrócił z koszem pełnym świątecznych przysmaków, których nie wypadało mu odmówić.

Po świątach zdecydował się pojechać na kilka dni do Warszawy. Sam nie wiedział, po co to robi, zwłaszcza że postępów w śledztwie nie było, a warszawskie towarzystwo działało mu na nerwy. Chciał jedynie sprawdzić, czy plotki są prawdziwe i czy jego bratowa rzeczywiście nie wyjechała do Francji, choć zapewniała solennie, że na pewno to zrobi. Kiedy spotkali się kilka tygodni temu na notarialnym przepisaniu majątku, przywitała się z nim uprzejmie, ale z dystansem. Podziękowała za załatwienie sprawy, ale nie była zbyt wylewna, a on też nie umiał wzbudzić w niej entuzjazmu do wspólnych rozmów. Dostrzegł jednak, że powoli zmieniała się na jego oczach – nie była już taka spięta i poważna jak w pierwszych tygodniach po śmierci Ignacego, choć wciąż brakowało jej tej swobody, którą miała niegdyś w sobie jako świeżo poślubiona żona jego brata.

Ku swojemu zaskoczeniu, kiedy przybył z Kargomina do stolicy, spotkał Rozalię już pierwszego dnia w jednej z warszawskich restauracji, w towarzystwie Klary Tyszkowskiej. Nie miał

pewności, czy powinien podejść i się przywitać, ale Rozalia dostrzegła go i wbiła w niego przenikliwe spojrzenie. Wyglądała dobrze – lepiej niż kilka miesięcy temu. Jej delikatna twarz nabrała zdrowych kolorów, a w kobaltowych oczach pojawił się jakiś ogień, którego wcześniej nie dostrzegał. Ubrana była skromnie, ale modnie. Biła od niej duma i elegancja, która przyciągała wzrok i nie wiedzieć czemu, nie pozwalała go od niej oderwać. Złapał się na tym, że wpatruje się w nią bez opamiętania. Przypomniał sobie, że kiedyś też tak było – jego bratowa magnetyzowała swoją osobą wszelkie towarzystwo i gdziekolwiek się znalazła, tam wzbudzała powszechne zainteresowanie. Nie wiedział, jak to robiła. Nie była przecież piękna. Brakowało jej uderzającej urody kobiet z warszawskiej śmietanki towarzyskiej, które za wszelką cenę starały się upodobnić do światowej sławy Poli Negri czy słodkiej Jadwigi Smosarskiej.

– Byłeś u matki na święta? – przywitała go bez uśmiechu, ale za to śmiało spojrzała w oczy. Już dawno tak na niego nie patrzyła – wyniośle, bez skrępowania. Spojrzenie to utkwilo w nim gdzieś głęboko i dotknęło jakiejś czulej struny. Pierwszy raz pomyślał, że miała przepiękne oczy. Chciał patrzeć w nie dłużej, niż wypadało, i ogarnął go niepokój. Nie powinien tak reagować. Była jego bratową. To, że się wygłupił i zaproponował jej małżeństwo, nie miało już przecież znaczenia.

– Tak. Spędziłem Boże Narodzenie w Kargominie.

Uprzejmie, ale powściągliwie przedstawiła mu swoją ciotkę.

– Wydaje się pan, doktorze, inny niż jego brat – skwitowała Tyszkowska, mierząc go uważnym, nieco zbyt natarczywym wzrokiem. Gustaw musiał przyznać, że Klara, mimo że lata młodości miała już za sobą, wciąż była bardzo ładna. – Jest pan mniej sztywny – dodała słodkim tonem, rozciągając wyszminkowane usta w uroczym uśmiechu. – Ignacy był nieznośnie poważny.

– Może dlatego, że mam znacznie mniej poważną pracę niż miał mój brat – odparł uprzejmie, choć nie bez ironii. – Ja jedynie lecze ludzi. Nie wdaję się w dyskusje na temat przyszłości Polski, szanowna pani.

Kobieta zaśmiała się z sarkazmem.

– Och, udział w tym sejmowym cyrku uważa pan za poważną pracę? To już świnię w chlewie mają w sobie więcej kultury niż nasi szanowni panowie posłowie. Kiedy pomyślę, że brałam udział w wiecach i demonstracjach poparcia prawa wyborczego dla kobiet, to aż mi się wierzyć nie chce, o co zdierałam sobie gardło. Przecież to nie sejm, tylko małpi gaj!

– Z całym szacunkiem, ma pani rację, pani Tyszkowska. I winszuję odwagi. Pamiętam, że to był trudny czas, ale... Zakończony sukcesem. Polskie kobiety jako jedne z pierwszych uzyskały pełnię praw wyborczych. I między innymi pani w tym zasługa.

Klara prychnęła.

– Nie pani, tylko panna. Nigdy nie byłam zamężna. Gdybym była, mąż pewnie zamknąłby mnie w czterech ścianach i mogłabym demonstrować co najwyżej codzienny ból głowy – mruknęła. Niespodziewanie podniosła się z krzesła, prezentując elegancką sukienkę. – Wybaczcie, kochani, że was teraz porzucę, ale właśnie zauważyłam, że zjawili się moi znajomi. Chętnie się z nimi przywitam. Panie Lubowidzki, zostawiam Rozalię pod pana opieką.

Oddaliła się tak szybko, że ani on, ani Rozalia nie zdążyli zaprotestować.

Gustaw, postawiony przed faktem dokonany, zamierzał dosiąść się do stolika Rozalii, ale ku jego zaskoczeniu ona również wstała z krzesła. Mimowolnie zatrzymał wzrok na jasnej bliźnie na jej policzku. Zauważyła to.

– Pójdę już – rzuciła suchym tonem.

– Nie zjemy razem obiadu? Liczyłem na krótką pogawędkę.

– Już zjadłam. Polecam rybę w cieście. – To mówiąc, odwróciła się na pięcie i energicznym krokiem pomaszerowała w stronę restauracyjnej szatni. Zdumiony patrzył za nią, gdy się oddalała. Uciekała przed nim, choć rozumiał jej zimny dystans. Nie miała mu nic do powiedzenia, a on nie miał jej nic do zaoferowania. Sam zdawał sobie sprawę, że dla nich obojga będzie lepiej, jeśli zapomną o swoim istnieniu. Rozalia ewidentnie chciała wymazać z pamięci rodzinę Lubowidzkich, więc nie powinien jej tego utrudniać, narzucając się ze swoim towarzystwem.

Usiadł przy pustym stoliku i gestem zawołał kelnera.

– Jak to? Moja bratanica zostawiła pana samego? Co za *faux pas*! A podobno Francuzi mają takie maniere! – Klara Tyszkowska jak duch pojawiła się przy stoliku.

– Rozalia jest tylko w połowie Francuzką – zauważył z przekąsem.

Tyszkowska cmoknęła i usiadła na krześle naprzeciw niego.

– No tak. Więc braki w manierach to wina polskiego pochodzenia – dodała z przyganą.

Gustaw uśmiechnął się pod nosem. Podobała mu się jej szczerłość. Ta kobieta była nie tylko dowcipna, ale i inteligentna.

– Myślałam, że może mieliście ochotę porozmawiać, ale widocznie Rozalia pana nie lubi.

– Trudno ją za to winić.

– Więc dostrzega pan to, co zrobił jej pański brat? Myślałam, że będzie pan go bronił. To byłoby typowe.

Gustaw zbył tę uszczypliwość milczeniem. Uznał, że wdawanie się w dyskusje na ten temat nie ma sensu, bo nie negował winy Ignacego, a nie chciał też publicznie szkalować jego imienia. Bądź co bądź, Ignacy był jego bratem.

– Jest pan lekarzem, prawda?

– Tak.

– W domu mojej bratanicy mieszka dziecko, które wymaga opieki lekarskiej. Mała jest chora. Ktoś musiałby ją porządnie

zbadać, bo poprzedni lekarz zrobił to na odczepnego i więcej się nie pojawił.

Gustaw w zdumieniu uniósł brwi.

– Co to za dziecko?

– Och, wiem, że będzie pan zaskoczony, ale Rozalia przygarnęła pod swój dach samotną kobietę z dzieckiem. Bo chyba pan słyszał, że Rozalia kupiła pałacyk w Konstancinie?

– Nie słyszałem – odparł zgodnie z prawdą.

– No więc kupiła. To rodzinny majątek należący niegdyś do moich świętej pamięci rodziców. Postąpiła bardzo ładnie, nie chcąc, żeby dom trafił w obce ręce.

– To dlatego nie wyjechała do Francji? Bo kupiła pałacyk?

– Właśnie dlatego, choć myślę, że trzyma ją w Polsce coś jeszcze. Ona chyba chce się dowiedzieć, kto zabił Ignacego. Czeka na wyniki śledztwa, choć nie mówi o tym głośno. Wie pan... Żeby zacząć nowe życie, najpierw trzeba uporać się z przeszłością. A ona ma sporo demonów do zwalczenia.

Gustaw przytaknął. Miał wrażenie, że Klara za wszelką cenę próbuje wyciągnąć od niego to, co on sam myśli o swoim bracie.

– A co to za dziecko, które miałbym zbadać?

– Pańska bratanica, panie Lubowidzki. Lilianna.

\* \* \*

Gustaw czuł, że coś ściska go boleśnie w żołądku. Leżąca w łóżku dziewczynka była malutka i przerażająco chuda. Miała delikatną, prawie przezroczystą skórę, a na jej policzkach rozlał się niezdrowy rumieniec. Nie spała. Patrzyła na niego wielkimi, zielonymi oczami, które pomimo choroby zdradzały ogromną ciekawość.

– Liliś, pan doktor chciałby cię zbadać. – Głos jej matki był cichy i delikatny jak szept.

Dziewczynka kiwnęła głową. Widać było, że badanie nie robiło na niej wrażenia. Nie bała się. Zbyt często chorowała i zbyt często matka zmuszona była wzywać do niej doktora, i dziewczynka zdążyła się do tego przyzwyczaić.

Patrząc na wątłe, wyraźnie schorowane dziecko, Gustaw dziwił się, że dziewczynka wytrzymała warunki w przytułku. Wiedział, że w takich miejscach ludzie padali jak muchy, zwłaszcza jeśli ktoś chorował przewlekłe, jak w przypadku tej małej.

– Czy zdiagnozowano u niej jakąś konkretną chorobę?

– Nie. Często zapada na płuca, ale doktor, który zajmował się nią wcześniej, wykluczył gruźlicę.

Dziewczynka rzeczywiście miała świszczący oddech. To mogła być gruźlica i Gustaw zdawał sobie z tego sprawę, a w takim przypadku zarazona mogła być również matka.

– Czy u pani również występuje kaszel? Duszności? – Popatrzył na Zuzannę.

– Nie – odparła cicho. – Nic mi nie jest.

Znowu uderzyło go, jaką była niezwykle urodziwą kobietą, pomimo całej swojej skromności i nędzy. Wrażenie to odniósł już na samym początku, jak tylko ją zobaczył. Nie chciał myśleć o niej jak o kochance swojego brata, ale nieświadomie tak właśnie ją postrzegał. Porównywał ją z Rozalią i od razu dostrzegł, jak bardzo różniły się od siebie. Uroda panny Grabińskiej była ostentacyjna, miała w sobie coś prymitywnego, i bez trudu mogła sprowadzić niejednego mężczyznę na manowce. Jednym słowem, Zuzanna była piękna, a jednak pozbawiona kobiecego wdzięku i klasy, które miała w sobie Rozalia. Różniły się jak woda i ogień i Gustaw z całym przekonaniem stwierdził, że ogniem w tym przypadku była Rozalia, co najwyraźniej bardzo przeszkadzało jego bratu. Zuzanna wydawała się zupełnie uległa i nieporadna życiowo, co zapewne wynikało zarówno z jej wychowania, jak i obecnej sytuacji życiowej. Nie dorównywała Rozalii hardością spojrzenia, uporem ani wewnętrzną siłą. A traumatyczne

przeżycia ostatnich tygodni spowodowały, że kulila się pod każdym spojrzeniem, jakby wstydziła się samej siebie.

Gustaw w milczeniu zbadał dziewczynkę. Lili przez cały czas patrzyła na niego, śledząc bystrych oczami jego twarz, kiedy pochylał się nad nią ze stetoskopem. Jaka podobna była do Ignacego! Zadziwiało go to. Miała Ignacowe rysy, mimikę, nawet gesty. Była nieodrodną córką swojego ojca.

I bratanicą Gustawa.

– Jest pan podobny do wujka Ignacego – rzuciła wreszcie cienkim, dziecięcym głosem, który go rozczył. – Trochę inny, ale podobny.

– Ignacy był moim bratem – odparł spokojnie.

– Więc pan też jest moim wujkiem?

– Tak. – Głos uwiązł mu w gardle. – Jestem twoim wujkiem. Mam na imię Gustaw.

– Wujek Gustaw i ciocia Rozalia. Mama mówi, że ciocia Rozalia jest dobra, bo zaopiekowała się nami. Czy pan też jest dobry, wujku Gustawie?

– Mam taką nadzieję, Lili. – Popatrzył na Zuzannę, by sprawdzić jej reakcję, ale ta stała odwrócona do niego plecami. Nie patrzyła na nich, kiedy badał dziecko i rozmawiał z dziewczynką.

Wreszcie skończył, przykrył dziewczynkę kołdrą i zwrócił się do matki.

– Zostanę w Warszawie jakiś czas i będę regularnie doglądał Lili. Zrobię wszystko, żeby pani córka... Moja bratanica... Żeby wróciła do zdrowia.

Zuzanna przytaknęła niemo, wciąż na niego nie patrząc.

– Chciałbym zbadać również panią. Jeśli pani pozwoli.

Teraz odwróciła się do niego gwałtownie i spojrzała mu w oczy speszona.

– Chciałbym mieć pewność, że jest pani zdrowa – dodał rzeczowo.



– Czy to konieczne?

– Raczej tak. Musimy wykluczyć gruźlicę i... Inne choroby.

Zuzanna spłonęła szkarłatnym rumieńcem wstydu. Nie od dziś wiadomo było, że powszechną plagą są choroby weneryczne, które zbierały śmiertelne żniwo nie tylko wśród mężczyzn, ale i kobiet. Gustaw domyślił się, że nikt Zuzanny pod tym kątem nigdy nie badał.

– Dobrze – zgodziła się wreszcie nie bez skrępowania – Ale proszę nie wspominać o tym Rozalii. Nie chcę, żeby wiedziała.

– Oczywiście. Jestem lekarzem. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

\* \* \*

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Głos Gustawa był ochrypliwy. Mężczyzna patrzył na Rozalię z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Zdziwiła się, kiedy zobaczyła go na progu swojego nowego domu. Nie wiedziała, jak ją znalazł, bo przecież nie powiedziała mu o kupnie pałacyku w Konstancinie. Wyjaśnił jej szybko, że adres podała mu ciotka Klara.

– Nie bądź na nią zła. Zrobiła to wyłącznie z troski o dziewczynkę. Prosiła, żebym ją zbadał – tłumaczył, kiedy Rozalia, wyraźnie niezadowolona, wpuściła go do środka.

– Ciocia wtrąca się w nie swoje sprawy! – rzuciła z naganą w głosie.

Teraz Gustaw stał w jej salonie, opierając się o marmurowy kominek. Jego wysoka sylwetka odbijała się na tle płonącego ognia. Dziwnie wyglądał w tym miejscu. W tym pokoju. Jakby naruszał jej osobistą sferę. Rozalia schowała się tu przed ludźmi; stworzyła sobie własny, intymny świat i nikogo do niego nie zapraszała, oczywiście oprócz ciotki Klary, Zuzanny i Lili. Nie chciała nikogo zapraszać. Więc Gustaw Lubowidzki wydał jej się intruzem w jej domu. Celowo unikała jego towarzystwa i dlatego

tak nagle wyszła z restauracji, nie chcąc z nim rozmawiać. Nie ufała mu i nie wierzyła w jego szczere intencje, nawet jeśli bez sprzeciwu oddał jej majątek męża. Nie chciała mu być za to wdzięczna, bo uważała, że odzyskała jedynie to, co jej się należało. A podejrzewała, że Gustaw prędzej czy później upomni się o wdzięczność. Przecież nikt nie był bezinteresowny. Nawet on, choć tak doskonale umiał to ukryć.

– Bo to nie twoja sprawa – odparła sucho.

– Lili jest moją bratanicą. A ta kobieta...

– To jego kochanka.

– Mówisz o tym tak lekko.

Zaśmiała się ironicznie.

– A co mam mówić? Nie czuję do niej żalu. Jest mi jej szkoda, bo Ignacy zrobił jej dziecko i nie zaopiekował się nią należycie. Była jego kochanką przez lata, urodziła mu córkę, a on nie raczył zapewnić jej normalnych warunków do życia. Spójrz na nią. Ostatnie tygodnie spędziła w strachu, bez dachu nad głową, bojąc się o życie swojego dziecka.

– Nie masz jej za złe, że sypiała z twoim mężem?

– Mam jej za złe tylko to, że nie zdołała go usidlić. Nie miała mocy, żeby mi go odebrać. A szkoda, bo może miałabym kilka siniaków mniej. I nie dziw się, że mówię o tym tak lekko. Mam dość kłamstwa i hipokryzji. Mam dość udawania, że wszystko jest w porządku, kiedy nie jest. Twój brat był złym, zakłamanym sukinsynem.

– Przestań!

Podeszła do niego. Wyprostował się jak struna, kiedy stanęła blisko. Poczowała żar bijący z kominka. Poczowała zapach wody kolońskiej Gustawa.

– A ty jaki jesteś? Taki sam jak on? Dlatego wciąż nie masz kobiety? Żadna cię nie chce?

– Nie o mnie tu chodzi – syknął. – Pytałem o Lili. Dlaczego nie powiedziałaś, że mieszka z tobą i że jest chora? Przyjechałbym ją

zbadać.

Wzruszyła ramionami.

– Przecież tu jesteś. Zbadałeś ją.

Odsunął się od niej nieznacznie, jakby jej bliskość była mu niemiła.

– Mała ma zapalenie płuc. Potrzebuje specjalistycznej opieki. Zostanę w Warszawie przez kilka tygodni i zajmę się nią. Przywiozę leki. Mam nadzieję, że pozwolisz mi tu bywać.

– W Brześciu nie czekają na ciebie w szpitalu?

– Tam są również inni lekarze. Poradzą sobie beze mnie, a tu jestem potrzebny.

– Dobrze więc, przyjeżdżaj. Ale nie licz na to, że będę cię zabawiała swoim towarzystwem. Mam swoje sprawy.

– Nie oczekuję tego – odparł głucho.



## ROZDZIAŁ 9

Marcowy chłód wślizgnął się pod płaszcz Zuzanny. Drżała z zimna, idąc ubitymi alejkami Cmentarza Powązkowskiego. Dozorca cmentarza poinformował ją, w której alejce znajduje się grób Ignacego Lubowidzkiego.

– Taki duży, okazały. Pełen kwiatów – mruknął na odchodne, zerkając spode łba na małą świeczkę, którą trzymała w dłoni.

Nigdy wcześniej nie odwiedziła Ignacego na cmentarzu, więc nie wiedziała, w którym miejscu został pochowany. Nie była przecież na pogrzebie. Dzisiaj jednak przyszła. Musiała. Dzisiaj była rocznica.

Rok temu, kiedy Ignacy zmarł, też było tak zimno. Marzec nie rozpieszczał pogodą. Pamiętała ten przejmujący chłód. Tę wilgoć powietrza. Pamiętała nawet zapach. Nad Wisłą unosiła się gęsta mgła, przynosząc woń wilgotnej zgnilizny. Nie lubiła tego zapachu. Wywoływał w niej nieprzyjemny dreszcz i przywodził wspomnienie śmierci. Jego śmierci.

Im bliżej była celu, tym wolniej szła. Wreszcie jej oczom ukazał się imponujący grobowiec z czarnego marmuru, na którym została wyrzeźbiona figura pogrążonego w żalu anioła. Jego skrzydła wznosiły się do góry, jakby chciał wzbić się w powietrze i unieść do nieba duszę zmarłego.

*Ignacy Konstanty Lubowidzki*

1889–1924

*Mąż stanu Odrodzonej Polski*  
*Posel na Sejm II Rzeczypospolitej*

Zuzanna patrzyła na wyryte w kamieniu złote litery i nagle zaczęła dygotać. Zimny pot sperlił jej czoło. Mimowolnie osunęła się na kolana, nie zważając, że cmentarny piasek jest zimny i wilgotny. Strach i ból równocześnie obejmowały ją swoimi mackami. Czuła, że wokół jej krtani zaciska się pętla, która dławi i odbiera oddech. Przestraszona, że za chwilę się udusi, zaczęła gwałtownie łapać powietrze, aż w końcu spazmatycznie szlochać. Nie widziała, że przypadkowy przechodzień zatrzymał się i patrzył na nią, jak klęczała na wilgotnej ziemi i płakała nad swoim zmarłym kochankiem. Tylko tak mogła dać upust temu, co powoli wysysało z niej życie. Chwilami już czuła się jak martwa, rozpacz odbierała jej resztki woli życia.

Była tylko Lili. Tylko ona trzymała ją przy życiu. Tylko dla niej Zuzanna jeszcze walczyła z demonami.

\* \* \*

Rozalia jak zwykle siedziała w swojej pracowni. Półki dębowego kredensu i regały sięgające aż do sufitu, powoli zapełniały się buteleczkami, atomizerami i słoiczkami z alkoholem, maściami i olejkami, w które nie bez wysiłku zaopatrzyła się u francuskich dostawców. Kosztowało ją to zarówno sporo czasu, jak i mnóstwo pieniędzy, ale pomieszczenie powoli zaczęło przypominać laboratorium jakiegoś niezrównoważonego naukowca – i to ją cieszyło. Rozalia spędzała tu każdą wolną chwilę, stopniowo przypominając sobie pasję tworzenia zapachów i zaczytując się w najnowszych badaniach nad produkcją perfum. Jej szczególnym zainteresowaniem stały się aldehydy, opracowane przez niemieckiego naukowca chemika Justusa von Liebiga. To one

zaczęły być stosowane do produkcji najnowszych perfum po to, żeby przedłużyć trwałość i intensywność kompozycji zapachowej. To one również zostały użyte do skomponowania sławnego w całej Europie zapachu Chanel n°5, stworzonego przez dom mody Coco Chanel. Rozalia zainteresowała się aldehydami do tego stopnia, że napisała list do jednego z francuskich perfumiarzy z prośbą o dokładne wyjaśnienie fenomenu tych związków alkoholowych, ale otrzymała zdawkową odpowiedź, że to tajemnica zawodowa, którą perfumiarz nie zamierza się z nikim dzielić. Niezrażona tym Rozalia napisała kolejny list, który tym razem podpisała męskim imieniem i nazwiskiem François Rigaud. Tym razem otrzymała wyczerpującą odpowiedź, wraz z zaproszeniem do odwiedzenia laboratorium pod Paryżem i zapoznania się z produkcją aldehydowych perfum.

– Wyobrażasz sobie, że nawet we Francji mężczyźni bronią kobietom dostępu do wiedzy? – rzekła z ironią, kiedy Zuzanna przekroczyła próg jej pracowni. – Ze mną ten dupek nie chciał rozmawiać, ale z François już tak! – To mówiąc, strząsnęła z twarzy kosmyk jasnych włosów.

W pieleszach domowych nie była ani elegancka, ani dystyngowana, czego powszechnie wymagano od porządnej kobiety. Chodziła w skromnej, białej koszuli i prostej wełnianej spódnicy, z włosami luźno splecionymi na karku, które nie chciały trzymać eleganckiej formy. Nie przejmowała się tym jednak, bo ważniejsze było dla niej kreowanie zapachów, której to czynności poświęcała cały wolny czas.

Zuzannę zadziwiło to, jak bardzo Rozalia Lubowidzka różniła się od wszystkich znanych jej kobiet. Na pierwszy rzut oka zdawała się zimna i zamknięta w sobie. Stroniła od ludzi, nie bywała w towarzystwie, nie zapraszała nikogo do siebie, choć wielu chciało się dowiedzieć, kto kupił i odremontował pałacyk „Magnolia”. Wdowa po Ignacym dosłownie i w przenośni zamknęła się w swoim świecie, który stworzyła sobie za ledwie

parę miesięcy temu. Z drugiej strony bezinteresownie przygarnęła Zuzannę i Lili, zaopiekowała się nimi, a nawet dała Grabińskiej pracę, płacąc jej pensję za utrzymywanie porządku w całym domu. Wydzieliła im również osobny, wygodny pokój. Miały tam wspólne, szerokie łóżko, własne meble, osobną łazienkę i święty spokój. Kiedy Zuzanna po raz tysięczny zapytała Rozalię, dlaczego to robi, ta odparła, że nie ma do niej żalu za męża. A nie darowałyby sobie, gdyby obie z Lili tułały się po przytułkach dla bezdomnych.

– Tylko że nie mam ci nic do zaoferowania – odparła Zuzanna zduszonym głosem, nie śmiejąc spojrzeć Rozalii w oczy, kiedy ta zaproponowała jej, żeby została u niej wraz z Lili i zajęła się domem w zamian za zapłatę i dach nad głową.

– Ależ masz. Ten dom nie jest taki mały, jak się wydaje. Pracy jest tu w sporo, a ja nie dam sobie rady ze wszystkim. Przynajmniej nie muszę szukać nikogo do pomocy. Wiem, że nie umiesz gotować, ale tym zajmie się kucharka od cioci Klary. Ty rób całą resztę.

– Całą resztę, czyli co?

Rozalia wzruszyła ramionami.

– Wszystko, co jest do zrobienia.

Prawdą było, że Rozalia nie wydawała Zuzannie poleceń. Raczej prosiła lub sugerowała, żeby ta zajęła się tym lub tamtym. Zuzanna zabrała się więc do pracy. Wpierw zapoznała się z domem, a później zaangażowała w codzienne porządki, pranie i prasowanie, a pomagała jej w tym ciekawa wszystkiego Lili, która chodziła za nią krok w krok, zadowolona, że mieszkają w tak pięknym domu. Odkąd doktor Lubowidzki wyciągnął dziewczynkę z choroby, mała stała się wręcz niemożliwa. Biegała, skakała po schodach, tańczyła i śpiewała na całe gardło. Wszędzie było jej pełno. Zuzanna obawiała się, czy takie zachowanie nie będzie przeszkadzało Rozalii, ale ta nie zwracała uwagi na



wygłupy dziewczynki albo wręcz zachęcała ją do kolejnych aktywności.

Kucharka przychodziła do pałacyku tylko na dwie, trzy godziny dziennie, przygotowywała niezbędne posiłki i znikwała, więc całą resztą zajmowały się same. Wraz z Rozalią jadły wspólnie śniadania, obiady i kolacje, choć Zuzanna wciąż uparcie twierdziła, że nie wypada, żeby ona i Lili siadały przy jednym stole ze swoją panią.

– Nie jestem twoją panią! – upomniała ją Rozalia, kiedy Zuzanna powiedziała to głośno. – Zapomnij o konwenansach, bo to głupie! I zapomnij, że byłam żoną twojego kochanka! Nienawidziłam go, więc nie jesteś mi nic dłużna, zwłaszcza że z twoją pomocą udało mi się odzyskać mężowskie pieniądze. A za nie mogłam kupić ten dom.

Zuzannie nie mieściło się to w głowie. Z początku unikała towarzystwa Rozalii, starała się schodzić jej z drogi, próbowała być niewidoczna, ale Rozalia tolerowała samotność tylko wtedy, kiedy zamykała się w swojej pracowni. Gdy z niej wychodziła, szukała ich towarzystwa, wołała Lili i razem, we trzy, spędzały popołudnia na rozmowach, grach i wspólnym czytaniu książek, które Rozalia przywoziła z Warszawy. Któregoś razu podarowała Lili książeczkę z wierszami osobiście znanego ciotce Klarze poety Juliana Tuwima, który wyjątkowo często bywał w Małej Ziemiańskiej.

Zuzanna zaakceptowała ten dziwny stan rzeczy, mimo że go nie rozumiała. Do tej pory nikt nie traktował jej dobrze, nie licząc doktora Lubowidzkiego i oczywiście Juliana Paluszkiewicza, który wyciągnął ją z tragicznego położenia. Wszyscy inni patrzyli na nią jak na kobietę upadłą i zdegenerowaną, bo przez lata była kochanką i utrzymanką Ignacego Lubowidzkiego. Bo urodziła mu dziecko, do którego on oficjalnie nigdy się nie przyznał. Rozalia z kolei nie mówiła o tym nigdy, jakby chciała ten fakt wymazać z pamięci. W ogóle nie wspominała swojego męża. Zuzanna dość

szybko zauważyła, że Lubowidzka nie miała po nim żadnych pamiątek, żadnych fotografii – nic, co mogłoby przypominać, że jeszcze rok temu była jego żoną. Być może jego też chciała wymazać.

Zuzanna bezustannie zastanawiała się, dlaczego Rozalia tak go nienawidziła i z taką łatwością przyjęła, że miał kochankę? Zastanawiało ją również, dlaczego nigdy nie urodziła mu dziecka. Czyżby nie mogła? Ignacy o tym nie wspominał, bo nigdy nie rozmawiali o jego żonie. Przychodził do Zuzanny wyłącznie po miłość, po chwilę rozkoszy, a nie po to, żeby opowiadać o swoim osobistym życiu. Po wszystkim ubierał się i wychodził bez słowa, zostawiając jej plik pieniędzy i rozdarłe serce, nie obiecując ani nie oferując nic ponadto.

– Przyszedł ogrodnik – rzekła teraz, stając w drzwiach pracowni.

– Kto? – Rozalia podniosła wzrok znad starego notatnika, który traktowała jak świętą relikwię.

– Ogródnik. Miał być dzisiaj i właśnie się zjawił. Czeka w sieni.

– Ach, no tak. Możesz go czymś zająć przez chwilę? Albo najlepiej pokaż mu ogród. Niech go obejrzy i zdecyduje, co trzeba zrobić. I pokaż mu miejsce na róże. Powiedz, że musi być dużo róż.

Zuzanna posłusznie kiwnęła głową.

– Dobrze. Wezmę ze sobą Lili. Pobawi się na dworze.

– Tak. Powinnaś częściej z nią wychodzić. Mała potrzebuje świeżego powietrza.

– Boję się, że...

– Nie bój się. Gustaw powiedział, że jest dobrze.

Zuzanna przytaknęła i wyszła z pracowni.

Ogródnik stał w sieni, tam, gdzie kazała mu czekać. Był mężczyzną w średnim wieku, szczupłym, z wyraźnie zarysowaną łysiną. W dłoni trzymał brązowy kaszkiet. Ubrany w skromną marynarkę i spodnie na szelkach, nie wyglądał na ogrodnika, bardziej na komiwojażera. Kiedy Zuzanna do niego podeszła,

zmierzył ją uważnym, napastliwym wzrokiem, jak już to raz zrobił, kiedy otworzyła mu drzwi. Znała ten rodzaj spojrzenia. Większość mężczyzn tak na nią patrzyła – bezczelnie, z pożądaniem, jakby tylko jedno mieli w głowie.

– Pani Lubowidzka prosiła, żebym pokazała panu ogród.

– Nie zechce sama mi go pokazać?

– Nie. Jest zajęta.

Lili przybiegła do sieni jak na zawołanie.

– Chciałbym porozmawiać z panią Lubowidzką – upierał się mężczyzna, miętoląc w dłoniach kaszkiet. – Muszę mieć pewność, że mi zapłaci.

– Zapłaci – zapewniła Zuzanna.

Mężczyzna nawet nie drgnął.

– Skąd mogę mieć pewność?

– Bo gdyby miało być inaczej, nie zatrudniałaby ogrodnika.

– Ech, ludzie różnie gadają.

– Co gadają?

– Że to podobno jakaś świrnięta wariatka. Nie wychodzi z domu, tylko siedzi tu sama. A ten dom odziedziczyła po ciotce, drugiej wariatce, co to kiedyś pośmiewisko z siebie robiła na ulicach Warszawy. Jakaś stara panna bez chłopa.

Zuzanna poczuła, że krew uderza jej do głowy.

– Co to za brednie?

– To nie brednie, tylko szczerą prawdą! – wyrzucił z siebie ogrodnik tak gwałtownie, że aż się opluł. – Kucharka opowiadała na targu! Cały Konstancin o tym trąbi, że w tym pałacu mieszka wariatka!

– O Boże! – Zuzanna złapała za rękę Lili, która już w podskokach zmierzała do wyjścia. – Niech pan stąd wyjdzie i nigdy nie wraca! – wrzasnęła nagle, czując narastającą złość. – Wynocha!

– A co to ma być? – Mężczyzna wydawał się ogromnie zdumiony nagłym wybuchem. – Chcę się widzieć z właścicielką!

– Wynocha! – powtórzyła Zuzanna z naciskiem, gromiąc go wściekłym wzrokiem.

Zrobił dwa kroki w jej stronę, szczerząc zęby w obleśnym uśmiechu, ale Zuzanna złapała w rękę ciężką wazę stojącą na komodzie.

– Wynoś się albo zdzielę cię w łeb!

– A co to, do kurwy nędzy! Baba będzie mi grozić?

Zuzanna zamachnęła się w jego stronę; mężczyzna w popłochu doskoczył do drzwi i po chwili już go nie było.

Lili patrzyła na matkę szeroko otwartymi oczami.

Zuzanna dopiero po chwili zorientowała się, że w sieni stoi Rozalia.

– Nie nadawał się na ogrodnika – rzuciła lekko Lubowidzka. – A swoją drogą, szkoda by było na niego tej wazy. Jest wiele warta.

Zuzanna niemo przytaknęła, bo nie mogła wykrztusić z siebie słowa. W końcu delikatnie odstawiła naczynie na miejsce.

– Chodź ze mną do pracowni – poprosiła Rozalia. – Chcę ci coś pokazać.

W pracowni Rozalia podała Zuzannie kryształowy flakon na perfumy z ozdobną pompką. Już sama buteleczka wyglądała jak małe dzieło sztuki – kształtna, opływowa, z odbijającymi na powierzchni refleksami światła.

– Powąchaj – nakazała z błyskiem w oku.

– Mam to... Ocenić?

– Tak.

Zuzanna nieśmiało spryskała nadgarstek. Mgiełka zapachowa wydawała się niebiańska. Zuzanna nie umiała rozpoznać kompozycji, ale wyczuwała słodycz pomieszaną ze świeżością. To przywodziło jej na myśl dziką łąkę. Zapach był piękny, wręcz oszalałamiający!

– Podoba ci się? – Rozalia czekała na werdykt ze zniecierpliwieniem na twarzy.

– Jest... Wspaniały!

– Więc jest twój! Stworzyłam go dla ciebie. Nazwałam go *Aurore*, czyli zorza.

– Ale ja... – Głos ugrzązł jej w gardle, a w kącikach oczu pojawiły się łzy.

– Każda kobieta powinna mieć swój zapach. Każda na niego zasługuje – odparła Rozalia z błakającym się uśmiechem na ustach.

\* \* \*

Malina, różowy pieprz, liście fiołka i róża – głęboka, intensywna, i jednocześnie subtelna jak tajemnica. Jak kobieta.

*La Rose.*

To był zapach, który Rozalia stworzyła przed pięciu laty w Grasse, wierząc jeszcze w moc miłości. Teraz już w nią nie wierzyła, wręcz śmiała się z własnej dziewczęcej głupoty i naiwności. Ale zapach pozostał w niej bardzo głęboko i domagał się wskrzeszenia.

Zrobiła to.

Przywodził jej na myśl beztroskę i oczekiwanie, kiedy nie знаła jeszcze Ignacego Lubowidzkiego. Kiedy nie wiedziała, kim jest jej przyszły mąż.

Przywodził jej na myśl Gustawa.

Nie umiała wyzbyć się z pamięci jego osoby, bo wciąż tkwiło w niej wspomnienie momentu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Otulał ją wtedy ten zapach. Wtedy myślała, że stworzyła go dla niego.

Tworząc *La Rose* po raz drugi, już nie myślała o Gustawie, a jednak zapach sam jej przypomniawszy tamto niesamowite uczucie zauroczenia. Tę dziwną tęsknotę za mężczyzną, który w rzeczywistości okazał się być kimś zupełnie innym, niż tego oczekiwała. Budziło to w niej zażenowanie własną głupotą

i słabością, ale Rozalia nie umiała się tego wyzbyć. Zrzucała to na karb wszechogarniającej ją samotności.

Przelała drogocenne pachnidło do specjalnie zamówionego flakonika w kształcie róży, a będąc w Warszawie, zaprezentowała zapach ciotce Klarze.

Ta, zaskoczona, aż krzyknęła z zachwytu.

– Mój Boże! Sama to zrobiłaś? One są takie... zmysłowe! Koniecznie musisz dać mi ten flakon w prezencie!

– Są twoje, ciotciu. Ale pamiętaj, tylko na szczególne okazje.

Klara, teatralnie przymykając oczy, spryskała perfumami wgłębienie tuż za uchem.

– Nie miałam pojęcia, że masz taki talent. Jak się tego nauczyłaś?

– Och, to długa historia. Znałam kiedyś kogoś, kto tworzył zapachy. Robił to z ogromną miłością. Nauczył mnie.

Ciotka zachichotała.

– I domyślam się, że twój mąż nie miał o tym pojęcia.

Na wzmiankę o Ignacym Rozalia się skrzywiła. Od jego śmierci minął rok, a ona, wspominając go, wciąż czuła gniew. Teraz to uczucie było już inne niż na początku. Pozbawione lęku, ale za to przepełnione goryczą, poczuciem wstydu i poniżenia.

– Chciałabym zająć się wytwarzaniem pachnidła.

Klara zmarszczyła brwi.

– Co to znaczy wytwarzaniem? Chcesz założyć fabrykę?

– Nie, raczej niewielką manufakturę. Tak jak to robił Vincent Lamar. Nie wiem, czy zapach się przyjmie, czy będzie się podobał. Jeśli tak, to kto wie...

– Oszalałaś! Chcesz się bawić w interesy? Po co? Przecież nie brakuje ci pieniędzy!

– Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o pasję! Sama wiesz, ciotciu, co to znaczy, bo przecież nigdy nie szłaś utartą ścieżką. Niewiele mi o sobie opowiadasz, ale z plotek dowiaduję się, że w młodości było z ciebie niezłe ziółko!

Klara zaśmiała się.

– Duszko, spisałam pamiętniki! Dostaniesz je w spadku i będziesz mogła poznać mnie z tej strony, która tak cię intryguje. A na razie musisz zadowolić się plotkami. A już poważnie mówiąc, twoja żałoba dobiegła końca, więc może wyjdiesz w końcu do ludzi i pokażesz te perfumy? Zaraz po Wielkanocy Branicycy urządzają w Wilanowie przyjęcie na rozpoczęcie sezonu. Powinnaś pójść.

– Nie chcę spotykać się z ludźmi.

– Mój Boże! Zamierzasz prowadzić pustelnicze życie? Tak nie można! Jesteś jeszcze młoda! Poza tym skoro zamierzasz, jak to ujęłaś, wytwarzać pachnidła, to powinnaś je komuś pokazać! No wybacz, ale same się nie sprzedadzą!

Rozalia uśmiechnęła się z przekąsem, lecz w duchu pomyślała, że może ciotka ma rację i że jednak powinna wyjść do ludzi – chociażby po to, żeby zdementować plotki o tym, że jest wariatką.

\* \* \*

Pałac w Wilanowie, imponujący barokowy kompleks królewski wzniesiony w siedemnastym wieku dla króla Jana III Sobieskiego, stanowił najświetniejsze miejsce spotkań towarzyskich warszawskiej elity.

Obecni właściciele pałacu, państwo Branicycy, rzadko urządzali rauty na tak dużą skalę, bo cenili sobie raczej spokój i prywatność. Ale jeśli już decydowali się wydać przyjęcie, to było to niezrównane wydarzenie towarzyskie sezonu. Na salonach brylowały gwiazdy kina: magnetyzujący elegancją i spojrzeniem Eugeniusz Bodo, cieszący się powszechnym uwielbieniem kobiet Aleksander Żabczyński czy piękne artystki jak sławna śpiewaczka operowa i aktorka Tola Mankiewiczówna. Tego wieczoru jednak splendoru przyjęciu dodawała polska artystka malarka, która przybyła do Warszawy wprost z Paryża, gdzie

mieszkała od lat – Tamara Łempicka. Zebrane na przyjęciu towarzystwo zjawiało się głównie ze względu na nią, by na własne oczy zobaczyć zbuntowanego anioła, tę młodą, urodziwą gorszycielkę, o której z wypiekami na twarzy mówiono, że za nic miała wszelkie konwenanse. Podobno prowadziła się swobodnie jak mężczyzna, a do tego zdradzała swojego męża Tadeusza Łempickiego z kobietami! Jakby tego było mało, jej popularność i talent malarski przełożyły się na znaczny sukces finansowy, co niektórym kręgom społecznym w Warszawie nie mieściło się w głowie. Nie do pomyślenia, że kobieta miała czelność zarabiać pieniądze na malarstwie i jeszcze się tym szczycić, mówiąc głośno o tym, że jej mąż jest na jej wyłącznym utrzymaniu. Nikt jednak nie miał śmiałości zaprzeczyć, że obrazy Tamary Łempickiej bardzo przypadły do gustu bogatym francuskim *bourgeois*, a ona sama brylowała na nocnych salonach Paryża.

Rozalia, choć ostatnie tygodnie spędziła w domu, z własnej woli zamykając się przed światem, teraz nie miała najmniejszego oporu, żeby nawiązać towarzyską rozmowę ze sławną Łempicką. Popchnęła ją do tego głównie tęsknota za Francją. Rozmawiały o Paryżu i o tym, jak bardzo życie nad Sekwaną różni się od tego w konserwatywnej, skostniałej od konwenansów Polsce. W Paryżu nikt nie uważał Łempickiej za kobietę upadłą, bez wstydu i zahamowań. Tam ją hołubiono, kochano, wielbiono. A w Polsce – wytykano palcami i patrzono jak na egzotycznego ptaka.

– Rosalie, musi pani przyjechać do Paryża i koniecznie odwiedzić mnie w moim atelier. Dziwię się, że po śmierci męża wciąż tkwi pani w tym miejscu i nie wyjechała do Francji. Pani tu nie pasuje, podobnie jak ja! Owszem, Polska! Polska! Kocham Polskę! Ale tu żyć się nie da! A te perfumy *La Rose* to absolutne odkrycie! Tam mogłaby pani rozwinąć skrzydła! Musi mi pani pozwolić zabrać flakon do Francji. Moje znajome będą zachwycone!



– A ja będę zaszczycona – odparła Rozalia nie bez dumy, popijając małymi łykami poncz. – Proszę odwiedzić mnie w Konstancinie. Dam pani kilka flakonów na podróż do Paryża.

– Och, koniecznie, *mon chéri*! Wraz z rodziną też mieliśmy uroczą willę w Konstancinie. Ale to było... Jakby w innym życiu. Zanim wrócę do Francji, z pewnością panią odwiedzę. Pozwoli pani, że namaluję jej portret? Ta blizna jest... – Tamara wbiła w Rozalię magnetyzujące spojrzenie przenikliwych oczu.

– Szpetna – rzuciła Rozalia z ironią.

– Inspirująca! Dodaje pani charakteru. Ta blizna to pani doświadczenie... I siła. Kobiety mają w sobie ogromną siłę i pani o tym wie, Rosalie. Jest pani twarda jak skała, która wprawdzie ma swoje rysy i pęknięcia, ale to dodaje jej uroku.

– Pochlebia mi pani.

Łempicka zaśmiała się głośno.

– To nie pochlebstwo, *mon chéri*. Ja nie muszę się przypochlebiać. To wyłącznie prawda. Ma pani charakter, który burzy spokój. Jest pani wyjątkowa, nowoczesna. Jak ja. Nie przystaje pani do tego świata pełnego hipokryzji. Mąż... Nie był pani wart.

– Słyszała pani o moim mężu?

Tamara się zachnęła.

– Nawet go znałam. Spotkaliśmy się parę razy. Nie imponował mi niczym, podobnie jak ja jemu. Uważał mnie za wariatkę, nie artystkę. Ale cóż on mógł wiedzieć o artystach? – W jej głosie pobrzmiwała drwina.

Rozalia upiła łyk wina. Mimochodem rozejrzała się po pięknej sali pełnej gości, z których większość tłoczyła się przy młodym Eugeniuszu Bodo, który z finezją dawał popis swojego teatralnego poczucia humoru. W tle słychać było muzykę smyczkową, a kelnerzy we frakach i białych rękawiczkach chodzili między gośćmi z kryształowymi kieliszkami pełnymi najlepszych trunków.

– Nie dziwi mnie to – skwitowała. – Mój mąż każdego miał za wariata. A pani mąż? Dlaczego został w Paryżu i nie towarzyszy pani w Warszawie?

– Wstydzi się, że jego niepokorna żona zarabia na malarstwie. Oczywiście nie przeszkadza mu to wydawać moje pieniądze. Pani też wierzy w te plotki, że zdradzam go z kim popadnie?

Rozalia uśmiechnęła się z przekąsem.

– Wierzę w to, w co sama chcę, i staram się zachować przy tym zdrowy rozsądek.

– Bardzo słusznie. Nie zmienia to faktu, że ludzkie ciało niezwykle mnie inspirowało. A z tych inspiracji... No cóż... Wynikają różne sytuacje – to mówiąc, Tamara mrugnęła zalotnie.

– Pewnego razu na ulicy w Paryżu zobaczyłam młodego policjanta. Był taki piękny! Co za ciało! Zgodził się pozować do aktu, ale ogromnie go to krępowało i musiałam użyć sporo argumentów, żeby w końcu odważył się stanąć przede mną nago, jak go Pan Bóg stworzył. Później już nie miał takich oporów.

Rozalia się zaśmiała. Słowa malarki przyjemnie buzowały jej w głowie. Od Łempickiej biła aura świeżości i jakiejś zakazanej perwersji. Kobieta nie kryła, że w swoim iście skandalicznym anturazie pragnie być podziwiana, nawet jeśli metody jej postępowania odbiegały od powszechnie przyjętych norm.

Gustawa Lubowidzkiego Rozalia zobaczyła mimochodem. Nie spodziewała się go tutaj. Była pewna, że jej szwagier przebywa w Brześciu – wyjechał przecież pod koniec stycznia, jak tylko udało mu się w pełni doprowadzić Lili do zdrowia. Teraz więc zaskoczył ją jego widok, a nawet poczuła się odrobinę nieswojo. Nie chciała, żeby widział ją w szerokim towarzystwie, skoro do tej pory tak skrętnie unikała ludzi niczym pustelnica.

Dostrzegł ją jednak w tym samym momencie, w którym ona ujrzała jego.

Rozalia poczuła na ciele gęsią skórę, ale zrzuciła to na karb wypitego alkoholu.

Gustaw przemierzył salę i zbliżył się do nich.

– Rozalio, *madame* Łempicka – przywitał się. Wyglądał dobrze i elegancko, ale było w nim coś surowego, co nie przystawało do rozbawionego towarzystwa, w którym prym wiedli piękni, dowcipni *bon vivanci* pokroju Bodo.

– Pan Lubowidzki! W zastępstwie brata pilnuje pan wdowy? – zapytała Łempicka nie bez złośliwości, mierząc go uważnym wzrokiem.

– Nie zamierzam nikogo zastępować – odparł Gustaw nieco zbyt poważnie, zaglądając Rozalii prosto w oczy. – Chciałem się jedynie przywitać. Cieszę się, że widzę bratową na przyjęciu. Ostatni rok był dla niej trudny, więc ma prawo do rozrywek.

Zdumiona Rozalia uniosła brwi. Wytrzymała jego wzrok, choć patrzył na nią nachalnie i bez skrępowania, a to spojrzenie rozpało w niej dziwny ogień.

– Wyglądasz... Inaczej – rzekł.

Rzeczywiście tego wieczoru wyglądała inaczej niż zwykle. Ale chciała tak wyglądać. To miało być symboliczne pożegnanie się z duchem Ignacego, więc ubrała się w zwiewną sukienkę w pastelowym kolorze z obniżonym stanem, udekorowaną błyszczącymi kamieniami, a nadgarstki przyozdobiła szerokimi bransoletami z pereł. Ufryzowane gładko włosy, które parę dni wcześniej obcięła powyżej ramion, ozdobiła atłasową opaską. Gustaw jednak spoglądał na jej podkreślone czerwoną szminką usta, jakby nagle chciał złożyć na nich pocałunek. I to tam spojrzenie jego oczu paliło ją najbardziej.

– Prawda, że pięknie? – wtrąciła się Tamara Łempicka. – Ta sukienka to najnowszy krzyk mody w Paryżu.

– Pani również jak zwykle czaruje swoją osobą, *madame* Łempicka. Jest pani duszą tego towarzystwa.

Malarka zaśmiała się z ironią.

– Rozumiem, że delikatnie daje mi pan do zrozumienia, że mam czarować gdzieś indziej i kogoś innego?

– Skąd to przypuszczenie?

– Przecież widzę, że nie spuszcza pan wzroku z Rosalie. Dobrze więc, poflirtujcie sobie do woli, a my, *mon chéri*, widzimy się wkrótce w Konstancinie. Pamiętaj, że będę cię malować! – To powiedziawszy, Łempicka zniknęła w tłumie gości.

Rozalia przez chwilę patrzyła w ślad za malarką, niepewna, jak powinna się zachować, aż w końcu sama skierowała się w stronę stołu z przekąskami. Gustaw poszedł za nią. Czuła się nieswojo, kiedy tak śledził ją uważnym, natarczywym wzrokiem. Zatrzymał się tuż przy niej, a ona znowu poczuła ten niepokojący dreszcz.

– Jak Lili?

– Dobrze. Pyta o ciebie. Ciągłe wspomina zabawy z tobą.

– Nie było nawrotów choroby? Nic mi nie pisałaś, choć liczyłem, że się odezwiesz.

– Dziewczynka rozkwita. Odkąd jest zdrowa, zrobiła się taka żywa! Wszędzie jej pełno! – Rozalia zatrzymała się przy półmisku z pasztecikami z krewetek i włożyła jeden do ust, pilnując, żeby palce jej przy tym nie drżały. – Nigdy nie wiadomo, co jej wpadnie do głowy, choć Zuzanna strzeże jej jak oka w głowie.

– Chyba ci to nie przeszkadza?

– Ależ skąd! Jej entuzjazm jest taki zaraźliwy! Mała dostarcza nam sporo radości. – Upiła łyk ponczu i spojrzała na niego prowokacyjnie, żeby nie dostrzegł jej zakłopotania. Ale on chyba odebrał to jako zachętę, bo przysunął się do niej jeszcze bliżej.

– Pachniesz jak kiedyś... – powiedział nagle ściszonego głosem, pochylając ku niej głowę, a ona poczuła, że coś w niej topnieje. Więc rozpoznał ten zapach. Poczuli go.

Jego podbródek był na wysokości jej ust. Tak blisko... Gustaw opuszkami palców dotknął jej dłoni, ale odsunęła się gwałtownie i odwróciła do niego plecami. W środku cała drżała.

– Co robisz w Warszawie? – zapytała szybko, ignorując to, co powiedział o jej zapachu. – Znowu przyjechałeś na święta?

Najpierw Boże Narodzenie, teraz Wielkanoc? Dawniej nigdy cię nie było.

– To tylko jeden z dwóch powodów. Wiesz przecież, po co przyjechałem.

Wzruszyła ramionami.

– Skąd mogę wiedzieć? Nie znam twoich planów.

– Przecież aresztowano zabójcę Ignacego.

– Co takiego? – Rozalia prawie zakrzuszyła się krewetką. Upiła łyk ponczu. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

W tym momencie jak spod ziemi wyrósł między nimi nieznany obojgu elegancki, mężczyzna w średnim wieku. Ukłonił się szarmancko przed Rozalią i przywitał z Gustawem.

– Proszę wybaczyć, że zwracam się tak bezpośrednio, ale nazywam się Antoni Broll i jestem właścicielem fabryki kosmetyków Eustoma w Łodzi. Zapewne państwo o niej słyszeli, bo jesteśmy w tej chwili niemal bezkonkurencyjni. Bardzo, ale to bardzo chciałbym z panią porozmawiać, szanowna pani Lubowidzka – to mówiąc, zwrócił się do zdezorientowanej Rozalii.

Rozalia, zbita z tropu, patrzyła raz na Gustawa, a raz na przybysza, który nie odrywał od niej uporczywego wzroku.

– Panie Broll, pozwoli pan, że dokończę rozmowę ze szwagierką?  
– rzucił Gustaw mało uprzejmym tonem, poirytowany, że właściciel fabryki tak obcesowo przerwał im rozmowę.

– Och, panie doktorze, pan ma możliwość spotykania się z panią Lubowidzką na co dzień, a dla mnie to przyjęcie to jedna z nielicznych okazji. Więc proszę zostawić nas na słówko. Obiecuję, że wkrótce oddam panu szanowną szwagierkę.

Rozalia niemo dała znak Gustawowi, żeby ich zostawił. Był wyraźnie niezadowolony, ale oddalił się w stronę wyjścia z sali bankietowej. Patrzyła, jak odchodzi, i pomyślała, że musi jak najszybciej spławić tego nachalnego mężczyznę i pobiec za Gustawem.

– Tamara właśnie pokazała mi pani zapach. Ma pani tego więcej?

– *La Rose*? Produkuję go w niewielkiej ilości i wyłącznie na użytek własny oraz dla najbliższych przyjaciół – rzuciła niedbałym tonem.

– Z moją pomocą może pani produkować tego więcej. Znacznie więcej. Chętnie spotkam się z panią i porozmawiam o ewentualnej współpracy.

Rozalia zmarszczyła brwi. Jej myśli krążyły teraz wyłącznie wokół tego, co powiedział jej Gustaw, i nie była w stanie skupić uwagi na stojącym przy niej mężczyźnie.

– Panie... Broll, proszę wybaczyć, ale nie mogę teraz rozmawiać o jakiegokolwiek współpracy. Jestem na przyjęciu, staram się dobrze bawić... To nie jest właściwe miejsce.

Uśmiechnął się do niej pobłaźliwie, jak do dziecka.

– Widać, że nie zna pani zasad panujących w świecie interesów. To właśnie tu, w takich miejscach, ustala się zasady współpracy. Interesy są jak dyplomacja...

– Panie Broll, przepraszam, ale nie mam teraz czasu! – powtórzyła gwałtownie i, niewiele myśląc, zostawiła zdumionego mężczyznę i szybkim krokiem wyszła z sali bankietowej.

Gustawa zastała w ogrodzie. Stał przy szemrzącej fontannie, obojętnym wzrokiem obserwując spacerujące alejkami pary.

– Gustaw!

– Szybko zakończyłaś tę rozmowę, choć pan Broll wyraźnie był tobą zainteresowany.

– Nie kpij! Powiedz, co z tym podejrzanym!

– Komisarz Wójcik nie poinformował cię o niczym? Dostałem od niego telegram dwa dni temu i natychmiast przyjechałem. Zabójca został schwytany i zamknięty w areszcie.

– Nie! Nikt mnie nie poinformował! – krzyknęła pełna oburzenia. – Jak to się stało? Kto to jest?

– Ukraińiec.

– Skąd wiadomo? Przyznał się?

– Nie, ale według policji wszystko na niego wskazuje. Nienawidził Ignaca, bo ten otwarcie mówił, że jest przeciwny brataniu się z mniejszościami. Zwłaszcza z Ukraińcami i Żydami.

– Więc za to ten Ukrainiec go zabił?

– Tak.

– A ty w to wierzysz?

– Nie wiem. Będzie proces, który udowodni mu winę bądź nie.

Rozalia przysiadła na krawędzi fontanny. Czuła, że drży od emocji, a do tego chłodny powiew wiatru musnął jej ciało, więc skuliła się nieco, krzyżując ręce na piersi.

Gustaw to zauważył. Zdjął marynarkę i okrył jej ramiona. Przyjęła ją z niemą wdzięcznością.

– Czy wam, kobietom, nikt nie mówi, że te fikuśne sukienki są kompletnie niepraktyczne? – zapytał Gustaw ściszoneg głosem.

– Nie chciałam wyglądać praktycznie, tylko ładnie – rzuciła prowokacyjnie, ale otuliła się marynarką, oddychając nowym zapachem. – Jutro jadę na komisariat – zdecydowała. – Chcę wiedzieć, dlaczego nie poinformowano mnie o aresztowaniu zabójcy.

– Pojadę z tobą.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Nie, lepiej pojedź do Lili. Będzie szczęśliwa, że cię zobaczy.





## ROZDZIAŁ 10

Na drugi dzień rano Rozalia pojechała wynajętą taksówką do Warszawy na komisariat policji. Nie sądziła, że informacja o aresztowaniu zabójcy Ignacego tak ją rozstroi, a jednak nie mogła spać całą noc. Zwłaszcza że upojona ponczem, którego zbyt dużo wypijała na przyjęciu, czuła nieprzyjemne mdłości. O całej sprawie z aresztowanym powiedziała rano Zuzannie, ale ta nie skomentowała tego nawet jednym słowem. Po skromnym śniadaniu zabrała się za domowe porządki, jakby ta sprawa nic ją nie obchodziła. Lili natomiast ochoczo bawiła się w ogrodzie, zapewniając solennie, że pilnuje nowego ogrodnika, którego Rozalia zatrudniła kilka dni temu.

Rozalia widziała poruszenie, jakie wzbudziło jej pojawienie się w budynku Wydziału IV Komendy Głównej Policji, potocznie nazywanego rejestracyjno-pościgowym. To tu urzędował komisarz prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Ignacego. Do tej pory nie miała okazji być w tym miejscu, bo po śmierci Ignacego policja osobiście fatygowała się na wszelkie rozmowy z nią. Teraz najwidoczniej wszystko się zmieniło i już o niej zapomnieli – pomyślała.

Komisarz Józef Wójcik był mężczyzną po czterdziestce. Wysoki i żylasty, z twarzą wyraźnie naznaczoną zmarszczkami, prezentował się mało atrakcyjnie. Całości jego postaci dopełniał niechlujny strój składający się z wyblakłej koszuli, nieco zbyt

szerokich spodni na szelkach i wełnianej marynarki, która lata świetności już dawno miała za sobą. Na pierwszy rzut oka widać było, że wygląd zewnętrzny nie jest czymś, o co śledczy dba szczególnie. Rozalię uderzyło to już na progu jego skromnego, wręcz ascetycznego gabinetu i niestety po raz kolejny złapała się na tym, że każdego napotkanego mężczyznę porównuje ze swoim zbyt eleganckim i przesadnie dbającym o wizerunek, zmarłym mężem.

– Pani Lubowidzka! Cieszę się, że panią widzę.

Zaproponował jej krzesło i coś do picia, ale odmówiła. Zza drzwi słyszała zgiełk z korytarza.

– Chyba nieszczególnie się pan cieszy, skoro nie raczył mnie pan poinformować o wynikach śledztwa – zaczęła bez ogródek, nie siląc się na uprzejmość. – Dlaczego dopiero od mojego szwagra dowiaduję się, że zabójca mojego męża został aresztowany?

– Nastąpiło to zaledwie trzy dni temu, droga pani.

– Więc powinnam o tym wiedzieć trzy dni temu!

Wójcik usiadł za biurkiem i wbił w nią baczne spojrzenie.

– Szanowna pani, parę miesięcy temu dostałem wyraźne wytyczne od pani drogiej teściowej Leokadii Lubowidzkiej, że nie życzy sobie pani, żeby informowano ją o wynikach śledztwa.

– Co takiego?

– To, co pani słyszy, szanowna pani.

Rozalia zadygotała z oburzenia.

– Ignacy Lubowidzki przez pięć lat był moim mężem. Kto jak nie ja powinien jako pierwszy znać wyniki śledztwa? – zapytała z wyraźną kpina w głosie.

Mężczyzna obcesowo patrzył jej w oczy.

– Z całym szacunkiem, to małżeństwo podobno było farszą. Sama pani przyzna, że mąż nie zostawił jej majątku, a dopiero szwagier z siostrą i teściową przepisali na panią właściwą część. Nie bez przymusu zresztą. Podobno posunęła się pani do szantażu i manipulacji.

Rozalia zerwała się na równe nogi.

– Jest pan bezczelny, komisarzu!

– Pani wybaczy, ale chyba mówię tylko to, co jest zgodne z prawdą. Zresztą i pani przez chwilę była na liście podejrzanych. Jednak szybko to zdementowano.

– Podejrzewaliście mnie o zabójstwo męża?

Mężczyzna kiwnął głową.

– To naturalna procedura. Jednak pani szanowna teściowa wyjaśniła, że to niemożliwe, bo w trakcie zabójstwa cały czas przebywała pani w Kargominie.

Rozalia prychnęła z pogardą.

– Dlaczego nikt mnie właściwie nie przesłuchał? Dlaczego nie spisano protokołu?

– Nie było takiej potrzeby. Zabójca w końcu został złapany, więc powinna być pani zadowolona. To będzie krótki, ale na pewno spektakularny proces. Pan Lubowidzki był znanym i szanowanym politykiem, więc gazety zapewne będą się o tym rozpisywać.

– Kim jest ten człowiek? – Ponownie usiała na krześle, próbując opanować emocje.

– To Ukrainiec, robotnik. Pracował w fabryce Orthwein, Karasiński i S-ka. Nazywa się Dmytro Senyk.

– Skąd wiadomo, że to on? Przyznał się?

Komisarz uśmiechnął się z przekąsem.

– Podejrzewaliśmy go od dawna. Znał pani męża, podobno wykonywał dla niego kilka zleceń.

– Jakich zleceń?

– Na tym etapie śledztwa nie mogę tego ujawnić, szanowna pani. Wiemy tylko, że tamtego wieczora przebywał w okolicach restauracji, w której gościł pani mąż. Z całą pewnością to on pociągnął za spust.

– Skąd ta pewność?

– Mamy świadków, którzy potwierdzają, że między pani mężem a tym robotnikiem wywiązał się jakiś konflikt, ponoć trwał od

dawna. I podobno na tle narodowościowym.

– I dlatego Dmytro Senyk zabił mojego męża? Bo Ignacy gardził Ukraińcami?

– To chyba wystarczający powód, szanowna pani. Z tego powodu narody wywołują wojny. Mam pani przypomnieć o niedawnym, nieudanym zamachu na prezydenta Wojciechowskiego?

Rozalia zacisnęła usta. Zauważyła, że już od jakiegoś czasu komisarz nie spuszcza wzroku z jej oszpeconej twarzy.

– Znaleźliście broń?

– Niestety nie. Obawiam się, że może to już nie nastąpić. Pewnie wrzucił pistolet do jakiegoś kanału. – Wójcik odchylił się na fotelu.

– Proszę się cieszyć, pani Lubowidzka, bo w końcu będzie pani mogła spać spokojnie. Zabójca pani męża na pewno dostanie wyrok śmierci.

– Kiedy zacznie się proces?

– Prokurator formułuje akt oskarżenia. Za dwa, trzy tygodnie możemy spodziewać się pierwszej rozprawy.

– Czy ten człowiek ma jakiegoś obrońcę?

– Przydzielono mu kogoś z urzędu, ale proszę się nie obawiać, to tylko formalność. Obrońca nie jest w stanie nic zrobić. Ten Ukrainiec jest już martwy, szanowna pani.

Rozalia zadrżała. Poczowała, że robi jej się niedobrze.

– Z góry skazujecie człowieka na śmierć?

– Chyba to panią nie martwi? A czego innego może się spodziewać po zabójstwie pana Lubowidzkiego? Tylko rozstrzelanie jest tu sprawiedliwym wyrokiem.

Rozalia nie odpowiedziała. Wstała z krzesła i bez słowa wyciągnęła rękę w stronę komisarza, chcąc się pożegnać. Mężczyzna również wstał, choć nie silił się na zbyt kurtuazyjne gesty. Denerwowała ją jego obcesowość i arogancja.

– A ta blizna na policzku? – zapytał niespodziewanie. – Skąd ją pani ma?

– Od mojego męża.

Wójcik nie skomentował, jakby ta informacja nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia, a jedynie chciał się upewnić, czy jego przypuszczenia były słuszne.

Rozalia zdziwiła się, kiedy komisarz otworzył jej drzwi do wyjścia i natknęła się w nich na Gustawa. Spojrzał na nią nie mniej zdumiony. Na jego gładko ogolonej twarzy rysowały się bruzdy, jakby był bardzo zmęczony albo niewyspany. To pewnie konsekwencje wczorajszego przyjęcia – pomyślała. Widziała, jak przemknął wzrokiem po jej postaci. Dziś już nie wyglądała tak modnie jak wczoraj – miała na sobie prosty płaszcz i wywinięty rondem do góry kapelusz bez ozdób, pod którym szczelnie schowała włosy. Nie lubiła kapeluszy, ale tym razem zrobiła wyjątek, żeby godnie się zaprezentować przed funkcjonariuszem policji.

– Dzień dobry. – Głos Gustawa był zachrypnięty.

Lekko skinęła głową w odpowiedzi.

– Pani Lubowidzka poinformowała mnie, że to pan powiedział jej o aresztowaniu podejrzanego – rzekł Wójcik, zapraszając gestem Gustawa do gabinetu.

– Dlaczego moja bratowa nie została o tym wcześniej poinformowana?

– Już to z panią Lubowidzką wyjaśniliśmy.

– Pan komisarz był zbyt posłuszny twojej matce – wtrąciła się Rozalia z kpina. – Panie komisarzu, będziemy w kontakcie. Proszę informować mnie o wszystkim, jeśli będą jakieś nowe informacje w sprawie podejrzanego.

Próbowała minąć stojącego w drzwiach Gustawa, ale on delikatnie dotknął jej ramienia.

– Odwiozę cię do domu – rzekł ściszym głosem, pochylając się ku niej.

– Mam taksówkę. Zresztą, jadę jeszcze do cioci Klary. – Usłyszała swój zmieniony głos. Nie wiedziała, czemu ciągle reaguje na niego tym dziwnym drżeniem, którego nie może

opanować. I dlaczego próbuje doszukiwać się w jego gestach czegoś więcej niż tylko troski?

– Powiedziałaś wczoraj, że mogę odwiedzić Lili. – Nie dawał za wygraną.

– Możesz...

Opuściła gabinet śledczego i szybkim krokiem przemierzyła korytarz. Kiedy wyszła z posterunku policji, policzki paliły ją żywym ogniem. Dopiero gdy wsiadła do taksówki, zdała sobie sprawę, że jej serce tłucze się w piersi jak oszalałe. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak dziwnie reaguje na Gustawa.

\* \* \*

Budynek oddziału męskiego warszawskiego więzienia, potocznie zwanego Pawiakiem, mieścił się przy ulicy Dzielnej, w obrębie ulic Ostrożnej i Pawiej. To tam, pod specjalnym nadzorem, przetrzymywany był więzień Dmytro Senyk, oskarżony o zabójstwo Ignacego Lubowidzkiego.

Gustawa do celi wprowadził strażnik więzienny.

Na sienniku, będącym jedynym sprzętem w tym pomieszczeniu, jeśli nie liczyć nocnika pod brudną ścianą, siedział młody mężczyzna. Był zgarbiony w pół, głowę chował między nogami. Ze szczupłych pleców sterczały mu kościste łopatki. Miał na sobie płócienną koszulę i drelichowe spodnie przewiązane w pasie sznurkiem. Był boso. Słyszając szcęk otwieranej żelaznej zasuw, podniósł głowę i spojrzał jasnymi oczami wprost na Gustawa. Szybko jednak odwrócił wzrok.

Gustaw poczuł kwaśny smród uryny i odchodów i skrzywił się z odrazą.

– Nazywam się Gustaw Lubowidzki – rzekł do więźnia, próbując opanować mdłości.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nawet na niego nie spojrzał, zajęty wpatrywaniem się w swoje brudne, bose stopy.

– Nazywasz się Dmytro Senyk?

Cisza.

– Wiesz, że niedługo zaczniesz się twój proces o zabójstwo? – kontynuował Gustaw, niezrażony milczeniem więźnia.

Senyk zmiął w ustach przekleństwo i splunął na brudną podłogę.

– Dlaczego zabiłeś mojego brata?

Tamten znowu podniósł głowę, ale tym razem popatrzył Gustawowi w oczy. Był bardzo młody – nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– Nie zabiłem skurwiela – wycharczał. – Choć miałem ochotę to zrobić. Zresztą nie tylko ja.

– Policja twierdzi, że to ty. Byłeś tam podobno, pod tą restauracją, kiedy zginął mój brat.

– Policja gównu wie. Byłem tam, bo byłem, ale nie zabiłem tego skurwysyna. Zrobił to ktoś inny, kto pewnie miał już dość. Lubowidzki był kanalią. I to największą z możliwych. Niech zdycha w piekle, bo pewnie się w nim smaży.

Gustaw zacisnął szczękę.

– Skąd znałeś Ignacego?

– Nie wasza sprawa.

– Moja. Był moim bratem.

Senyk uśmiechnął się krzywo.

– Więc jest pan pewnie taki sam – rzucił z drwiną. – Oprawca i bandyta. Gwałciciel.

Gustaw zadrżał.

– Co ty mówisz?

– To, co pan słyszy – wycharczał, znowu patrząc mu prosto w oczy. – Ignacy Lubowidzki zgwałcił moją siostrę. Zresztą nie tylko ją. Tych biedaczek było wiele. I nikt mu nic nie zrobił, bo był cholernym posłem. Polakiem!

– Mówiłeś o tym policji?

– A co, boi się pan, że oczernię dobre imię braciszka?

– Nie. Pytam, czy któraś z kobiet złożyła skargę?

Senyk opuścił głowę i zaśmiał się z ironią, aż mu się zaczęły trząść ramiona. Dopiero po chwili Gustaw się zorientował, że Ukrainiec płacze.

– Panie, wszyscy jesteście tacy sami! Pierdolone Lachy! Co by to dało? Że chłop babę zgwałcił? Polak? To przecież żadne przestępstwo! W dodatku taki wielki pan! Powiedzieliby, że przysługę jej zrobił!

– Skoro ty go nie zabiłeś, to kto to zrobił?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Podobno pracowałeś dla niego. Co to było?

Senyk milczał.

Gustaw pomyślał, że mimo wszystko żał mu tego człowieka, bo jeśli rzeczywiście zabił jego brata, to pewnie popchnęła go do tego rozpacz bądź chęć zemsty. Nie wierzył w premedytację. Nie umiał. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Rozalia tak łatwo wybaczyła Zuzannie Grabińskiej, choć ta była kochanką jej męża.

– Nieraz płacił mi za usługi – powiedział wreszcie.

– Jakie usługi?

– A co to, kurwa, przesłuchanie? Policja już ma moje zeznania, a i tak mi nie wierzą! Mają mnie za mordercę!

– Nie jestem z policji. Pytam wyłącznie jako brat zamordowanego. Chciałbym zrozumieć. Poznać Ignacego.

– Trza to było robić przed jego śmiercią! Ale jak chcesz pan wiedzieć, to organizowałem mu ludzi, bojówki. Szła później taka łajza jedna z drugą z pałkami i wychwalali władzę. A jak się komuś nie podobało, to w mordę dawali. Komunistów lali, piłsudczyków, semitów. Wszystkie szumowiny, co się Lubowidzkiemu nie podobały.

– Przecież ty Ukrainiec jesteś.

– A co to szkodzi? Boksować się umiem, to i półświatek znam. Wiedziałem, skąd ludzi brać.



– Więc biłeś ludzi na polecenie mojego brata?

Senyk wzruszył ramionami.

– Raz czy dwa dałem komuś w mordę, ale to głównie inni lali.

– Ignacy dużo wam za to płacił?

– Lepiej niż w fabryce.

Gustaw się zamyślił. Po raz nie wiadomo który uświadomił sobie, że nie znał swojego brata. Podczas gdy on – Gustaw – walczył wpierw w wielkiej wojnie, a później w wojnie z bolszewikami, by pokonać wroga, Ignacy siedział w zaciszu politycznych gabinetów, ucząc się niszczyć ludzi naciskiem i przemocą. Stawał się jednym z tych, którzy pociągali za sznurki i taplali się we krwi oddających życie dla sprawy. Nie wiedzieć czemu, po raz kolejny pomyślał o Rozalii i o tym, jak straszne musiało być jej życie u boku takiego człowieka. Oprawcy i gwałciciela.

– Co powiesz w sądzie? – zapytał Ukraińca, choć znał jego odpowiedź.

– Że go nie zabiłem. To święta prawda. Bóg mi świadkiem. Nie zabiłem gnoja.



## ROZDZIAŁ 11

Z okna swojego pokoju Ada patrzyła na elegancką dorożkę z dwoma karymi końmi, która zajechała przed dom. Mężczyzna, który z niej wysiadł, był młody i dobrze ubrany. Z siedzenia podniósł okazały bukiet czerwonych róż. Ada pomyślała, że te róże pewnie bardziej spodobałyby się Rozalii – ona lubiła róże. Ada wolała frezje. Albo konwalie. Teraz w lesie pełno było konwalii. Nie dalej jak przed paroma dniami nazbierała ich naręcze, spacerując leśnymi ścieżkami, ale zdążyły już zwiędnąć, więc ucieszyłyby się z kolejnego bukietka.

Odeszła od okna i z westchnieniem popatrzyła na stertę książek piętrzących się na sekretarzyku. Gdyby matka choć raz pofatygowała się wejść do jej pokoju, pewnie zdziwiłaby się, widząc, co Ada robi w wolnym czasie, którego miała aż nadto. Wszystkie książki, które pochłaniała, miały przygotować ją do rychłego egzaminu wstępnego na studia prawnicze, o czym nie zamierzała matce mówić. Wiedziała tylko, że egzaminy mają odbyć się na początku czerwca i w tym czasie planowała być już w Warszawie.

Tymczasem, ubrana w wiosenną, białą sukienkę z marynarskim kołnierzykiem i z włosami ładnie zaczesanymi w warkocz, musiała zejść na dół do salonu, by powitać narzeczonego. Zerknęła jeszcze w lustro. Daleko jej było do piękności, ale policzki miała

zaróżowione z zakłopotania, co dodawało jej uroku. Zganiła się jednak za nedorzeczną myśl, że chciałaby wyglądać ładniej.

Matka siedziała z nowo przybyłym gościem w salonie i zabawiała go rozmową. Na widok córki niepewnie wchodzącej do pokoju kobieta skrzywiła się nieznacznie. Widać było, że sukienka, którą Ada włożyła, nie przypadła jej do gustu. Ona sama wciąż ubierała się w żałobną czerń, choć okres żałoby po Ignacym minął już kilka tygodni temu. Powtarzała jednak, że matka żałobę po dziecku nosi do końca życia.

– A oto i Ada, we własnej osobie! Córko, pan Andrzej chciałby z tobą o czymś porozmawiać.

Dziewczyna popatrzyła spłonionym wzrokiem na mężczyznę, który dzierżył w dłoni bukiet róż. Doskonale wiedziała, o czym Andrzej Cholewiński zamierzał z nią porozmawiać. I gdyby miała możliwość uciec stąd w najdalszy zakątek świata i ukryć się przed tym, co nieuniknione – zrobiłaby to.

– Panno Ado... – Młodzieniec zrobił nerwowy krok w jej kierunku i nagle zatrzymał się, jakby zablokowała go jakaś niewidzialna bariera. Błądził gdzieś niepewnym wzrokiem, nie śmiejąc na nią spojrzeć. Wyglądał głupio z tą zenująco niepewną postawą.

Ada, choć równie zawstydzona, podeszła do niego.

– Panno Ado... – powtórzył i nieco zbyt energicznie wręczył jej bukiet.

Nie było w tym geście ani odrobiny kurtuazji czy dżentelmeńskości. Zrobił to, jakby chciał się pozbyć nieporęcznego przedmiotu.

Ada drżącymi dłońmi przyjęła bukiet.

– Dziękuję. Są piękne.

Zerknęła ukradkiem na przybysza. Był ogromnie zawstydzony i nawet nie umiał tego ukryć. Jego młodzieńczą twarz oblekł szkarłatny rumieniec, a oczy na wszelkie sposoby unikały spoglądania na Adę. Nie odznaczał się zbytnią urodą, ale i ona

przecież nią nie grzeszyła. Patykowato-chudy, wyglądał jak niewyrośnięty chłopiec, ale jego jasne oczy okolone ciemnymi rzęsami były całkiem ładne. Miał dwadzieścia trzy lata, niewiele więcej od Ady, jednak dziewczyna miała wrażenie, że jest od niej znacznie mniej dojrzały. To, że dziś do niej przyjechał, było wynikiem rozmów, jakie niedawno toczyli między sobą jej matka i rodzice Andrzeja. Obie rodziny zgodnie uznały, że związek ich dzieci byłby wielce pożądany.

Ada знаła Andrzeja od dziecka, bo majątek Cholewińskich sąsiedował z majątkiem Lubowidzkich. Młodzieniec jednak większą część swojego życia spędzał na podróżach, a obecnie studiował w Krakowie, na nowo utworzonym na Uniwersytecie Jagiellońskim wydziale rolniczym. Stąd ich sąsiedzka znajomość była bardzo powierzchowna. Widywali się na mszy w kościele albo sporadycznie na spotkaniach towarzyskich we dworach. Jednak przez cały poprzedni rok w ogóle się nie widzieli.

Teraz młody mężczyzna stał przed nią kompletnie zawstydzony. Wręcz zdruzgotany tym, że powinien coś powiedzieć, a zupełnie nie wiedział co. Nie pomagało mu w tym ani obycie, ani znajomość kilku języków obcych. Był przecież inteligentny, światowy, a jednak... Wreszcie opanował błędzący wzrok i teraz gapił się na Adę jak cielę na malowane wrota.

– Może pójdziecie na spacer do ogrodu? – zaproponowała Leokadia, widząc, co się dzieje między młodymi. – Ada, pokaż panu Andrzejowi naszą letnią altankę. Na pewno bardzo się panu spodoba! Jest cała porośnięta winoroślą i...

– Dobrze, mamó – przerwała matce Ada. – Pójdziemy do ogrodu.

Andrzej Cholewiński przystał na to z wyjątkowym entuzjazmem i bez słowa sprzeciwu powędrował za panną.

Słońce grzało mocno. Dzień był upalny, a powietrze gęste. Ada westchnęła, kiedy ostry promień słońca otarł się o jej delikatną twarz. Nie patrząc na mężczyznę, szybko skierowała się w stronę zacienionej altany. Wolała, żeby nie szedł za nią, ale niestety

niemal deptał jej po piętach. Musiał to zrobić, bo tak przecież postanowiono. Stąpił ze spuszczoną głową, jak chłopiec, którego właśnie skarcono za złe zachowanie przy stole.

Ada usiadła na miękkich poduszkach wyściełających wiklinowy fotel.

– Panno Ado... – Mężczyzna doskoczył do niej jak pies i klęknął u jej kolan. Zesztywniała, nieco przestraszona jego gwałtownością i chciała wstać, ale złapał ją za rękę. – Panno Ado... – powtórzył, a Ada nieco już poirytowana zastanawiała się, czy potrafił mówić cokolwiek innego. Czy całe życie zamierzał do niej mówić tylko „panno Ado”? Albo ewentualnie „żono Ado”?

– Chciałbym zapytać... Prosić panią... Czy zechciałaby pani...

Ada zerwała się na równe nogi. Wiedziała, co Andrzej chce powiedzieć, spodziewała się tego, a mimo to ogarnęło ją przerażenie. Czuła się kompletnie rozstrojona, zdenerwowana. Popatrzyła na niego, jak nieporadnie i zupełnie zaskoczony jej zachowaniem też podniósł się z klęczek.

– Panno Ado – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo. – Czy zechce pani zostać moją żoną?

– Och! – odparła chrapliwie, czując, że policzki palą ją żywym ogniem.

– Pewnie nie jest pani zaskoczona, spodziewała się pani tego. Nasi rodzice... Moi rodzice i pani szanowna matka...

– Nie mogę – wyjąkała dziewczyna, prawie krztusząc się tymi słowami. Nie śmiała na niego spojrzeć, ale bardziej wyczuła, niż zobaczyła jego zaskoczenie.

– Jak to?

– Wybacz, Andrzej, ale nie mogę – powtórzyła z naciskiem. Wybiegła z altanki na ogród. Drżała na całym ciele, kiedy biegła zwirową alejką wzdłuż kwitnących azalii. Nie spodziewała się, że młodzieniec pójdzie za nią ani tym bardziej, że ją dogoni, ale zrobił to. Złapał ją za rękę i odwrócił do siebie. Był wyraźnie wzburzony.

- Dlaczego? – zapytał nieco zbyt obcesowo, jawnie urażony.
- Bo nie mogę. Nie chcę.
- Chodzi pani o to, że... Nie ma między nami miłości?
- O to też! Ale nie tylko. – Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy.

Były jasne i przejrzyste jak słoneczne niebo w ten upalny dzień.

- Chcę iść na studia – odrzekła zgodnie z prawdą.
- Patrzył na nią, jakby nie wierzył w to, co właśnie usłyszał.
- Na studia? Gdzie?
  - Do Warszawy. Na prawo. Chcę być prawniczką.
  - Przecież to szaleństwo!

Oburzona odwróciła się na pięcie i poszła przed siebie jak obrażona dziewczynka. Zabolą ją ta jawna drwina.

– Panno Ado! Przepraszam! – Znowu dobiegł do niej. Minę miał już inną, bardziej wyrozumiałą. – Rozumiem panią.

– Też coś! – prychnęła.

– Z całym szacunkiem dla pani... Ja również nie chcę się żenić. To dla mnie za szybko. Poza tym ma pani rację, nie znamy się. Podróżowałem po świecie i wiem, że teraz młodzi biorą ślub z miłości. Bo tego chcą. A nie dlatego, że im każą.

– Więc nie chce się pan ze mną żenić? – W jej głosie brzmiało powątpienie, bo jakoś trudno jej było w to uwierzyć. Ale z drugiej strony, w jego zachowaniu nastąpiła ogromna zmiana. Już nie był spięty ani zawstydzony. Zdawał się nagle emanować pewnością siebie, o jaką go nie podejrzewała.

– Nie chcę. I to nie ma nic wspólnego z panią.

– Więc dlaczego poprosił mnie pan o rękę?

Zamrugął.

– Mój ojciec i pani matka zgodzili się co do tego, że tak powinno być. Nie pytając nas o zdanie – odparł zgodnie z prawdą. – A ja nie umiałem się sprzeciwić. Nie miałem w sobie tyle odwagi... co pani.

– Wolał pan ożenić się wbrew sobie?

Bezradnie wzruszył ramionami.

Ada nie wiedziała, co w tej sytuacji zrobić, ale za to miała świadomość, jak zareaguje matka, kiedy dowie się, że jej córka nie przyjęła oświadczyn Andrzeja. Wścieknie się i jak najszybciej znajdzie jej kolejnego kandydata, który nie będzie już pewnie tak wyrozumiały jak Andrzej Cholewiński.

– Muszę wyjechać do Warszawy. I to jak najszybciej, póki matka nie zamknęła mnie w pokoju na klucz.

Przytaknął.

– Ma tam pani kogoś?

– Teraz w Warszawie jest mój brat, ale za chwilę pewnie wróci do Brześcia.

– Ale na początek może się panią zaopiekować?

– Chyba tak...

– Więc pomogę pani dotrzeć do Warszawy.

– Co takiego?

– Przecież nie może pani jechać sama. Podróż pociągiem może być dla samotnej, młodej kobiety niebezpieczna. Pojedziemy razem.

– Jak?

Andrzej uśmiechnął się nieśmiało.

– Udamy... Że przyjęła pani moje oświadczyzny, żeby rodzice nie robili niepotrzebnych awantur, a za parę dni ukradkiem wymkniemy się i wsiądziemy do pociągu. Później to już niech się dzieje, co chce.

– Przecież to szaleństwo! – wykrzyknęła, kompletnie zdumiona jego genialnym pomysłem.

– Chce pani iść na te studia czy nie?

W odpowiedzi zaśmiała się radośnie i klasnęła w dłonie. Była oszołomiona i zupełnie nie mogła uwierzyć, że Andrzej Cholewiński okazał się kimś zupełnie innym, niż dotąd przypuszczała.

– Bardzo chcę!



– Więc proszę pakować rzeczy. Ale tylko niezbędne! Za parę dni będzie pani w Warszawie.

\* \* \*

Gustaw biegał po ogrodzie z taczka, wożąc na niej roześmianą Lili. Dziewczynka podskakiwała na nierównościach i zaśmiewała się do rozpuku, kiedy „wujeczek” udawał, że próbuje wyrzucić ją z taczki. Tych dwoje miało pomóc w pracy ogrodnikowi, ale większą frajdę sprawiały im wygłupy. Ta spontaniczna radość wydawała się niewyczerpana. Jakby tych dwoje istniało wyłącznie dla siebie i jedynie po to, żeby sprawiać sobie radość. Takie myśli przebiegały przez głowę Rozalii, kiedy obserwowała ich z okna swojej pracowni. Udawała, że pracuje, ale nie mogła na niczym skupić uwagi, bo wciąż patrzyła na dziewczynkę i mężczyznę, beztrąsko bawiących się jak ojciec z córką. Przypomniała sobie, że ona też przed laty bawiła się ze swoim ojcem. Powierzchnie dość surowy Feliks, kiedy wymagały tego okoliczności, stawał na wysokości zadania i wychowywał córkę mądrze i z czułością. To on uczył ją jazdy konno i na rowerze. To on pokazał jej, jak pływać łodzią po jeziorze i jak puszczać kaczki na rzece, choć nigdy nie dorównała jego mistrzostwu. Był jej tatą – kimś, kto zawsze stwarzał jej poczucie bezpieczeństwa. Był kimś, kogo Lili nigdy nie miała.

Tymczasem, patrząc na Gustawa, który z takim zaangażowaniem zajmował się bratanicą, Rozalia pomyślała, że jej szwagier w jakimś stopniu czuł się współwinny za grzechy brata i próbował zadośćuczynić zarówno jej, jak i Lili. Próbował pokazać, że jest kimś innym niż Ignacy, żeby zmazać skazę z nazwiska Lubowidzkich. Robił to, choć przecież nie musiał. Rozalia nie raz łapała się na tym, że wciąż nie wierzy w szczerść jego intencji. Nie mógł przecież być aż tak inny. Nie mógł bezinteresownie oddać jej pieniędzy, tak jak nie mógł szczerze

pokochać Lili, skoro jej własny ojciec nie chciał uznać jej za córkę. Kiedy jednak Gustaw brał Lili na ręce, kiedy wskakiwała mu ze śmiechem na barana albo tarzała się z nim w trawie, cyniczny świat rozpływał się jak we mgle. A Gustaw zachowywał się tak, jakby Lili była dla niego naprawdę kimś wyjątkowym. Kimś najważniejszym.

Zuzanna pojawiła się w jej pracowni jak duch. Wciąż starała się być dyskretna w swoim zachowaniu i nigdy nie narzucała się ze swoją obecnością. Obie traktowały się z życzliwością i właściwym szacunkiem, a jednak Zuzanna swoją cichą, uległą postawą chciała pokazać, gdzie jest jej miejsce.

– Upiekłam ciasto.

– Próbujesz rozpieszczać naszego gościa? – zapytała Rozalia z lekkim sarkazmem. Zauważyła, że Zuzanna spłonęła rumieńcem. Od razu pożałowała tego, co powiedziała, i zrobiło jej się głupio, więc odwróciła wzrok.

– Dziękuję. Nie wiedziałam, że umiesz piec.

– Kucharka zostawiła przepis, więc... postanowiłam spróbować. Kiedyś robiłam to w domu rodzinnym. Dawno temu...

– Świetny pomysł. Lili na pewno się ucieszy. Przecież uwielbia słodkie ciasta.

Rozalia uświadomiła sobie, że plecie trzy po trzy, ale próbowała tym ukryć zażenowanie, które czuła z powodu swojego głupiego zachowania. Wciąż łapała się na tym, że nie traktuje Zuzanny tak, jak powinna. Wciąż wykorzystuje jej słabość, żeby z niej głupio drwić, choć w rzeczywistości była jej wdzięczna za wszystko, co kobieta robiła. Cieszyła się nawet, że obie z Lili zamieszkały z nią w pałacyku, bo bała się samotności, która niechybnie dorwałaby ją w swoje szpony w pustych czterech ścianach. Teraz jednak znowu coś w nią wstąpiło, bo uświadomiła sobie, że być może Zuzanna próbuje przypodobać się Gustawowi. Być może tak, jak niegdyś Ignacego, teraz próbowała uwieść

również jego brata? Przecież mogła to zrobić. Była taka piękna. Któż mógłby się jej oprzeć?

Zła na siebie za te niedorzeczności, Rozalia wstała od stołu i, minawszy bez słowa stojącą w drzwiach Zuzannę, wyszła z pracowni.

W korytarzu czuć było aromatyczny zapach pieczonego ciasta. Gustaw i Lili zjawili się w kuchni w tym samym momencie, co Rozalia, być może również zwabieni smakowitą wonią. Zaraz za nimi przyszła Zuzanna. Nakazała córce umyć ręce i bez słowa zabrała się za krojenie ciasta.

Rozalia usiadła przy stole, oczekując, że Gustaw zrobi to samo, ale on tylko pieszczotliwie poczochnął włosy dziewczynki i skierował się do wyjścia.

– Nie usiądziesz z nami? – zapytała niby od niechcienia Rozalia. Chciała, by zabrzmiało to tak, jakby robiła to wyłącznie z czystej uprzejmości.

– Wracam do Warszawy – odparł Gustaw.

– Myślałam, że... Może zjesz z nami kolację? Wystarczy dla wszystkich. Kucharka przygotowała dużo jedzenia, no i jest jeszcze ciasto...

Popatrzył jej w oczy.

– Dziękuję. Jestem już umówiony. Może innym razem.

Pożegnał się z Lili, solennie obiecując dziewczynce, że za parę dni zabierze ją na wyprawę łódką po rzece. Mała podskakiwała z radości, a na pożegnanie rzuciła mu się na szyję i pocałowała w policzek.

Rozalia na ten widok odwróciła wzrok, a Zuzanna zdawała się w ogóle tego nie zauważać, zajęta krzątaniem się po kuchni.

\* \* \*

Gustaw wrócił do hotelu. Czuł się podle. Dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie przyjął od Rozalii zaproszenia na kolację. Nie był

z nikim umówiony, ale skłamał, bo nie miał ochoty patrzeć, jak bratowa znowu nad nim triumfuje. Męczyło go wrażenie, że wciąż traktowała go z góry. Nie był Ignacym, a ona piętnowała go, bo nosił nazwisko Lubowidzki. Widział, jak się spinała, kiedy do niej podchodził, jak denerwowała się, kiedy próbował nawiązać z nią luźną, towarzyską rozmowę. Kilka razy dostrzegł w jej oczach strach, mimo że nie zrobił nic, by go w niej wzbudzić. Przez to nie czuł się przy niej swobodnie, choć pragnął, żeby tak było.

Zdjął marynarkę i koszulę. Zamierzał się odświeżyć i pójść do jakiegoś nocnego lokalu. Zaprağnał spędzić czas z ludźmi i nie myśleć ani o Rozalii, ani o procesie sądowym, który miał się rozpocząć lada dzień. Nie był typem człowieka stawiającego na rozrywkę, bo i praca nie pozwalała mu na takie życie; tym razem jednak czuł, że chce się zabawić i odreagować. Od dawna był zbyt spięty. Wydarzenia ostatnich kilku tygodni zbyt mocno nadwyrężyły jego nerwy, a do tego doszła jeszcze Lili, która zawładnęła jego myślami bez reszty. Dziewczynka spowodowała, że z coraz większą udręką myślał o powrocie do Brześcia. Łapał się nawet na tym, że może powinien sprzedać skromne mieszkanie, które tam zajmował, i przenieść się na stałe do Warszawy, znajdując zatrudnienie w którymś z tutejszych szpitali. Dyrektor szpitala Wolskiego pytał go ostatnio, czy nie chciałby przyjąć tam posady. Zaraz jednak Gustaw odrzucił tę myśl. Nie chciał zbyt mocno przywiązywać się do tego dziecka. Nie chciał też być tak blisko Rozalii.

W Brześciu był sam. Tam nie nawiedzały go myśli o bliskich. Tam był wyłącznie lekarzem – człowiekiem zupełnie oddanym swojej pracy. Pacjenci byli jedynymi ludźmi, z którymi miał stały kontakt, i to mu w zupełności wystarczyło. Nie chciał być z nikim blisko. Nie chciał się z nikim przyjaźnić ani wiązać. Amelia, porzucając go krótko przed ślubem, skutecznie go od tego odwiodła, a najlepszy przyjaciel, odbierając mu kobietę, odebrał mu również wiarę w prawdziwą przyjaźń. Dlatego wolał być sam;

dawno już oswoił samotność, a ustawiczna praca nie pozwalała mu zbyt często zastanawiać się nad przeszłością. Wszelkie cielesne potrzeby zaspokajał w ramionach przypadkowych kobiet, które oferowały mu swoje ciało, nie oczekując nic w zamian. Nawet nie pamiętał ich twarzy, często zapominał imiona, jak tylko namiętność wygasła i z miłosnych uniesień pozostawały popioły. Czy mimo to był taki sam jak Ignacy, który przez lata zdradzał poślubioną sobie żonę, utrzymując kochankę i nieślubne dziecko? Czy powinien wstydzić się swojego postępowania?

Te myśli krążyły mu po głowie, kiedy w pokoju zadźwięczał dzwonek telefonu. Zaskoczony podniósł słuchawkę.

– Doktor Lubowidzki? – W słuchawce odezwał się głos hotelowego recepcjonisty.

– Tak, słucham?

– Jest tu pewna młoda dama. Przedstawiła się jako pańska siostra.

– Ada? – Gustaw prawie krzyknął do słuchawki, ale zaskoczenie wzięło w nim górę nad dobrym wychowaniem.

– Tak. Panna Adrianna Lubowidzka. Paniienka prosi, żeby zechciał pan zejść na dół i...

– Już idę – przerwał mu Gustaw i rzucił słuchawkę. Pospiesznie założył koszulę i marynarkę i wyszedł z pokoju.

Ada rzeczywiście czekała na niego w hotelowym lobby, w podróżnym płaszczu i z walizką w dłoni. Na głowie miała kształtny kapelusik, który zakrywał jej ciemne włosy.

– Ada! Co się stało? Coś z mamą?

– Nie. Mama czuje się dobrze.

– Więc co tu robisz? Jesteś sama?

Dziewczyna przytaknęła.

– Tak. Przyjechałam bez mamy, jeśli o to pytasz. Uciekłam z domu.

– Co zrobiłaś?! – Gustaw krzyknął ze zdumienia, aż recepcjonista popatrzył na niego karcącym wzrokiem.

– To, co słyszałeś – odparła dziewczyna rzeczowo. – Uciekłam z domu. Przyjechałam do Warszawy. Wiedziałam, że zatrzymałeś się w tym hotelu, więc przyszłam prosić cię o pomoc.

Gustaw rozejrzył się wokoło, czy aby nikt nie podsłuchuje ich skądinąd nedorzecznej rozmowy. Dopiero miano by o czym plotkować! Upewniwszy się, że nikt się nimi nie interesuje, wziął od siostry walizkę i zaniósł do recepcji.

– Proszę przechować torbę podróżną panny Lubowidzkiej na czas naszej kolacji w restauracji – zarządził.

– Oczywiście. – Recepcjonista posłusznie zajął się bagażem Ady, a tymczasem Gustaw wrócił do siostry wciąż stojącej pośrodku lobby.

– Chodźmy. – Ujął ją pod łokieć i zaprowadził do hotelowej restauracji.

Po drodze do stolika skinął głową kilkorgu znajomym, ale nie zatrzymał na nich wzroku, dając tym samym do zrozumienia, że nie życzy sobie towarzystwa.

– Co się stało? – powtórzył pytanie, kiedy zasiedli do stolika.

Ada zdjęła kapelusz i odruchowo poprawiła włosy.

– Nic szczególnego. Po prostu przyjechałam do Warszawy na egzaminy wstępne na uniwersytet. Wiedziałam, że mama nigdy się na to nie zgodzi, więc postanowiłam uciec z domu.

– Oszalałaś?! To nedorzeczne! Matka pewnie umiera z niepokoju!

– Więc wyślij do niej telegram, że jestem cała i zdrowa. Ale do domu nie wrócę.

– Ada! W głowie ci się poprzestawiało!

– Ty też będziesz mi prawić te wszystkie dyrdymały? Więc oszczędź sobie tego, bo nie zamierzam cię słuchać! Przyjechałam tu z zamiarem podejscia do egzaminów wstępnych i zamierzam to zrobić. Czy ci się to podoba, czy nie! – Gustaw nie bez zdziwienia zauważył, że jej głos był stanowczy, bez cienia strachu czy niepewności. Kompletnie nie poznawał siostry.

– Matka wpadnie w szał, jak tylko się o tym dowie.

Wzruszyła ramionami.

– Wiem. Jeszcze bardziej się zdenerwuje, jak uświadomi sobie, że nie zamierzam wychodzić za mąż.

Gustaw jęknął przeciągle.

– Coś ty najlepszego wymyśliła? Matka pisała mi, że podobno zaręczyłaś się z Andrzejem Cholewińskim.

Ada wydeła wargi.

– Nie przyjąłam jego oświadczyn. Zresztą, on też nie chciał się ze mną żenić. Zmówiliśmy się, że na jakiś czas oszukamy rodziców, żeby móc się przygotować do mojej ucieczki do Warszawy.

– Więc Andrzej Cholewiński o wszystkim wiedział?

– Oczywiście. Nawet towarzyszył mi w podróży. On jest taki obeznany w tych sprawach!

– Wspaniale – mruknął Gustaw pod nosem.

Do ich stolika podszedł kelner i przyjął zamówienie. Ada zerknęła na niego zalotnie, a Gustaw przewrócił oczami.

– Więc co zamierzasz? – zapytał obcesowo, gdy kelner udał się w stronę kuchni.

Uśmiechnęła się do niego. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że siostra miała śliczny uśmiech. Nigdy wcześniej nie zwracał na to uwagi. Zresztą, w Kargominie widział ją wiecznie znudzoną albo nadąsaną, a teraz jej uśmiechnięta twarz tryskała energią. To dodawało jej urody.

– Liczę, że ty mi pomożesz. Przynajmniej na razie, zanim znajdę sobie jakąś stancję.

– Zamierzasz mieszkać na stancji?

– A co w tym złego? Inni studenci tak robią.

– Ale nie panny z dobrego domu!

– Nie chcę być panną z dobrego domu! Chcę być studentką! Prawniczką! Wiem też, że niedługo będzie proces sądowy tego Ukraińca, co zabił Ignaca. Będę chodziła na rozprawy.

Mówiła o tym tak stanowczo! Nie spodziewał się u niej takiego hartu ducha. Owszem, parę miesięcy temu wspominała, żeby zabrał ją do Warszawy. Nie myślał jednak, że samodzielnie wcieli swój plan w czyn. Podziwiał ją za to i nie chciał burzyć jej marzeń, ale wiedział również, co na to powie ich matka.

– Z czego będziesz się utrzymywać i płacić za studia?

– To jest właśnie problem... Zamierzam podjąć jakąś pracę, ale pewnie nie wystarczy mi na chesne, więc pomyślałam, że może mógłbyś mi pożyczyć. Oddam ci pieniądze, jak tylko zacznę godnie zarabiać.

– Jesteś niemożliwa... Matka urwie mi głowę, jak się dowie!

– Proszę... Błagam. Pozwól mi spełniać swoje marzenia. Pomóż mi, Gustaw!

Patrzył na siostrę kompletnie oszołomiony. Nie wiedział, co zrobić, bo bał się, że każda decyzja będzie niewłaściwa. Jeśli odmówi i zmusi siostrę do niechcianego zamążpójścia, Ada nigdy mu tego nie wybaczy. A jeśli zgodzi się pomóc jej w studiach, to matka wyklnie go na cztery wiatry. Wiedział jednak, że nie zostawi Ady w potrzebie. Jego siostra była sporo od niego młodsza i zawsze czuł się za nią odpowiedzialny. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że stanął przed najważniejszą próbą i nie mógł jej zawieść. Bo nigdy by mu tego nie wybaczyła.

– Dobrze. Pomogę ci. Ale jeśli oblejesz egzaminy i nie dostaniesz się na studia, wracasz do Kargomina i wychodzisz za mąż, jak nakazała matka.

Dziewczyna podskoczyła i rzuciła się bratu na szyję.

– Dziękuję, braciszku kochany! Za mąż wychodzić nie zamierzam, więc zdam te egzaminy. Obiecuję.





## ROZDZIAŁ 12

Gustaw nie wysłał do matki telegramu. Postanowił osobiście pojechać do Kargomina i wytłumaczyć rodzicielce całą sytuację z Adą.

Zastał Leokadię chorą, w łóżku, a przy niej zatroskane pokojówki i księdza proboszcza. W pierwszej chwili wystraszył się, że matka zapadła na coś poważnego, ale ksiądz uspokoił go, że to nerwy spowodowane zniknięciem córki. Z przejęciem opowiedział, jak pani Leokadia postawiła na nogi cały Kargomin. Aż we dworze zjawili się Cholewińscy i poinformowali półżywą z nerwów Lubowidzką, że panna Ada wraz z ich synem pojechała do Warszawy. I że zrobili to nie jako para narzeczonych, tylko Andrzej pomógł Adzie w perfidnej ucieczce z domu, po czym sam udał się do Krakowa. Wszystko to wyjaśnił w liście, który zostawił w salonie na komodzie.

– Nie chcę jej więcej widzieć! – wyjęczała kobieta zboląłym głosem, kiedy Gustaw przysiadł na krześle obok jej łóżka. – Przez nią znajdę się w grobie! Tyle mi nerwów napsuła ta bezwstydną dziewczyna!

– Ada kazała przeprosić cię za ucieczkę i mówi, że nie mogła postąpić inaczej.

– Wystawiła mnie na pośmiewisko! Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam!

– Mamo, próbowałam zmusić ją do niechcianego małżeństwa.

Leokadia popatrzyła na syna z boleścią w oczach.

– Chciałam zapewnić jej właściwe życie!

Gustaw westchnął i ukrył twarz w dłoniach. Nie, to się nie dzieje naprawdę! Cały ten problem z matką, Adą i Rozalią to niepotrzebny efekt jego własnej głupoty! Gdyby od początku stanowczo z nimi postępował, nie miałby teraz tych niepotrzebnych napięć.

Kiedy ponownie spojrzął na matkę, ta ze łzami w oczach patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Ona chce innego życia – wyjaśnił łagodnie, znowu zapominając, że powinien być bardziej stanowczy. Przykro mu było patrzeć na matkę w takim stanie. Czułby się lepiej, gdyby krzyczała i wyzywała, jak to miała w zwyczaju. Ona tymczasem leżała w łóżku bez sił, a na suchej twarzy miała wypisaną bolesną żalność. Jej hardość i upór gdzieś zniknęły.

– Ada chce się uczyć. Chce pójść na uniwersytet – tłumaczył. – Nie ma nic złego w tym, że chce się kształcić. I powinnaś jej to umożliwić.

– Ona nie wie, co dla niej dobre! Jest na to za młoda! Cholewińscy też są zniesmaczeni, bo ich syn okazał się niewiele lepszy. Wiesz, że pomógł Adzie uciec do Warszawy?

– Wiem. Wspominała o tym. Dobrze, że nie była sama.

– Powinien był ją powstrzymać!

– Ale on również nie chciał się żenić.

– Co on tam wie! Gówniarz jeden! Zachciało mu się sprowadzać moją córkę na złą drogę. Nie wiadomo, czy jej nie zhańbił!

– Mamo, przestań!

Leokadia zamrugała i łzy spłynęły po jej policzkach.

– Twój ojciec... Nigdy by na to nie pozwolił. Ignacy również. Tylko ty zawsze byłeś inny. Nieposłuszny. Ojciec wysłał cię do wojska, żeby nauczono cię dyscypliny, ale widać nic to nie dało.

Gorycz w jej głosie zaboląła Gustawa. Matka nie raz mówiła mu, że nie spełnia jej oczekiwań. Że jest inny od Ignacego. Ale po raz

pierwszy powiedziała to tak prawdziwie. Te słowa dotknęły go do żywego.

– Rozczarowujesz mnie – dodała. – Najpierw ta intrygantka, której oddałeś majątek, a teraz Ada. Nie jesteś silny, Gustawie. Nie jesteś prawdziwym mężczyzną.

Wyszedł z pokoju. Wiedział, że dalsze tłumaczenia nie mają sensu, a nie zamierzał beczynn timer słuchać czegoś tak niesprawiedliwego i okrutnego.

W salonie zatrzymał wzrok na wyeksponowanej fotografii brata.

Ignacy. Cholerny Ignacy. Pieprzony drań uważany za świętego. Miał córkę. I żonę. Miał wszystko. I nie umiał tego uszanować. A on, Gustaw, czując wyrzuty sumienia, robił po nim porządki. A czy ktokolwiek pytał jego, jak wyglądało jego życie? Jak czuł się po skończonych wojnach, na których zmuszany był zabijać, choć jako lekarz przysięgał ratować ludzkie życie? Na których patrzył, jak żołnierze umierają zagazowani w okopach albo przebijani bagnietami. Młodzi chłopcy. Jego koledzy.

Ciągle widziano w nim tylko ofiarę niewiernej kobiety i jego życie w pojedynkę. Nic poza tym. Jakby tylko to budowało jego tożsamość.

Na drugi dzień sprawdził, jak czuje się matka, ale jej stan ani się nie polepszył, ani nie pogorszył. Nie była jednak ciężko chora. Dokuczały jej jedynie nerwy, więc zapisał lek na uspokojenie.

– Zrób dla mnie chociaż jedno – powiedziała, kiedy siedział przy niej w milczeniu. – Dopilnuj, żeby ten morderca zapłacił za to, co zrobił mojemu synkowi.

Więcej nie chciała z nim rozmawiać ani słuchać jego tłumaczeń za Adę, więc jeszcze tego samego dnia Gustaw wyruszył w drogę do Warszawy. Zastrzegł jedynie służbie, że gdyby matka podupadła na zdrowiu, mają go natychmiast o tym powiadomić.

\* \* \*

Julian Paluszkiewicz nie lubił, kiedy ktoś przeszkadzał mu w pracy. Zwłaszcza że było dopiero południe i do zamknięcia kancelarii zostało mu jeszcze kilka godzin. Wyraźnie poinstruował sekretarkę, że dziś nie przyjmuje już żadnych interesantów, ale ta panna podobno była wyjątkowo nieugięta. Zgodził się więc, choć niechętnie. Westchnął, zdjął okulary i przetarł palcami zmęczone oczy. Ledwo to zrobił, w drzwiach jego gabinetu stanęła kobieta. Była bardzo młoda – nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, a do tego niezwykle skromnie ubrana w brązowy, pensjonarski kostiumik, pod którym ukrywała się biała koszula ze stójką. Kapelusz bez zbędnych ozdób trzymała w dłoni.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć – rzekła, jakby chcąc usprawiedliwić swoje najście wtedy, kiedy najmniej tego chciał. – Wiem od pańskiej sekretarki, że jest pan zajęty.

Wstał zza biurka i poprawił na sobie marynarkę.

– Dzień dobry. – Silił się na uprzejmość, choć był poirytowany, bo dziewczyna rzeczywiście zabierała jego cenny czas, który musiał poświęcić na czytanie akt aktualnie prowadzonej sprawy. – W czym mogę pani pomóc, panno...?

– Adrianna Lubowidzka. – Wyciągnęła w jego stronę malutką dłoń bez rękawiczki.

Zdumiał się, słysząc jej nazwisko.

– Lubowidzka? Jest pani spokrewniona...?

– Tak – przyznała z nikłym uśmiechem. – Gustaw i Ignacy to moi bracia.

– Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu Ignacego.

– Dziękuję.

Julian przypatrywał się młodej panie z coraz większym zaciekawieniem.

– Pamiętam panią z czasów, gdy była pani jeszcze dzieckiem.

Uśmiechnęła się szerzej, a na jej policzku pojawił się malutki dołeczek.

– A ja pamiętam, że bywał pan u nas w Kargominie. Kiedyś.

Kiedyś. Kiedy jeszcze przyjaźnił się z Gustawem, udając, że Amelia nic go nie obchodzi, choć już wtedy nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Jestem zaskoczony pani wizytą, ale... Proszę usiąść. – Wskazał krzesło dla interesantów.

– Nie ma takiej potrzeby. Postoję. Nie zajmę panu dużo czasu.

Zauważył, że lekko zagryzła wargę, jakby chciała stłumić niepewność. Ukradkiem rozejrzała się po jego gabinecie. Był urządzone przez Amelię. Wygodny, stylowy, ale praktyczny. Julian nie zmienił tu nic, choć od śmierci żony i dziecka minęły już ponad trzy lata.

– Przyszłam do pana, bo chciałabym prosić o pewną przysługę. Bardzo dla mnie ważną – zaczęła. Starła się być rzeczowa, ale głos jej drżał.

– Oczywiście – odpowiedział z przesadnym entuzjazmem, wynikającym z dobrego wychowania. – Jak mogę pani pomóc?

– Wiem, że podobno jest pan ratunkiem dla biedaków. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale... Słyszałam o pańskiej dobroci i pomocy ludziom potrzebującym... Ma pan podobno dobre serce.

Zdumiał się.

– Zna pani kogoś, kto potrzebuje mojej pomocy?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Tak. Ja.

– Pani?

Zamrugła oczami.

– Nie w takim sensie, jak pan myśli...

Julian poczuł irytację. Dziewczyna mówiła pokrętnie, a on nic z tego nie rozumiał. Poza tym nie miał czasu na takie dziwne pogadanki.

– Proszę mówić jaśniej, panno Lubowidzka.

– Oczywiście. No więc... Proszę, żeby przyjął mnie pan jako swoją asystentkę.

– Słucham?

– Chciałabym być pańską asystentką. Potrzebuję tego zajęcia. Za dwa tygodnie zdaję egzaminy na prawo. Każdy student powinien znaleźć miejsce w kancelarii prawniczej jako asystent. Chodziłam wszędzie, pytałam, błagałam, ale... Nigdzie mnie nie chcą, bo jestem kobietą. Wszystkie kancelarie mają z tym problem. Bo za młoda, bo kobieta, bo się nie nadaję... A bez praktyki nie mam co marzyć o posadzie prawniczki. Został mi tylko pan.

Julian chrząknął zakłopotany.

– No cóż, miło, że pani o mnie pomyślała, ale...

– Przypomnę, że ma pan dług względem mojej rodziny – rzuciła gwałtownie.

– Co, proszę?

– Ukradł pan mojemu bratu narzeczoną. Teraz może pan temu zadośćuczynić, przyjmując mnie pod swoje skrzydła.

Julian westchnął. Patrzył tej młodej dziewczynie w oczy i nie wierzył. Szantażowała go jakimś długiem! Niesamowite! I do tego miała taki błagalny wzrok... Najbardziej wrażliwy był na takie spojrzenia. Ale asystentka? Po co mu asystentka? Będzie go tylko rozpraszać w pracy, kręcić się, obserwować... Przecież sekretarka za drzwiami gabinetu w zupełności wystarczyła.

– Panno Lubowidzka – zaczął powściągliwym tonem, nie chcąc spłoszyć ani zdenerwować dziewczyny. – Nie potrzebuję asystentki. Poza tym pański brat nie będzie z tego zadowolony.

– Wiem, ale będzie musiał to jakoś znieść. Nie musi przecież z panem rozmawiać ani się z panem widywać. To nie on będzie asystentem, tylko ja.

– No tak... Nie musi... No więc... – Czuł się jak idiota, bo nie wiedział, jak jej odmówić. Zwłaszcza że wpatrywała się w niego dużymi, brązowymi oczami, które przywodziły mu na myśl gorącą czekoladę od Wedla.

– Panno Lubowidzka, postaram się pani pomóc. Popytam w znajomych kancelariach, zarekomenduję panią...

– Byłam już wszędzie. W całej Warszawie – odparła z naciskiem. – Pan jest ostatni. Chyba rozumie pan, czemu przyszłam do niego na końcu. Wiem, że moja rodzina nie będzie tym zachwycona, bo jednak postąpił pan jak łajdak, kradnąc Gustawowi narzeczoną.

– Nic mu nie ukradłem! – krzyknął oburzony. – Kochaliśmy się! Z całym szacunkiem, ale Amelia nie chciała być żoną pani brata!

Adrianna zmarszczyła brwi i skrzyżowała ręce na piersi. Przyjęła postawę młodej bojowniczkii, a nie skromnej paniienki, która przyszła prosić o posadę.

Skapitulował. Nie wiedział dlaczego, ale skapitulował.

Obszedł biurko, usiadł w swoim wygodnym skórzanym fotelu i popatrzył na dziewczynę z rezygnacją.

– Dobrze. Zgadzam się. – Sam nie wierzył, że to mówi, ale słyszał swoje słowa bardzo wyraźnie. – Kiedy może pani zacząć?

Twarcz dziewczyny rozpromieniła się.

– Nawet dziś!

– Dziś to może nie...

Ada machnęła ręką w stronę piętrzących się na biurku akt.

– Pomogę panu! Widzę, że ma pan ręce pełne roboty!

Westchnął.

– To prawda... Muszę to wszystko przeczytać, zapoznać się... No dobrze. W takim razie bierzmy się do roboty. – Zgodził się i od razu naszły go myśli, że będzie tego żałował. Z pewnością.

\* \* \*

Nie spodziewał się w swojej kancelarii wizyty Gustawa Lubowidzkiego, ale też nie zdziwił się, kiedy kilka dni później dawny przyjaciel stanął w drzwiach jego gabinetu. Było jeszcze bardzo wcześnie, więc panna Ada nie zdążyła przyjść do pracy, choć zawsze zjawiała się punktualnie.

– Ty sukinsynu! – usłyszał już na wejściu.



Poważny wzrok i waleczna postawa Gustawa świadczyły o tym, że Lubowidzki nie przyszedł tu na towarzyskie pogawędki z dawnym przyjacielem. Nawet nie silił się na dobre maniery, kiedy gwałtownie trzasnął drzwiami, zapewne strasząc tym zdumioną sekretarkę.

– Jesteś łajdakiem bez krzty przyzwoitości i honoru!

Julian mimo wszystko postanowił zachować zimną krew. Widział, że Gustaw jest wściekły, ale też nie zamierzał tłumaczyć się przed nim ze swojego życia ani z tego, kogo zatrudnia w swojej kancelarii. Bo wiadomo było, że brat Ady przyszedł tu w sprawie siostry.

– Dawno się nie widzieliśmy, Gustaw... – Nie zdążył jednak powiedzieć nic więcej, bo pięść Gustawa wylądowała na jego szczęce. I to z taką siłą, że Julian zachwiał się i upadł całym ciałem na biurko.

Lubowidzki dopadł do niego z wyrazem mordy w oczach.

– Nie zbliżaj się do mojej siostry! – wycharczał, pochylając się nad nim.

Julian poczuł, że z bólu nie może ruszać zuchwą. Modlił się, żeby choć jego zęby były na swoim miejscu, bo okulary spadły mu z nosa i pewnie się stłukły.

– Sama do mnie przyszła. Prosiła o posadę asystentki – próbował wyjaśnić, pomimo bólu szczęki.

– Przed laty nic ci nie zrobiłem, ale jeśli zobaczę cię w towarzystwie Ady...

W tym samym momencie drzwi do gabinetu otworzyły się z łoskotem i stanęła w nich Ada we własnej osobie. Ogarnąwszy wzrokiem sytuację, błyskawicznie znalazła się przy obu mężczyznach.

– Gustaw! Zostaw go! – Wzburzona złapała brata za poły marynarki i zaczęła gwałtownie odciągać od leżącego na biurku Juliana. – Zostaw!

Gustaw wyprostował się i rozeźlony spojrzał na siostrę.

– Nie waż się przychodzić do tego łotra! – wrzasnął.

– Uspokój się! Rozum ci odjęło? – Dziewczyna nabrała rumieńców od nagłych emocji. – Mogę przychodzić, gdzie chcę i kiedy chcę!

– Więc pożegnaj się z pieniędzmi – syknął. – Nie dam ci ani grosza na studia!

Tymczasem Julian podniósł się z biurka z taką godnością, na jaką było go stać w obecnej sytuacji, i nerwowo ujął w dłonie okulary. Na szczęście były całe.

– Panna Ada dostała u mnie posadę asystentki, a wynagrodzenie pozwoli jej kontynuować naukę na studiach – rzekł spokojnie, choć w środku aż kipiał ze wzburzenia. Nauczył się jednak panować nad emocjami, bo na sali sądowej tylko tak mógł wygrać.

Brat i siostra popatrzyli na niego zaskoczeni. Ada aż oczy rozszerzyła ze zdumienia.

– Co ty mówisz? – zapytał wzburzony Gustaw. Wyglądał tak, jakby znowu chciał walnąć dawnego przyjaciela w szczękę i Julian modlił się, żeby jednak tego nie zrobił, bo kolejnego uderzenia jego zęby z pewnością nie wytrzymają.

– Pannę Adę stać na opłacenie studiów – odparł z pełną powagą, patrząc na Gustawa wyzywająco.

Gustaw znowu do niego dopadł, ale Ada krzyknęła tak, że w drzwiach stanęła wzburzona sekretarka.

– Zostaw go! – Ada nie panowała już nad nerwami. Złapała brata za ramię i zaczęła nim potrząsać w spazmie hysterii. – Idź stąd i zostaw nas w spokoju! Nie wtrącaj się w moje życie!

Gustaw zacisnął szczękę.

– Ada...

– Jesteś taki sam jak matka! Wszyscy tacy jesteście! A ja mam dość! Słyszysz? Dość! To moje życie!

Rozpłakała się. Płakała tak rozpaczliwie, że obaj mężczyźni patrzyli na nią z niedowierzaniem. Gustaw odsunął się od niej,

wyraźnie nie wiedząc, co robić, a Julian oparł się o biurko. Też miał już dość emocji jak na jeden poranek.

– Porozmawiamy później – syknął Gustaw do zapłakanej siostry i wyszedł z gabinetu, a za nim wstrząśnięta sekretarka.

Julian przez chwilę był kompletnie skołowany. Wreszcie podszedł niepewnie do dziewczyny i wyjął z kieszeni chusteczkę. Przyjęła ją z wdzięcznością, ale zamiast wytrzeć łzy, delikatnie przyłożyła ją do jego ust. Zaskoczony poczuł, że oblewa go fala gorąca.

– Jest pan ranny – wyszeptała, zaglądając mu w oczy.

Odsunął się od niej i szybko usiadł za biurkiem.

Dziewczyna stała z zakrwawioną chusteczką w dłoni.

– Przepraszam za niego – wyjąkała.

Potrząsnął głową.

– To nie pani wina. Zasłużyłem sobie. Sama pani mówiła, że... Ukradłem mu narzeczoną. A teraz pani...

– Pewnie mnie pan odesła?

Popatrzył na nią. Była śliczna, stojąc tak w skromnej, kraciatej sukience, z rumieńcami wzburzenia na twarzy. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zwrócił uwagę na kobietę w taki sposób, jak patrzył teraz na nią. Może spowodowały to nerwy? A może to przez to dziwne ciepło, które go ogarnęło, kiedy go dotknęła? Pierwszy raz poczuł, że nie jest martwy. Że nie umarł wraz z Amelią i dzieckiem. A ta nowo odkryta prawda okazała się nieco oszałamiająca.

– Przecież obiecałem, że zapłacę pani tyle, żeby mogła pani studiować – odparł, próbując się opanować. – Więc nie mogę pani odesłać.

Owszem, wypłacał Adriannie wynagrodzenie, ale nie były to aż tak duże pieniądze, żeby miały wystarczyć dziewczynie na studia. Nie mógł jednak zostawić jej bez pomocy w sytuacji, kiedy odbierano jej szansę na edukację. Wprawdzie podjął decyzję spontanicznie, bez przemyślenia, ale zamierzał zafundować

pannie Lubowidzkiej stypendium i nagle uznał, że to najlepsze, co może w tej sytuacji zrobić. A jej uśmiech był dla niego najwspanialszą rekompensatą.

\* \* \*

Gustaw od kilku dni nie pojawiał się w domu Rozalii w Konstancinie, a Lili ciągle dopytywała, kiedy wujek przyjedzie i zabierze ją nad rzekę popływać łódką. Raz to zrobił i od tamtej pory mała nie dawała nikomu spokoju. Prawdą było jednak, że wszyscy z Rozalią włącznie przyzwyczaili się do tych wizyt i tę jego nieobecność dało się odczuć. Rozalia tłumaczyła dziewczynce, że wujek na pewno jest bardzo zajęty i dlatego nie przyjeżdża, a Zuzanna chodziła coraz bardziej poirytowana. Raz nawet nakrzyczała na dziecko, aż mała rozplakała się z żalu. Później Zuzanna trzymała ją w ramionach i całowała po kędzierzawych włosach, ale Rozalia widziała, że Grabińska była nieswoja, jakby coś się z nią działo. Podejrzewała, że Zuzanna jest chora, bo znowu zaczęła mniej jeść, zbladła i schudła, choć na pytanie, czy dobrze się czuje, odpowiadała, że tak. I bez słowa skargi wracała do swoich obowiązków.

Któregoś gorącego dnia odwiedziła je Tamara Łempicka, by skończyć portret Rozalii, który zaczęła parę dni wcześniej. Zamierzała również pożegnać się przed planowanym powrotem do Paryża.

– Nie jedziesz ze mną? – dopytywała, choć wiedziała, że to nie ma sensu, bo Rozalia zadomowiła się w pałacyku „Magnolia” i na razie nie zamierzała go opuszczać. Zwłaszcza że lada dzień miał rozpocząć się proces o zabójstwo Ignacego.

– Rozmawiałam ostatnio z kimś, kto bardzo chciałby cię poznać. Znasz Antoniego Brolla? Jest właścicielem fabryki kosmetyków w Łodzi. Bardzo zainteresował go twój zapach. Był wręcz zachwycony!

– Tak, zaczepił mnie na przyjęciu. Ale ten zapach nie jest na sprzedaż.

– Och, a szkoda. Mógłby ci przynieść spory zysk i rozgłos. Mogłabyś zacząć na tym dobrze zarabiać.

– Nie potrzebuję rozgłosu – mruknęła Rozalia, poprawiając się na szezlongu.

Było jej niewygodnie tkwić wciąż w jednej pozie, nawet jeśli ta była dość swobodna. Poza tym wyjątkowo upalny dzień dawał się we znaki. Tamara namawiała ją na zupełny negliż, bo taki był temat przewodni portretu, ale Rozalia nie mogła się na to zdobyć. Pozwoliła sobie jedynie na luźną, szyfonową suknię, powabnie okrywającą jej ciało. Sama przed sobą musiała przyznać, że wstydziła się własnej nagości. Nie czuła się piękna ani na tyle atrakcyjna, żeby prezentować swoje wdzięki, nawet jeśli obserwatorem miała być wyłącznie artystka malarka i przyjaciółka domu.

– Musisz zdobyć się na więcej luzu, przełamać wewnętrzny opór – mówiła Łempicka pomiędzy jednym a drugim pociągnięciem pędzla. – Postaram się, żebyś spojrzała na ten portret moimi oczami i dostrzegła w sobie kobietę, jaką jesteś. Zmysłową, sensualną. Ten zapach, który stworzyłaś, mówi o tobie bardzo dużo.

– Ten zapach... Miał być zapachem miłości – w głosie Rozalii słychać było gorzkość, ale też nutę tęsknoty, którą artystka z łatwością wyłapała.

– Czyżby niespełniona miłość? Sekretny kochanek?

Rozalia ocknęła się z zadumy i popatrzyła na Tamarę. Przed oczami migały jej ciężkie bransolety na nadgarstkach artystki.

– Nic z tych rzeczy. To niestety bardziej prozaiczne. Stworzyłam go dla mojego przyszłego narzeczonego. Chciałam pachnieć tymi perfumami na naszym pierwszym spotkaniu. Wyobrażałam sobie, że wtedy się we mnie zakocha. Ot, takie głupie, dziewczęce marzenia.

Tamara malowała z żarliwym błyskiem w oczach.

– I co?

– Nic. Pierwszy okazał się być Gustaw, brat Ignacego. – Rozalia uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiła. Do dziś skrywała ten sekret głęboko w sobie, a teraz go wyjawiała, jakby nagle przestała się tego wstydzić. – Poznałam go jeszcze przed Ignacym. Myślałam, że to on... Miałam na sobie wtedy ten zapach. Ten moment, nie wiadomo czemu, utkwił mi w pamięci i od tamtej pory kojarzy mi się z Gustawem. Wyłącznie z nim...

Łempicka nagle się ożywiła.

– Gustaw Lubowidzki? Ten doktor? Owszem, prezentuje się bardzo dobrze, ale nie wygląda mi na dobry materiał na kochanka. Jest w nim coś zbyt sztywnego. Chociaż... Pod tym doskonale skrojonym garniturem mógłby być piękny. Kochanie, nie ograniczaj się do znajomego podwórka, poznawaj ludzi, mężczyzn! Bierz przykład ze mnie; nigdy nie wiem, gdzie mnie licho zaprowadzi i kogo tam spotkam. Mój przyjaciel Jean Cocteau powtarza, że „w sztuce geniusz polega na tym, żeby wiedzieć, jak daleko można się posunąć za daleko”. Proponuję ci wcielić to motto w życie.

Rozalia uśmiechnęła się zdawkowo. To zdanie bardzo pasowało do Tamary, ale ona, Rozalia, taka nie była. Nie potrafiła. Kiedyś, jako młoda dziewczyna, tryskała energią i myślała, że świat nie ma żadnych ograniczeń. Teraz wiedziała, że ma ich całe mnóstwo, a największym są zasady, których należy się trzymać i których kategorycznie nie wolno łamać. Tego nauczył ją Ignacy, wbijając jej tę prawdę pięścią do głowy.

Gustaw pojawił się kolejnego dnia, doprowadzając małą Lili do stanu absolutnej euforii. Coś w jego zachowaniu jednak zastanowiło Rozalię. Był jakby poważniejszy, zamyślony i bardziej powściągliwy. Nawet dziewczynka nie zdołała zdjąć z jego twarzy ponurego cienia, który nałożył się na jego oblicze. Mała w podskokach pobiegła do matki z pytaniem, czy może z wujkiem

iść nad rzekę, a Rozalia pomyślała, że może Gustaw był taki posepny z powodu zbliżającego się procesu. Ona też, myśląc o tym, była pełna obaw. Bała się rozdrapywania ran, zbytniego rozgłosu, ludzkiej zawiści i tego, co będzie zmuszona usłyszeć na sali sądowej.

Zupełnie zapomniała, że ukończony przez Tamarę Łempicką portret zostawiła na widoku w salonie i to wciąż na sztalugach. Dopiero zmieniający się wyraz twarzy Gustawa uświadomił jej, że powinna była go schować. I to głęboko.

Obraz na wielu płaszczyznach łamał tabu i konwenanse. Zdawał się prowokować nie tylko klasycznym stylem art déco, tak charakterystycznym dla Łempickiej, ale wyzwalał w widzu niepokojący dreszcz podniecenia. Rozalia była tu żywą kobietą. Świetlistą i zmysłową, z prowokacyjnym spojrzeniem zmrużonych oczu. Jej włosy, niespętane kanonami przyzwoitości, okalały jej twarz i zdawały się żyć własnym życiem. A twarz była uderzająco piękna, gładka, alabastrowa, z poszarpaną szramą na prawym policzku, która dodawała obliczu piekielnego charakteru. Jednak wzrok najbardziej przyciągało ciało, obleczone jasnym materiałem sukienki. Było delikatne, sprężyste, pełne tajemniczych wgłębień i kuszących krągłości. Kształtne piersi, z zarysowanymi na tkaninie sutkami, zdawały się wychodzić spod cienkiej, wydekoltowanej materii, prosząc o pieśczętę, dotyk, pocałunek.

Rozalia zdumiała się, kiedy zobaczyła obraz po raz pierwszy. Miała wrażenie, że to nie ona patrzy z ram portretu, tylko jakaś inna, nieznana jej kobieta, owładnięta grzeszną zmysłowością. Miała za złe Tamarze, że tak ją przedstawiła, ale po cichu musiała docenić wyjątkowy kunszt malarki.

– Taka jesteś – wyjaśniła Tamara bez zażenowania. – Taką właśnie cię widzę. Malując, nie patrzę oczami. Patrzę sercem.

I Gustaw też to widział. Rozalia dostrzegła jego niespokojne spojrzenie, przesuujące się po portrecie. Jego zaciśniętą szczękę.

Kiedy oderwał wzrok od obrazu i popatrzył na nią, w jego ciemnych, aksamitnych oczach zobaczyła pragnienie.

Zamarła zdumiona, czując, że jakiś gwałtowny dreszcz rozlewa się po jej ciele.

– Łempicka – wykrztusiła, wskazując niedbale na portret. – Uparła się, żeby mnie namalować.

– Nigdy wcześniej nie miałem okazji podziwiać jej talentu i muszę przyznać, że ten obraz jest bardzo... realny.

Rozalii wydało się, że w tym pokoju jest zbyt gorąco. Że jest stanowczo za mały dla nich dwojga.

W tej samej chwili do pokoju wbiegła z impetem Lili i uwiesiła się na Gustawie.

– Wujeczku, chodźmy nad rzekę! Chodźmy, chodźmy, chodźmy...  
– Podskakiwała jak sprężynka, nie mając świadomości, że przerwała coś, co było dla tych dwojga swoistym Rubikonem. Chwilę temu przekroczyli go oboje i nie było już odwrotu. Wiedzieli o tym. Czuli to, nawet jeśli udawali, że nic się nie stało.

Kiedy Gustaw wyszedł, niosąc Lili na barana, Rozalia poczuła zupełnie niekontrolowaną, narastającą frustrację. Ze złością złapała portret i zdjęła go ze sztalugi. Zamierzała ukryć malowidło przed ludzkim wzrokiem – a już szczególnie przed oczami Gustawa.

\* \* \*

Antoni Broll, właściciel wielkiej fabryki kosmetyków Eustoma, okazał się niezwykle upartym człowiekiem i być może była to jedna z tych cech, które pomagały mu prowadzić z taką łatwością interesy. Zjawił się w pałacyku „Magnolia” zupełnie niezapowiedziany, tłumacząc bezwstydnie, że wynajął na lato willę w niedalekim sąsiedztwie i nie mógł się oprzeć, żeby sąsiadki nie odwiedzić.



Rozalia przyjęła go bez szczególnego entuzjazmu, zaprosiła jednak na mrożoną herbatę w ogrodzie.

Antoni Broll był wyjątkowo dobrze prezentującym się mężczyzną. Po trzydziestce, doskonale ubrany, szarmancki i przystojny, o południowej urodzie ni to Włocha, ni Hiszpana, w niczym nie przypominał stołecznych bon vivantów. Bardziej już bożyszczę kobiet, Rudolfa Valentino. Okazało się jednak, że w połowie jest Niemcem.

– Pani za to jest pół-Francuzką – rzekł z satysfakcją, jakby chciał podkreślić, że to „pół” mogło ich w nadzwyczajny sposób połączyć.

– Rzeczywiście. Moja matka jest Francuzką.

– Wspaniale! Niemiecka precyzja i francuska fantazja! Z tego może wyjść tylko coś genialnego!

– Proszę dołożyć do tego polski pragmatyzm – dodała z nikłym uśmiechem.

– Droga pani, słyszałem o pani szczególnym talencie. Nawet wahałem ten talent i przyznam, że mnie oszołomił. Moja żona również jest zachwycona.

Rozalia zaśmiała się.

– Tamara coś wspominała.

– *Madame* Łempicka. No tak. Ona zna się na rzeczy jak mało kto. Wyjątkowa kobieta. Szczególna.

– Pańska kochanka?

Uniósł kącik ust.

– Szanowna pani, czy to wypada?

– A czy to wypada odwiedzać mnie w moim domu bez zapowiedzi? W dodatku ma pan w stosunku do mnie niecne zamiary.

Antoni zaśmiał się, ukazując rząd białych zębów.

– Przejrzała mnie pani! Chciałbym zaproponować interes. Sprzedaż praw do produkowania zapachu *La Rose*. Na pewno pani

na tym nie straci, a dużo zyska. Za parę miesięcy będzie pani bogatą kobietą. Gwarantuję.

– Muszę odmówić.

Błysk w jego oczach nie przygasł.

– Niech się pani zastanowi. Drugi raz nie będzie takiej propozycji.

– Nie mam się nad czym zastanawiać, bo odpowiedź zawsze będzie taka sama. Nie.

– Po co pani ten zapach, skoro zamierza go pani chować w domowym zaciszu? Przecież to zbrodnia!

– Jest wyłącznie na mój użytek i nie zamierzam się nim dzielić.

– Pani Lubowidzka, wiem, że jest pani wdową i nie ograniczają pani żadne małżeńskie wspólnoty ani tym podobne. Może pani samodzielnie zarządzać swoimi prawami...

– I właśnie to robię. Odmawiam panu.

– To nierozsądne.

– Być może, ale nie mam ochoty zachowywać się rozsądnie. Byłam zmuszona robić to przez pięć lat małżeństwa. Teraz sama decyduję, co jest dla mnie najlepsze. A ten zapach jest mój. Wyłącznie mój.

– No cóż... Skoro tak pani stawia sprawę... Jednak jest coś jeszcze. Wiem, że zna się pani na zapachach. Na tworzeniu kompozycji. Podobno ma pani talent, ale nie ma w tym nic dziwnego, jak się pochodzi z Grasse.

– Sporo pan wie – odparła z przekąsem.

– Potrzebuję kogoś takiego jak pani. Z, że się tak wyrażę, nosem.

Zaśmiała się.

– Proponuje mi pan pracę?

– Współpracę. Pani będzie komponować zapachy, a ja je wyprodukuję. Czysty układ.

– Ale to, co będę chciała zachować dla siebie, będzie wyłącznie moje.

– Bądźmy ze sobą szczerzy. – Antoni zmrużył chytre oczy. – Opuściłem *La rose*, ale cała reszta będzie należeć do mnie. Godziwie zapłacę.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać.

Mężczyzna wstał, wyraźnie zawiedziony finałem rozmowy. Była pewna, że zacznie ją namawiać, ale on tylko ukłonił się i szarmancko pocałował ją w dłoń, pieszcząc idealnie przystrzyżonym wąsem jej wierzch. Był przy tym tak czarujący, że nie miała wątpliwości, iż pewnie niejednej kobiecie zawrócił w głowie.

– Gdyby jednak zmieniła pani zdanie...

– Nie zmienię – zapewniła stanowczo.

Nie zdziwiła się jednak, kiedy na drugi dzień dostała od niego zaproszenie na kolację.

Z wdziękiem odmówiła.



## ROZDZIAŁ 13

Na mocy uchwalonej w 1921 roku Konstytucji marcowej powstało w Polsce niezależne sądownictwo, będące częścią monteskiuszowskiej zasady trójpodziału władzy w państwie demokratycznym. Zgodnie z nią nikt w II Rzeczypospolitej nie mógł zostać pozbawiony sprawiedliwego sądu, nawet gdyby opinia publiczna okrzyknęła go winnym.

Proces sądowy Dmytra Senyka oskarżonego o zabójstwo Ignacego Lubowidzkiego rozpoczął się 23 czerwca 1925 roku. Doskonale skonstruowany na mętnych poszlakach akt oskarżenia, miał być dla widzów swoistym tańcem rosnącej w siłę, nacjonalistycznej dumy narodu, który wyzwolił się po stu dwudziestu trzech latach niewoli. Oprócz głębokiej troski o wspólne dobro narodowe i poczucia przynależności do wyzwolonego z jarzma państwa, w Polakach budziła się również agresja już nie do zaborcy, ale do „nie-Polaka”. *Polska jest nasza!, Polska dla Polaków!, Polacy to dumny naród!* – wrzeszczały nagłówki prawicowych gazet. Garstka liberałów próbowała przebić się z uniwersalną retoryką, głosząc, że wolność i poszanowanie praw człowieka to najwyższa wartość. Ale kto był skłonny tego słuchać w momencie odbudowy młodego państwa, które aż kipiało od emocji narodowościowych? Które z wysoko podniesioną głową szczyciło się swoim nacjonalizmem, bijąc

pokłony jedynie Bogu i Matce Bożej za pomoc w odzyskaniu niepodległości?

Tego upalnego czerwcowego dnia przed gmach warszawskiego sądu zajęły licznie samochody i zebrał się tłum dziennikarzy i fotografów. Wszyscy chcieli uwiecznić głośny proces w sprawie morderstwa, tak podobnego do zamachu na prezydenta Gabriela Narutowicza w 1922 roku. Wówczas błyskawicznie osądzono i skazano na śmierć zamachowca, i teraz spodziewano się tego samego. Ludność Warszawy przybyła tłumnie, mając nadzieję choć przez chwilę ujrzeć wychodzącego z więźniarki zabójcę w eskorcie policjantów.

Młody ukraiński robotnik Dmytro Senyk na pierwszej rozprawie z obojętnością przysłuchiwał się odczytywanemu przez prokuratora aktowi oskarżenia. Ciążył na nim zarzut zamachu na osobę publiczną, z zamierzonym skutkiem śmiertelnym. Prokurator domagał się najwyższej kary, czyli wyroku śmierci. Na pytanie, czy oskarżony przyznaje się do winy, ten odparł, że jest niewinny.

Rozalia przysłuchiwała się odczytowi, siedząc wśród tych, którzy dostąpili zaszczytu wejścia na salę sądową. Roiło się tu od polityków różnych frakcji i innych szanowanych obywateli. Wdowa starała się nie rzucać w oczy. Wyglądała skromnie, a głowę zasłoniła kapeluszem.

Gustaw i Ada siedzieli w pierwszym rzędzie, ale Rozalia nie chciała do nich dołączyć, żeby nie stać się pożywką dla żadnych sensacji dziennikarzy. W skupieniu patrzyła na chłopca, który siedział ze spuszczoną głową i nie podniósł jej ani razu. Żałowała, że tego nie zrobił, bo chciała spojrzeć mu w oczy. Chciała mu pokazać, że nie ma do niego żalu, bo przecież ją uratował. Poświęcił się dla niej, choć zupełnie nie był tego świadomy.

Po pełnym odczycie aktu oskarżenia sąd zapowiedział odłożenie posiedzenia do następnego dnia, kiedy to miały rozpocząć się pierwsze przesłuchania świadków oskarżenia.

Rozalia patrzyła, jak policja wyprowadza młodego Ukraińca z sali sądowej. Na moment zwrócił twarz w jej stronę, a ona próbowała złowić jego rozbiegane spojrzenie. Nie udało jej się. Zniknął za drzwiami, w błysku fleszy dziennikarzy.

Rozalia miała nadzieję wtopić się w tłum i niezauważona przemknąć bokiem, ale gdy tylko wyszła z sądu, niespodziewanie dostrzegł ją jeden z dziennikarzy. Zapamiętał ją z pogrzebu. Później przypomniała sobie, że był wtedy wyjątkowo nachalny i nie grzeszył dyplomacją.

– Pani Lubowidzka! Pani Lubowidzka! Cieszy się pani, że zabójca pani męża w końcu zostanie rozstrzelany?

Rozalia zadrżała. Odwróciła twarz od nachalnego dziennikarza i próbowała precyzyjnie się przez tłum.

– Pani Lubowidzka! – Dziennikarz nie dawał za wygraną, a w ślad za nim podążyli inni. Osaczyli ją błyskawicznie, jak stado wron. Spuściła głowę i próbowała zakryć twarz dłońmi, ale niewiele to dało, bo ktoś pociągnął ją za sukienkę.

– Czy rozmawiała pani z Senykiem?

– Ma pani żal do zabójcy?

– Zabierze pani głos na rozprawie?

– Czy wiedziała pani, że jej mąż nienawidził Żydów i Ukraińców?

Rozalia wpadła w panikę. Powoli zaczynało brakować jej powietrza. Bała się, że upadnie, a tłum ją rozdepcze. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Błysk aparatów fotograficznych oslepił ją bardziej niż blask palącego słońca. Próbowała rozpychać się łokciami, ale mężczyźni z aparatami nie dawali za wygraną i ani myśleli ją przepuścić. Dopiero po chwili tłum rozstał się pod naporem kordonu policji.

– Usunąć się! Natychmiast! – W powietrze padł ogłuszający strzał z pistoletu.

Rozalia zachwiała się i oparła się całym ciałem o Gustawa, który w tej chwili znalazł się tuż przy niej. Objął ją ramionami

i osłonił przed wzrokiem dziennikarzy i zwykłych gapiów, po czym wyciągnął ją z tłumu i szybko poprowadził w stronę taksówki.

Dopiero tam mogła odetchnąć.

– Nic ci nie jest? – Gustaw usiadł na tylnym siedzeniu, tuż przy niej. Pochylił się nad nią tak nisko, że poczuła jego ciepły oddech na policzku.

– Nie. Wszystko dobrze. Zaskoczyli mnie...

– Nie powinnaś sama wychodzić z sądu. Próbowałem cię dostrzec, ale zniknęłaś w tłumie.

– Chciałam jak najszybciej stamtąd zniknąć. A gdzie Ada? Widziałam, że była z tobą.

– Pojechała inną taksówką. Do pracy.

– Do pracy? Ada?

Wyczuła, że Gustaw nagle zeszywniał. Odsunął się od niej na bezpieczną odległość. Już jej nie dotykał, więc nieświadomie zaczęła szukać wzrokiem jego dłoni. Nie po raz pierwszy zauważyła, że miał piękne dłonie. Zadbane. Dłonie lekarza.

– Zatrudniła się w kancelarii prawniczej jako asystentka – oparł chłodnym tonem. – Pewnie nie wiesz, że zdała egzaminy na prawo. Od października zaczyna studia.

– Ada? – Rozalia nie kryła zdumienia. – Czemu nic o tym nie wiedziałam?

– Nie wykazywałaś szczególnego zainteresowania naszą rodziną. Więc nic ci nie mówiłem.

– Akurat los Ady mnie obchodzi. To mądra dziewczyna i zasługuje na najlepsze.

– Na razie jedyne, co ma, to mnóstwo pracy i zakaz wstępu do domu rodzinnego.

Rozalia zmarszczyła brwi. Bez trudu domyśliła się, że Leokadia zatrzasnęła przed Adą drzwi, gdy tylko się dowiedziała, że córka zamierza pójść na studia.

– Odwieźć cię do domu? – Głos Gustawa znowu stał się miękki, bardziej troskliwy. Patrzył na nią.



Podniosła wzrok i wytrzymała jego spojrzenie.

– Nie. Chcę jechać do cioci Klary.

– Więc pozwól najpierw zaprosić się na obiad.

– Myślę, że kucharka cioci coś przygotowała. Zjem u niej.

Westchnął wyraźnie rozczarowany, a ona odwróciła twarz do okna.

Jechali głównymi ulicami Warszawy. Mijali bulwary, kamienice i kościoły. Rozalia przypomniawszy sobie Paryż; nagle stał się dla niej tak odległy, tak dziwnie nierealny, jakby nigdy tam nie była. Jakby nie była po części Francuzką.

– Co myślisz o tym procesie? – zapytała Gustawa.

– Nie wiem. Nie jestem pewien. Dowody nie są miażdżące.

– Spotkałeś się z tym więźniem. Co ci powiedział?

– Że nie zabił Ignacego. Ale... Bardzo chciał to zrobić.

– Myślisz, że sąd go skarze?

– Myślę, że tak.

Rozalia zadygotała pod wpływem nagłej emocji. Myślała, że już zapomniała, jak smakował ten strach, który niegdyś był jej codziennością. Teraz jednak przypomniawszy go sobie ze zdwojoną siłą, i to tak namacalnie, że po jej ciele przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Pojawiła się ta obezwładniająca panika, kiedy widziała złość w oczach męża. Ten mdlący ból brzucha, ilekroć zbliżał się do niej. Poczwała nawet ten zniechęcony dotyk.

Ona też chciała go zabić. Wielokrotnie. W panice. W strachu. W bezsilności. Ale nie zrobiła tego. Nie miała dość odwagi albo nie zdążyła stoczyć się na samo dno odczłowieczenia.

Gustaw chyba zauważył jej nagłą zmianę nastroju, bo niespodziewanie objął ją ramieniem. W pierwszym odruchu chciała zaprotestować, ale zrobiło jej się przyjemnie ciepło. To było tak inne od zimnego dreszczu, który czuła jeszcze przed chwilą.

Skupiona na własnych myślach, nie zauważyła, kiedy dojechali na ulicę Piusa XI i taksówka zatrzymała się przed czerwoną kamienicą. Rozalia popatrzyła na Gustawa i nagle uświadomiła

sobie, że nie chce wysiadać z auta. Że chce tu zostać. Z nim. Blisko niego. Bo po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się bezpieczna.

– Wspominałeś o obiedzie – powiedziała nagle, zaskakując tym samą siebie. – Podejrzewam, że kucharka cioci jak zwykle przygotowała więcej niż trzeba. Ciocia Klara na pewno się ucieszy, jeśli przyjdiesz ze mną.

– Zapraszasz mnie na obiad?

– Tak. Chyba że twoje podniebienie zadowolają wyłącznie dania z najlepszych restauracji.

Uśmiechnął się.

– Z przyjemnością będę gościł u twojej cioci.

– Tylko uważaj. Ona lubi takich mężczyzn jak ty. A podobno trudno jej się oprzeć.

– Bez obaw. Tego popołudnia... Będę patrzeć wyłącznie na ciebie.

Nie wiedziała, czemu to powiedział. Nie wiedziała nawet, czy mówił poważnie. To do niego nie pasowało. A jednak uwierzyła mu, bo było między nimi nieznośne do wytrzymania napięcie. Nie wiedziała, co o tym myśleć, jak sobie z tym poradzić, więc postanowiła się temu poddać. Bo chwilowo... było jej dobrze.

Ciotka Klara jak zwykle utyskiwała na ciągły brak czasu. Kiedy stanęli w progu jej mieszkania, zdumiała się, ale i ucieszyła, że ich widzi. Choć stanowczo zastrzegła, że wieczór ma już zaplanowany, więc nie mogą siedzieć u niej zbyt długo.

Wyglądała oczywiście zjawiskowo; promieniała swobodą i energią, a bladoniebieska sukienka i niedbale związany w węzeł sznur białych pereł prezentowały się na niej doskonale.

– Duszko, wiem, że dzisiaj był trudny dzień. Jak to zniosłaś? – dopytywała Rozalię z troską w głosie, prowadząc ich do jadalni. – Nie poszłam do sądu, bo nie chciałam patrzeć na to widowisko.

– Byłoby lepiej, gdyby nie dziennikarze – odparła Rozalia zgodnie z prawdą – Trudno było się przez ten tłum przebić.

– Rozalia prawie została stratowana – dodał Gustaw.

Klara spojrzała na niego przenikliwie.

– A pan jak to znosi, doktorze? Rozumiem, że pańska matka nie przyjechała do Warszawy? Nie chciała uczestniczyć w tym cyrku?

– Mama nie czuje się najlepiej. Ja też chciałbym mieć to już za sobą.

– Wierzy pan w winę tego młodego człowieka? Przecież nie znaleziono u niego broni ani nic, co mogłoby świadczyć o jego winie. Czytałam o tym w „Kurierze Porannym”. Cała sprawa opiera się wyłącznie na przekonaniu, że to Ukrainiec, który chciał dokonać aktu zemsty. To się kupy nie trzyma!

– Ciociu, zobaczymy, co powiedzą świadkowie – wtrąciła Rozalia.

– No tak, oczywiście. A jak malutka Lili? Chętnie bym ją zobaczyła. Śliczna dziewczuszka. Taka podobna do ojca! – To mówiąc, Klara znacząco popatrzyła na Gustawa.

– Tak, rzeczywiście. Jest podobna do Ignacego – przyznał Gustaw bez zażenowania, czym nieco zdumiał ciotkę Klarę, która być może oczekiwała od niego zaprzeczenia. – Postanowiłem otoczyć Lili opieką i we właściwym czasie wysłać ją do szkoły.

– Och, to wspaniale! Przynajmniej dziewczynka nie zmarnuje sobie życia.

Rozalia była zdumiona deklaracją Gustawa, bo nie wspominał wcześniej, że zamierza łożyć na edukację Lili. Być może jednak omówił to z Zuzanną. W końcu to ona była matką dziewczynki i wyłącznie ona decydowała o jej przyszłości. Rozalia nie musiała tego wiedzieć.

Mimo to poczuła się urażona.

Przy obiedzie ciotka nadal gadała jak najęta, wpytując Gustawa o wszystkie jego sprawy, a gdy temat zszedł na Adę, aż się rozpromieniła z zachwyty.

– Co za dziewczyna! Taka odważna! Wciąż mało kobiet ma odwagę iść na uniwersytet. A jeszcze prawo! Będzie miała wiele ścieżek do wydeptania, ale liczę, że jej się uda!

– Jak na razie musi znaleźć sobie jakąś stancję – mruknął z sarkazmem Gustaw. – Nie może w nieskończoność mieszkać w hotelu, bo finanse jej na to nie pozwolą.

– Och! Ależ to żaden problem! Niech zamieszka ze mną! Odkąd Rozalia mnie opuściła, miejsca sobie znaleźć nie mogę! Ta dziewczyna będzie dla mnie błogosławieństwem!

– To nie jest dobry pomysł – rzucił Gustaw szybko.

– Ależ co pan mówi, doktorze! Wspaniały! Dziewczyna będzie tu miała pełną swobodę!

– I tego się właśnie obawiam najbardziej.

Ciotka Klara prychnęła.

– Niech pan nie będzie taki pruderyjny. Wiem, jak się zająć młodą panną, bo sama kiedyś nią byłam.

– I podobno do grzecznych nie należałaś, ciociu! – wtrąciła się Rozalia, przysłuchując się tej rozmowie z rosnącym zainteresowaniem.

Musiała przyznać, że relacja ciotki Klary i Ady mogłaby być niezwykle udana. I interesująca. Od jakiegoś czasu widziała, że ciotka wyraźnie żałowała jej wyprowadzki z mieszkania, jakby nagle dodatkowe towarzystwo było jej potrzebne.

– Uważasz, że prawniczka powinna być grzeczna? Grzeczny prawnik to żaden prawnik! Panna Ada powinna znać zasady rządzące tym światem.

– A ty jej, ciociu, te zasady chętnie przedstawiś.

– Ależ oczywiście! Więc co pan na to, doktorze? – dopytywała Klara. – Przyprowadzi pan siostrę? Poznamy się, porozmawiamy...

– Być może tak zrobię. Jak tylko Ada zechce znowu się do mnie odezwać.

Rozalia popatrzyła na Gustawa zaskoczona, ale ten wyraźnie nie zamierzał nic więcej tłumaczyć.

Na resztę popołudnia musieli pożegnać ciotkę, bo zastrzegła, że jest umówiona i musi się przygotować.

– Ale wy, kochani, radźcie sobie. Idźcie na kolację albo... Och, matko! – Machnęła ręką. – Czy ja muszę wam mówić, co powinniście robić?

– Ja wracam do domu – oznajmiła Rozalia, nie patrząc na Gustawa.

– Odwiozę cię – zaproponował szybko.

– Nie ma potrzeby.

– Rozalio, przestań się upierać! – upomniała ją ciotka. – W towarzystwie zawsze bezpieczniej. Mówiłam ci o mojej znajomej, co to sama jechała taksówką i...

– Już dobrze, ciociu – przerwała jej Rozalia. – Znam tę historię. Opowiadałaś mi ją setki razy.

– Więc sama widzisz.

\* \* \*

Lili z piskiem zachwytu dopadła do Gustawa, kiedy ten wraz z Rozalią stanął w progu domu w Konstancinie. Rozalii rzuciła jedynie promienny uśmiech i już siedziała wujkowi na barana.

Zuzanna przypatrywała się temu z niemą dezaprobatą. Dość często upominała córkę, że nie powinna narzucać się wujkowi z taką nachalnością, ale dziewczynka nie tylko była głucha na upominania matki, ale i robiła to z coraz większym entuzjazmem. A Gustaw wyraźnie to akceptował. Sam nawet zachęcał dziewczynkę do takiego zachowania, bo bawił się z nią, rozpieszczał, przywoził drobne upominki i namawiał małą do śmiałości, jaka nie przystoi córce prostej kobiety. Zuzanna obserwowała to z ogromnym wzruszeniem, czując równocześnie, jak bardzo ją to przytłacza. Nie miała prawa niczego wymagać od tego mężczyzny ani prosić go o pomoc w opiece nad córką. A on i tak to robił. Zapewnił też solennie, że jak tylko Lili osiągnie właściwy wiek, pošle ją do szkoły. Zuzanna dziękowała mu za to

w myślach każdego dnia, wiedząc, że nigdy nie zdoła mu tego wynagrodzić.

Wracając do kuchni, gdzie zamierzała skończyć mycie podłogi, była pewna, że doktor Lubowidzki pójdzie z Lili do ogrodu, ale on ruszył za nią, nakazawszy dziewczynce pobawić się samej.

– Wiem od Rozalii, że nie czuje się pani dobrze – zagadnął na wstępie.

Zuzanna niedbale wzruszyła ramionami, zastanawiając się, jak ukryć przed nim skrepowanie. Próbowwała zająć czymś ręce, więc bezmyślnie zaczęła przestawiać kubki w kredensie, jakby ich dotychczasowe miejsce nagle okazało się niewłaściwe.

– Nic mi nie jest. Rozalia przesadza.

– Mówi, że mało pani je. Widzę, że jest pani blada...

– Panie doktorze... Jeśli będę chora, dam znać. Wiem, że mogę na pana liczyć. Dziękuję.

Gustaw usiadł przy dębowym stole i przyglądał się, jak Zuzanna niezdarnie krząta się po kuchni. Denerwowało ją to. Co go obchodzi, jak się czuje? Czemu Rozalia się wtrąca? Była im obojgu niezmiernie wdzięczna za wszelką pomoc, ale zupełnie nieprzyzwyczajona do tego, że ktoś się o nią troszczy, i to w tak – jak uznała – nachalny sposób. Poza tym nie mogli zrobić nic więcej. Nie zrozumieliby.

– Napije się pan herbaty? – zapytała, chcąc zmienić temat rozmowy.

– Chętnie. Rozalia mówiła, że... Mógłbym zostać na kolacji.

– Kucharka zrobiła łożanki z serem. Muszę je tylko odgrzać. Jest jeszcze ciasto i...

– Doskonale – przerwał jej.

Westchnęła cicho. Jego obecność była dla niej przytłaczająca. Starła się nie zwracać na niego uwagi, ale wciąż czuła na sobie jego baczny wzrok, jakby ją studiował, analizował. Jakby usilnie doszukiwał się u niej choroby. I tak już wstydziała się tego, że kilka miesięcy temu musiała pozwolić mu się zbadać. Przez to wiedział

więcej niż inni. Znał ją lepiej. To ją martwiło i przerażało jednocześnie. Bała się, że któregoś dnia zdradzi jej tajemnicę, a wtedy... Będzie zgubiona. Te przerażające myśli, pomieszane ze wstydem, odbierały jej oddech.

– Dzisiaj była pierwsza rozprawa – powiedział doktor niespodziewanie, a Zuzanna poczuła gwałtowny skurcz żołądka.

– Wiem.

– Odczytano jedynie akt oskarżenia.

Bezwiednie wbiła palce w fartuch zawiązany w talii.

– Czy to pewne, że to ten Ukrainiec? – starała się uspokoić drżenie głosu, ale i tak mówiła przez ściśnięte gardło.

– Raczej tak. Prokurator nie ma wątpliwości. Na tym etapie śledztwa nie ma zresztą innych podejrzanych.

W odpowiedzi tylko skinęła głową.

– Znała go pani? Tego Senyka?

– Nie. Ignacy wspominał o nim raz czy dwa... Że jest taki chłopiec, który mu pomaga. Załatwia pewne sprawy.

– Mówił, co to za sprawy?

Zuzanna zaprzeczyła.

– Nie tłumaczył mi się ze swojej pracy. Zresztą, ostatnie tygodnie przed śmiercią był ciągle zły... Czymś poirytowany. Rzadziej do mnie przychodził.

– A czy wcześniej odwiedzał panią często?

Popatrzyła na niego spłoniona.

– Tak. Dość często, dopóki... – urwała, czując, jak ból z okolic żołądka kieruje się w stronę serca. Spuściła wzrok. Nie miała ochoty na tę rozmowę. Było jej trudno mówić o Ignacym z jego bratem, bo w obliczu tego mężczyzny znowu czuła się jak pospolita dziwka, mimo że on wcale jej tak nie traktował.

– Dopóki to się nie stało – dokończył za nią ściszym głosem.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się do niego plecami, próbując zahamować napływające do oczu łzy.

– Wiem, że policja z panią nie rozmawiała. Z jakiegoś powodu przemilczano, że mój brat spotykał się z panią regularnie. Jeśli jednak wie pani coś, co mogłoby pomóc w śledztwie...

– Nie wiem nic! – rzuciła gwałtownie. – Przepraszam, ale muszę wrócić do swoich obowiązków. Kolacja się zbliża, a ja mam jeszcze sporo pracy. – Wyszła z kuchni, zostawiając go samego i zupełnie zapominając, że chciała umyć podłogę.

Mechanicznie udała się do ogrodu, gdzie Lili bawiła się przy szemrzącej fontannie. Mała pochylała się nad marmurowym basenikiem z wodą tak, że nóżki zwisały jej nad ziemią. Wystarczyło, że odchyliłaby się bardziej, i zrobiłaby fikołka prosto do wody.

Zuzanna podbiegła do dziewczynki i mocno chwyciła ją w ramiona, a następnie ścisnęła tak gwałtownie, że mała aż pisnęła.

– Mamuś!

– Kocham cię, córeczko – wyszeptała gorączkowo Zuzanna.

\* \* \*

Rozalia wyszła z pachnącej olejkami kąpieli. Delikatny wieczorny wiaterek z otwartego na oścież okna chłodził jej rozgrzane ciało. Otuliła się miękkim ręcznikiem i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej skóra była zaróżowiona od gorącej wody i jeszcze lekko wilgotna. Jasne włosy skręcały się w drobne fale, a oczy błyszczały gorączkowo. Próbowwała odchylić rąbek ręcznika i popatrzeć w lustrze na swoje nagie ciało, ale wstydziła się. Nie umiała dostrzec w sobie tego, co widziała w niej Tamara Łempicka. Miała zbyt dużo kompleksów. Nie czuła się piękna. Może kiedyś, dawno temu tak. Ale nie teraz.

Jak by to było poczuć na sobie dotyk, inny niż dotychczas? Delikatny. Czuły. Może nawet namiętny. Czy zniosłaby to? Czy pozwoliłaby na to? Czy to w ogóle możliwe? Przecież nigdy nie



zaznała takiego dotyku od mężczyzny. Ignacy nigdy nie był czuły ani delikatny. Nigdy nie był namiętny. Jego dotyk wydawał się jej bezosobowy, zimny, mocny, często zbyt szorstki. Wciąż pamiętała uścisk jego dłoni na swoich udach, kiedy je rozchyłał. Były twarde, stanowcze. Wpierw protestowała, później się poddała. Z zamkniętymi oczami pozwalała mu robić z jej ciałem, co chciał. To nie było jej ciało. To było jego ciało.

Nie znała innych doznań niż ból. Ból od gwałtowności. Ból od stanowczości. Ból od nacisku. Raz czy dwa poczuła pożądanie. Chciała być z nim wtedy, uczestniczyć w jego grze, ruchach, ale stłamsił w niej to szybko. Nie pozwolił jej.

Gdzieś głęboko w środku tliła się w niej jakaś nieznośna tęsknota. Kiedyś, jeszcze jako panna, odczuwała ją dość często. Później to w niej zamarło.

A teraz znowu się odradzało. Pomalutku. Z lekkim pulsowaniem. Wzbudzając przemożną ochotę na bliskość.

Gustaw.

On w niej to obudził.

Z westchnieniem pomyślała, że było jej dobrze, kiedy ją obejmował. Było jej tak dobrze, że nie chciała, żeby przestawał. Lubiła niepokojącą głębię jego zapachu i bijące od niego ciepło. Nie bała się go. Pomyślała nawet, że chciałaby, aby został dzisiaj na noc. Żeby jutro był przy niej, kiedy znowu będzie zmuszona stawić czoło dziennikarzom przed sądem. Chciała, żeby ją ochronił.

Kiedy zeszła do jadalni na kolację, on już tam był w towarzystwie Zuzanny i Lili. Czekali na nią.

Wszyscy zwrócili się ku niej, gdy weszła, ale zauważyła, że Gustaw spojrzał na nią wyjątkowo uważnie. I znowu poczuła to rozchodzące się po całym ciele, znajome ciepło.

Kolację zjedli prawie w zupełnym milczeniu, nie licząc Lili, która z entuzjazmem pięciolatki paplała o ślimakach w ogrodzie. Nikt z dorosłych jej nie słuchał, więc wreszcie zamilkła

naburmuszona i posłusznie dokończyła posiłek. Kiedy zjadła, Zuzanna wstała od stołu.

– Pójdę przygotować Lili do snu.

Nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, już ich nie było.

Gustaw i Rozalia zostali przy stole sami. Niezręczna cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara, grała im w uszach, jednak żadne nie miało odwagi jej przerwać.

Wreszcie Gustaw wstał od stołu.

– Późno już. Pora wracać.

Rozalia również wstała. Czuła pulsowanie – w nogach, w sercu, w dole brzucha. Szczególnie tam, jakby to był ośrodek ciała. Pulsujący rytm życia.

– Zobaczymy się jutro? – zapytała zmienionym głosem.

– Będę w sądzie.

W jego spojrzeniu było coś, co ją paliło, co kazało jej prosić, żeby został.

Ale on nagle odwrócił wzrok i wyszedł.

Dogoniła go w sieni, kiedy zarzucał na ramię marynarkę i zakładał kapelusz.

– W salonie nie ma twojego portretu – rzucił.

– Wyniosłam go. To nie było najlepsze dzieło Lempickiej.

– Moim zdaniem był doskonały.

Stał tak, jakby na coś czekając. Ostre rysy twarzy zmiękły w ciepłych barwach wieczoru, a ciemne oczy nabrały blasku.

W pierwszym odruchu chciała do niego podejść, a słowo „zostań” gwałtownie cisnęło jej się na usta.

Nic jednak nie powiedziała. Nie znalazła w sobie dość odwagi. Pozostało jej patrzeć, jak zatrząskuje za sobą drzwi.

Na trzęsących się nogach poszła na górę, do sypialni. Obiecała sobie, że musi być bardziej powściągliwa.

\* \* \*

Zuzanna tuliła w ramionach córkę. Czuła słodki zapach jej ciepłego ciała i miękkie włosy przyklejające się do jej policzka. Lili drobnymi paluszkami sunęła po karku matki, zasypiając w rytm tej pieśczości. Oddech miała regularny, czysty, głęboki. Zniknął świszczący kaszel. Zniknęła gorączka.

A jeszcze nie tak dawno było im zimno. Były głodne.

Brudny, śmierdzący mężczyzna, przyglądający się jej z bezzębnym uśmiechem, pewnego razu zaoferował jej kromkę chleba. Suchą. Musiała mu tylko zrobić dobrze – tak powiedział. Zrobić dobrze.

– Zdechnę z głodu, ale przynajmniej będę w raju – wycharczał, śmiejąc się oblesnie.

Zuzanna pamiętała jego przenikliwe oczy. Śmierdzący oddech. Odsunęła się wtedy w głąb pryczy, modląc się, żeby jej nie dotknął. Nawet jeśli zaczęłaby krzyczeć, i tak nikt by jej nie pomógł. Nikogo to nie obchodziło. Wiele kobiet w przytułku musiało znosić takie zaloty, by przeżyć. Za kromkę chleba.

Dał jej spokój. Zobaczył wstręt i przerażenie na twarzy Zuzanny i odpuścił. A chleb zjadł sam.

Wtedy była mu za to wdzięczna, prawie rozplakała się z ulgi, ale teraz... To wszystko w niej tkwiło, pod najgłębszą warstwą skóry.

Pamiętała również Ignacego. To obłądne przywiązanie, tę rozpaczliwą potrzebę bycia z nim. Blisko niego. Był jak narkotyk, którym często sam się odurzał, kiedy do niej przychodził. Jak... morfina. Traciła przy nim rozsądek, oddech, zmysły. Liczył się tylko on i jego miłość. Miłość, której nigdy jej nie dał, a o którą ona tak zebrała. Której tak pragnęła.

Nie umiała widzieć w nim złego człowieka. Nie chciała. Był przecież taki piękny. Taki wyniosły i mądry. I dał jej największy skarb na ziemi, jakiego nie dał nikomu innemu. Dał jej Lili.

A później zrobił to, czego nie mogła mu wybaczyć.



## ROZDZIAŁ 14

Prokurator Stanisław Florczak dawno nie czuł takiej irytacji. Z natury był człowiekiem powściągliwym, ale od kilku dni miał wrażenie, że już nic nie jest w stanie uciszyć jego narastającego niepokoju.

Trwający od miesiąca proces o zabójstwo Ignacego Lubowidzkiego jak dotąd toczył się gładko i wszystko wskazywało na to, że oskarżony Dmytro Senyk bez dwóch zdań dostanie wyrok śmierci. Nawet jeśli ktoś próbował go nieudolnie bronić, jak na przykład jego rozhisteryzowana siostra, to i tak nikt nie miał wątpliwości, że to on zastrzelił w zamachu posła Lubowidzkiego. Nikt nie dał wiary temu, że Ignacy zgwałcił młodą Ukrainkę. A nawet jeśli tak było, to co to było za przestępstwo? Wyciągnięte z kapelusza na potrzeby marnej obrony ukraińskiego robotnika. Partia broniła Lubowidzkiego zawzięcie, jak katarynka powtarzając, że był wspaniałym, wielkodusznym człowiekiem i to niemożliwe, by był zdolny do skrzywdzenia młodej, niewinnej dziewczyny. Ktoś inny może tak, ale nie on! Nigdy!

I wtedy pojawiła się kolejna skrzywdzona ofiara. Tym razem była to Polka. Młoda, śliczna kelnerka z luksusowej restauracji, mieszczącej się na Krakowskim Przedmieściu. Łamiącym się głosem opowiadała, jak została przez Lubowidzkiego nie tylko siłą zmuszona do odbycia stosunku seksualnego, ale i pobita tak dotkliwie, że przez kilka tygodni dochodziła do siebie.

Potwierdzenie swoich słów znalazła u właściciela restauracji, który przed sądem zeznał w obronie dziewczyny. Opowiadał, jak poseł Lubowidzki próbował łapówką zmusić go do milczenia i nieujawniania całej sprawy. Kiedy ten stanowczo odmówił przyjęcia pieniędzy, Ignacy zagroził mu zdemolowaniem albo całkowitym zamknięciem lokalu.

– Mam rodzinę, żonę, dzieci – tłumaczył właściciel restauracji, usprawiedliwiając się, dlaczego nie zgłosił tego incydentu na policję. – Chciałem jedynie w spokoju żyć i prowadzić interes.

– Więc dlaczego teraz postanowił pan rozgłosić to publicznie? – zapytał prokurator Florczak, kiedy przesłuchiwany świadek pocił się na mównicy sądowej.

– Bo wyrzuty sumienia nie pozwalały mi milczeć.

Wyrzuty sumienia. Wspaniale! Proces psuł się przez wyrzuty sumienia jakiegoś restauracznego! obrońca Ukrainca podchwycił to jak smakowity kąsek i rozprawiał nad gwałtem i pobiciem dziewczyny, dając pożywkę żadnym sensacji pismakom.

W całej tej sytuacji Florczak bacznie obserwował reakcje bliskich zmarłego. Wdowa, Rozalia Lubowidzka, zdawała się przyjmować wszystko bez emocji, nie komentując ani nie odpowiadając na zgryźliwe i zbyt dosadne pytania dziennikarzy. Z kolei Gustaw Lubowidzki i jego siostra Adrianna zdobywali się na zdawkowe odpowiedzi, że wyjaśnienie sprawy jest wyłącznie w rękach sądu.

– Ale wierzy pan, że jego brat mógł skrzywdzić te kobiety? – dopytywał co odważniejszy dziennikarz.

Na to pytanie doktor Lubowidzki nie odpowiedział.

A to był dopiero początek.

Nagle jak spod ziemi zaczęli wyrastać świadkowie obrony, twierdząc, że Ignacy Lubowidzki był skrajnym fanatycznym nacionalistą. Przeszkadzał mu każdy, kto nie był Polakiem z krwi i urodzenia, i prześladował swoje ofiary z istic profesjonalną nienawiścią. Tego już prokurator Florczak nie mógł znieść.

I zwyczajnie w to nie wierzył. Podobnie jak nie wierzył w to, że Dmytro Senyk zastrzelił Lubowidzkiego.

Jednak tę niewiarę musiał zachować dla siebie.

Wyłącznie dla siebie.

Gdyby choć raz chlapnął coś nierozsądnie, obrona chwyciłaby się tego jak tonący brzytwy i już nie dałaby mu spokoju.

Opinia publiczna potrzebowała zamachowca, a endecja chciała uciszyć nastroje społeczne, więc wraz z komisarzem Wójcikiem podsunęli ludziom zamachowca. Senyk idealnie wpisywał się w ramy owładniętego żądzą mordu, skrzywdzonego robotnika, który chciał tylko wymierzyć sprawiedliwość.

A teraz ta sprawiedliwość miała osiągnąć jego, Florczaka. Minister Sprawiedliwości i równocześnie Prokurator Naczelny Antoni Żychliński już od jakiegoś czasu ostro naciskał, że sprawie trzeba szybko uciąć głowę, bo inaczej to się może źle skończyć.

Florczak miał świadomość, że sprawa zamachu na Lubowidzkiego była jego ostatnią sprawą i że jeśli zakończy ją właściwym wyrokiem skazującym, odejdzie na zasłużoną emeryturę w blasku sławy. Jeśli natomiast coś pójdzie nie tak... Nikt nie będzie się z nim liczył. A to oznaczało śmierć za życia. Tego obawiał się najbardziej. Był już po sześćdziesiątce, czuł się zmęczony i nie miał siły na polityczne gierki, a ta sprawa zupełnie jaskrawo ukazywała nastroje panujące w Polsce. Ludzie skakali sobie do gardeł z byle powodu, uznając własną prawdę za jedyną i świętą. Tylko ich poglądy są słuszne! Smród i zgnilizna. Jak w warszawskich rynsztokach, które brudem i odorem odbierały piękno na pozór wygładzonym fasadom.

Rozmyślenia Florczaka przerwało nieśmiałe pukanie do drzwi gabinetu. Drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się głowa jego sekretarki.

– Przepraszam, panie prokuratorze, ale jest tu pewna kobieta. Pilnie chce z panem rozmawiać.

– Nie mam teraz czasu!

– Prosi tylko o chwilę. Chodzi o sprawę Senyka.

Sapnął zirytowany.

– Dobrze. Wprowadź.

Do gabinetu weszła młoda kobieta. Piękna. Tak piękna, że Florczak aż westchnął na jej widok i pożałował, że jest już za stary na zabawy damsko-męskie. Nie była damą, co to, to nie! Skromna szwaczka, służąca albo może... guwernantka. Wyglądała schludnie w ładnej i prostej sukience, ale brakowało jej klasy i wielkomiejskiego szyku. Na pierwszy rzut oka widać było, że pochodziła z nizin społecznych. Za to figurę miała wyjątkowo apetyczną, a twarz... Pełne usta, delikatny, nieduży nosek i zielone, kocie oczy.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, nie siląc się na to, żeby wstać od biurka.

– Przepraszam, nie chciałam panu przeszkadzać. Wiem, że jest pan bardzo zajęty, więc... Przyszłam, bo... – urwała i zwilżyła językiem usta. Ten gest mógłby być zmysłowy, gdyby nie to, że kobieta wyraźnie drżała. Była przestraszona. – To pan jest prokuratorem od zabójstwa posła Lubowidzkiego?

– Tak. To ja.

– To nie Dmytro Senyk zabił Ignacego Lubowidzkiego – rzekła szybko, wyrzucając z siebie słowa, jakby z obawy, że może się rozmyślić.

Florczak zamarł.

– Nie? A kto to zrobił?

– Ja. To ja zastrzeliłam Ignacego Lubowidzkiego.

\* \* \*

Lili bawiła się w ogrodzie, w cieniu rozłożystych, przekwitłych magnolii. Ogrodnik miał na nią oko; raz po raz spoglądał na dziewczynkę, jakby upewniając się, że małej nic nie grozi.



Rozalia wróciła z Warszawy i pewna, że Zuzanna jak zwykle zajmuje się sprawami domu, od razu zamknęła się w swojej pracowni.

Czuła coraz większe wyczerpanie procesem sądowym i związanym z nim rozgłosem, bo sprawa robiła się wyjątkowo nieprzyjemna. Prokurator naciskał na szybki wyrok skazujący, a obrońca młodego Ukraińca starał się za wszelką cenę udowodnić, że nawet jeśli jego klient zabił Ignacego, to miał ku temu szczególne powody, a tym samym sąd – jeśli uzna winę Senyka – powinien skazać go na więzienie, a nie na śmierć.

Rozalia zagryzała wargi prawie do krwi, kiedy słyszała w sądzie płaczliwe wyznania młodej kelnerki. Dziewczyna, przy akompaniamencie obelg wykrzykiwanych z ław dla publiczności, urywanym głosem opowiadała, jak została pobita i zgwałcona przez Ignacego. Nikt nie chciał jej wierzyć, podobnie jak wcześniej siostrze Senyka, a gawiedź zgromadzona na sali sądowej domagała się uciszenia kłamliwej karierowiczki, która według obserwatorów chciała w ten sposób zyskać rozgłos i znaleźć się na pierwszych stronach gazet. Sąd wielokrotnie uciszał delikwentów rzucających wyzwiska w stronę zeznającej dziewczyny, grożąc im karą grzywny. Bezskutecznie.

Ale Rozalia jej wierzyła. Bo przeżyła to samo i wciąż pamiętała każdy szczegół ze swojego życia z Ignacym. Opowieść dziewczyny spowodowała rozdrapanie ledwo co zabliznionych ran. Na szczęście nikt na Rozalię nie patrzył. Nikt nie doszukiwał się w jej groteskowo poważnej twarzy tej samej prawdy, którą wyznawała młoda dziewczyna.

Do Konstancina wróciła zmęczona, zdenerwowana, pragnąc jedynie spokoju i czegoś, co uciszyłoby ten palący bezdech w piersi, który przez cały dzień nie dawał jej spokoju. Gustawa unikała jak ognia, a i on zdawał się traktować ją z dystansem, choć na tyle kulturalnie, ile wymagało tego dobre wychowanie.

Późne popołudnie przechodziło leniwie we wczesny wieczór. O tej porze Zuzanna krzątała się w kuchni, przygotowując podwieczorek. Zdarzało się jednak, że zostawiała pracę i na prośbę Rozalii szły razem z Lili na krótki spacer po lesie. Rozmawiały wtedy dużo, wymieniały myśli i spostrzeżenia, ale nigdy nie poruszały tematu Ignacego. Ani Gustawa. Jakby ci dwaj mężczyźni mieli je nieopatrznie rozdzielić bądź zepsuć tę nić porozumienia, która się między nimi zawiązała. Wprawdzie Zuzanna nie była zbyt wylewna, wydawała się wręcz skryta, chętnie jednak rozmawiała z Rozalią na tematy bieżące, głównie te dotyczące prowadzenia domu. Pytania o samopoczucie zbywała, ale wyraźnie było widać, że nie czuje się najlepiej. Nikła w oczach, jak człowiek, którego trawi śmiertelna choroba. Miała podkrążone oczy, była nerwowa albo popadała w dziwną melancholię i nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Jedynie Lili potrafiła skłonić matkę do uśmiechu.

Rozalia martwiła się o nią coraz bardziej. Nawet Gustaw jako lekarz nie był w stanie skutecznie do niej dotrzeć, i w końcu poddał się, licząc na to, że Zuzanna sama poprosi go o pomoc, kiedy będzie tego potrzebować.

Rozalia dopiero przed wieczorem uświadomiła sobie, że Zuzanna zniknęła. Kiedy weszła do kuchni i nie zastała jej tam jak zwykle, zdziwiła się. Wtedy dotarło do niej, że Zuzanna nie pojawiła się również w pracowni, choć codziennie przynosiła jej herbatę.

Zaczęła jej szukać, wykrzykiwać jej imię, ale odpowiadała wyłącznie głucha cisza.

Ogrodnik, zapytany o pannę Grabińską, zapewnił, że widział ją jedynie rano, jak rozmawiała z kucharką.

– Lili długo bawi się sama?

– Cały dzień. Jak pytała, gdzie mama, mówiłem, że zaraz przyjdzie, bo pewnie zajęta. Tak myślałem, szanowna pani. Panienska Zuza nic nie mówiła, że gdzieś wychodzi.

Rozalia westchnęła. Poczwała niepokój. Obeszła cały dom i ogród, wyszła nawet na pobliską łąkę, ale po Zuzannie nie było śladu. Ruszyła więc dalej, do lasu i nad rzekę. Może Zuza wybrała się na spacer? A jeśli źle się poczuła i zemdlala? Moze lezy gdzieś nieprzytomna? Moze bez życia? Ostatnio przecież miała się gorzej.

Rozalia coraz bardziej zdenerwowana pomyslała, że koniecznie musi kupić konia. Gdyby go miała, teraz szybciej dotarłaby do lasu, bo kto wie, czy nie liczyła się każda minuta? Wyrzucała sobie, że nie zorientowała się wcześniej, że Zuzanny nie ma. Moze uderzyła się o wystający konar drzewa albo ześlizgnęła się ze stromej skarpy? A moze wpadła do rzeki? Takie nieprzyjemne myśli krążyły po głowie Rozalii, potęgując panikę.

Pobiegła w stronę lasu, prosząc na odchodne ogrodnika, żeby miał jeszcze oko na Lili.

Do domu wróciła po ponad godzinie, bo powoli zapadał wieczór.

Zuzanny nigdzie nie było.

Rozalia czuła coraz większy strach. Żałowała, że nie założyła w domu telefonu, bo teraz mogłaby zadzwonić do hotelu do Gustawa i powiadomić go, że bardzo się martwi. Moze on by coś na to poradził? Moze miałby jakiś pomysł?

Lili była coraz bardziej marudna. Przestała się bawić i snuła się za Rozalią, wpytując, gdzie jest mama.

– Pójdziemy do kuchni i dam ci kubek ciepłego mleka, dobrze? I bułeczki z rodzynekami, które tak lubisz.

Cała drżąca, wzięła dziewczynkę na ręce i zaniósła do kuchni, udając, że nic się nie dzieje, ale wiedziała, że dziecko wyczuwa jej niepokój. Kiedy posadziła Lili na krześle i dała jej mleko i jedzenie, wróciła do ogrodu i nakazała ogrodnikowi iść do pobliskiego punktu telegraficznego, gdzie był dostępny również publiczny telefon, i zadzwonić na policję.

– Po co, szanowna pani?

– Bo Zuzanny nadal nie ma! Sama bym to zrobiła, ale nie mogę zostawić Lili! – Czuła rosnącą irytację, więc głos miała szorstki

i pełen pretensji.

Mężczyzna, nie pytając o nic więcej, posłusznie pobiegł w głąb ulicy.

Rozalia wróciła do kuchni. Lili wciąż siedziała przy stole i jadła bułkę.

– Gdzie mamusia?

Rozalia uśmiechnęła się do niej, próbując ukryć zdenerwowanie.

– Zaraz wróci.

– A gdzie poszła? Czemu mnie nie wzięła?

– Lili... Zjedz bułeczkę. Zaraz trzeba iść spać.

– Mama pójdzie ze mną?

Rozalia westchnęła.

– Dzisiaj ja z tobą pójdę. Mamusia... Ma coś do załatwienia.

– Nie chcę bez mamy!

– Liliś, obiecałam, że dokończymy książeczkę. Lubisz, jak ktoś ci czyta, prawda?

Dziewczynka zmarszczyła nos, jakby chciała się rozplakać, ale posłusznie kiwnęła głową.

Robiło się coraz ciemniej. Rozalia już nie miała wątpliwości, że coś się stało. Coś musiało się stać, bo przecież Zuzanna nigdy nie wychodziła bez uprzedzenia. Nigdy nie zostawiała Lili. I nigdzie nie chodziła po zapadnięciu zmroku.

Ogrodnik wrócił zdyszany. Rozalia wyprowadziła go do sieni, nie chcąc, żeby Lili słyszała ich rozmowę.

– Policjant powiedział, że jeśli panna Zuzanna do jutra nie wróci, mamy zgłosić zaginięcie.

– A teraz nic nie zrobią? Nie będą jej szukać?

– Nie.

Rozalia poczuła, że z nerwów traci oddech.

– Dobrze... Niech pan wraca do domu. Zobaczymy się jutro.

– Jeśli jeszcze coś pani potrzeba...

– Nie. Dam sobie radę. Dziękuję.

Ze zdenerwowania chciało jej się płakać, ale musiała się opanować ze względu na Lili. Nie chciała, żeby dziewczynka odkryła, że coś jest nie tak. I tak już coś podejrzewała.

Kiedy ogrodnik wyszedł, Rozalia zaprowadziła małą do pokoju, który Lili zajmowała wraz z matką.

– Gdzie mamusia? – Lili nie dawała za wygraną.

Rozalia ułożyła ją w łóżku.

– Mamusi nie ma, bo załatwia pewną bardzo ważną sprawę. Ale nie martw się, bo mamusia myśli o tobie. Spróbuj zasnąć, a ja posiedzę z tobą.

– Chciałabym, żeby był wujek Gustaw – mruknęła cicho Lili, przebierając się w koszulę do spania.

„Też bym tego chciała” – pomyślała Rozalia, ale nie wypowiedziała tych słów na głos. Pieszczotliwie pogładziła małą główkę i wzięła do ręki książeczkę *Król Maciuś Pierwszy* Janusza Korczaka. Lili słuchała, dopóki nie opadły jej powieki. Wtedy Rozalia odłożyła bezszelestnie książkę i wyszła z pokoju.

Dom był cichy i spokojny. Z pootwieranych zewsząd okien dochodziło nocne cykanie świerszczy i pohukiwanie puszczyka gdzieś w głębi lasu. Zazwyczaj ta muzyka była ukojeniem dla uszu Rozalii. Ale nie dzisiaj. Siłą woli powstrzymywała się, żeby całkiem nie wpaść w panikę. Wmawiała sobie, że na pewno nic się nie stało, że Zuzanna pojechała gdzieś do rodziny, o której Rozalia nie miała pojęcia, i jutro wróci.

Ale sama w te zapewnienia nie wierzyła.

Położyła się do łóżka, nie mogła jednak zasnąć. Cały czas nasłuchiwała, czy ktoś – miała nadzieję, że będzie to Zuzanna – nie otwiera drzwi do sieni. Nic się jednak nie działo. Słyszała jedynie ujmujący, senny koncert świerszczy, bo nawet puszczyk zamilkł.

W końcu wstała z łóżka i w samej koszuli nocnej poszła do pracowni.

Wiedziała, że tym razem nie zdoła pracować, bo mdłości wywołane nerwami odbierały jej chęć do tworzenia czegokolwiek. Chciała jednak poczytać dziennik Vincenta Lamara. Cokolwiek by się nie działo, w tym zawsze odnajdywała ukojenie. Spisane słowa starego perfumiarza wpływały na nią tak, jakby przyjaciel mówił do niej bezpośrednio. Jego dziennik oprócz receptur i wskazówek, jak tworzyć zapachy, maści i balsamy, był również okraszony cytatami z Biblii i innych ksiąg, przemyśleniami i sentencjami. Te słowa zawsze dodawały jej pogody ducha, siły i rozwagi. Wiedziała, że teraz pan Lamar też miałby dla niej słowo pocieszenia. Nie zostawiłby jej w kłopotcie. Powiedziałby coś kojąco mądrego albo kto wie, może nakrzyczałby na nią, że martwi się bez sensu. A ona by go posłuchała.

Kątem oka spojrzała na swój portret oparty o rzeźbiony kredens i zirytowała się jeszcze bardziej. Przecież nie była taka jak na tym portrecie – piękna, zmysłowa, zrelaksowana. Buzowała w niej wściekłość, mieszkał strach i... przeraźliwa samotność.

Dopiero po chwili zorientowała się, że na kredensie leży biała koperta. Dopadła do niej z bijącym sercem i od razu rozpoznała pismo Zuzanny. List był zaadresowany do niej.

Boże! Jak mogła wcześniej nie zauważyć tej koperty? Jak mogła być tak ślepa? Przecież całe popołudnie spędziła w pracowni!

Drżącymi palcami rozerwała kopertę i rozłożyła papeterię.

*Droga Rozalio,*

*na wstępie chcę Ci wyznać, że stałaś się moją dobrą duszą. Nikt nigdy nie był dla mnie tak dobry. Nawet Ignacy. Zaopiekowałaś się mną i moją córką. Dałaś nam nowe życie. Uratowałaś nas przed śmiercią. Nigdy nie zdołam Ci się odwdziaczyć i myśl ta będzie mnie dręczyć do końca życia. Ale wiem również, że Lili nie jest Ci obojętna. Powinnaś nią gardzić, bo to córka Twojego męża, a Ty ją pokochałaś. Wiem to, choć ktoś może pomyśleć, że przemawia przeze mnie próżność matki.*

*Wiem również, że nie mam prawa Cię o to prosić, ale błagam, zaopiekuj się moim dzieckiem. Jeśli tylko zdołasz.*

*Twoja i Pana doktora Lubowidzkiego dobroć otworzyły mi oczy i wiem, że nie mogę Was dłużej oszukiwać. Nie mam prawa.*

*Nie mogę również oszukiwać mojej córki.*

*To ja zabiłam Ignacego.*

*Proszę Ciebie i Pana doktora o wybaczenie.*

*Reszta w rękach Boga i sądu, który mnie czeka.*

*Oddana Ci całym sercem  
Zuzanna Grabińska*

Rozalia poczuła nagłą ciemność przed oczami. W silnej emocji osunęła się na podłogę, ale zdołała podtrzymać świadomość. Do jej oczu napłynęły gęste łzy, odbierając ostrość widzenia. Zgięta wpół nie zapanowała nad szlochem, który wyrwał się z jej piersi, a list wypadł z ręki i miękko wylądował na kamiennej posadzce.

Nie wiedziała, jak długo leżała skulona na podłodze, ale obudził ją słaby promień poranka, wdzierający się przez otwarte okno do wnętrza pracowni. Uniosła spuchnięte od płaczu powieki i spojrzała na list, leżący tuż obok. Chwyciła go drżącymi palcami i przeczytała po raz kolejny. W końcu wstała gwałtownie i uświadomiła sobie, że musi go zniszczyć. Podrzeć, spalić, cokolwiek. Był przecież dowodem winy. Zuzanna przyznała się w nim do morderstwa.

\* \* \*

– Wszystko to jest grubymi nićmi szyte – wycedził Maksymilian Żółkowski, siedząc z Gustawem przy kolacji. Zaprosił Gustawa do zacisznej restauracji, zapewniając, że ma dla niego sporo informacji. Na razie jednak wygłaszał wyłącznie bezsensowne opinie na temat tego, jak bardzo nieprawdopodobne jest to, że Ignacego zabiła jego kochanka.

– Wierzysz jej? Że to ona?

– Przyznała się.

– Przyznała! – powtórzył Maksymilian drwiąco. – Przyznać się można do wszystkiego. Ale ja pytam, czy jej wierzysz?

Gustaw miał wrażenie, że ostatnie dni toczyły się jakby w zwolnionym tempie. Informacja o aresztowaniu Zuzanny Grabińskiej była dla niego prawdziwym wstrząsem. Znał ją przecież, rozmawiał z nią, przebywał w jej towarzystwie. I pokochał jej córkę. Widział w Zuzannie kobietę samotną, zagubioną, bez własnej bezpiecznej drogi, którą mogłaby podążać. Ale na pewno nie morderczynię.

Znał również dramatyczną tajemnicę, z której nie zwierzyła się nikomu, a on odkrył ją tylko dlatego, że był lekarzem. Ta tajemnica ciążyła mu bardzo, a kiedy myślał o tym, niemal wypalała mu wnętrzności. I dlatego wierzył, że Zuzanna, przyznając się do zabójstwa, mówiła prawdę.

– Sąd orzeknie jej winę – odparł dyplomatycznie, nabijając na widelec kawałek rostbefu. Miał problem z jedzeniem, bo wszystko stawało mu w gardle, ale starał się przełknąć choć trochę. Skończyło się jednak na tym, że mały kęs mięsa popił połową lampki wina.

– W partii wrze! – rzucił z irytacją Żółkowski. – Proces Senyka miał nam pomóc w poparciu, a okazało się, że obrońca tego cholernego Ukraińca wyciągnął z rękawa jakieś gwałty i pobicia. I że niby Ignac dawał mu pieniądze na organizowanie bojówek.

– Wdepnęliście we własne gówno i dziwicie się, że śmierdzi – mruknął Gustaw z irytacją. – Nie zaprzeczysz chyba, że Ignacy organizował bojówki.

Żółkowski aż się nadął z oburzenia.

– A ty co? Przeciwno bratu występujesz? Wiesz, czemu to robił. Dla dobra narodu! Dla Polski! Szumowiny trzeba usuwać z życia społecznego, bo jak się rozplenią, to będzie smród, kiła i mogiła!

– Pieprzenie...



– Żadne pieprzenie! To święta prawda! Wiesz, że nie jest dobrze. Endecja traci poparcie w społeczeństwie, a to prosta droga do przegranych wyborów. Musimy coś zrobić, inaczej Piłsudski i inni wywalą nas z sejmu na zbity pysk! Piłsudski już nie siedzi w Sulejówku. Jeździ po Polsce, organizuje wiece i zbiera poparcie wojskowych. Widać marzą mu się w Polsce Włochy Mussoliniego!

– Rzeczywiście, odejść od koryta będzie trudno – zadrwił Gustaw. – Gdybyście wzięli się do roboty zamiast drzeć pyski na mównicy sejmowej, to może społeczeństwo przychylniej by na was patrzyło. Ale trudno przyznać się do opieszałości, defraudacji, kradzieży i kompletnego oderwania od rzeczywistości, jak się ma pełne kieszenie! Wiesz, jak żyją ludzie w przytułkach? Wiesz to, Maks? Kobieta, którą chcecie skazać, była tam kilka miesięcy temu.

Żółkowski skrzywił się z niesmakiem.

– No, no, jaki z ciebie idealista! Zrób coś pożytecznego, a będziesz mógł prawić morały.

– Rozumiem, że ten cyrk z Senykiem miał być waszą deską ratunku?

Maksymilian niedbale wzruszył ramionami.

– Wszyscy wierzyliśmy, że to on zabił Ignacego. Ty pewnie też. Przecież wszystko na to wskazywało. Policja udowodniła, że tamtego wieczoru był pod restauracją. Co tam robił? Stał i dłubał w nosie?

Gustaw nie skomentował. Swoje przekonania wolał zachować dla siebie. Raczej martwił się tym, jak zniesie to Rozalia. Jak zdoła udźwignąć fakt, że kobieta, którą przyjęła pod swój dach i z którą bezsprzecznie zdążyła się zaprzyjaźnić, gnije w areszcie, oczekując na pewny i niechybny wyrok śmierci. Sam nie mógł w to uwierzyć! A na myśl o Lili ścinał go strach. Dziecko przeżywało to najbardziej. Dziewczynka od tygodnia nie widziała matki. Dopytywała o nią, płakała, nie mogła zasnąć i budziła się z płaczem w środku nocy, a Rozalia robiła, co mogła, żeby małą

uspokajać. Gustaw próbował jej w tym pomagać, ale z marnym skutkiem, bo dziecko wypytywało wyłącznie o matkę.

– Mówiłeś, że masz dla mnie jakieś informacje – rzekł ponuro.

Żółkowski upił wino.

– Rozmawiałem z ministrem sprawiedliwości. Nie ma wątpliwości, że ta dziwka dostanie wyrok śmierci. Pytanie tylko, ile zdoła powiedzieć przed śmiercią.

Gustaw poczuł przebiegający mu przez plecy nieprzyjemny dreszcz.

– Nie rozumiem...

– Trzeba tę kurwę przekonać, żeby milczała. Niech mówi, że go zabiła, ale... Bez tej całej otoczki. Nikt nie musi wiedzieć, że Ignacy ją bił i tak dalej, cokolwiek tam z nią robił. Po co powtarzać historie tych dziewczuch, co tak płakały w sądzie? Niech to będzie chorobliwa miłość, zazdrość, melodramat. Ignacy miał przecież żonę, która nie musi wiedzieć, co jej mąż robił z kochanką...

Gustaw poruszył szczęką.

– Chcecie zmusić Grabińską, żeby kłamała?

– Nie musi kłamać. Wystarczy, że nie powie całej prawdy. Jej to i tak nie pomoże, a nam...

– Jesteś skurwysynem – syknął Gustaw przez zaciśnięte zęby.

– To tylko gra, człowieku. I wygrać w nią może wyłącznie jedna strona. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie zaczęli współczuć tej dziwce, bo to zmniejszy nasze poparcie. Ignacy musi być czysty jak łąza. Rozumiesz? Musi!

Jedyne, co Gustaw rozumiał, to to, że Zuzannę Grabińską czekał trudny i bolesny proces, który miał się skończyć dla niej wyrokiem skazującym. Być może sąd weźmie za okoliczność łagodzącą to, że przyznała się do zabójstwa i jest matką małej dziewczynki.

Gustaw jednak za bardzo w to nie wierzył.

\* \* \*

Ile warte jest ludzkie życie? Tyle, co ta bezbarwna kropla deszczu, spływająca po maleńkim okienku więziennej celi?

A ile warte są ludzkie uczucia? Te wszystkie rozedrgane porwy serca, tęsknoty, burze zmysłów? Czym były? Histerią jednego, nieważnego istnienia? Czy fundamentem, na którym budowano świat?

A współczucie? Czym naprawdę było? Wyrzutem sumienia?

Deszcz stukał miarowo w szybkę, a wiatr szeleścił za grubymi murami więzienia. Czas zdawał się stać w miejscu – posępny, szary i zimny.

Zuzanna wpatrywała się w malutkie okienko niewidzącym wzrokiem. Zdążyła się przyzwyczaić do tego monotonnego widoku, bo przestała liczyć, ile dni upłynęło, odkąd się tu znalazła. Słyszała deszcz i wiatr, a to znaczyło, że wciąż żyła. Nadal była przytomna i świadoma, i próbowała wyprzeć z siebie gorycz i ból, które zatrwały jej umysł i ciało. Usiłowała też zapomnieć, dlaczego tu jest, choć przecież przyszła tu na własne życzenie.

Pustka, która ją wypełniała, była jak bezdenna, czarna dziura. Bez końca. Bez nadziei. Bez światła. Rozrastała się w niej od dnia, kiedy odebrała życie Ignacemu. Zrobiła to, bo chciała się uwolnić od rozpacz i strachu. Przecież gdyby tego nie zrobiła, miałyby na rękach krew już nie jednego człowieka... I znowu musiałyby przechodzić przez piekło bólu, hańby i wstydu. Nie miała wyboru...

Zgrzyt otwieranej zasuwki w drzwiach dochodził jakby z innego świata, więc kobieta nawet nie odwróciła głowy, kiedy wejście do celi rozwarło się szeroko. Dopiero kiedy otulił ją delikatny zapach kwiatów, uniosła wzrok.

Przez chwilę patrzyły sobie z Rozalią w oczy, choć w półmroku nie zdołały dostrzec smutku i zwątpienia, które współdzieliły, aż Zuzanna ponownie spojrzała w stronę mokrego od deszczu okna.

Strażniczka przymknęła drzwi celi i stanęła tuż za nimi, a Rozalia zrobiła dwa kroki w stronę więźniarki. Jej elegancka postać wyglądała groteskowo na tle szarej betonowej ściany.

Zuzanna wzdrygnęła się. Ogarnęło ją jakieś zimno, ale oprócz brudnej derki nie miała nic, czym mogłaby się okryć. Poczowała wstyd, że śliczna sukienka, którą miała na sobie, a którą podarowała jej Rozalia, teraz była brudna i pomięta.

– Zuziu... Przyszłam ci powiedzieć, że... – Rozalia przez chwilę szukała właściwych słów. Na jej twarzy malowała się rozpacz, współczucie, troska. To bolało Zuzannę. Bardzo bolało.

Rozalia wykonała niedbały gest na znak, że Zuzanna ma się nie przejmować konwenansami.

– Lili jest bezpieczna. Na pewno się martwisz...

Zuzanna poczuła napływające do oczu łzy. Coś boleśnie ścisnęło ją w gardle – tak mocno, że nie mogła przełknąć śliny.

– Ciągle pyta o ciebie – kontynuowała Rozalia delikatnie. – Mówi, że bardzo cię kocha i tęskni. Czytam jej wieczorami...

Zuzanna zaczęła płakać. Szloch rwał się jej z piersi, a ona sama skuliła się na wąskiej pryczy, chowając twarz w dłoniach. Trwała tak, trzęsąc się od płaczu, aż Rozalia usiadła na skrawku nędznego posłania i pogłaskała Zuzannę po wykrzywionych plecach.

– Dlaczego się przyznałaś? Dlaczego? – Jej głos był cichy, podszyty wyrzutem. Jednocześnie gładziła Zuzannę po plecach, jakby chciała dodać jej siły. Jakby mimo całej tej sytuacji nie czuła do niej wstrętu. – Przecież nikt cię nie podejrzewał.

Zuzanna odsunęła się i spojrzała na nią z grymasem goryczy na twarzy.

– Miałam pozwolić, żeby zabili tego chłopca? Ten Ukrainiec jest niewinny. Przecież nie on zabił.

Przez twarz Rozalii przemknął cień.

– A ty to zrobiłaś?

– Wiesz przecież... Napisałam ci w liście.

– Dlaczego? Jesteś matką! Masz dziecko... Mogłaś ją wychować.  
– Jakaś ty głupia! Nie mogłam! Nie pozwalał mi na to... – Zuzanna zaśmiała się z bolesną goryczą. Jej twarz wykrzywiona była jak w makabrycznej grotesce. – Bał się rozgłosu. Wstydził się. Lili była dla niego obciążeniem, wyrzutem sumienia. Nie chciał jej. Jak zaszłam w kolejną ciążę... – Zuzanna urwała i skuliła się jeszcze bardziej. Znowu poczuła ten dojmujący, rozrywający od środka ból. Ten ból, który zabijał ją powoli, każdego dnia, jak trucizna, która wolno miesza się z krwią. – Nakazał mi zabić dziecko – wycharczała.

Rozalia cofnęła rękę.

– Co ty mówisz?

– Ignacy nie chciał drugiego dziecka. Jak tylko się zorientował, że jestem w ciąży, przyprowadził kobietę... Zapłacił jej, żeby...

– O Boże!

Zuzanna dygotała na całym ciele.

– Zabili moje dziecko... Wyrwali je ze mnie... To tak bolało...

– Zuza...

Szloch więźniarki stał się spazmatyczny, dławiący, a z jej krtani co rusz wyrывało się dzikie wycie. Pamiętała tamten dzień. Chciała wtedy umrzeć wraz z dzieckiem, byle tylko nie czuć tej obłędnej rozpacz. Umarłaby... Gdyby nie Lili.

Do celi wpadła, zwabiona krzykiem, zdezorientowana strażniczka, a Rozalia wstrząśnięta zerwała się na równe nogi.

– Proszę stąd wyjść! – rozkazała strażniczka ostrym tonem.

– Chciałabym jeszcze chwilę...

– Wynocha! Natychmiast! – ryknęła tamta, a jej ostry głos odbił się od ścian celi.

Zuzanna dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że znowu jest sama. Tylko bębniący o zakratowaną szybę deszcz brzmiał w jej uszach.



## ROZDZIAŁ 15

Rozalia wróciła do domu w ponurym nastroju. Przez całą drogę z Warszawy do Konstancina ze strachem myślała o tym, co się wkrótce wydarzy. Jak Zuzanna zdoła przetrwać w areszcie, z dala od Lili, ze świadomością, że czeka ją piekło procesu i wyroku? Wyroku najgorszego z możliwych. Pocieszeniem zdawało się być jedynie to, że do tej pory w młodej Polsce na żadnej kobiecie nie wykonano kary śmierci. Rozalia wierzyła, że tym razem będzie tak samo, a wyznanie Zuzanny przed sądem, że została zmuszona do dokonania aborcji, z pewnością okaże się okolicznością łagodzącą.

Te smutne rozmyślenia przywiodły ją pod sam pałacyk „Magnolia”.

Rozalia podziękowała szoferowi, który ostatnio ciągle woził ją do Warszawy i z powrotem, i wynagrodziła go sutym napiwkiem, jakby jego łagodny uśmiech wdzięczności miał osłodzić gorycz minionego dnia.

Ciotkę Klarę, która przyjechała z samego rana do Konstancina, żeby zaopiekować się Lili, Rozalia zastała w salonie. Kobieta siedziała w towarzystwie Antoniego Brolla i oboje w wyraźnie dobrym nastroju raczyli się vermouthem z osobistego barku Rozalii.

– Gdzie Lili? – zapytała, nie kryjąc irytacji. Nie była zadowolona zwłaszcza z widoku Brolla.

– Śpi maleństwo – odparła ciotka łagodnym tonem. – Była marudna, ale w końcu zasnęła. Pan Broll przyniósł jej konika na biegunach, więc miała trochę radości, ale przed wieczorem zaczęła wypytywać o matkę.

Rozalia z westchnieniem usiadła na sofie.

Antoni bez pytania nalał jej lampkę białego alkoholu i podał w usługowym geście. Rozalia przyjęła trunek i cicho podziękowała.

– Byłem pewien, że Lili jest pani córką – rzekł mężczyzna, ponownie siadając w fotelu. – Dopiero panna Klara oświeciła mnie, że to córka służącej. W dodatku tej, która obecnie siedzi w areszcie.

Rozalia uniosła brew.

– Czy to dla pana problem? Jeśli konik na biegunach jest według pana zbyt drogą zabawką dla córki służącej, to proszę go zabrać. Małej niczego tu nie brakuje.

– Ależ skąd! Moja córka już się nim nie bawi. Jest za duża. I tak oddałbym go do jakiegoś sierocińca.

– Jakie to wspaniałomyślne z pana strony – zadrwiła Rozalia, mocząc usta w winie. Broll ją irytował. Od pewnego czasu starał się być czarujący, ale przez to wydawał się jej nachalny. Wprawdzie nie wracał już do tematu współpracy, ale bez trudu domyślała się, że próbuje zdobyć jej przychylność, żeby wkrótce ponowić propozycję.

– Panna Klara mówiła, że była pani w areszcie. Jeśli potrzebuje pani jakiejś rady czy kontaktu, służę pomocą.

– O jakim kontakcie pan mówi?

Uśmiechnął się spod równo przyciętego wąsa.

– Znam najlepszych prawników w kraju. Z ich pomocą może pani szybko uporać się z tą sprawą. Zapewne nie chce pani zbytniego rozgłosu i zależy pani na szybkim wyroku. Wiem, że przeżywa pani dramat. W końcu ta kobieta zabiła pani męża, a pani, niczego nieświadoma, przygarnęła ją pod swój dach.



– Nic pan nie wie – rzuciła Rozalia oschle. – Ale dziękuję za chęć pomocy. Czy pańscy prawnicy są w stanie wyciągnąć Zuzannę Grabińską z więzienia?

Antoni uniósł brwi.

– Wyciągnąć z więzienia? Myślałem, że zależy pani na szybkim wyroku skazującym.

Rozalia odstawiła lamkę wina na stolik i dumnie wstała z sofy.

– Panie Broll, dziękuję za odwiedziny i dotrzymanie towarzystwa mojej cioci, ale myślę, że to już czas na pożegnanie. Jestem zmęczona i chciałabym się położyć.

– Oczywiście. – Mężczyzna również wstał. Jeśli poczuł się dotknięty jej odprawą, to nie dał tego po sobie poznać. – Panno Klaro, obiecałem, że mój szofer odwiezie panią do Warszawy – zwrócił się do ciotki.

– Nie zostaniesz na noc, ciociu? – zdziwiła się Rozalia.

– Nie, duszko. Muszę jechać do domu. Obiecałam jutro spotkać się z Zosią Moraczewską. Pamiętasz? Opowiadałam ci o niej.

Rozalia pamiętała. Zofia Moraczewska była jedną z działaczek walczących o prawa kobiet i nawet dostała się do sejmu jako jedyna posłanka, z ramienia klubu Związku Polskich Posłów Socjalistycznych. Ciotka mówiła o niej, że to odważna, mądra kobieta, która umie głośno mówić o równouprawnieniu kobiet i mężczyzn, nawet jeśli wyśmiewano ją na mównicy sejmowej.

– Pozdrów panią Zofię – odparła, kiedy ciotka wraz z Antonim Brollem szykowali się do wyjścia.

– Oczywiście. Napomknę jej o sprawie Zuzanny. I jeszcze jedno: poproś doktora Lubowidzkiego, żeby zbadał Lili. Była dziś niepokojąco blada. Zresztą ty też nie wyglądasz najlepiej.

– Po prostu jestem zmęczona.

Na krótką chwilę zostały same, kiedy Broll wyszedł poprosić swojego szofera, żeby przyjechał po Klarę.

– Jak ona się czuje? – zapytała ciotka, już nie kryjąc zaniepokojenia.

– Źle. Jest rozbita. Samotna. – Dłonie Rozalii zadrżały. – Nie mogę uwierzyć, że to ona. Że to zrobiła...

– Nie jestem w stanie pojąć, co musisz teraz czuć. Wiem, że od jakiegoś czasu ta kobieta była ci bliska. A Ignacy... Mimo wszystko był twoim mężem. Trudno jest stanąć przed takim dylematem i odpowiedzieć sobie, czyja racja jest słuszna.

Rozalia odwróciła się od ciotki. Zawstydziły ją łzy, które napłynęły jej do oczu, i nie chciała, żeby Klara je widziała. Opanowanie było jej maską, która zawsze zdołała ukryć to, co miało być niewidoczne dla ludzkich spojrzeń. To pomagało jej przetrwać i teraz też zamierzała się za tym chronić.

Rozłożywszy parasolkę, ciotka wyszła na deszcz, a chwilę później wsiadła do czekającego na nią na podjeździe luksusowego auta Antoniego Brolla.

Zmrok zapadł szybciej niż zwykle. Niebo zasnuły ciemne, burzowe chmury, a chwilę później błyskawica rozdarła je na połowy. Szyby w oknach zadzwoniły od potężnego grzmotu, który jak fala rozniósł się po okolicy.

Rozalia pobiegła do Lili, by sprawdzić, czy dziewczynka śpi.

Dziecko leżało spokojnie, z rączkami na kołderce i włosami przyklejonymi do rozgrzanego policzka. Kobieta odsunęła je delikatnie i wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Uświadomiła sobie, że nie powinna tego robić. To był przywilej Zuzanny. Wyłącznie jej. To ona była matką i miała święte prawo chronić i pieścić swoją córkę. Tylko ona.

Żal ścisnął Rozalię tak głęboko, że załkała. Próbowwała jednak powstrzymać wybuch urywanego płaczu, nie chciała obudzić małej. W końcu wyszła z pokoju i oparła się ciężkimi plecami o drzwi. Trwała tak w bezruchu, dopóki nie otrzeźwił jej kolejny, potężny grzmot. Zadrżała i szybkim krokiem ruszyła do łazienki.

Kąpiel w pachnidłach tym razem nie ukoїła nerwów tak, jak powinna. Rozalia zdecydowała więc, że pójdzie do pracowni. Praca zawsze jej pomagała. I tak nie mogłaby zasnąć przy

akompaniamencie silnych grzmotów i bębniącego o szyby deszczu. Szalejąca burza budziła w niej niepokój. Nie, żeby się bała, wręcz przeciwnie – lubiła patrzeć na ciężkie, granatowe od chmur niebo, przecinane poszarpaną wstęgą błyskawicy. Ale nie dziś. Była rozedrgana, niespokojna i wciąż miała przed oczami uwięzioną Zuzannę, jej groteskowo wykrzywioną twarz. Tak okrutnie nieszczęśliwą. Wiedziała, że tym razem nie zdoła jej pomóc. Nie miała takiej mocy. Mogła jedynie trwać przy niej myślami i obiecać, że zaopiekuje się Lili. I zrobi to najlepiej, jak potrafi. Bo tak nakazywała nie tylko ludzka przyzwoitość, ale i ta dziwna przyjaźń, która tak nieopatrznie je połączyła. Dwie kobiety – zupełnie różne, z zupełnie innych światów, złęczone ślepym losem z tym samym mężczyzną.

Nałożyła jedwabną koszulę nocną i koronkową podomkę i zeszła na dół, do pracowni.

Ciepłe światło świec, zapach wosku i pachnących olejów nieco ją uspokoiły. Nie usiadła jak zwykle przy stole, który był głównym miejscem jej pracy, ale ułożyła się wygodnie na wyścielonej poduszkami sofie i otworzyła notatnik Vincenta Lamara. Przebiegała wzrokiem po jego nierównym, zamaszystym piśmie, doszukując się w zapisanych słowach choć odrobiny ukojenia.

Zdziwiła się, słysząc ciche pukanie do drzwi. Stała na równe nogi, zastanawiając się, kto mógł przyjść o tak późnej porze? I w dodatku w środku szalejącej burzy? Z niesmakiem pomyślała o Antonim Brollu, ale ku jej uldze i zdumieniu w drzwiach stał Gustaw. Mokry od deszczu płaszcz i kapelusz trzymał w dłoni. W mroku nocy jego sylwetka była niewyraźna, jakby rozmyta.

– To ty? – Jej serce zatrzepotało w piersi.

– Zobaczyłem światło w pracowni i wszedłem tylnym wejściem. Nie zamknęłaś drzwi.

Rozalia w roztargnieniu potarła dłonią czoło.

– No tak... Pewnie ciocia Klara zapomniała to zrobić po wyjściu ogrodnika.

- To niezbyt bezpieczne.
- Wiem... Co tu robisz? Jest późno...

Uśmiechnął się lekko. Pachniał wilgocią i wiatrem, a zapach ten wniknął głęboko w jej nozdrza. Patrzyła na niego zdumiona, nieco skrępowana tą nagłą wizytą o tak nieprzystojnej porze.

– Nigdy wcześniej tu nie byłem – zauważył, wskazując na pracownię.

Wpuściła go do środka, wykonując niedbały ruch ręką.

– Nikt tu nie był oprócz... Zuzy i Lili. To moje królestwo – wyjaśniła zgodnie z prawdą.

Spojrzała na niego.

Jego twarz w blasku świec wydawała się miękka i delikatna, w kolorze płynnego miodu. A ciemne oczy świeciły głębokim, aksamitnym blaskiem. Wilgotne włosy kosmykami skręcały się na karku.

Rozalia z dziwnym drzeniem pomyślała, że cieszy się, że przyjechał.

Obserwowała, jak wolno krąży po pokoju, rozgląda się z zaciekawieniem, opuszkami palców dotyka malutkich słoiczków z pachnidłami. Miała wrażenie, że w ten sposób wnika w jej świat. Jakby dotykał jej samej.

– To wszystko twoje? – zapytał po chwili.

– Tak. Vincent Lamar nauczył mnie tworzyć perfumy, maści i kadzidła. Miał ogromną słabość do zapachów.

Gustaw przystanął na środku pracowni i zatrzymał wzrok na migoczącym w blasku świec portrecie pędzla Łempickiej. Przez chwilę patrzył na niego w zamyśleniu, aż w końcu odwrócił się w stronę Rozalii. W jego oczach było coś, co znów wywołało szybsze bicie jej serca. Nagle uświadomiła sobie, że ma na sobie jedynie cienką koszulę nocną i koronkową podomkę, a pod nimi nabrzmiałe do granic wytrzymałości ciało, pragnące dotyku. Jak na portrecie. Była w tej chwili dokładnie taka, jaką widziała ją wtedy Tamara – rozdygotana, zmysłowa. Pragnąca mężczyzny.

– Tęsknisz za tym perfumiarzem? – Jego głos wyływał jakby z daleka. Rozalia słyszała go jedynie po części, skupiona wyłącznie na jego oczach, sylwetce i tym potężnym napięciu, które nieznacznie wibrowało między nimi.

– Bardzo – odparła chrapliwym głosem. – Był moim nauczycielem.

– Rozalio... – Gustaw wypowiedział jej imię prawie szeptem, ale wyczuła zawarte w nim ogromne pożądanie. Zobaczyła to również w jego oczach. W całej jego postaci.

Nie mogła się ruszyć. Czuła się jak sparaliżowana i równocześnie boleśnie spragniona. Nie wiedziała, co zrobić. Jak się zachować? Jak pokazać temu mężczyźnie, że pragnie go do szaleństwa? Teraz. W tej chwili.

– Dlaczego przyjechałeś? – To pytanie samo wyrwało się z jej gardła.

– Nie mogłem zasnąć. Pomyślałem... Że możesz mnie potrzebować.

– Potrzebuję cię... Teraz.

Niedbale odrzucił mokry płaszcz i kapelusz, które wciąż trzymał w dłoni. Zrobił krok w jej stronę, a Rozalia poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Nie potrafiła wykonać żadnego gestu. Nie wiedziała jak.

– Ta burza... Martwiłam się i...

– Czy myślisz, że mógłbym zrobić coś... Żebyś przestała się martwić?

– Myślę, że tak... Choć na chwilę...

Dopiero kiedy objął ją gwałtownie i przyciągnął do siebie, zadygotała z pragnienia. Chciała więcej. Dużo więcej.

– Pachniesz... różami. – Ostatnie słowo zatopił w jej ustach. Pocałował ją gwałtownie, żarliwie, a ona zachłysnęła się jego pasją, dotykając dłońmi jego twarzy, włosów.

– Czy to wystarczy? – zapytał ochryplym głosem, zaglądając jej w oczy.

– Chyba nie...

Pragnęła go. Chciała go pochłonać. Każdą cząstką swojego ciała odczuwała pożądanie tak potężne, że kiedy zsunął z jej ramion podomkę i zanurzył dłonie w delikatną materię koszuli nocnej, jęknęła z pragnienia. Ocierała się o niego, drżąc gwałtownie. Objęła go za szyję i przycisnęła usta do jego warg, szukając ukojenia w gwałtownym dotyku.

– Weź ode mnie to, czego on ci nie dał... – wyszeptał Gustaw gorączkowo, oddychając pospiesznie. – Weź to, Rozalio...

Zadrżała. Jak to możliwe, że chciała tego bardziej niż czegokolwiek?

Wsunął dłoń między jej uda tam, gdzie nigdy wcześniej nie miała prawa odczuwać rozkoszy. Pozwoliła mu.

– Pragnąłem cię od początku... Jak tylko cię zobaczyłem. – Wniknął w nią gwałtownie, odbierając jej oddech. – Zawsze byłaś taka piękna... – Jego palce tańczyły w jej wnętrzu. – Cała słodka... – Ustami pieścił nabrzmiałe piersi.

Jęknęła i opadła na sofę. Po raz pierwszy nie czuła bólu ani strachu. Czuła jedynie pragnienie. I rozkosz – tak dziwną, nierzeczywistą. I jego zapach mieszający się z jej zapachem. Słodycz z pożądaniem.

A chybotliwe światło świec ślizgało się po ich nagich ciałach.

Później, kiedy trzymał ją w ramionach drżącą, kiedy wciąż czuła na ustach smak jego skóry, próbowała uspokoić szalejące serce. Emocje spłynęły na nią z taką siłą, że nie umiała opanować łez. Starła się to ukryć, wtulając się w jego ramię, ale Gustaw ujął jej twarz w dłonie i pocałował z żarliwością, która zupełnie ją pokonała.

Więc tak to wygląda? Tak to może wyglądać? Czy to możliwe, że kobieta i mężczyzna mogą wzajemnie czuć taką namiętność i czułość? Bez bólu, strachu i upokorzenia? Bez przymusu?

To było tak inne od brutalnej siły, którą znała. Dziwne i nierzeczywiste. Głęboko cudowne. Jakby nagle spadł na nią

upragniony deszcz niezwykłości. Jakby ktoś w końcu pragnął dać jej szczęście.

Tylko czy była na to gotowa? Czy umiała to przyjąć? Czy będzie w stanie to odwzajemnić? Czy ona w ogóle potrafi kochać?

\* \* \*

Powietrze oczyściło się po nocnej burzy i nad Konstancinem zawisła wilgotna aura świeżego powietrza. Czuć było nadchodzącą jesień – zwiastował ją delikatny chłód, zapach przekwitłych traw, liści i skoszonych pól.

Gustaw obudził się z twarzą zatopioną w zagłębieniu szyi Rozalii. Była rozgrzana, miękka, pachniała słodko. To był ten zapach, który zapamiętał. Ten, który uwodził go od lat i budził w nim to przemożne pożądanie. Ile razy myślał o niej w ten sposób i równocześnie zabijał w sobie to pragnienie! Ile razy wmawiał sobie, że nie jest dla niego nikim szczególnym, choć nie potrafił przestać wyobrażać jej sobie w swoich ramionach.

Przesunął kciukiem po jasnej bliźnie na jej policzku. Po chwili to samo miejsce dotknął ustami. Poddała się tej pieśszczocie.

Nie pamiętał dnia, kiedy zaczął jej pragnąć. To nie było wczoraj ani miesiąc czy rok temu. To było znacznie wcześniej. Znacznie wcześniej. Tak naprawdę pragnął jej od zawsze, ale tłumił w sobie to uczucie przez wzgląd na Ignacego. Rozalia była przecież jego żoną. Nie wolno mu było patrzeć na nią w taki sposób. Nie miał prawa.

Nie miał również prawa sprzeciwić się niczemu, co Ignacy z nią robił, i ta myśl dławiała go teraz gniewem i rozpaczą, bo pozwolił, żeby ta piękna kobieta została brutalnie zbrukana.

– Już nigdy więcej – wyszeptał, pieśszcząc ustami płatek jej ucha. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził.

Obudziła się. Spojrzała na niego spod złocistych rzęs. Nie powiedziała nic, tylko przylgnęła ustami do jego ust. Westchnęła,

kiedy zsunął z niej okrycie.

– Nie wiem, czy... – Na jej policzki wypłynął rumieniec wstydu.

Do Gustawa dotarło, że Rozalia krępuje się swojej nagości, jakby nigdy wcześniej nikt nie oglądał jej ciała. Jakby nikt nie robił tego w taki sposób.

– Jesteś piękna!

Przesunął dłońmi po jej ciele. Odpowiedziała mu drzeniem tak silnym jak kilka godzin wcześniej, kiedy kochali się po raz pierwszy. Później próbował ją uspokoić, bo kiedy żar namiętności przygasł, stała się złęczona, niepewna, jakby nie wierzyła, że jej nie skrzywdzi.

– Nigdy wcześniej nie było tu żadnego mężczyzny – rzekła.

Siedziała w rogu łóżka, okryta kołdrą. Domyślił się, że mówiąc „tu”, ma na myśli swoją sypialnię – to szczególne, intymne miejsce, które stworzyła wyłącznie z myślą o sobie.

Obserwował grę bladego światła na jej potarganych, jasnych włosach. W tej chwili wydała mu się nieokiełznana, nieodgadniona i kusząca, a równocześnie przerażająco bezbronna.

– Nie wiedziałam, że... – wyraźnie szukała słów. – Tak może być. Ignacy nigdy...

– Ciii...

Znowu zamknął jej usta pocałunkiem. Nie chciał jej wyznać ani rozdrapywania ran. Nie chciał nic wiedzieć. Chciał mieć ją blisko.

– Co zrobimy? – spytała ściszym głosem.

– Teraz czy w ogóle?

– Wiesz przecież.

Uśmiechnął się i uświadomił sobie, że dawno tego nie robił. Jakby całkiem zapomniał, czym jest uśmiech.

– Będę cię kochał tak często, jak mi na to pozwolisz.

Spuściła głowę. Nie odwzajemniła uśmiechu, choć miała nadzieję, że to zrobi. Oczekiwał tego. Ale na jej twarzy zagościł jedynie smutek.



– Byłam wczoraj w areszcie – rzekła w końcu, zaglądając mu w oczy. – U Zuzanny.

Twarz mu stężała.

– Rozmawiałas z nią?

Rozalia przytaknęła.

Próbował wyczytać coś z jej oczu, ale były przygaszone, okryte ponurym cieniem.

– Powiedziała mi wszystko. Dlaczego go zabiła... Wiedziałeś o tym?

Westchnął.

– Zuzanna jest bardzo wrażliwa. Wiem, że...

– Ignacy zmusił ją do aborcji. Powiedziała ci?

Kiwnął głową.

– Domyśliłem się, jak tylko ją zbadałem. Była tam... Okaleczona. Powiedziała, że wyrwano jej dziecko gwałtem. Że nie chciała tego. W dodatku ktoś, kto jej to zrobił, bardzo ją skrzywdził... Z pewnością nie będzie miała więcej dzieci.

Rozalia, nie panując na emocjami, załkała spazmatycznie i skuliła się w kącie łóża, jakby ból Zuzanny stał się jej osobistym bólem. Płakała nad nią. Nad jej hańbą i wstydem. Nad tym brutalnym sponiewieraniem jej ciała i godności.

Gustaw przyciągnął Rozalię do siebie i mocno przytulił. Tylko tyle mógł zrobić.

– Co był z niego za człowiek? – pytała, chowając twarz w jego piersi. – Ten drań! Ten sukinsyn, który tak nienawidził kobiet!

– Przykro mi, że nigdy nie próbowałem temu zapobiec – odparł, głaszcząc ją po włosach. – Ale zrobię wszystko, żeby ci to zadośćuczynić, Rozalio. Wszystko, co w mojej mocy. Tobie i Zuzannie. Obiecuję.

– Zuzannie już nic nie pomoże – wyszeptała drżącym głosem.

\* \* \*

Tuż przed południem na wybrukowany plac przed pałacykiem „Magnolia” zajechał nieznany samochód. Rozalia zobaczyła go z okna swojej pracowni. Zamknęła się w niej na cały ranek, by pracować, próbując w ten sposób zachować choć resztki zdrowego rozsądku i nie oszaleć z powodu ostatnich wydarzeń. Tymczasem Gustaw od rana zajmował się Lili.

Widok niespodziewanego przybysza ją zaniepokoił; poczuła szybsze, niekontrolowane bicie serca. Odłożyła próbówki z esencjami zapachowymi i wytarła dłonie w fartuch, zdjęła go i powiesiła na wieszaku. Nie mogła przyjmować gości ubrana jak robotnica, nawet jeśli byli to nieproszeni goście.

Chwilę później otworzyła drzwi, wpuszczając do sieni jaskrawy blask słońca, pod którego dotykiem motyle na ścianie rozpoczęły swój olśniewający taniec barw.

Z samochodu wysiadła kobieta w średnim wieku, dystyngowana, o szorstkiej powierzchowności, ubrana skromnie, w prostą, brązową sukienkę. W dłoni trzymała nieco sfatygowaną, podręczną torbę. Jedyłą ozdobą jej stroju był srebrny łańcuszek z krzyżykiem, który pysznił się na jej płaskiej piersi.

Osobą towarzyszącą nieznajomej był młody, szeregowy policjant w mundurze.

Rozalia zadrżała.

– Czy pani Rozalia Lubowidzka? – zapytała kobieta oficjalnym tonem, zatrzymując się w połowie schodów.

Policjant został przy samochodzie.

– W czym mogę pomóc? – Rozalia nerwowo przełknęła ślinę.

Twarz kobiety była jak maska, nie zdradzała żadnych emocji.

– Możemy wejść?

– Najpierw chciałabym wiedzieć, z kim mam przyjemność.

Kobieta zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Nazywam się Janina Grochowska. Kieruję Domem Matki i Dziecka w Śródmieściu. Przyjechałam po niejaką Liliannę Grabińską. Jest ze mną aspirant Józef Zelnik.

Rozalia poczuła, że kolana się pod nią uginają. Odruchowo chwyciła się futryny.

– Czy w pani domu przebywa Lilianna Grabińska, małaletnia córka Zuzanny Grabińskiej oskarżonej o zabójstwo Ignacego Lubowidzkiego? – zapytała kobieta.

– Dziecko jest pod dobrą opieką – odparła Rozalia, próbując opanować zdenerwowanie.

– Zostaliśmy zobowiązani przez władze państwowe do zabrania dziecka do sierocińca. Oto papiery. – Grochowska szybkim ruchem otworzyła torbę i wyjęła z niej teczkę z dokumentami. – Lilianna ma trafić do naszej placówki.

– Nie! – To słowo wyrwało się z gardła Rozalii w nagłej panice. – Lili zostanie tutaj.

– Czy ma pani prawo do opieki? – Wzrok kobiety był zimny i stanowczy. Najwyraźniej takie zachowanie było dla niej naturalne. Przez lata nauczyła się panować nad emocjami i pozostały jej tylko oschłość i obojętność.

Rozalia czuła, że powoli traci grunt pod nogami. Siłą woli powstrzymywała się, żeby nie krzyknąć obelżywie na tę zimną, poważną urzędniczkę.

– Lili jest córką kobiety, która pracowała u mnie jako pomoc domowa.

– Ale czy ma pani prawo do opieki? – Opiekunka nie dawała za wygraną. – Jeśli nie, to muszę zabrać dziecko. Powinna być pani zadowolona, bo przecież dziewczynka jest córką zabójczyni pani męża.

Rozalii ze strachu pociemniało w oczach.

– Gustaw! – wrzasnęła w panice tak głośno, że aż zapiekło ją w gardle.

Mężczyzna zjawił się od strony ogrodu – zdyszany i zaskoczony. Z ulgą zauważyła, że był sam – bez Lili, więc zapewne zostawił ją pod opieką ogrodnika.

– O co chodzi? – Zatrzymał zdumiony wzrok na kobiecie i policjancie.

– Lili... – wychrypiała Rozalia w panice. – Chcą zabrać Lili!

– Co się dzieje? – Gustaw zwrócił się ostrym tonem do stojącej na schodach urzędniczki.

– Przyjechaliśmy zabrać do sierocińca małą Liliannę Grabińską.

– Jak to?

– Mamy na to prawny dokument. Dziecko nie może być nie wiadomo gdzie. Musi mieć właściwą opiekę, skoro jej matka nie może się nią zająć. Chyba pan rozumie, że takie jest prawo?

Rozalia widziała, że Gustaw gniewnie zacisnął szczękę. On też z trudem panował nad nerwami.

– Lilianna Grabińska jest moją bratanicą.

Janina Grochowska uniosła brew.

– Jak to możliwe? Zuzanna Grabińska zaznaczyła w dokumentach, że ojciec jest nieznany, więc jak pan może być jej stryjem?

– Ojcem dziewczynki był mój nieżyjący brat, Ignacy Lubowidzki.

– Nie ma tego w dokumentach.

– Ale był jej ojcem, do cholery! – krzyknął Gustaw z narastającą irytacją. – Jestem doktor Gustaw Lubowidzki, brat Ignacego Lubowidzkiego, a dziewczynka jest moją bratanicą! Nie oddam jej do sierocińca!

– W takim razie matka dziewczynki musi to potwierdzić.

– Potwierdzi – zapewniła Rozalia bliska rozpaczy. – Pojedziemy do niej i dostaniemy stosowne potwierdzenie.

– Do tej pory jednak dziecko powinno zostać oddane pod naszą opiekę. – Grochowska była uparta.

– Do tej pory dziewczynka zostanie z nami – rzucił Gustaw stanowczo.

– To absolutnie wykluczone! Mam wytyczne i muszę się ich trzymać!

– Proszę ze mną nie igrać! – zagroził Lubowidzki, gniewnie patrząc jej w oczy. – Jeśli zależy pani na posadzie, niech pani wraca do sierocińca i cierpliwie poczeka na właściwy dokument. W innym wypadku...

– Gustaw! – upomniała go Rozalia stanowczo, bojąc się, że jeśli mężczyzna posunie się za daleko, będą na straconej pozycji. – Pani na pewno rozumie.

Kobieta rzeczywiście zrozumiała, bo zrobiła krok w tył. Sekundę później, bez pożegnania, schodziła nerwowo po schodach, po czym wraz z policjantem wsiadła do samochodu.

Rozalia patrzyła w bezruchu za nimi. Dopiero gdy samochód zniknął im z oczu, zbiegła po stopniach i objęła Gustawa.

– Nie pozwól, żeby ją zabrali!

– Nie pozwolę.



## ROZDZIAŁ 16

Prokurator Stanisław Florczak rzadko przesiadywał w swoim gabinecie w gmachu prokuratury, więc interesanci musieli szukać go niemal po całej Warszawie. Florczak wychodził bowiem z założenia, że jeśli komuś zależy, to na pewno go znajdzie.

Gustaw znalazł go w luksusowej łaźni przy jacht klubie, gdzie prokurator zażywał rozkoszy ciała wyłącznie po to, żeby natychmiast po parowej odnowie zapalić fajkę. Raczył się przy tym wybornym koniakiem; zaproponował szklaneczkę również Gustawowi, ale ten odmówił.

– Widzę, że nie żałuje pan sobie przyjemności życia – zagadnął Gustaw, patrząc znacząco na fajkę.

– Jeśli zamierza mnie pan upominać, doktorze, że niezdrowo po saunie raczyć się tytoniem, to proszę tego nie robić. Jestem już za stary na takie pouczenia. A dobry koniaczek... Ech, jest dobry na wszystko. Jak to mówią: „Jeśli ci wódka w pracy przeszkadza, to przestań pracować” – zaśmiał się. – Więc jak pan widzi, jestem już po godzinach pracy.

Siedzieli w przytulnym, eleganckim pokoju dla gości, z którego widok rozciągał się na słoneczną nadwiślańską promenadę.

Po scenie sprzed południa, kiedy to cudem udało im się z Rozalią uchronić Lili przed okrutnym losem, Gustaw był niespokojny. Sama Rozalia zresztą była tak roztrzęsiona, że nie mógł jej uspokoić.

Z drugiej strony wciąż czuł na sobie jej zapach, a na ustach smak skóry. Pragnął do niej wrócić. Nie umiał nazwać tego, co czuł, ale wiedział, że pragnie być blisko niej.

– Spodziewałem się, że zechce pan w końcu zamienić ze mną parę słów – zaczął Florczak, uśmiechając się półgębkiem. – W końcu sprawa dotyczy pańskiego brata. Dłużej nie może pan udawać, doktorze, że jest to panu obojętne.

– Skąd przypuszczenie, że dotąd było mi to obojętne?

– Nie walczył pan w sądzie jak lew, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Miałem wrażenie, że... Nie zależało panu na wyroku skazującym.

– Zależy mi na sprawiedliwości.

Prokurator zaśmiał się pobłaźliwie.

– Nam wszystkim na tym zależy! Po to zostałem prokuratorem, drogi panie, żeby walczyć o sprawiedliwość!

– Więc dlaczego próbował pan skazać na śmierć niewinnego człowieka?

– Niewinnego? – Poorana zmarszczkami twarz mężczyzny nie zdradzała żadnych emocji. – Widzę, że ma pan zdolność wydawania wyroków, jeszcze zanim zrobi to sąd – dodał z drwiną.

– Nie po to do pana przyszedłem – rzucił Gustaw sucho. – Sprawa Senyka mnie nie interesuje. Chodzi o Zuzannę Grabińską.

– Więc jednak. Rozum panu podpowiada, że jednak wypadałoby skazać kogoś za śmierć brata.

Gustaw puścił tę uwagę mimo uszu. Denerwował go ten pewny siebie, arogancki typek, który mając w rękach wiele możliwości, szczyił się swoją nienaruszalną, prokuratorowską pozycją w świecie władzy. A Gustaw wiedział, że musi się z tym człowiekiem liczyć, bo bez niego nie jest w stanie zrobić nic.

– Potrzebuję zgody na widzenie z Zuzanną Grabińską. Zależy mi, żeby podpisała dokument potwierdzający ojcostwo Ignacego względem jej córki.



- Co za brednie! Po co to panu?
- Inaczej dziecko trafi do sierocińca.
- I co z tego? Co to pana obchodzi?
- Ona jest moją bratanicą! Nie oddam jej!

Prokurator zaśmiał się wzgardliwie, pykając przy tym fajkę.

– Pan chyba nic nie rozumie, doktorze Lubowidzki. Jeśli to trafi do opinii publicznej... Sprawa będzie stracona! Wezmą Ignacego na języki! Już o nim gadają! Pastwią się, że zgwałcił te dziewczyny. Po co jeszcze do tej sprawy dokładać jakieś nieślubne dziecko?

– Więć proszę to zrobić pokątnie – syknął Gustaw, pochylając się w stronę prokuratora. Czuł, że powoli traci panowanie nad sobą. – Potrzebuję dokumentu potwierdzającego, że mam prawo do opieki nad dziewczynką! Jestem jej stryjem!

Florczak sapnął z irytacją.

– Wiem, że dziecko mieszka u wdowy po Ignacym.

– Tak.

– Domyślam się, że pańska szanowna bratowa nie ma ochoty trzymać pod swoim dachem dziecka morderczyni jej męża. Sierociniec miał załatwić sprawę i uwolnić panią Lubowidzką od kłopotu.

– Pani Lubowidzka chce, żeby mała została u niej. Jest do niej bardzo przywiązana.

Prokurator uniósł brwi.

– A co wam tak zależy? Jeszcze się okaże, że wraz z panną Grabińską stworzycie jakiś mordercze trio – zaśmiał się, wyraźnie zadowolony ze swojego niewybrednego dowcipu. – Ale dobrze, niech będzie! – Niedbale machnął fajką. – Dostanie pan swój dokument, ale sprawa ma być przemilczana. Bez rozgłosu i gazet. Nam na dzieciaku nie zależy, ale na dyskrecji już tak.

– Czy mogę się zobaczyć z Zuzanną Grabińską?

– Nie. Pozwoliłem na to pani Lubowidzkiej, bo jest wdową po Ignacym, ale od teraz dostęp do niej mamy tylko ja i przydzielony

jej obrońca.

– Kto jest obrońcą?

– Dowie się pan w swoim czasie. Proces niedługo się zacznie i liczę na współpracę z pańskiej strony. Wierzę, że zależy panu na skazaniu tej kobiety.

– Już mówiłem, że zależy mi na sprawiedliwości.

– A o co innego mogłoby chodzić? – zapytał Florczak lekceważąco. – Grabińska sama przyznała się do zabójstwa. Dodam, że mocno mnie to zirytowało, bo okazało się, że kilkumiesięczna praca policji była nieudolna i bezsensowna...

– Od początku było wiadomo, że oskarżenie Senyka opiera się wyłącznie na poszlakach.

– Och, myli się pan, doktorze! Mieliśmy na niego twarde dowody! Zresztą to, że nie zabił Ignacego, nie zwalnia go z innych win.

– Co zamierzacie z nim zrobić?

Prokurator wypuścił dym z fajki.

– Skazać. Trzeba pokazać takim jak on, gdzie ich miejsce. Nie chcemy tu burzycieli porządku, którzy mają gdzieś prawo i podnoszą nienawistne głosy na polskich obywateli. Ignacy był pańskim bratem. Był również człowiekiem czynu i honoru. Powinien pan dbać o jego dobre imię.

– Więc nie wierzy pan tym zgwałconym kobietom?

Prokurator przez chwilę przyglądał się Gustawowi. Zdawało się, że próbuje przeświecić go wzrokiem, jakby w ten sposób mógł dotrzeć do sedna jego najskrytszych myśli.

– Wierzę – rzekł w końcu. – Ale teraz to już nie ma znaczenia. Pański brat nie żyje, więc nie może za to odpowiedzieć.

„Święta prawda” – pomyślał Gustaw ponuro.

Po spotkaniu z prokuratorem musiał załatwić jeszcze jedną ważną sprawę.

Zastanawiał się, czy postępuje słusznie, bo pomysł, który urodził się w jego głowie, urągał jego dumie i przyzwoitości, ale Gustaw

wiedział, że nie ma innego wyjścia.

Pojechał do Hotelu Europejskiego, gdzie nadal wynajmował pokój i z hotelowej recepcji zadzwonił do kancelarii Paluszkiewicz Ojciec i Syn. Godzinę później zszedł do hotelowej restauracji.

– Publiczne miejsce na nasze spotkanie to rozsądny wybór – mruknął Julian na powitanie. – Nie chciałbym stracić zębów.

– Pilnuj się, to ich nie stracisz – rzucił Gustaw drwiąco.

Julian usiadł przy nakrytym białym obrusem stoliku. Wyglądał świetnie – był elegancki, zadbany, emanował jakąś dobrą energią. Gustaw zastanawiał się przez chwilę, czy ta przyjemna powierzchowność nie ma przypadkiem czegoś wspólnego z jego siostrą.

– Przystawka? Czy od razu siadamy do kolacji? – zapytał Julian, patrząc Gustawowi śmiało w oczy. Irytowało go to, bo miał wrażenie, że dawny przyjaciel z niego kpi.

– Kolację zamierzam zjeść gdzieś indziej.

– Więc skuszę się jedynie na warzywne ragout – odparł Julian i gestem przywołał kelnera.

Gustaw zamówił tylko lampkę wina, bo nie zamierzał zbyt długo zasiadać z Paluszkiewiczem przy jednym stoliku. Już sam fakt, że zmuszony był na niego patrzeć, kiedy w gruncie rzeczy miał ochotę zetrzeć ten jego dobrotliwy uśmiech z twarzy, działał mu na nerwy. Powstrzymywał się tylko ze względu na Adę, bo ta od czasu afery w kancelarii rozmawiała z nim chłodno i oficjalnie. I to jedynie podczas spotkań w sądzie. Odkąd wyprowadziła się do Klary Tyszkowskiej, niemal w ogóle jej nie widywał.

– Więc co jest tak ważne, że musiałeś się ze mną spotkać? – zapytał Julian bez ogródek. – Domyślam się, że ma to coś wspólnego z panną Adą?

Gustaw zacisnął szczękę.

– Od Ady trzymaj się z daleka!

– To raczej trudne, bo jak pamiętasz, zatrudniłem ją jako moją asystentkę. I jak dotąd, sprawdza się w tej roli doskonale.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę...
- Spokojnie. Jestem człowiekiem honoru.
- Honorem nazywasz zdradę najlepszego przyjaciela?

Julian zmarszczył brwi.

– To prawda, Amelia była z tobą zaręczona, ale... Nie dostrzegałeś tego, że ona cię nie kochała. Zgodziła się na małżeństwo ze względu na wasze rodziny.

Gustaw poczuł, że coś ściska jego serce jak imadło. Wiedział, że Julian mówi prawdę. Zawsze był tego świadom, tylko urażona duma i poczucie straty nie pozwalały mu tego przyznać. Wolał winić dawnego przyjaciela za zawód miłosny i zdradę niż zrozumieć, że Amelia nigdy go nie kochała. Co z tego, że dla niego była jedyną kobietą, której ciało, serce i duszę pragnął posiadać. Co z tego, że marzył o niej na polu bitwy i w szpitalu polowym, kiedy jako młody lekarz walczył o życie umierających żołnierzy. Ona tego nie chciała. Nigdy nie chciała mu tego dać.

– Wiesz, że to prawda – kontynuował Paluszkiewicz. – Nie ukradłem ci jej. Ale byłeś taki dumy z siebie, taki stąpający w wojennej glorii, że nie zauważałeś niczego, co się dzieje.

– Nie spotkałem się z tobą, żeby rozmawiać o Amelii – rzucił Gustaw, próbując stłumić emocje. – Była twoją żoną, więc nie wypada mi...

– To prawda. Nie wypada ci mówić o niej w taki sposób, bo była moja. Ale wiedz, że zanim cię zostawiła... Martwiła się tym, że cię skrzywdzi. Nie umiała jednak postąpić inaczej, bo to złamałoby jej życie. I tobie również. Mogę cię zapewnić, że nie zamierzam skrzywdzić twojej siostry. Mam do niej ogromny szacunek.

Gustaw upił spory łyk wina i nonszalancko oparł się o krzesło. Zmrużył oczy.

– Skończmy te łożawe tematy. Nie po to tracę twój i swój cenny czas.

– Więc po co?

– Chodzi o Zuzannę Grabińską.

Adwokat zamarł, z widelcem przy ustach.

– Wiem, że jest oskarżona o zabójstwo Ignacego – wykrztusił.

– Przyznała się.

– Słyszałem.

– Grozi jej wyrok śmierci.

Julian przełknął kęs przystawki i popił winem.

– Wybacz, ale nie chcę o tej sprawie mówić. Jest dla mnie dość osobliwa. Poznałem pannę Grabińską i...

– Chcę, żebyś jej bronił – rzucił Gustaw, wchodząc mu w słowo.

– Co takiego?

– Proszę cię, żebyś był jej obrońcą. Zapłacę, ile trzeba.

Julian przez chwilę wpatrywał się w Gustawa z niedowierzaniem.

Gwar w restauracji się wzmaczał. Robiło się coraz tłoczniej, bo na kolację zaczęli schodzić się hotelowi goście. Julian nerwowo rozejrzał się po sali, jakby kogoś szukając, po czym wrócił wzrokiem do Gustawa.

– Oszalałeś? – wykrztusił wreszcie. – Mam bronić kobiety, która zabiła twojego brata? Dla twojego widzimisię mam iść na dno? Przecież ta sprawa jest z góry przegrana.

Gustaw zacisnął zęby.

– Nie. Nie chcę, żebyś szedł na dno. Chcę, żebyś pomógł tej nieszczęsnej kobiecie uniknąć kary śmierci. Wiem, że potrafisz. Jesteś najlepszy.

– Kto cię przysłał? – wycharczał Julian, coraz bardziej zdumiony.

– Nikt.

– Więc czemu...?

– Bo nie chcę, żeby Zuzanna Grabińska umarła w taki sposób.

– Ale przecież ona... zabiła Ignacego.

– I zapłaci za to. Postaraj się jednak, żeby tą zapłatą było więzienie. Nie kara śmierci.

Julian zdumiony pokręcił głową.

– To szaleństwo! Poznałem pannę Grabińską i jest mi szkoda, że... – urwał, by zebrać myśli. – Powinien jej bronić ktoś, kto podejdzie do sprawy mniej osobiście.

– Nie każ mi cię prosić.

– Pozwól, że porozmawiam o tym z twoją siostrą. Ona też ma prawo wiedzieć. Ignacy był również jej bratem.

– A jeśli Ada się zgodzi?

Julian kiwnął głową.

– To ja również.

\* \* \*

– Mówiłam, słonko, że w tej sukience będzie ci do twarzy. Jesteś teraz taka promienna! – szczebiotała Klara Tyszkowska, przyglądając się z uznaniem najnowszej kreacji Ady.

Dziewczyna początkowo podeszła do zakupu sukienki sceptycznie, uważając, że nie wypada jej nosić tak świetlistych kolorów jak ta soczysta zieleń, ale Klara przekonała ją, że teraz każda modna panna tak się ubiera.

– Te twoje brunatne i szare sukienki, które przywiozłaś z Kargomina, są bardzo staroświeckie. Nie wspomnę już o ich wątpliwej urodzie.

– Mama byłaby zła, widząc mnie w takim krzykliwym stroju – wciąż oponowała Ada, choć sama musiała przyznać, że wygląda bardzo ładnie. Plisowany dół sukienki podkreślał kształt jej zgrabnych łydek, a kołnierzyk przy dekolcie eksponował smukłość szyi. Zastanawiała się, czy pan Paluszkiewicz to dostrzeże. Chciała, żeby to dostrzegł.

– Kochanie, nie jesteś już dziewczyną ze wsi. Teraz jesteś studentką prawa i musisz prezentować właściwy poziom.

– Jeszcze nie jestem.

– Och, ale będziesz. Za miesiąc. Czas szybko zleci, więc przygotuj się jak należy. Musisz zrobić dobre wrażenie, żeby nie

pomyślano, że jesteś szarą myszą bez charakteru.

– Ale ja nią jestem – wyszeptała Ada z rumieńcem wstydu na policzkach.

– Nie, słonko. Byłaś. Teraz jesteś studentką. Przyszłą prawniczką. Wbij to sobie do głowy!

– A co, jeśli... Uznają mnie za głupią gęś?

– Więc pokaż wszystkim, że nie jesteś głupią gęsią! Stań odważnie przed tymi buńczucznymi mężczyznami, co to myślą, że wszystkie rozумы pozjadali, i udowodnij, że kobieta też ma swoją wartość!

– Pani to łatwo powiedzieć, panno Klaro – rzekła dziewczyna z westchnieniem.

– Niełatwo. Też swoje przeżyłam. A ty dwa zwycięstwa już odniosłaś. Sprzeciwiłaś się matce w sprawie małżeństwa i dostałaś się na studia.

– I znalazłam pracę jako asystentka pana Paluszkiewicza.

Klara cmoknęła z zadowoleniem.

– O tak! Zrobiłaś to pierwszorzędnie! Pan Paluszkiewicz to doskonały adwokat i wiele możesz się od niego nauczyć.

– Robię to każdego dnia – wyszeptała dziewczyna z wyraźnym rozmarzeniem.

Do kancelarii jak co dzień pojechała tramwajem. Zawsze starała się być parę minut przed swoim pracodawcą, żeby przygotować mu dokumenty do pracy i zaparzyć pyszną kawę, czego nauczyła ją panna Klara. Ale tym razem Julian Paluszkiewicz był w gabinecie przed nią. Kiedy przekroczyła próg, odprowadzana wzrokiem przez wścibską sekretarkę, siedział już za biurkiem. Miał posępny wyraz twarzy, ale kiedy podniósł głowę i spojrzał na nią, wzrok mu się zmienił, a on sam gwałtownie poczerwieniał.

– Dzień dobry – rzuciła Ada, siląc się na wesołość, bo nagle poczuła skrępowanie swoim wyglądem. Może nie powinna stroić się tak ostentacyjnie?

Odchrząknął, wyraźnie zmieszany, i zerwał się z krzesła.

– Dzień dobry, panno... Ado.

– Czy coś się stało? Jest pan szybciej niż zwykle.

– Nie, tylko... No cóż... Bardzo ładnie pani wygląda.

Uśmiechnęła się, czując dziwne łaskotanie w brzuchu. Więc jednak zauważył.

– Dziękuję.

Paluszkiewicz opadł na krzesło.

– Muszę z panią o czymś porozmawiać. – Już na nią nie patrząc, udał, że jest bardzo zajęty gryzmoleniem piórem po czyściutkiej papeterii do listów. – O czymś bardzo ważnym – dodał.

– Zrobić kawę?

Zerknął na nią.

– Nie... To znaczy tak... To znaczy... Proszę usiąść, panno Ado. Ja zrobię pani kawę. Albo poproszę sekretarkę, bo moja kawa może nie być tak smaczna... – Paluszkiewicz plątał się w wypowiedzi, a Ada patrzyła na niego zaskoczona. Do tej pory wykazywał się opanowaniem, więc zaczynała myśleć, że może rzeczywiście zauważył jej zgrabne łydki. Może...

Sama czuła się z tym dziwnie, ale musiała przyznać, że ten mężczyzna od jakiegoś czasu władał jej myślami w dzień i w nocy. Owszem, był od niej dużo starszy – miał już przecież trzydzieści jeden lat, w dodatku był wdowcem, a ona nieopierzoną panienką, ale nic nie mogła na to poradzić, że przybiegała do kancelarii jak na skrzydłach! Podziwiała go za inteligencję, przenikliwość i odwagę w wyrażaniu opinii. I dobroć. Ta jego dobroć przemawiała przez całą jego postać. Może nie był zbyt urodziwy, ale miał w sobie coś, co sprawiało, że patrząc na niego, Ada czuła, jak robi się jej gorąco.

– Panno Ado, proszę usiąść – powtórzył, tym razem z większym opanowaniem. – Musimy omówić coś bardzo ważnego.

– My?

Do tej pory pan Paluszkiewicz nie pytał jej o zdanie w kwestiach zawodowych – ani zresztą żadnych innych. Wymagał od niej



jedynie wykonywania poleceń, choć zwracał się do niej miło i z szacunkiem. Sporo jej przy tym tłumaczył, więc powoli zaczęła zagłębiać się w tajniki pracy adwokata.

– Chodzi o sprawę osobistą, z którą wczoraj zwrócił się do mnie pani brat.

Ada westchnęła i opadła na krzesło.

– Zabronił panu zatrudniać mnie tutaj? Mam odejść?

– Nie, nic z tych rzeczy. Choć wiadomo, że nie jest z tego zadowolony. Chodzi o sprawę zabójstwa pani brata.

Ada mimowolnie zadrżała.

Ta historia bolała ją dogłębnie. Dlatego chodziła na każdą rozprawę sądową i z rozpaczą patrzyła na skrzywdzone kobiety, które z bólem i łzami dawały świadectwo, że jej brat był potworem.

Wiedziała o tym. Napatrzyła się przecież na Rozalię.

Teraz jednak nastąpił niespodziewany zwrot w sprawie, bo okazało się, że to nie Dmytro Senyk zastrzelił Ignacego. Zrobiła to jego wieloletnia kochanka. I to było dla Ady kompletnym zaskoczeniem. Dowiedziawszy się o tym, długo zastanawiała się, jak do tego doszło. Co kierowało tą kobietą, że z zimną krwią zastrzeliła jej brata? Sam fakt, że Ignacy prowadził podwójne życie, był dla Ady szokujący.

– Pewnie pani wie, że Gustaw i Rozalia opiekują się małą Lilianną.

– Córką tej kobiety.

– I córką Ignacego. Nie chcą, żeby stała jej się krzywda. Nie chcą również, żeby Zuzanna Grabińska została skazana na karę śmierci.

Ada patrzyła na Juliana, nic nie rozumiejąc.

– Wczoraj pani brat poprosił mnie, żebym został obrońcą Zuzanny Grabińskiej.

– Pana? Poprosił? – Ada była kompletnie zaskoczona. – Jak to? Dlaczego?

– Zrobił to, bo wie, że mogę jej pomóc.

– Zgodził się pan?

Popatrzył jej w oczy.

– Powiedziałem, że zgodzę się pod warunkiem, że pani wyrazi zgodę. Jest pani siostrą Ignacego. Ma pani prawo czuć gniew do tej kobiety.

Ada przez chwilę patrzyła na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, jak zareagować. Jej moralność kłóciła się z głupią myślą, że Ignacy był jej bratem. Bez względu na to, jaki był – to był jej brat. Może nie czuła z nim więzi, nie znała go tak dobrze, ale jego gniew i brutalność powoli zamazywały się w jej pamięci, ustępując miejsca wyłącznie temu, co odczuwa się w stosunku do kogoś bliskiego. Może nie miłość, ale... Jakiś dziwny rodzaj... lojalności?

– Wiem, że pan potraktuje ją sprawiedliwie – rzuciła w końcu, nie patrząc na Juliana.

Paluszkiewicz przytaknął niemo.

– Zrobię to.

– Ale... Proszę pozwolić mi brać udział w tej sprawie. Chcę panu pomóc. Uczyć się.

– Niestety, to nie jest możliwe. Jest pani siostrą ofiary i to mogłoby wpłynąć na sprawę. Nikt się na to nie zgodzi. Ja również.

– Więc co...?

Westchnął, wyraźnie zmieszany tym, co musi jej powiedzieć. Czuła, że to nie jest nic dobrego, że to ostatnia rzecz, którą chce usłyszeć od tego mężczyzny.

– Na czas sprawy przeniesie się pani do biura mojego ojca. Rozmawiałem z nim i obiecał, że zajmie się panią należycie i będzie dbał o pani edukację prawniczą. To człowiek z ogromną wiedzą i doświadczeniem i sporo może panią nauczyć. Oczywiście będzie pani otrzymywać właściwe wynagrodzenie, więc o pieniądze na studia proszę się nie martwić.

– No cóż... – Poczowała, że coś ściska ją w gardle. – Dziękuję.

– Oczywiście jak tylko sprawa się zakończy, wróci pani do mnie.  
Spojrzała mu w oczy.

– Oczywiście – zgodziła się, choć zdawała sobie sprawę, że to może się ciągnąć całymi tygodniami, a nawet miesiącami. – Wrócę do pana – dodała już bardziej do siebie.

\* \* \*

Julian nie zamierzał tracić czasu. Wiedział, że sprawa Zuzanny Grabińskiej jest pilna i w tej chwili priorytetowa, więc musi jak najszybciej zobaczyć się z oskarżoną. Gdy tylko poinformował oficjalne organy sprawiedliwości, że obejmuje funkcję obrońcy Zuzanny Grabińskiej, otrzymał zgodę na widzenie. Oczywiście, tak jak się spodziewał, zdumienie zarówno prokuratora, jak i sędziego było ogromne.

– Ta sprawa może pana niepotrzebnie skompromitować, mecenasie. Po co bierze się pan za obronę kogoś, kto już jest skazany? – pytał prokurator Florczak. – Ta kobieta przyszła do mnie osobiście i bez prośb ani nacisków złożyła zeznanie, w którym przyznała się do zabójstwa. Zastrzeliła go z pistoletu, który parę dni wcześniej kupiła od Żyda na placu Muranowskim. Policja już go przesłuchiwała.

– Policja znalazła broń, z której rzekomo strzelała moja klientka?

– Nie. Według zeznań oskarżona zaraz po zabójstwie pozbyła się pistoletu. Wrzuciła go do Wisły.

– Och, ale zanim to zrobiła, spokojnie mogła dotrzeć do rzeki, a sam pan wie, że to spory kawałek od restauracji, pod którą zastrzeliła Ignacego Lubowidzkiego. Jak to możliwe, że nikt jej nie zauważył, nie zatrzymał?

– Panie Paluszkiewicz, proponuję, żeby zapoznał się pan z aktami sprawy, chociaż jeśli szuka pan czegoś na obronę swojej

klientki, to tam pan tego nie znajdzie. Jej wina jest wypisana czarno na białym.

Julian nic więcej nie powiedział. Podziękował prokuratorowi za rozmowę i od razu udał się do aresztu.

Już w drzwiach do celi uderzyło go przenikliwe zimno i nieprzyjemny zapach zatechłej wilgoci, pleśni i brudu. Szare ściany musiały nimi być przesiąknięte, a wszechobecna stęchlizna natychmiast wsiąkała w ubranie, skórę, włosy. Ogarnęła go trwoga. Niemożliwe, żeby Zuzanna Grabińska zachowała zdrowie i siły w takim miejscu.

Towarzysząca mu strażniczka więzienna przysunęła mu krzesło z korytarza. Julian podziękował skinieniem głowy i spojrzał na skuloną na pryczy kobietę. Kątem oka dostrzegł stojącą na podłodze przy łóżku miskę z niedojedzoną zupą.

Zuzanna wyglądała tak, jak kilka miesięcy temu, kiedy zobaczył ją w przytułku dla bezdomnych. Tylko że wtedy trzymała w ramionach dziecko – ogrzewały się wzajemnie. Teraz była sama.

Przysunął sobie krzesło do nędznego posłania i usiadł, pochylając się nad więźniarką.

– Panno Grabińska?

Zerknęła na niego mętym, niewidzącym wzrokiem.

Delikatnie dotknął jej ramienia.

– To ja. Julian Paluszkiewicz. Jestem tu po to, żeby pani pomóc. Od dzisiaj jestem pani obrońcą.

Powoli uniosła się na posłaniu. Była blada i wychudzona. Julian widział, że brak właściwego pożywienia błyskawicznie odciskał na niej swoje piętno.

– Dlaczego? – Jej głos był słaby, ochrypły.

– Bo chcę pani pomóc.

Uśmiechnęła się łagodnie, ale jej oczy ziały smutkiem. Pomyślał, że to prawdziwa niesprawiedliwość, że ta piękna kobieta w swojej ogromnej samotności i rozpaczycy dopuściła się zbrodni, która doprowadziła ją w to parszywe miejsce. Tyle już w życiu widział,

na tyle zła i niesprawiedliwości się napatrzył, a jednak wciąż nie nabył odporności na ludzkie dramaty. Powinien być gruboskórny i cyniczny jak jego ojciec, który z kamienną twarzą wydawał się niemal obojętny na panoszące się wokół zło. On tak nie umiał. Był zbyt współczujący. I dlatego starał się całym swoim umysłem, sprytem i inteligencją przynosić choć trochę ulgi w cierpieniu tym, którzy tego potrzebowali. Dlatego do końca walczył na sali sądowej, kiedy wiedział, że stawka jest tego warta. Bo zapłatą będzie sprawiedliwy wyrok.

– Będę bronił pani w sądzie – powtórzył.

– Nie stać mnie na pana.

– Nie chcę od pani pieniędzy.

Przez chwilę przyglądała mu się w zamyśleniu. W jej zielonych oczach, choć zamglonych, błysnęła iskierka zainteresowania. Zrozumiał, że Zuzanna pragnęła pomocy. Pragnęła tego bardzo mocno, tylko nie umiała o nią poprosić.

– Przyznałam się... – wyszeptała łamiącym się głosem. Mówiła z trudem, co – jak się domyślił – musiało być wynikiem tego, że przez wiele dni do nikogo się nie odzywała.

– Wiem. I teraz grozi pani najwyższy wymiar kary, czyli śmierć. Ale chcę zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło. Jest pani młodą kobietą, która jeszcze może kiedyś cieszyć się życiem. Ale przede wszystkim jest pani matką.

– Lili... Moje dziecko...

– Jest zdrowa. Rozalia i doktor Lubowidzki opiekują się nią.

Zuzanna nie odpowiedziała. Zapatrzyła się w jeden punkt, jakby w myślach odtwarzała obraz córeczki. Juliana wzruszyło to i zabolalo jednocześnie. On też wielokrotnie przewijał w myślach obrazy zmarłego dziecka. I Amelii.

Wstał i podszedł do drzwi celi.

– Proszę o wodę dla pani – zwrócił się do strażniczki więziennej.

– Dajemy, ale mało pije.

– Więc dajcie jeszcze raz.

Strażniczka mruknęła coś pod nosem, ale za chwilę wróciła z kubkiem wody.

Julian ponownie usiadł na krześle.

– Proszę się napić. Będzie pani łatwiej mówić.

Zuzanna przełknęła łyk wody, ale zakrztusiła się i zaczęła kaszleć. Łzy ciurkiem pociekły jej po policzku.

– Jeszcze raz... Spokojnie. – Julian pochylił się nad nią i delikatnie próbował napoić. Wypiła parę łyków i odetchnęła. Znowu skuliła się na pryczy. Było jej wyraźnie zimno, bo drżała na całym ciele.

– Proszę na mnie spojrzeć – poprosił łagodnie.

Uniosła twarz i zwróciła ku niemu załzawione oczy. Pukle brudnych włosów kleiły jej się do twarzy.

– Jak już mówiłem, jestem tu po to, żeby pani pomóc. Musi pani ze mną rozmawiać.

Uśmiechnęła się ponuro, wręcz groteskowo.

– O czym? Przecież go zabiłam – powiedziała to zimno, stanowczo, jakby nagle otrząsnęła się z marazmu. – Zrobiłam to wtedy, pod tą restauracją. Widziałam, jak upadł na chodnik, i zrobiło mi się ciepło. Gorąco. Bo wiedziałam, że jego już nie ma...

– Długo tam pani stała?

– Wystarczająco, żeby się upewnić, że go zabiłam.

– Ignacy nie umarł od razu.

Odsunęła z twarzy kosmyk włosów. Dłonie jej drżały.

– Ale wiedziałam, że umrze – wyszeptała, a jej usta wygięły się w grymasie.

– Jak się pani udało? Jak to możliwe, że nikt tego nie widział?

– Nikt nie chciał tego widzieć...

Julian słuchał jej z kamienną twarzą, nie okazując współczucia ani emocji. Starał się trzeźwo analizować w myślach każde jej słowo. Każdy gest. Mówiła jak w transie, jak na spowiedzi. Jakby w końcu chciała zrzucić z siebie ciężar winy – ten bezmiar

zbrodni, która od chwili jej popełnienia odbierała jej życie. Wiedział również, że tylko od niego zależy, jak potoczą się dalsze losy tej nieszczęśliwej kobiety. Bo to, że zabiła Ignacego Lubowidzkiego, nie ulegało wątpliwości.

Opuścił areszt po godzinie. Był skołowany. Próbował zebrać myśli, strząsnąć z siebie ten dramat, którego był świadkiem, i obrać kierunek obrony, w którym zamierzał iść.

Zanim pojechał do kancelarii, udał się ponownie do biura prokuratora Florczaka i poprosił o sporządzenie kopii wszystkich zeznań Zuzanny Grabińskiej. Miał świadomość, że proces zacznie się lada dzień, więc musiał się dobrze przygotować.

W jego kancelarii przywitała go cisza. Było już późne popołudnie, więc nawet sekretarka poszła do domu. Poczłł się dziwnie nieswojo, kiedy popatrzył na małe, dostawione naprędcę biurko w jego gabinecie. Biurko dla panny Ady. Przesiadywała przy nim, pomagając mu przy dokumentach. Była niezawodna, bystra i szybko się uczyła. Wyłapywała szczegóły, które były mu bardzo pomocne, ale przede wszystkim pomagała utrzymać porządek w papierach, co wielokrotnie stanowiło dla niego nie lada wyzwanie.

Teraz został sam. I ta świadomość uderzyła go z ogromną mocą. Nie widział jej dopiero jeden dzień, a już za nią tęsknił.

\* \* \*

Rozalia miała wrażenie, że w ciągu ostatnich dni czas się zatrzymał, a ona utknęła w gąszczu swoich pragnień, nadziei i czułości, pomieszanych z dziwną paniką wywołaną myślą o tym, co będzie jutro. Trudno jej było nazwać uczucia, które kłębiły się w jej głowie, ciele i sercu. Wiedziała tylko, że wybudziły ją z letargu, w którym tkwiła przez ostatnie lata. Nagle miała ochotę śmiać się i płakać równocześnie. Jednego dnia o świcie wyszła boso do ogrodu, przypominając sobie, jak niegdyś biegała

po wilgotnej trawie w Grasse. Czuła spontaniczną radość i euforię, bo jeszcze chwilę temu leżała w rozgrzanej pościeli w ramionach mężczyzny, który tak nagle stał się częścią jej świata. A na drugi dzień trudno jej było spojrzeć na blade promienie słońca na błękitnym niebie, bo w głowie kotłowały się ponure obrazy lęku i beznadziei. Zastanawiała się, czy ma prawo do szczęścia, kiedy Zuzanna siedziała w zimnej celi, oczekując wyroku za śmierć człowieka, który dla nich obu był katem i oprawcą.

„Też chciałam to zrobić. Wielokrotnie” – myślała i te myśli nie dawały jej spokoju. Czuła się tak, jakby Zuzanna zdjęła z niej jakiś ogromny ciężar i przyjęła wyłącznie na siebie całą winę, podczas gdy ona też była winna, bo nie żałowała tej śmierci. Śmierć Ignacego otworzyła jej bramy do nowego życia, otrzymanego w darze od kobiety, która miała za to zapłacić wysoką cenę.

Była jeszcze Lili – niewinny owoc krzywd i niesprawiedliwości rządzących tym światem. Gustaw spędzał z dziewczynką całe dnie, próbując wynagrodzić jej nieobecność matki. Jednak Lili była już inna, obca, zagubiona. Jej wcześniejszą dziecięcą spontaniczność zastąpił smutek, a na delikatną twarzyczkę raz po raz nachodził grymas niezrozumiałej krzywdy. Coraz rzadziej pytała o mamę i coraz mniej wierzyła, że ta wróci. Ale Rozalia wiedziała, że to pozór, bo dziecko cierpiało i nie umiało tego cierpienia opanować. Dowodem były nie tylko problemy dziewczynki z zasypianiem, niespodziewane wybuchy płaczu, grymasy, ale i nocne moczenia, które zaczęły się na krótko po aresztowaniu Zuzanny.

Gustaw od razu wykluczył względy fizjologiczne, bo wiedział, że na ciele dziewczynka jest zdrowa.

– Walczy z tęsknotą i strachem za matką – wytłumaczył Rozalii, kiedy ta zamartwiała się, skąd te objawy.

– Czy to minie?



– Tak, ale... Musimy jej w tym pomóc.

Dlatego próbował okazywać dziecku jak największe zainteresowanie. Bawił się z nią, rozmawiał, obdarowywał drobnymi prezentami, choć wiedział, że nie jest w stanie ukoić w niej tęsknoty za matką. Kiedy zaczynała płakać, brał ją w ramiona i kołysał tak długo, aż dziewczynka uspokajała się na dobre. Rozalia patrzyła na to wszystko z pewną zazdrością, bo czuła, że nie należy do ich świata, choć coraz bardziej chciała do niego należeć. Do nich obojga. Stawali się dla niej tak samo ważni jak zapachy. Wnikali w nią – każde inaczej i każde z osobna, choć wiedziała, że ta dziwna zależność, która ich ze sobą połączyła, może się zerwać. Bo była krucha i nienaturalna.

– Jutro muszę wrócić do Warszawy – rzekł Gustaw któregoś wieczoru, kiedy wyszedł z pokoju Lili po tym, jak udało mu się ją uśpić. – Muszę również pojechać do Brześcia. Nie będzie mnie tydzień, może więcej.

Objęła go. Wciąż był dla niej zagadką, nieodgadnioną tajemnicą. Wciąż nie umiała nazwać tego, co czuła, kiedy miała go tak blisko. Wiedziała jedynie, że odbierał jej jasność myślenia.

– Wrócisz?

– Wrócę, ale... Rozalio, chciałbym wiedzieć, do czego mam wrócić.

Odchyliła głowę i popatrzyła mu w oczy. Miał piękną twarz – męską, a zarazem delikatną. I głębokie oczy, przenikające ją na wylot, niemalże dotykające ją w najgłębszych zakamarkach jej duszy.

– Do mnie – wyszeptała i pocałowała go. Objął ją tak mocno, że prawie straciła oddech. – I do Lili.

Patrzył na nią uważnie. Chciał coś powiedzieć, ale te słowa zawisły w powietrzu.

Pragnął jej. Czuła to w jego przyspieszonym oddechu, niecierpliwym dotyku. Widziała to w jego ciemniejących oczach.

Ona też go pragnęła.

Na drugi dzień z samego rana Gustaw pożegnał się z nią i z Lili i wyjechał do Warszawy.



## ROZDZIAŁ 17

– Czytałaś dzisiaj choć jedną gazetę? – Klara zerknęła kątem oka na siedzącą naprzeciw niej Adę.

– Nie, nie czytałam – odparła dziewczyna od niechcienia.

Od śniadania była markotna. Siedziała skulona w fotelu i niemo wpatrywała się w okno, obserwując ruch uliczny, jakby znajdowała w tym coś wyjątkowo interesującego. Nie poszła do kancelarii Paluszkiewicz Ojciec i Syn, bo starszy pan Paluszkiewicz wziął tego dnia wolne od pracy. Podobno wybierał się ze znajomymi na ostatnie w tym sezonie wyścigi konne. Był piątek, więc zapowiedział pannie Lubowidzkiej, żeby w jego gabinecie stawiała się dopiero w poniedziałek.

– A widziałaś chociaż nagłówki? Wszędzie piszą tylko o zamachu na twojego brata i o Zuzannie Grabińskiej.

Ada oderwała zamyślony wzrok od okna i popatrzyła na Klarę.

– Co piszą?

– Hieny! Już ją skazali! Biedna, nie ma nawet szans na obronę. Pastwią się nad nią gorzej niż nad tym Ukraińcem. Nazywają ją ladaczną bez czci i wiary. Zabójczynią.

– Przecież zabiła Ignacego. Sama się przyznała. – W głosie dziewczyny słychać było nieskrywany chłód.

Klara oderwała wzrok od „Kuriera Porannego”.

– Nie jesteś po jej stronie... – zauważyła z nutą zdziwienia.

– Zastrzeliła mi brata.

– Sama wiesz, jakim człowiekiem był twój brat. Czy mimo to nie żal ci jej?

– Ona żyje, a Ignacy nie.

Klara przyjrzała się Adzie z uwagą. Na gładkiej twarzy dziewczyny pojawił się jakiś cień, którego wcześniej nie było. Uświadomiła sobie, że być może dotąd źle oceniała pannę Lubowidzką. Ada miała prawo czuć żal i gniew do Zuzanny Grabińskiej. Miała nawet prawo jej nienawidzić, bo przecież ta odebrała życie jej bratu. Nieważne, jakie pobudki nią kierowały. Nieważne, jak bardzo była zdesperowana i nieszczęśliwa i jak bardzo Klara jej współczuła. Prawda była taka, że Zuzanna zabiła człowieka.

– Przepraszam. Wiem, że możesz źle to znosić. Bez względu na to, jakim człowiekiem był Ignacy, to jednak zbrodnia pozostanie zbrodnią. A on był twoim bratem.

Ada nie odpowiedziała. Znów wpatrzyła się w ten sam obraz ulicznego życia za oknem, a Klara wróciła do lektury gazety.

Ada odezwała się dopiero po jakimś czasie.

– Pan Paluszkiewicz na pewno ją wybroni. Jest doskonałym adwokatem.

Klara zerknęła na nią znad gazety.

– Martwi cię to?

– Nie. Domyślałam się, że ta kobieta sporo przez Ignacego wycierpiała. Jeśli traktował ją w połowie tak źle jak Rozalię... – westchnęła. – Mam nadzieję, że Julian szybko poradzi sobie z tą sprawą.

– Nie będzie mu łatwo.

Dziewczyna spojrzała na Tyszkowską. Jej oczy błyszczały gorączkowo.

– Ale jest w tym dobry. Najlepszy.

Klara przyglądała się jej spod zmrużonych powiek. Znała ten wyraz twarzy, widziała go wielokrotnie u siebie, kiedy patrzyła w lustro tuż po upojnej nocy z upragnionym kochankiem. Tylko że

ona najczęściej doznawała spełnienia, a tą dziewczyną wyraźnie szarpała tęsknota.

– Co zrobisz, jeśli pan Paluszkiewicz rzeczywiście wybroni Zuzannę Grabińską? Będziesz miała mu to za złe?

– Dlaczego miałabym mieć mu to za złe?

– Bo widzę, że poczucie sprawiedliwości walczy w tobie z lojalnością wobec brata. I ta lojalność może okazać się ważniejsza.

– Pan Paluszkiewicz nie ma tu nic do rzeczy – odparła chłodno Ada.

– Ależ ma! Jesteś przecież jego asystentką!

– Już nie.

– Ale będziesz nią, jak tylko ta sprawa się skończy. Zawsze może wydarzyć się coś, co wywoła spór między wami. I co wtedy zrobisz?

– Nie będę się wtrącać w tę sprawę! Zresztą... Przecież to Gustaw poprosił pana Paluszkiewicza, żeby bronił tej kobiety. Ja jedynie się nie sprzeciwiłam.

– Bo Gustaw ma poczucie winy. Wstydzi się tego, co robił wasz brat. Do tego jest jeszcze Lili...

Ada drgnęła i gwałtownie uniosła głowę.

– Gustaw nie tylko uznał ją za córkę Ignacego – ciągnęła Klara – ale i pokochał. Widziałam ich razem, on szaleje za tym dzieckiem. I dlatego tak mu zależy, żeby uratować Zuzannę Grabińską. Nie chce, żeby dziecko straciło matkę.

– Nigdy tej dziewczynki nie widziałam – odparła Ada z poczuciem winy w głosie.

– A może powinnaś?

– Nie wiem, jak miałabym się zachować, co powiedzieć.

– Nic. Wystarczy, że będziesz kierować się sercem.

W tym momencie zabrzączał dzwonek do drzwi i kamerdyner oznajmił, że przyszedł pan Gustaw Lubowidzki we własnej osobie.

Klara zauważyła, że Ada zmieszała się na widok brata. Nie widziała się z nim od kilku dobrych dni, a ich stosunki wciąż były dalekie od serdecznych.

– Panno Klaro, przepraszam za to najście, ale chciałbym porozmawiać z siostrą – rzekł w progu.

– Och, domyśliłam się, że to nie do mnie pan przyszedł, doktorze – mruknęła Klara, obdarzając mężczyznę powłóczystym spojrzeniem. – Zostawiam was samych. Gadajcie sobie do woli, a ja zmykam na miasto. Ada, nie wrócę na obiad, więc ustal z kucharką, co zjesz. Ty i pan doktor, jeśli oczywiście ma pan ochotę zostać.

Klara wyszła, a oni przez chwilę trwali w niezręcznej ciszy.

Nie umknęło uwagi Ady, że Gustaw był jakiś inny. Dotąd poważny i powściągliwy, nagle stał się jakby bardziej roztargniony. Nawet jego wygląd świadczył o pewnej zmianie – włosy miał w lekkim nieładzie, a poważny, elegancki garnitur zamienił na swobodną marynarkę w modną kratę i spodnie w neutralnym, ale mało eleganckim kolorze beżu.

– Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że wyjeżdżam na parę dni do Brześcia i zostawiam cię pod opieką panny Tyszkowskiej.

– Kiedy wrócisz?

– Jak najszybciej. Muszę się zjawić na procesie.

Ada westchnęła.

– Dużo zapłaciłeś panu Paluszkiewiczowi za obronę tej kobiety?

– zapytała niespodziewanie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nic. Paluszkiewicz nie chciał ode mnie pieniędzy.

– Więc naprawdę musi mu zależeć... – mruknęła.

– Nie jesteś z tego powodu zadowolona?

– Nie wiem. Przecież to był nasz brat... Kiedy myślałam o tym chłopaku, Senyku, było mi jakoś łatwiej – wyjaśniła. – A ta kobieta... Zastrzeliła go z zimną krwią, z premedytacją.

– Zrobiła to, bo Ignacy zniszczył jej życie. Najpierw wykorzystywał ją seksualnie, a później...

Ada poczuła, że oblewa ją gorący pot wstydu i zażenowania. Nerwowo okręciła się w fotelu.

– Nie chcę tego słuchać – rzuciła oschle.

– A powinnaś. Nie jesteś już dzieckiem i musisz być świadoma tego, co może się zdarzyć, kiedy jeden człowiek wykorzystuje naiwność drugiego człowieka. Ignacy zmusił Zuzannę do aborcji, kiedy ta ponownie zaszła z nim w ciążę. W dodatku zrobił to wbrew niej samej. A sama wiesz, jakie hasła głosił podczas debat w sejmie. „Życie poczęte jest święte! Żadna kobieta nie ma prawa odbierać dziecku poczętemu życia!”. Mówił jedno, robił drugie i zachowywał się tak, jakby to wyłącznie kobiety były odpowiedzialne. To, co robił nasz brat, uwłacza mojej godności i powinno uwłaczać również twojej!

Ada była wyraźnie wstrząśnięta i rozżalona brutalną szczerością Gustawa. Ręce jej drżały; dopiero teraz do niej dotarło, co się naprawdę stało.

– Nie możesz brać odpowiedzialności za jego czyny! – rzuciła gwałtownie.

– A kto ma to zrobić? Powiniennem był go powstrzymać, kiedy jeszcze żył, ale nie zrobiłem tego.

– Więc co zamierzasz?

Gustaw przez chwilę milczał, jakby zbierał słowa.

– Na razie jadę do Brześcia, żeby wystawić mieszkanie na sprzedaż. Napiszę też rezygnację z posady w szpitalu. Nie mogę dłużej udawać, że chcę tam wrócić.

– Zamieszkaś w Warszawie?

– Mam taki zamiar.

– Sam?

Gustaw nie odpowiedział.

– Wiem, gdzie byłeś przez ostatnie dni i noce. Panna Klara wszystko mi powiedziała – wypaliła Ada.



- To nie wasza sprawa – mruknął wymijająco.
  - Zamierzasz się z nią ożenić?
  - Na razie zamierzam wyjechać – uciął krótko. – Jak wrócę z Brześcia... wtedy porozmawiamy. A przez ten czas dbaj o siebie i uważaj. I nie rozmawiaj z dziennikarzami, bo pewnie będą cię nagabywać.
- Zanim wyszedł, podszedł do niej, podniósł ją z fotela i mocno przytulił.
- Za chwilę zaczynasz studia. Jeśli nie zdołam do tego czasu przyjechać, to wiedz, że jestem z ciebie dumny. I wierzę, że dasz sobie radę.
  - Dziękuję – szepnęła, nie kryjąc wzruszenia.

\* \* \*

Gabinet w domu sędziego Tadeusza Dobrowolskiego pachniał tytoniem i oprawionymi w skórę książkami, które piętrzyły się na regałach aż po sufit. Potężne, misternie rzeźbione biurko z poprzedniej epoki delikatnie oświetlała lampa witrażowa w modnym stylu art déco. Jej światło rzucało blask na równo ułożoną papeterię do listów i leżące obok srebrne pióro.

Julian przyglądał się z zainteresowaniem, jak sędzia nabijał fajkę. Sam nigdy nie palił. Nie dawał się również skusić na cygara, bo uważał, że wszelkie nałogi osłabiają charakter. Napatrzył się zbyt wiele na swojego ojca, który przez całe życie nie żałował sobie ani dobrego tytoniu, ani mocnego alkoholu, a niekiedy sięgał po mocniejsze używki. Według Juliana zażywanie środków odurzających stanowiło prostą drogę do kompromitacji poważnych, szanowanych obywateli. On sam wolał tego uniknąć.

– Widzę, że czuje się pan nieswojo, iż przyjmuję pana w swoim domu, mecenasie – mruknął sędzia, wypuszczając ostry w zapachu dym, który podrażnił nozdrza Paluszkiewicza.

– Nic podobnego. Uważam jedynie, że o sprawach zawodowych powinniśmy rozmawiać w sądzie.

– To pan nalegał na spotkanie.

– Tak, ale moja wizyta w pańskim domu może zostać źle odebrana.

Sędzia zmrużył oczy.

– Przez kogo?

– Przez dziennikarzy. Mogą podejrzewać, że przyszedłem do pana w sprawach nie do końca uczciwych.

Sędzia Dobrowolski zaśmiał się ironicznie.

– Szanowny mecenasie, obawia się pan oskarżenia o wręczenie mi łapówki? Przecież pan wie, że w moim przypadku to niemożliwe. Nikt, powtarzam: nikt nie jest w stanie mnie przekupić. Dziennikarze też to wiedzą, więc bez obaw.

Każdy ma swoją cenę – pomyślał Julian, ale nie powiedział tego głośno.

– Więc co pana do mnie sprowadza, mecenasie, skoro sprawę ewentualnej łapówki mamy już omówioną?

Adwokat wyprostował się.

– Chciałbym pana prosić o zgodę na badanie psychiatryczne mojej klientki, Zuzanny Grabińskiej.

– A co to za głupoty chodzą panu po głowie?

Julian z irytacją zmarszczył brwi. Nie lubił być traktowany z góry, a sędzia Dobrowolski słynął z tego, że wszystkich wokół traktował protekcyjnie. Nie oszczędzał podobno nawet prokuratora Stanisława Florczaka, który był od niego o ponad dziesięć lat starszy.

– Moja klientka jest kobietą po ciężkich osobistych przeżyciach, które mogą mieć istotny wpływ na jej zachowanie.

– Co to ma wspólnego ze sprawą?

– Trauma będąca wynikiem tych przeżyć mogła być motorem działania mojej klientki.

– Sugeruje pan, że pańska klientka może być, jak to mówią psychiatrzy, niepoczytalna? Co za bzdury pan wymyślasz! Przecież to dziwka, kobieta z nizin społecznych, a tam żadne zasady nie istnieją. Skoro więc nie ma zasad, to jak mogą istnieć jakieś traumy, które pan tu sugerujesz. Taka kobieta, której chlebem powszednim jest rozkładanie nóg, nie może mieć traumy. To wierutna bzdura!

Julian czuł, jak złość bierze w nim górę nad rozsądkiem. Wielokrotnie stykał się z szykanami ze strony zarówno palestry, jak i rządzących, kiedy próbował przekonywać, że ludzie z „nizin społecznych” – jak ich nazywają osoby na wysokich szczeblach drabiny społecznej – też mają swoje osobiste przeżycia i krzywdy, i to stokroć większe, niż szanowne gremium rozstrzygające nad ich losem jest w stanie sobie wyobrazić.

– Proszę pana sędziego, aby o mojej klientce wypowiadał się z należytych szacunkiem.

– Ech, mecenasie! Podjął pan się obrony tej kobiety chyba tylko po to, żeby wpaść w tarapaty. Każdy wie, że sprawa jest przegrana. Przyznała się do zabójstwa posła, człowieka z nieposzlakowaną opinią, który miał szacunek obywateli. Czego pan się tu doszukujesz? Jakiejś traumy?

– Przypomnę panu, panie sędzio, że ten poseł z nieposzlakowaną opinią zgwałcił niewinne kobiety.

– Niewinne? Pewnie same się prosiły, a teraz chodzą i płaczą. To wszystko to jakieś głupoty. Od kiedy to histeria jakiejś dziwki ma być okolicznością łagodzącą?

– W Europie i na świecie przeprowadza się już badania na więźniach mające na celu sprawdzenie ich poczytalności.

Sędzia uśmiechnął się z pobłażliwością.

– Za dużo Freuda się pan naczytałeś.

Julian nie skomentował tej uszczypliwości, tylko wstał z krzesła i zaczął szykować się do wyjścia.

– Czy mogę jutro spodziewać się zgody na wizytę psychiatry u mojej klientki?

– A znasz pan psychiatrę, który miałby pana klientkę zbadać?

– Tak. Doktor Alfred Węglarczyk jest specjalistą w tej dziedzinie. Już z nim rozmawiałem i wstępnie wyraził chęć zbadania panny Grabińskiej.

Sędzia, nie wstając z fotela, pochylił się w stronę Juliana, odkładając na bok fajkę.

– Dobrze więc. Masz pan swoją zgodę, ale żeby później nie było pretensji, jeśli pana teoria zostanie z łatwością obalona. To, co próbujesz pan udowodnić, jest śmiechu warte.

– Przykro mi, że pan tak uważa, panie sędzio. Zwłaszcza że to pan będzie odczytywał wyrok, który wyraźnie już zapadł w pana głowie.

– Przypominam, mecenasie, że od wydania wyroku są przysięgli.

Wychodząc, Julian minął się w drzwiach wejściowych z elegancką żoną i dwiema kilkunastoletnimi córkami sędziego. Brakowało tylko jego najstarszego syna, który wyjechał na studia prawnicze do Wiednia.

Dziewczęta dygnęły przed nim, a pani domu nieśmiało zaproponowała, żeby został na kolacji.

– Szczerze dziękuję, ale muszę odmówić. Jestem już umówiony – odparł Julian uprzejmie. To było kłamstwo, ale nie zamierzał dłużej nadużywać gościnności sędziego Dobrowolskiego.

Pani Dobrowolska ze zrozumieniem kiwnęła głową, a kamerdyner otworzył przed nim drzwi.

Julian wyszedł na oświetloną latarniami ulicę. Nie przyjechał własnym samochodem, ale nie złapał też taksówki, bo miał potrzebę przespacerować się ulicami Warszawy. To zawsze pomagało mu zebrać myśli, a w obecnym stanie musiał być maksymalnie skupiony. Był wściekły, że sędzia tak lekceważąco podszedł do sprawy z psychiatrą, bo Julian był pewien, że to

mogło odegrać kluczową rolę w jego obronie. Sam dobrze wiedział, co kierowało Zuzanną Grabińską, kiedy za ostatnie pieniądze kupiła pistolet i wyszła na ulicę zastrzelić Ignacego Lubowidzkiego. Jej pobudką była nie tylko zemsta, ale przede wszystkim ogromne poczucie krzywdy i rozpacz. Teraz pozostało mu to tylko udowodnić.

\* \* \*

Rozalii z coraz większym trudem przychodziło skupienie się na tworzeniu nowych zapachów. Wcześniej, siedząc w pracowni, traciła poczucie czasu, oddając się temu, co kochała najbardziej na świecie. Teraz jednak, po wyjeździe Gustawa, niemal całą uwagę skupiała na małej Lili i praca przy tworzeniu pachnideł stała się wręcz niemożliwa.

Dziewczynka z dnia na dzień była coraz markotniejsza. Siadywała w ogrodzie u podnóża fontanny i bezmyślnie grzebała patykami w ziemi. Rozalia próbowała zachęcić ją do zabawy, wspólnych spacerów, ale spotykała się wyłącznie z płaczkim kaprysem. Przy którymś z takich nieopanowanych wybuchów płaczu Lili zaczęła krzyczeć, że chce do mamy, tupiła nogami i odpychała od siebie Rozalię. Kobieta w bezradności usiadła na trawie i, nie próbując dotykać dziewczynki, z trwogą patrzyła na histerię dziecka. W końcu Lili sama się uspokoiła, po czym podeszła do niej i bezradnie objęła rączkami za szyję, krztusząc się jeszcze dziecięcym płaczem.

– Gdzie... jest mamusia? Czemu... nie wraca?

Rozalia czuła, jak jej serce rozpada się na kawałki. Jak miała wytłumaczyć temu małemu dziecku, że być może jej mama już nigdy nie wróci?

Ta bezradność towarzyszyła jej każdego dnia.

Były momenty, kiedy żałowała, że pozwoliła Gustawowi wyjechać. On wiedziałby, jak postępować z dziewczynką. Miał do

niej serce. A Rozalia miała wrażenie, że wszystkie jej próby nawiązania więzi z dzieckiem spełzają na niczym. Nie umiała być opiekunką. Nie miała w sobie instynktów. Nie mogła być matką. Innego dnia, kiedy dziewczynka miała lepszy nastrój, Rozalia również czuła się szczęśliwsza, zapominając, że nie dalej jak wczoraj borykała się z jej płaczem i niezadowoleniem.

Wiedziała, że to, co je powoli połączyło, było dziwnym hermetycznym tworem, do którego nikt nie miał wstępu, ale też nikt nie próbował tam wchodzić. Były tylko one dwie. Rozalia i Lili.

Parę dni po wyjeździe Gustawa do pałacyku „Magnolia” zawitała ciotka Klara.

– Próbowałam namówić Adę, żeby mi towarzyszyła, ale wytłumaczyła się nadmiarem obowiązków. Myślę jednak, że ona nie chce poznać Lili. Nie czuje się do tego gotowa.

– Podobnie jak Leokadii, pewnie trudno jej zaakceptować, że Ignacy miał kochankę.

– Bo jest jeszcze zbyt młoda i za mało przeżyła. A swoją drogą, myślę, że podkochuje się w mecenasie Paluszkiewiczu.

– W Julianie?

– W rzeczy samej.

Rozalia prychnęła.

– Przecież on jest dla niej za stary.

– Podobnie jak Ignacy był dla ciebie.

Rozalia nie odpowiedziała, skupiając wzrok na Lili, która kopała głęboki dół łopatką do przesadzania kwiatów, którą podarował jej ogrodnik.

Obie z ciotką Klarą siedziały na tarasie i przypatrywały się dziewczynce. Chłód już dawał się we znaki, więc pookrywały się wełnianymi pledami, a Rozalia z nostalgią pomyślała o Zuzannie i o tym, że Grabińska pewnie martwiłaby się o samopoczucie dziewczynki i powtarzała, że mała ma słabe płuca i nie powinna tak długo przebywać na dworze.

– To dziecko kiedyś się z tego otrząśnie – rzekła Klara, jakby czytając w myślach Rozalii.

– Nie wiem, jak jej pomóc. Ciągłe pyta o mamę.

– Teraz ty musisz zastąpić jej matkę.

– Nie zamierzam tego robić! – rzuciła Rozalia oburzona. – Zuzanna wciąż żyje.

– Ale wyraźnie sobie życzyła, żebyś to ty zaopiekowała się dziewczynką.

Rozalia wyłapała promień słońca, który pieszczotliwie dotknął zaróżowionego policzka dziewczynki.

– Przecież nic nie wiem o dzieciach. Nie znam się na tym.

– Też się na tym nie znałam, a jednak... Wszystko samo przyszło.

Rozalia zaskoczona oderwała wzrok od dziecka i spojrzała na ciotkę.

– Miałaś dziecko?

Klara wyraźnie próbowała ukryć wyraz smutku i nostalgii na twarzy, ale on zbyt wyraźnie zagościł w jej oczach. Westchnęła głęboko, szczerzej okrywając się pledem.

– Tak, kiedyś. Dawno temu. Miałam syna. Teraz miałby już tyle lat, co Ada.

– Ale jak to? Tata nigdy nie mówił...

– Twój ojciec o niczym nie wiedział. Ja i rodzice ukryliśmy to przed nim. Jak wiesz, nie byłam zameżna. Syna wychowywałam sama. Mój Staś umarł na polio. Miał wtedy trzy lata. Dużo dzieci na to umierało i nadal umiera... Byłam... Taka bezsilna, zrozpaczona. Miałam wrażenie, że mój świat się skończył. Że moje życie już nigdy nie wróci do równowagi. Dlatego wiem, co czuje Zuzanna, kiedy tak bardzo boi się o swoje dziecko.

– Ciociu... – Rozalia była głęboko wstrząśnięta tym niespodziewanym wyznaniem ciotki. – Nie miałam pojęcia!

Klara próbowała się uśmiechnąć, ale jej usta wykrzywiły się w jakimś grymasie bólu.

– Duszko, nigdy nie wiemy, co kryje się głęboko w sercu kobiety. Jakie tajemnice skrywa i jakie dramaty próbuje ukryć przed światem. Robimy to, bo emocje to coś, co nas dyskwalifikuje w oczach mężczyzn. Co pozwala im określać nas płaczącymi i histerycznymi, a przez to zupełnie nieprzydatnymi.

– Więc to dlatego nigdy nie wyszłaś za mąż?

Klara zaśmiała się z sarkazmem.

– Kochana, nie doszukuj się w tym niepotrzebnego dramatyizmu. Nie wyszłam za mąż dlatego, bo nie wytrzymałabym długo z jednym mężczyzną. Nie jestem stworzona do monogamii. Za bardzo kocham życie i za bardzo lubię mężczyzn, żeby oddawać się tylko jednemu. I tobie polecam to samo, bo widzę, że już zrobiłaś w tej kwestii pewne postępy.

– Nie zmieniaj tematu, ciociu – upomniała ją Rozalia, wyraźnie speszona.

– A ty nie udawaj świętej. Wiem, że pan doktor przypadł ci do gustu, i dobrze. Ale nie powinnaś się ograniczać. Nie dalej jak za lasem masz kolejnego przystojnego mężczyznę, który wyraźnie tylko czeka, żebyś skinęła na niego palcem.

– Mówisz o Antonim Brollu? – zakpiła Rozalia.

– A o kim by innym? Jest tak przystojny, że od samego patrzenia na niego robi mi się gorąco!

– I do tego żonaty.

Klara machnęła ręką.

– To nawet lepiej, bo nie będzie ci składał matrymonialnych propozycji. Jego żona na co dzień mieszka we Włoszech, a on żyje głównie w Polsce, bo tu robi interesy. Jest bogaty, elokwentny i... Podobasz mu się. Widzę to. Ostatnio jak tu byłam, pożerał cię wzrokiem. Aż ci zazdrościłam, że to nie mnie się trafił taki kasek.

– Przestań, ciociu – mruknęła Rozalia z irytacją. – Nie lubię go. Jest zbyt pewny siebie. Zaproponował mi interes i teraz ma mi za złe, że mu odmówiłam.

– Może niesłusznie.



– Nie szukam kogoś, kto będzie mi dyktował warunki.

– Jak chcesz. Ale pamiętaj, że w razie potrzeby wystarczy sięgnąć – to mówiąc, ciotka puściła do niej oko. – W końcu ten twój doktorek wyjechał, prawda?

Rozalia zbyła tę uwagę milczeniem. Jej myśli kręciły się wokół tego, co ciotka Klara powiedziała o dziecku. Bez trudu domyśliła się, że sarkazmem i szybką zmianą tematu ciotka próbowała ukryć ból, który wciąż w niej tkwił po stracie syna.

Ze zdumieniem odkryła, że im bliżej żyła kobiet i im więcej z nimi rozmawiała i poznawała ich osobiste historie, tym bardziej uświadamiała sobie, że nie tylko ona do niedawna żyła w piekle.

\* \* \*

Antoni Broll lubił jeździć konno. Rozalia nieraz widziała go z daleka, jak kłusował po okolicznych łąkach czy lasach, i zazdrościła mu tego, bo sama marzyła o koniu. Tego popołudnia odważył się do niej podjechać, choć wyraźnie czuł, że nadal trzymała go na dystans. Jednak gdy siedział na końskim grzbiecie, w butach z cholewami i obcisłych bryczesach podkreślających muskularne uda, Rozalia musiała przyznać, że jej wzrok na ułamek sekundy zatrzymał się w tym miejscu. Szybko zwróciła twarz w stronę biegającej niedaleko Lili.

– A pani wciąż z dzieckiem – zauważył mało subtelnie, skinąwszy głową na powitanie.

– Przeszkadza to panu?

– Ależ skąd. Przecież sam jestem ojcem.

– Ale bez żony i dzieci – dodała nie bez złośliwości.

Uśmiechnął się z przekąsem i zeskoczył z konia.

– Lubi pani jeździć?

– Bardzo.

– Więc proszę korzystać z mojej stajni, kiedy pani zechce.

Zaśmiała się. Wiatr targał jej włosy, więc co chwilę musiała odsuwać je z twarzy.

– Znowu próbuje mnie pan przekupić?

Westchnął.

– Ma pani o mnie bardzo złe zdanie, jak widzę. Nie, pani Lubowidzka, nie próbuję pani przekupić. Chcę być jedynie uprzejmym sąsiadem. Poza tym... Jutro wyjeżdżam, więc będzie pani tutaj zupełnie sama.

– Do Łodzi?

– Do Paryża.

Popatrzyła na niego z błyskiem w oku.

– Może pojedzie pani ze mną? – zaproponował, dostrzegając jej zainteresowanie.

– Kusząca propozycja, ale... muszę odmówić.

– Przez dziecko? – zapytał

Nie odpowiedziała. Nie miała ochoty tłumaczyć mu rzeczy oczywistych ani wyjaśniać, że nie zamierza zostawać jego kochanką. Bo ta propozycja miała wyraźnie taki wydźwięk.

– Wciąż mi pani odmawia – rzekł, łapiąc konia za uzdę i prowadząc na trawę. – Może kiedyś zasłużę na pani uwagę, a wtedy... Kto wie. Może wyjdzie z tego coś... pachnącego.

Mimo woli się zaśmiała.

– Czy pan się kiedykolwiek poddaje, panie Broll?

– Nigdy. I dlatego osiągnąłem sukces.

Wskoczył na konia i skinął głową na pożegnanie. Czują, że jest rozczarowany, ale że przyjmuje to bez żalu. Widocznie był przyzwyczajony zarówno do sukcesów, jak i porażek.

– Miło było panią zobaczyć, Rozalio. Pozdrowię od pani Tamarę.

– Koniecznie! – Wyciągnęła do niego rękę w geście pozdrowienia, ale on już tego nie widział, bo zniknął w gąszczu pobliskiego lasu.



## ROZDZIAŁ 18

Brześć na Bugiem znalazł się w granicach odrodzonej Polski zaraz po tym, jak w 1919 roku został przez polski oddział ochotniczy odbity z rąk Niemców. Jednak dopiero po wojnie z bolszewikami stał się stolicą Polesia. Zaraz po zakończeniu wielkiej wojny w Twierdzy Brześć formowały się najróżniejsze narodowe jednostki wojskowe: Ukraińców, Białorusinów, Kozaków, a nawet Rosjan, gotowych walczyć po stronie nowo powstającego państwa polskiego. W rezultacie po wygranej wojnie z Armią Czerwoną Brześć stał się pograniczem polsko-wschodnich nacji, z największym w tym rejonie garnizonem wojskowym, którym dowodził generał Leon Billewicz.

Jak powszechnie mawiano, miasto Brześć składało się jedynie z wojskowych i urzędników. Trudno było dopatrywać się tu swobodnego, kolorowego życia, jakie toczyło się we Lwowie, Wilnie czy Warszawie. Samo miasto wielkością i architekturą bardziej przypominało wieś niż dobrze zurbanizowany ośrodek miejski, ale po wielkiej wojnie wyraźnie starano się nadać mu status i wygląd godny miasta wojewódzkiego. Postarano się między innymi o nowoczesną kanalizację i elektrownię, a główną osią zabudowy miejskiej stała się ulica Unii Lubelskiej, przy której wznoszono gmachy użyteczności publicznej. I to w rozwidleniu tej ulicy, w odnowionej po wojennych zniszczeniach kamienicy, Gustaw posiadał swoje skromne, ale wygodne mieszkanie.

Dziwnie się czuł, wróciwszy tu po kilku tygodniach nieobecności. Miał wrażenie, że od tamtego czasu wszystko się zmieniło. Dotąd Brześć był jego ucieczką przed przeszłością i ludźmi, którzy próbowali rozdrapywać jego rany i pouczać, jak powinien żyć. Zdawało mu się, że tylko tu nie nawiedzał go duch Amelii. Teraz miał wrażenie, że surowe w swojej prostocie mieszkanie jest mu już niepotrzebną pustelnią. Już siedząc w pociągu, rozmyślał o Rozalii i Lili i o tym, że pragnie do nich jak najszybciej wrócić. Obie stały się osią jego życia. Zaczęły nadawać mu inne brzmienie, którego dotychczas nie znał. Wiedział, że od teraz wszystko musiało być inaczej i że nie może się już chować w skorupie codziennych lekarskich obowiązków.

Jeszcze tego samego dnia, zaraz po przyjeździe, poszedł do szpitala, w którym był zatrudniony. Dyrektor Józef Godlewski nie krył zdziwienia, ale i zadowolenia, kiedy go zobaczył. Ten wybitny chirurg od zawsze był sprzymierzeńcem Gustawa i jego nauczycielem. Pomimo że dzieliła ich spora różnica wieku, świetnie się dogadywali, a ich zawodowa współpraca przebiegała wręcz wzorowo. Wynikało to z tego, że obaj wcześniej służyli na froncie; wspólne wspomnienia pomagały im oswoić duchy przeszłości.

Doktor Godlewski był odważnym lekarzem, niebojącym się ryzyka zawodowego ani innowacji w medycynie. Otwierał się zarówno na naukę, jak i na młodych lekarzy, o których mówił, że zawsze wnoszą coś pożytecznego, co może jeszcze skuteczniej ratować ludzkie życia. „Bo młodzi są odważni i zdeterminowani” – powtarzał.

– W końcu! – rzekł teraz uradowany na widok Gustawa. – Tak wsiąkniesz w wielkomiejskie życie, że bałem się, że już nie wrócisz!

– Bo nie wróciłem. Przyjechałem jedynie po to, żeby złożyć rezygnację z posady i wystawić na sprzedaż mieszkanie.

Godlewski uniósł brwi.

– No proszę! A kto ci tę rezygnację podpisze?

– Liczę, że pan, doktorze.

Dyrektor westchnął, nie kryjąc rozczarowania.

– Tak myślałem, że w końcu to zrobisz. Za długo cię nie było i pewnie wiele przez ten czas się zmieniło. Słyszałem o procesie sądowym i o tej oskarżonej kobiecie.

– Tu również gazety o tym piszą?

– A jak by inaczej! Przecież twój brat był znany. Podobno zastrzeliła go jakaś wściekła kochanka.

– I matka jego dziecka – mruknął Gustaw.

– O tym już nie piszą.

– Bo Ignacy nigdy nie przyznał się do ojcostwa.

Doktor wyraźnie sposepniał.

– Więc co zamierzasz? Nie ukrywam, że w naszym szpitalu brakuje rąk do pracy. Ciągłe coś się dzieje, a oprócz chorób jeszcze nagle przypadki się zdarzają, bo w garnizonie bijatyk nie brakuje. Sam wiesz, jak to jest, służyłeś w wojsku.

– Więc generalnie nuda, jak widzę – odparł Gustaw, siląc się na żart.

– Jak widzisz! W Warszawie na pewno masz o wiele więcej atrakcji. Właściwie wcale ci się nie dziwię, że postanowiłeś stąd uciec. To dobre miejsce, żeby ukryć się przed światem, ale nie żeby żyć.

Gustaw nie miał ochoty tłumaczyć ordynatorowi, że rzeczywiście nagle odeszła mu ochota na ukrywanie się, bo znalazł kobietę, z którą zapragnął odkrywać życie.

– Ale jutro mogę się ciebie spodziewać? – zapytał doktor, kiedy Gustaw szykował się już do opuszczenia szpitala. – Jest tu parę pilnych przypadków, którymi mógłbyś się zająć.

– Jeszcze przez parę dni będę przychodził. Nie wyjeżdżam od razu.

– To dobrze. Każda para rąk jest na wagę złota, bo sam wiesz, że lekarzy mało, a wszyscy mocno przemęczeni. Ostatnio przybyła

tu pewna młoda lekarka. Pochodzi ze Lwowa, ale tam jej nie chcieli w żadnym szpitalu.

– A pan ją zatrudnił?

Doktor machnął ręką.

– Mi tam bez różnicy, czy to kobieta, czy mężczyzna, byle znała się na medycynie. Ona się zna, i to całkiem dobrze.

– Gdzie studiowała?

– W Berlinie. Może miałbyś ochotę ją poznać? Jest całkiem ładna, a do tego samotna.

Gustaw pokręcił przecząco głową.

– Panie doktorze! Wie pan, że jestem niewzruszony na pańskie próby swatania mnie.

Doktor Godlewski tylko mruknął coś pod nosem.

Gustaw wyszedł na obchód, by zapoznać się z co gorszymi przypadkami. Kiedy skończył, pomyślał, że właśnie tego miejsca będzie mu brakować najbardziej. Pod okiem doktora Godlewskiego nauczył się bardzo dużo i praktyka ta była dla niego nie do przecenienia, a ponadto zżył się z personelem. Pielęgniarki nie kryły zadowolenia, kiedy go zobaczyły, a i młoda pani doktor rzuciła na niego okiem. Rzeczywiście była ładna, ale nie zamierzał patrzeć na nią w ten sposób. Raczej chciał się wykazać uznaniem dla jej odwagi, że pomimo trudności, jakie musiały pokonywać kobiety, by zostać lekarzami, ona się nie poddała. Przy okazji wspomniał Adę, która też miała sporo do wywalczenia, ale i do osiągnięcia.

Wieczorem poszedł do najsławniejszego w mieście szynku Gwiazdzista, gdzie spotykała się głównie męska elita miasta, z wojskowymi i urzędnikami na czele. Wcześniej spędzał tam sporo czasu, więc teraz od razu poczuł się jak u siebie.

Już w progu spotkał znanego sobie pułkownika Feliksa Żarnowskiego z pułku piechoty. Kiedyś często spędzali wolny czas przy partyjce szachów.

– Niektórzy robili zakłady o to, że już do nas nie wrócisz – rzekł wojskowy, poklepując Gustawa przyjacielsko po plecach.

– Więc ci, co tak myśleli, mieli rację. Zamierzam się przenieść do Warszawy.

– Kobieta?

– Skąd takie przypuszczenie?

– Bo było ci tu dobrze, więc tylko kobieta mogła coś zmienić.

– Owszem. Dziewczynka, lat pięć. Córka mojego brata.

Oczy pułkownika rozbliły.

– No, no, stajesz się odpowiedzialny! Może opowiesz coś więcej?

– To długa historia – odparł Gustaw, siadając przy barze.

Nie miał ochoty każdemu z osobna tłumaczyć, kim była Lili, ani tym bardziej wyznawać, że rzeczywiście zawróciła mu w głowie kobieta. Te sprawy wciąż były dla niego nowe i wciąż sam je oswajał, nawet jeśli łapał się na tym, że o Rozalii myślał częściej, niż powinien.

– W Warszawie podobno nieciekawie się dzieje – zaczął pułkownik niby od niechcienia, siadając na sąsiednim stołku.

– Co masz na myśli?

– Sam wiesz, te ciągłe afery w sejmie, kryzysy gabinetowe. To wszystko hańba! A problemy ludzkie jak były, tak są. A nawet piętrzą się z dnia na dzień. Hiperinflacja niby opanowana, ale to ułuda, strajki robotnicze niby wyciszone, ale wyłącznie pozornie. Polska potrzebuje reform! Mniejszości narodowe domagają się uwagi! Wiesz, co się dzieje na zachodzie? Niemcy układają się z Europą w sprawie granic, a Polacy patrzą na to z głupawymi uśmiechami, myśląc naiwnie, że jak już Polska jest, to będzie zawsze. A nasi panowie ministrowie i posłowie kłócą się o bzdury i wygłaszają wydumane mowy o niczym. Tak dalej być nie powinno!

Gustaw poprosił barmana o kieliszek wódki dla siebie i towarzysza i popatrzył na Żarnowskiego.

– Próbujesz mi coś powiedzieć?



Feliks przysunął się do niego i pochylił w jego stronę.

– Tylko tyle, że marszałek ma już tego dość.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Chodzą słuchy, że sprawdza nastroje w wojsku. A wiesz, że legionieści i dowódcy pójdą za nim jak w dym. Jak tak dalej będzie, to Piłsudski rozpierniczy ten sejm i na nowo przejmie władzę w państwie.

– Co ty gadasz? Przecież nie chciał już bawić się w politykę.

– Może i nie chciał, ale okoliczności go zmusiły. Radzę ci się szybko zastanowić, po czyjej jesteś stronie, bo niedługo może być za późno.

– Mówiłem już wielokrotnie, że nie wracam do wojska. Dla mnie wojaczka skończyła się z wygnaniem bolszewików.

– I będziesz spokojnie patrzył, jak panowie z endecji drwią sobie z Polski? Nie rusza cię to? Wiem, że byłeś pod rozkazami Hallera, a jemu bliżej do Dmowskiego niż Piłsudskiego, ale wiem też, że jesteś rozsądny i umiesz myśleć. Dlatego proszę cię, żebyś we właściwej godzinie stanął po stronie tych, którzy chcą ten kraj uratować.

– Nie zapominaj, że mój brat należał do endecji.

– I zawsze wypowiadałeś się o nim krytycznie.

– To prawda, ale dobrze wiesz, że robiłem to z czystej przekory.

– Teraz jednak trzeba pomyśleć, co dalej, bo nie możemy pozwolić, żeby ten cyrk nadal trwał w najlepsze. Szkoda Polski i szkoda Polaków.

Gustaw myślał o tym, wracając do swojego mieszkania grubo po północy. Feliks próbował namówić go na powrót do wojska, bo jak przekonywał – jeśli rzeczywiście dojdzie do konfliktu wewnątrz kraju, każdy oficer może się przydać. Ale Gustaw nie chciał nawet o tym myśleć. Przede wszystkim nie zamierzał opowiadać się po żadnej stronie, nawet jeśli zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że być może marszałek Józef Piłsudski ma rację, domagając się natychmiastowego zwalczania kryzysu w sejmie. Gustaw sam

musiał przyznać, że on i jego koledzy nie takiej Polski oczekiwali, kiedy z dumą wracali z Francji, witani przez samego Naczelnika. Wtedy każdy wierzył, że Polska już nigdy nie da się stłamsić głupotą i prywatą, bo w końcu należała do obywateli, którzy mieli prawo i obowiązek o nią dbać. Największym tego wyrazem było nadanie Polkom wszelkich praw obywatelskich i możliwość głosowania w wolnych wyborach, co często podkreślała Klara Tyszkowska. Szkoda tylko, że coś, co ładnie wyglądało na piśmie, w rzeczywistości było trudne, a wręcz niemożliwe do zrealizowania.

Kiedy się wykąpał i położył do zimnego łóżka, w którym dawno już nie spał, był w stanie myśleć tylko o Rozalii i o tym, co chciałby z nią robić, gdyby miał ją teraz obok siebie.

\* \* \*

Czym był głód? Czym było więzienie? Zuzanna, zanim tu trafiła, wyobrażała sobie, że jest to coś, co w końcu uwolni ją od stanu świadomości tego, co uczyniła. Bo z całą jasnością była świadoma, że odebrała życie człowiekowi, którego kochała. Jedynemu mężczyźnie, któremu gotowa była oddać swoje serce, ciało i duszę. A później go zabiła, bo ten mężczyzna okazał się dla niej zbyt okrutny. Obraz tego nieszczęścia wciąż tkwił w niej głęboko i nie chciał zniknąć nawet po tym, jak dobrowolnie poddała się odosobnieniu w wilgotnej celi. Naiwnie myślała, że przyznanie się do zbrodni sprowadzi na nią spokój ducha i ulgę od potworności, które kotłowały się w jej głowie.

Bardzo się myliła.

Ułga nie przyszła. Nie spłynęła też na nią żadna łaska, która uciszyłaby wyrzuty sumienia. Zamiast tego pojawił się strach, beznadzieja i bezgraniczna tęsknota za córką. O Lili myślała bezustannie, choć próbowała wyprzeć ją ze świadomości, żeby nie oszaleć. Któregoś razu zaczęła wyc w celi tak głęboko

i przeraźliwie, że zdezorientowane i wystraszone strażniczki były pewne, iż więźniarka zrobiła sobie jakąś krzywdę. A jej największą krzywdą był ten rozsadzający serce ból z tęsknoty za dzieckiem, którego wyrzekła się dobrowolnie, w imię poddania się karze. Bo naiwnie myślała, że to ją uzdrowi.

Z początku wychodziła na spacerki, ale gdy promień słońca zaczął pieścić jej blade policzki, myślała już tylko o Lili. Przypominała sobie córeczkę bawiącą się w ogrodzie i taplającą rączkami w fontannie. Próbowwała wyrwać sobie ten obraz z serca, starała się skupiać myśli na czymś innym, ale to nic nie dało. Płakała więc bezgłośnie z rozpaczy, myśląc tylko o tym, że chce przytulić swoje dziecko. W końcu definitywnie zrezygnowała z wychodzenia na zewnątrz, z nadzieją, że w mrokach celi uda jej się zapomnieć. Bo przecież gdzieś musiało być zapomnienie. Jakoś chyba da się osiągnąć stan kompletnej obojętności na wszystko, co tkwiło w sercu i w duszy.

I wtedy przestała jeść. Nie znalazła innego sposobu. Tylko tak miała nadzieję zapomnieć.

Przez pierwsze dwa dni strażniczki jedynie wzruszały ramionami, widząc miskę z nietkniętym jedzeniem. Trzeciego dnia powiadomiły naczelniczkę aresztu.

– Chcesz się zagłodzić? – spytała kobieta oschłym tonem. – Co ci to da? Nie lepiej umrzeć od kuli w łeb? Szybko i bezboleśnie.

Zuzanna leżała bezwładnie na pryczy, walcząc ze skurczami żołądka.

– Chcę zapomnieć...

– O czym? Że zabiłaś tego fagasa? – Naczelniczka kucnęła przy pryczy i pochyliła się nad nią. – Po co to zrobiłaś, głupia? On nie był tego wart – wyszeptowała jej prosto do ucha.

Zuzanna zadygotała.

– Mam dziecko. Córeczkę...

Naczelniczka patrzyła na nią przez chwilę, aż wreszcie podniosła się i zwróciła do strażniczki:

– Pilnujcie, żeby dzisiaj coś zjadła. Jeśli nie, to trzeba będzie ją nakarmić siłą. Ona musi żyć.

\* \* \*

Pierwsze ostrzeżenie mecenas Paluszkiewicz dostał krótko po tym, kiedy oficjalnie przyznał na konferencji prasowej, że jest obrońcą Zuzanny Grabińskiej. List przyszedł do niego anonimowo na adres domowy; z początku Julian nie przejął się tym szczególnie, bo już wcześniej się zdarzało, że dostawał sugestie o zaniechaniu tej czy innej sprawy. Dopiero gdy pogróżki zaczęły przychodzić regularnie, a ich autor w niewybredny sposób zapewniał go, że gorzko pożałuje, jeśli nie pożegna się z obroną „tej dziwki” – jak publicznie nazywano Zuzannę Grabińską – postanowił poinformować o tym komisarza Wójcika, który zajmował się sprawą zabójstwa Lubowidzkiego.

– Może rzeczywiście powinien pan odpuścić – zasugerował komisarz, kiedy Julian pokazał mu listy. – Po co narażać własne życie dla przegranej sprawy?

– Gdybym uważał, że sprawa jest przegrana, nie wziąłbym jej.

– Więc jest pan gotowy ośmieszać się na sali sądowej, próbując udowodnić, że ta kobieta jest niewinna?

Paluszkiewicz nie krył irytacji.

– Panie komisarzu, moja obrona to moja sprawa, a pana proszę o zajęcie się tymi pogróżkami. Liczę, że znajdzie pan sprawcę, żebym mógł spokojnie pracować.

– Jak pan uważa. – Komisarz miał drwiący wyraz twarzy. – Ale ja tylko dobrze panu radzę.

Julian miał już prawie gotową linię obrony, a w jej formułowaniu bezcenna okazała się opinia psychiatry, doktora Alfreda Węglarczyka, który nie miał wątpliwości, że panna Grabińska dokonała zabójstwa w afekcie, co mogło uchronić ją

przed karą śmierci, a nawet zmniejszyć jej karę więzienia o połowę.

– Silny wstrząs, a tym samym emocje wzięły górę nad rozsądkiem tej kobiety. Przeżyła ogromną tragedię, na którą złożyła się nie tylko przymusowa aborcja, ale również odrzucenie ze strony kochanka – mówił doktor Węglarczyk, przekazując Julianowi raport z wynikami badań. – Wie pan, taka linia obrony jest bardzo chwiejna, bo łatwo ją podważyć. Ława przysięgłych może podawać to w wątpliwość.

– Ale w tym wypadku jedyna – odparł Julian.

Z komisariatu policji do kancelarii postanowił wrócić piechotą. Pogoda była ładna, a on lubił spacerować. Październikowa aura rozpieszczała przyjemną rzeźkością, a zza sunących leniwie chmur raz po raz wyglądało blade słońce. Parki i skwery pełne były spacerowiczów, a biegające alejkami dzieciaki obsypywały się w zabawie kolorowymi liści.

Julian był już prawie pod kancelarią, kiedy ujrzał wysiadającą z tramwaju pannę Adę Lubowidzką. W modnym kapelusiku i wełnianym płaszczu wyglądała uroczo, ale największe wrażenie zrobiły na nim jej zgrabne nogi obleczone w jedwabne pończoszki z czarnym szwem sunącym przez całą długość, od kostek aż po rąbek sukienki. Patrzył, jak w pantofelkach na obcasach stąpała lekko po chodniku, i nie mógł oderwać od niej wzroku. Chciał ją zawołać, przywitać się, ale nie wiedział, co miałby jej powiedzieć. Wstydził się przyznać sam przed sobą, że brakowało mu jej widoku. Chciał, żeby panna Ada wróciła do niego, żeby znów mógł słuchać jej głosu, śmiechu czy patrzeć w piękne oczy. Ale powoli uświadamiał sobie, że to było niemożliwe. Bo czy będzie w stanie traktować ją jak zwykłą asystentkę, kiedy w rzeczywistości marzył o niej jak o kobiecie? To było niezgodne z wszelką etyką pracy ani z zasadami, które sam sobie narzucał. Zresztą, panna Ada wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że mężczyźni jej nie

interesują, bo zamierza skupić się wyłącznie na studiach i ciężkiej pracy, żeby zostać dobrą prawniczką.

Zatrzymał się i poczekał, aż dziewczyna wejdzie do kancelarii, i dopiero wtedy zdecydował się sam wejść do budynku.

Pracował do późnych godzin wieczornych, zupełnie tracąc poczucie czasu; rozprawa miała ruszyć już za parę dni. Julian przeczuwał, że obrona Zuzanny Grabińskiej będzie najważniejsza w jego karierze. I jeśli zdoła uratować tę kobietę przed śmiercią, to będzie to jego największy sukces.

Z kancelarii wyszedł późnym wieczorem, kiedy po ulicach Warszawy jeździły już wyłącznie dorożki z zakochanymi.

Julian był głodny i zmęczony, ale wiedział, że w jego pięknym, wygodnym mieszkaniu nie czeka na niego nikt, z kim mógłby zjeść przyjemną kolację. Przyzwyczyił się do samotności, choć dzisiejszego wieczoru doskwierała mu wyjątkowo mocno. Może dlatego, że kilka godzin wcześniej ujrzał pannę Adę? Nie chciał o niej rozmyślać, ale mimowolnie to robił. Nadszedł październik i rok akademicki już się zaczął, więc i ona rozpoczęła naukę na uniwersytecie. Zastanawiał się, jak sobie radzi. Czy odnalazła się w nowej rzeczywistości? Dzisiaj wydawała się raczej pogodna, więc mógł wnioskować, że wszystko układa się po jej myśli. Może jednak mógłby się z nią umówić na zupełnie niezobowiązującą kolację i zapytać o studia?

Szedł pustymi, nocnymi uliczkami, w dobrze sobie znanym kierunku, nie rozglądając się wokół ani nie patrząc za siebie. Pograżony w myślach, nie dostrzegł czterech mężczyzn, którzy wyłonili się z zaułka i już od jakiegoś czasu szli jego śladem. Dopiero w ciemnym tunelu, który prowadził z jednej ulicy do drugiej, wyminęli go i zastąpili mu drogę. Jeden z nich trzymał w zębach papierosa; wypluł go, kiedy stanęli przed Julianem w równym szeregu.

Julian poczuł gwałtowny dreszcz strachu, ale nie zdążył nawet pomyśleć o ucieczce, bo pierwsza pięść z całą mocą uderzyła go

w brzuch. Zgiął się wpół, łapiąc oddech; jeden z napastników złapał go za poły płaszcz i zdzielił w żebra. Julian jęknął z bólu i upadł na bruk. W tym momencie ostre kopniaki wylądowały na jego głowie, twarzy i plecach, kiedy chaotycznie próbował się osłonić.

Sam nie wiedział, kiedy ogarnęła go ciemność.

Ocknął się w szpitalu, czując ostry ból, który z nieznośną siłą rozchodził się po jego ciele. Nie mógł się ruszyć, a do tego coś oplatało jego ręce i nogi. Dopiero po chwili zorientował się, że to bandaże.

Przy jego łóżku siedzieli Gustaw i Ada.

Kiedy zobaczyli, że się obudził, oboje wstali jak na komendę i pochyłili się nad nim, gdy otworzył jedno oko, bo drugiego nie był w stanie.

– Panie Julianie! – Ada odruchowo chwyciła go za rękę. Jak przez mgłę zobaczył, że chyba płakała. Zrobiło mu się jej żal, bo nie chciał, żeby smuciła się z jego powodu.

– Panno Ado... – Uświadomił sobie, że nawet mówienie sprawia mu ból. – Pani płacze?

– Och! – Dziewczyna pochyliła się nad nim jeszcze niżej i owionął go jej słodki, delikatny zapach. Pachniała fiołkami i czymś jeszcze... – Pan żyje!

– Więc nie jestem w raju? – spytał, siląc się na uśmiech, choć usta bolały go tak bardzo, że nie mógł nimi poruszać. – Myślałem, że tylko tam mogę spotkać tak piękną damę.

– Julian! – Ten ostrzegawczy ton należał do Gustawa. – Zapominasz się!

Adwokat z trudem odwrócił wzrok od słodkiej dziewczyny i popatrzył na jej brata.

– Przyszedłeś tu, żeby sprawdzić, czy przeżyłem? Czy postanowiłeś mnie dobić?

– Nie drwij sobie, bo w całej tej sytuacji nie ma nic śmiesznego. Ledwo przeżyłeś.

– Ale żyję...

Próbował się poruszyć, ale ból mu na to nie pozwalał. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, że jest prawie cały obandażowany. Ze wstydem pomyślał, że w oczach panny Ady musi wyglądać śmiesznie i okropnie zarazem.

– Wiadomo, kto mi to zrobił? – zapytał słabym głosem.

– Myśleliśmy, że ty nam to powiesz. Pamiętasz cokolwiek? Jakiś rysopis?

– Nie... Było ciemno. Wiem tylko, że było ich czterech.

Usłyszał, jak panna Lubowidzka gwałtownie wciąga powietrze.

– Coś mówili? – pytał Gustaw.

– Nie, ale... – Julian próbował zaczerpnąć głębiej powietrza, choć trudno mu było oddychać. – Wcześniej zgłosiłem komisarzowi Wójcikowi, że ktoś mi groził. Dostawałem anonimy z pogrózkami. To miało związek ze sprawą Zuzanny. Ktoś chciał, żebym to zostawił.

– Mogłem się tego domyślić – mruknął Gustaw, wyraźnie poirytowany. – Proces zaczyna się za tydzień. Do tej pory nie zdążysz wyzdrowieć. Musimy zrobić coś, żeby odroczyć rozprawę.

Julian stęknął. Próbował się podnieść na łóżku, ale nadaremnie, bo gwałtowny ból przeszył całe jego ciało.

– Zdążę – mruknął, oddychając z trudem. – Choćbym miał pójść do sądu cały w bandażach. Ktoś zrobił to celowo, żeby do obrony nie doszło, więc sąd i ława przysięgłych powinni o tym wiedzieć. Prasa też.

– Nie możesz chodzić.

– Więc pojedę na wózku, do cholery!

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego – odparł Gustaw ponurym głosem. – Ktoś włamał się do twojego biura w kancelarii... Skradziono szkic obrony. Poza tym Zuzanna... Jest w kiepskim stanie. Głodziła się. Doszło do zaburzenia pracy serca i nerek. W areszcie próbowano karmić ją na siłę i to pogorszyło sprawę.

– Mój Boże...



– Julian, musisz wystarać się o pozwolenie, żebym mógł do niej pójść. Muszę ją zbadać.

– Sędzia Dobrowolski... Tylko on może wyrazić zgodę. Napiszę do niego pismo, a ty mu je zanieziesz. A co do kradzieży... To nie ma znaczenia. Wszystko mam w głowie.

– Pamiętaj, że nieźle ci w nią nawtykali – mruknął Gustaw, siląc się na żart.

Julian przymknął oko. Wiedział, że całą twarz ma spuchniętą – czuł to. Pomyślał, że odkąd poznał pannę Adę, wiecznie od kogoś obrywa, a ona ogląda go w tak nieprzychylnym świetle. Zresztą, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Przecież i tak nie była dla niego.

Odwrócił głowę i popatrzył na nią. Długie włosy tak pięknie okalały jej twarz.

– Julian... – To był głos Gustawa; docierał do niego jakby z daleka, bo nagle Julian znowu poczuł się dziwnie zmęczony. – Dziękuję, że zająłeś się tą sprawą i... Przepraszam.

\* \* \*

Październikowy wieczór był bardzo chłodny. Nad lasem zawisła gęsta mgła, a rześkie powietrze przeszywało zimnem. Gdzieś w oddali, w gęstej ciemności, żałośnie zawodził jakiś ptak.

Rozalia spacerowała po uśpionym ogrodzie, otulona płaszczem. Wsłuchiwała się w odgłosy jesiennego wieczoru, oddychała wilgotną wonią powietrza. Jej buty zatapiały się w podmokłym listowiu, którego ogrodnik nie zdążył zagrabić. Szukała wytchnienia, ulgi, ukojenia zmysłów, ale nie mogła go odnaleźć. Była roztrzęsiona i czuła się głęboko osamotniona. Nie wiedziała, jak dalej postępować z dzieckiem, które za wszelką cenę próbowała chronić, a które niknęło w oczach z tęsknoty za matką. Rozalia powoli zaczynała rozumieć, że krzywda, którą teraz odczuwała Lili, była gorsza od zimna i głodu, których

doświadczyla w przytułku dla bezdomnych. Tam była w stanie wytrzymać wszystko, bo była z mamą. Teraz została sama.

Każdy dzień był dla Rozalii wyzwaniem. Już dwa razy musiała zmagać się z przedstawicielami sierocińca, którzy próbowali odebrać jej Lili, tłumacząc się troską o jej osobisty święty spokój. Ale Rozalia nie chciała świętego spokoju. Chciała, żeby dziewczynka znów czuła się szczęśliwa i bezpieczna. Żeby odnalazła w sobie radość, która ulotniła się w niej z chwilą aresztowania Zuzanny. Najpierw cierpliwie, a później w gniewie tłumaczyła urzędnikom, że nie odda dziewczynki, bo ma tymczasową zgodę matki na opiekę nad dzieckiem. Mimo to bezustannie bała się, że ktoś zechce jej odebrać Lili siłą. Gazety w okrutny sposób rozprawiały się z Zuzanną, nie zostawiając na niej suchej nitki, nazywając przy tym Lili bękartem. Prokurator Stanisław Florczak udzielił „Kurierowi Codziennemu” wywiadu, w którym wyraźnie mówił, że oskarżona gra dzieckiem, żeby wzbudzić litość, a w rzeczywistości jest zdemoralizowaną, upadłą kobietą bez zasad, która psuje klimat w społeczeństwie. Dodał również, że takie elementy trzeba jak najszybciej usuwać, tak jak ropiejący wrzód usuwa się ze zdrowej tkanki.

Lili o tym nie wiedziała, ale doskonale wyczuwała, że coś jest nie tak. Domyślała się, że jej mamę spotkało coś bardzo złego, i przeżywała to mocno każdego dnia. Zaledwie godzinę temu zapłakana zasnęła w ramionach Rozalii i to rozstroiło kobietę do tego stopnia, że postanowiła pójść do ogrodu odetchnąć świeżym powietrzem.

– Dlaczego chodzisz sama nocą, w dodatku w takie zimno? – Znajomy męski głos wyrwał ją z zamyślenia.

– Gustaw? – Odwróciła się i zobaczyła go stojącego w cieniu rozłożystego platanu.

Nie spodziewała się Gustawa, ale na jego widok serce zabiło jej dwa razy mocniej. Wiedziała, że od trzech dni jest w Warszawie,

ale że przebywa w szpitalu u Juliana Paluszkiewicza, próbując przed procesem przywrócić mecenasa do życia.

– Julian czuje się lepiej, więc pomyślałem, że... Może zechcesz się ze mną zobaczyć. Nie chciałem czekać do jutra.

– A jak Zuzanna?

Pokręcił głową.

– Nie dopuścili mnie do niej. Ale był u niej inny lekarz i podobno czuje się lepiej.

Rozalia podeszła do niego wolnym krokiem. Wciąż czuła pewien opór przed tym, żeby otwarcie paść mu w ramiona, choć tego właśnie pragnęła w tej chwili.

Patrzył na nią z nikłym uśmiechem. W pierwszym odruchu wyciągnął rękę i pieszczotliwie dotknął dłonią jej zmarzniętego policzka, ale chwilę później przyciągnął ją gwałtownie i pocałował.

– Brakowało mi ciebie – wyszeptał gorączkowo, z ustami przy jej ustach.

Wtuliła się w niego z narastającą ufnością, choć drżała z zimna i emocji.

– Cieszę się, że nie czekałeś do jutra.

Zamierzała powiedzieć mu o Lili. O wszystkich swoich obawach i dręczącym ją poczuciu bezsilności. O tym, że boi się o dziewczynkę i o Zuzannę. Ale najpierw chciała zanurzyć się w jego ramionach i doznać zapomnienia.

Gustaw przyznał, że czuje się zmęczony, bo większość czasu po przyjeździe do Warszawy spędzał w szpitalu u Juliana i teraz chętnie wziąłby kąpiel.

– Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko – rzekł. – Nie chciałbym twojego wyczulonego nosa narażać na nieprzyjemności, zwłaszcza że ty... Pachniesz tak kusząco.

– Myślę, że coś na to zaradzimy. Jestem przecież ekspertką od zapachów.

Przygotowała mu kąpiel we własnej łazience i chciała zostawić go tam samego, ale złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do

siebie.

Wciągnęła głęboko powietrze, patrząc mu w oczy. Wokół unosiła się aromatyczna woń olejków: paczuli, kardamonu i sandałowca.

– Nie zostawiaj mnie – wyszeptał, zatapiając usta w zagłębieniu jej szyi.

Westchnęła, kiedy zręcznymi palcami odpiął guziki jej bluzki i zsunął z bioder spódnice. Później to samo zrobił z bielizną, aż stanęła przed nim zupełnie naga.

– Chcę na ciebie patrzeć, dotykać cię... Chcę się z tobą kochać.

Ona też tego chciała. Tak bardzo, że w drzeniu nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Każdy jego dotyk był jak spełnione marzenie kobiety, która przez lata zdążyła zapomnieć o własnych pragnieniach, a wielu innych nie zdążyła odkryć.

Bez wahania wziął ją na ręce i zaniósł do parującej od aromatów kąpieli.

Kiedy znalazła się w wodzie, odchyliła głowę i spod wpół przymkniętych powiek patrzyła, jak pozbywał się ubrania.

Był piękny. Tak męski, że czuła, jak jej ciało reaguje na sam jego widok nieznośnym pulsowaniem tam, gdzie chciała go poczuć najbardziej. Kiedy dołączył do niej w wannie, przeszył ją rozkoszny dreszcz.

Najpierw obmywał jej ciało powoli, delikatnie, wzmagając doznania pieszczotą ust, aż rozchylił jej uda i zanurzył się w niej gwałtownie, a ona objęła nogami jego biodra i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Woda z wanny chlusnęła na alabastrową posadzkę, kiedy zaczął poruszać się w niej gwałtownie, oddychając szybko i spazmatycznie. Poddawała się jego ruchom, czując, jak jej ciało dopasowuje się do jego ciała.

Później leżeli w jej łóżu, wtuleni w siebie jak para zakochanych. Rozalia myślała, że niewiele jej brakuje, żeby czuć się zakochaną, bo to, co działo się z nią, kiedy Gustaw był tak blisko, było stanem dotąd jej nieznanym. Złapała się na tym, że zastanawia się, czy

Zuzanna czuła to samo w ramionach Ignacego. Ten cudowny spokój i zespolenie. Tę harmonię, która następowała po gwałtownej burzy zmysłów.

– Co u Lili? – zapytał Gustaw, kiedy prawie przysypiała, ukołysana jego zapachem.

– Ciągle płacze, tęskni.

Pocałował ją w skroń.

– Najważniejsze, że ma ciebie.

– Nie radzę sobie z nią, Gustaw. Ona potrzebuje matki. Nigdy nie zastąpię jej Zuzy.

– Ale świetnie sobie radzisz, próbując...

Westchnęła. Odwróciła się twarzą do niego i spojrzała mu w oczy.

– A ty? Wszystko załatwiłeś w Brześciu?

– Nie zdążyłem sprzedać mieszkania, bo Ada napisała mi o Julianie.

– Więc kiedy tam wrócisz?

– Na razie zostanę tutaj. Z wami.

– A Brześć?

– Jeśli ci się znudzę, zawsze mogę wyjechać – mruknął. – Chociaż wolałbym być z tobą... Już zawsze.

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, a ona nagle zeszywniała, jakby doszukując się w jego słowach drugiego dna. Przecież nie mógł mieć na myśli tego, że chciałby się z nią ożenić. Chyba wiedział, że ona nigdy się na to nie zgodzi.



## ROZDZIAŁ 19

Rozalia nie była przygotowana na to, że widok Zuzanny w sądzie aż tak nią wstrząśnie. Z trudem powstrzymała jęk rozpacz, ale ostatecznie nie udało jej się stłumić łez, które gwałtownie napłynęły jej do oczu. Gustaw zareagował podobnie, bo w pierwszej chwili, kiedy policjanci wprowadzali oskarżoną, która chwiała się na nogach, wyraźnie osłabiona, raptownie podniósł się z ławki, jakby chciał do niej podbiec. Powstrzymał się jednak, napotykając ostre spojrzenie prokuratora Florczaka.

Trudno było w złamanej, skulonej postaci, zasiadającej na ławie oskarżonych dopatrzeć się niedawnej urody Zuzanny. Była chuda, zgarbiona, z ziemistą cerą; jej twarz, zamiast bujnych niegdyś loków, okalały suche strąki. Wciąż ubrana była w tę samą sukienkę, którą dostała od Rozalii i w której udała się do prokuratora Florczaka poinformować go, że to ona zabiła Ignacego Lubowidzkiego. Sukienka wyglądała jednak czysto i schludnie, więc ktoś wyraźnie postarał się o wypranie jedynej osobistej odzieży, jaką kobieta miała. Siedziała na ławce pomiędzy dwoma policjantami, wraz z mecenasem Julianem Paluszkiewiczem. Ten przybył do sądu o kulach, bo wciąż nie mógł samodzielnie stawać. On również prezentował się groteskowo, z twarzą jeszcze nieco opuchniętą, mieniącą się wszelkimi kolorami, głównie żółtym i sino-fioletowym. Prokurator Florczak w pierwszej chwili stanowczo zaprotestował, żeby Paluszkiewicz w takim stanie

wszedł na salę sądową, ale sędzia Dobrowolski uznał, że skoro mecenas zdecydował się brać udział w rozprawie, to on nie ma nic przeciwko.

– Ta kobieta – grzmiał prokurator w stronę ławy przysięgłych, wskazując palcem na Zuzannę – 18 marca 1924 roku z zimną krwią zastrzeliła wspaniałego człowieka, patriotę, filantropa i posła Związku Ludowo-Narodowego, Ignacego Lubowidzkiego. Zrobiła to na ulicy, nie bojąc się kary, której unikała przez ponad rok, ukrywając się przed organami sprawiedliwości. Ta kobieta! Matka! Która powinna być wzorem wszelkich cnót i moralną ostoją naszego narodu, bez skrupułów zabiła, za nic mając prawo, poszanowanie życia i boskie przykazania. W swoim prymitywizmie bez wstydu oddawała swoje ciało, domagając się za to korzyści majątkowych, a przypominam, że prostytutka w Polsce jest zakazana!

– Sprzeciw! – Mecenas Paluszkiewicz wstał z ławy, choć widać było, że każdy ruch sprawiał mu ból. – Wysoki sędzie, moja klientka nigdy nie parała się nierządem.

Sędzia Dobrowolski przychylił się do sprzeciwu obrony, ale prokurator Florczak nie dawał za wygraną.

– Nie jest już tajemnicą, że panna Grabińska była utrzymanką posła Ignacego Lubowidzkiego. Za swoje lubieżne usługi życzyła sobie pieniędzy, które pan poseł wypłacał jej, chcąc uniknąć szantażu.

– Sprzeciw! Moja klientka jest matką córki Ignacego Lubowidzkiego. To na utrzymanie dziewczynki poseł wypłacał Zuzannie Grabińskiej pieniądze.

Prokurator Florczak wyraźnie nie przejął się sprzeciwem Paluszkiewicza, bo wciąż wbijał oskarżycielski wzrok w Zuzannę. Ona zdawała się tego nie widzieć; przez cały czas miała spuszczoną głowę. Nie patrzyła na zebranych. Zupełnie jakby nie do końca była świadoma tego, że siedzi na ławie oskarżonych, przed obliczem sądu.



– Cokolwiek mecenas Paluszkiewicz będzie próbował udowodnić, muszą państwo wiedzieć, że nie ma najmniejszych wątpliwości, kto dokonał tej zbrodni. Jaki był motyw? Zazdrość. Niespełniona miłość. Prymitywna, niespełniona żądza, którą kierowała się oskarżona. Ale ta sprawa ma jeszcze drugie dno, bo obnaża zgniliznę, jaka trawi nasz naród! Oto kobieta upadła w swoim grzechu dokonuje gwałtu na polskiej, katolickiej rodzinie! Obraża święty sakrament małżeństwa i wystawia inną kobietę, w tym przypadku żonę zamordowanego, na pośmiewisko! To niedopuszczalny triumf zła i zepsucia! W Polsce nie może być miejsca dla takich ludzi! Polska rodzina ma prawo czuć się bezpieczna, nienarażana ze wszech stron na gwałt, nierząd i zepsucie! Polskie dzieci mają prawo mieć kochające matki, które nie będą musiały dźwigać piętna kobiet zdradzonych, bo ich mężowie nie zostaną zwiedzeni na pokuszenie!

– Sprzeciw! – zagrzemiał Paluszkiewicz. – Żona posła Lubowidzkiego, pani Rozalia Lubowidzka, nie jest matką. Przypomnę, że matką córki Ignacego Lubowidzkiego jest oskarżona, Zuzanna Grabińska.

– Wysoki sędzie, szanowni przysięgli, mecenas Paluszkiewicz próbuje udowodnić, że oskarżona Zuzanna Grabińska urodziła dziecko Ignacego Lubowidzkiego. Otóż nigdy nie udowodniono, że mała Lilianna Grabińska jest córką nieżyjącego posła. Kobieta pokroju oskarżonej, handlująca swoim ciałem, może mieć problem z ustaleniem, kto jest ojcem jej dziecka. A poseł Lubowidzki nigdy oficjalnie ojcostwa nie uznał. Łatwo więc zauważyć, że zapewnienia oskarżonej, jakoby jej córka była również córką pana Lubowidzkiego, są co najmniej niepoważne i mało prawdopodobne.

– Sprzeciw! – Rozalia gwałtownie wstała i śmiało popatrzyła w twarz prokuratora Florczaka. – Mogę potwierdzić, że Lilianna Grabińska jest córką mojego zmarłego męża. Każdy, kto spojrzy na to dziecko, nie będzie mieć wątpliwości.

Na sali rozpraw wybuchła wrzawa.

Prokurator Florczak z poważną miną skinął głową w stronę Rozalii.

– Szanowna pani, rozumiem, że czuje się pani upokorzona tą sytuacją, ale proszę nie zapewniać sądu o coś, czego nie jest pani do końca pewna.

– To nie upokorzenie zmusza mnie do tego wyznania, a prawda.

– Natychmiast proszę o ciszę. Prokuratorze, proszę kontynuować – rzekł sędzia, nakazując gestem, żeby prokurator wrócił do swojej mowy.

– Dziękuję, wysoki sędzie. Na zakończenie muszę dodać, że zapewne nikt z tu obecnych nie ma wątpliwości, że oskarżona Zuzanna Grabińska dokonała zamachu ze skutkiem śmiertelnym na posła Ignacego Lubowidzkiego. Do zabójstwa przyznała się sama, zapewniając, że pozbyła się narzędzia zbrodni, wrzucając pistolet do Wisły. Zbrodni dokonała z zimną krwią, planując ją dokładnie krok po kroku, a po wszystkim uciekła z miejsca zdarzenia, chowając się przed organami ścigania.

– Sprzeciw! – krzyknął mecenas Paluszkiewicz. – Moja klientka nigdy nie ukrywała się przed policją. Do momentu przyznania się Zuzanny Grabińskiej do winy nikt z policji jej nie niepokoił i nie wzywał na przesłuchanie. Była poza kręgiem podejrzanych.

– Przychylam się do sprzeciwu mecenasa Paluszkiewicza – rzekł sędzia. – Dopóki panna Grabińska nie przyznała się do dokonania zbrodni, oskarżaliście o to Dmytra Senyka.

– Nie zmienia to faktu, że zabójstwa na wspaniałym człowieku i polskim obywatelu dokonała Zuzanna Grabińska! – To mówiąc, prokurator Florczak spojrzał na oskarżoną. – W związku z tym domagam się najwyższego wymiaru kary, jaką jest śmierć.

W sali sądowej podniosły się głosy. Większość przychyliła się do zdania prokuratora, skandując, że za śmierć jedyną sprawiedliwością jest śmierć. Niektóre słowa kierowane w stronę Zuzanny były pełne pogardy i szyderstwa. Padały niecenzuralne

wyzwiska i podłe oszczerstwa, niemające nic wspólnego ze sprawą.

– Bez wstydu! Morderczyni!

– Kurwa!

– Pewnie nie pamięta, kto jej bękarta zrobił!

Rozalia bała się spojrzeć na Zuzannę. Ona sama miała wrażenie, że jeszcze chwila i zacznie wrzeszczeć od nadmiaru złych emocji. Te wulgarne, szydercze głosy słyszała w głowie jeszcze długo po tym, jak opuściła już salę sądową w towarzystwie Gustawa. Na szczęście na tyłach sądu czekał na nich samochód otoczony szczelnym kordonem policji, mającym odgradzać ich od napastliwych dziennikarzy.

Postanowili pojechać do restauracji na przedmieściach, zjeść tam obiad i porozmawiać w spokoju, z dala od ciekawskiego tłumu. W pierwszej chwili Rozalia chciała natychmiast wrócić do domu, do Lili, ale Gustaw przypomniał jej, że dziewczynka jest bezpieczna w Konstancinie pod opieką ciotki Klary.

– Musisz ochłonąć. Odreagować. Inaczej Lili bez trudu się domyśli, że dzieje się coś złego.

Rozalia przyznała mu rację.

Gustaw przez cały ten czas nie dotknął jej ani razu, ale wyczuwała jego bliskość i to dodawało otuchy. Nawet wówczas, jak niespodziewanie do niewielkiej restauracji, w której się zatrzymali, wkroczył prokurator Stanisław Florczak w towarzystwie pośła Maksymiliana Żółkowskiego.

– Cóż za piękny widok – rzekł prokurator, podchodząc do nich. – Jak miło, doktorze, że z takim oddaniem opiekuje się pan wdową po zmarłym bracie.

Gustaw nie odpowiedział od razu, ale Rozalia zauważyła, że nagle stał się czujny.

– Nie powinno to pana dziwić ani obchodzić – odparł chłodno.

– I nie dziwi. Pani Lubowidzka to atrakcyjna kobieta. – To mówiąc, Florczak prześliznął wzrokiem po bliźnie na jej twarzy. –

Prawie bez skazy.

Gustaw gwałtownie podniósł się z miejsca.

– Czy to zbieg okoliczności, że postanowili panowie w tym samym miejscu zjeść obiad?

– Niekoniecznie – odparł Żółkowski, przysiadając się do stolika.

– Pan prokurator i ja postanowiliśmy zamienić z wami kilka słów. Oczywiście dotyczą one sprawy zabójstwa Ignacego.

– Znowu coś się zmieniło? Wyszły na jaw nowe fakty? – dopytywała Rozalia z wyraźną drwiną w głosie, próbując ukryć tym zdenerwowanie.

– Otóż nie, szanowna pani – zwrócił się do niej prokurator. – Wyobrażam sobie, jak trudno jest pani znosić tę przykrą sytuację. Najpierw rozprawa Senyka, teraz ta kobieta. To dramatyczna sytuacja i wszyscy szczerze pani współczujemy...

– Proszę jaśniej – przerwała mu Rozalia obcesowo. – Im szybciej skończymy tę pogawędkę, tym szybciej będę mogła zjeść obiad. A nie ukrywam, że jestem głodna.

– No cóż, rzeczywiście charakteru pani nie brakuje – wtrącił się poseł Żółkowski, bezwstydnie lustrując Rozalię wzrokiem. – Ignacy wspominał o pani temperamencie.

– Mnie o panu nic nie wspominał.

– Pani nieoczekiwane wystąpienie na sali sądowej było niepotrzebne – oświadczył prokurator – a wręcz szkodliwe. Prosiłbym, żeby więcej pani tego nie robiła, a jeśli ma pani coś do powiedzenia, to wpraw proszę przedyskutować to ze mną.

– Chodzi panu o wygłoszenie oczywistości, której pan zaprzecza?

– Wie pani, o co mi chodzi! – warknął mężczyzna.

– Lilianna Grabińska jest córką Ignacego. To fakt.

– Do tej pory nikt tego nie udowodnił. I proszę, żeby pani też zaniechała wszelkich prób udowodnienia tego. Chyba nie muszę przypominać, że jest pani wdową, więc w pani interesie leży, żeby oskarżona została skazana.

– Znam swój status, szanowny panie, i podobnie jak pan też pragnę sprawiedliwości. Dlatego liczę, że wyrok będzie adekwatny do popełnionego czynu, biorąc pod uwagę fakt, jakim człowiekiem był mój mąż i do czego zmusił kobietę, która go zabiła.

– Pani ze mnie drwi?

– Ależ skąd, prokuratorze. Mówię tylko, jak jest. – W tym momencie poczuła, że czyjaś ręka pod stołem zaciska się boleśnie na jej udzie. Znieruchomiała. Przypomniała sobie taki dotyk. Taki ból. Coś sparaliżowało ją od środka i nie mogła się poruszyć.

Żółkowski patrzył na nią z kamienną powagą, coraz mocniej zaciskając na niej palce. Czuła, że z obrzydzenia robi jej się niedobrze, ale bała się zareagować, żeby nie prowokować Gustawa.

– Pani Rozalio – zwrócił się do niej uprzejmym tonem Maksymilian. Ból był już tak nieznośny, że z trudem tłumiła w sobie jęk. – Podobno opiekuje się pani dzieckiem oskarżonej. Czy to nie jest zbyt daleko idąca łaska?

Odchrząknęła, próbując uwolnić udo z jego uścisku.

– Zuzanna Grabińska poprosiła mnie o opiekę nad dzieckiem. Mam na to pismo.

– Słowo oskarżonej niewiele w tej chwili znaczy, a dziewczynka powinna być tam, gdzie jej miejsce, czyli w sierocińcu.

– Nie zrobicie tego! – wycedził Gustaw, wyraźnie tracący cierpliwość. – Mamy prawo do opieki nad Lilianną!

– I niech tak zostanie – rzekł prokurator uprzejmym tonem. – Proszę jednak pamiętać, że to się może zmienić, więc w pani interesie leży, żeby Zuzanna Grabińska dostała właściwy wyrok.

– Uściślając, pamiętaj państwo, że Ignacy był człowiekiem partii, jej szanowanym członkiem. Pewne kręgi próbowały zaburzyć ten wizerunek, ale to się nie powtórzy.

Żółkowski niespodziewanie rozluźnił uścisk, a Rozalia poczuła łzy pod powiekami. Nie patrzyła na mężczyznę. Nie patrzyła też na Gustawa, bo ten szybko zorientowałby się, że coś jest nie tak.

Prokurator i poseł niespodziewanie wstali ze swoich miejsc.

– Życzymy smacznego i... widzimy się na kolejnej rozprawie.

Dopiero gdy mężczyźni wyszli z restauracji, Rozalia spostrzegła, że drży. Na udzie czuła ból. Przeszywający. Osłabiający jej wolę. Brutalny.

\* \* \*

Julian był szczerze zdumiony, kiedy w drzwiach swojego mieszkania zobaczył Rozalię Lubowidzką.

– Co pani tu robi? Jest późny wieczór! Przyjechała pani sama?

Przytaknęła, wchodząc do mieszkania. Julian poczuł woń odurzających perfum. Jedną ręką usłużnie pomógł jej zdjąć płaszcz i wziął wilgotny od mgły kapelusz, bo drugą podtrzymywał kule.

– Przyjechała pani z Konstancina? To daleko jak na tak późną porę.

Z zacięciem rozejrzała się po wnętrzu okazałego mieszkania.

– Proszę się nie martwić. Zatrzymałam się w hotelu.

– Z Gustawem?

Zerknęła na niego, unosząc brwi.

– Przeszkadza to panu?

– Ależ skąd – odparł szybko. – To nie moja sprawa. Przepraszam.

Wolno przeszła przez korytarz, stukając obcasami pantofli, i weszła do niewielkiego salonu. Był gustowny i elegancki, ale jakby bez życia. Wszystko było idealne, równe, nietknięte. Mieszkający tu mężczyzna nie miał czasu bądź ochoty, by przestawić cokolwiek. To mieszkanie było jak muzeum.

– Widać, że mieszka pan sam.

– Niestety – odparł. Wspierał się na kulach, więc powoli zaczęły mu omdlewać ramiona. – Pozwoli pani, że usiądę... – stęknął,

ostatni wyraz zatapiając w grymasie bólu.

– Oczywiście. Widzę, jak się pan męczy. Przykro mi, że to pana spotkało.

– Skutek uboczny mojego zawodu.

Rozalia wciąż krążyła po pokoju, zostawiając za sobą mgiełkę zapachu, a Julian patrzył na nią z rosnącym zainteresowaniem. Była powabną i subtelną kobietą, ale było też w niej coś, co zdradzało wewnętrzną siłę – jakiś nerw w jej twarzy, ściśnięcie ust, błysk w kobaltowych oczach.

Zatrzymała się przy komodzie, na której stała ślubna fotografia Juliana i Amelii.

– Była piękna ... – wyszeptała, biorąc zdjęcie do ręki i wpatrując się w oblicze panny młodej.

– Nawet bardzo – przyznał Julian.

– Wciąż pan za nią tęskni?

Wzruszył ramionami.

– Staram się żyć dalej. Ona odeszła wraz z dzieckiem. Ja... Zostałem. Muszę to jakoś znosić.

– Myśli pan, że... – Spuściła głowę. – Gustaw bardzo ją kochał?

– Myślę, że nie powinniśmy o tym rozmawiać, bo sama taka myśl jest dla nas nieznośna.

Rozalia nie skomentowała jego słów, ale ostrożnie odłożyła zdjęcie na miejsce.

– On nigdy o niej nie mówi, jakby wspomnienia sprawiały mu ból.

– Raczej nie ma już wspomnień. Wymazał ją z pamięci.

– Tak pan myśli?

– Między nimi nie było prawdziwej namiętności. Ot, para dzieciaków, która została sobie przyrzeczona. Nic więcej.

– To podobnie jak ja i Ignacy – rzekła z goryczą. – Tylko że ja byłam jeszcze dzieckiem, a on dojrzałym mężczyzną.

Ku zdumieniu Juliana bez zażenowania podeszła do barku i naląła sobie lamkę wina.

– Pozwoli pan? – zapytała, kiedy wino już prawie dotykało jej ust.

– Oczywiście. Przykro mi, że nie ja panią obsłużyłem.

Rozalia uśmiechnęła się wymownie.

– Ciocia Klara nauczyła mnie samodzielności w tej kwestii. Pan również się napije?

– Odrobinę poproszę.

Nalała mu wina i podała. Czuł się niekomfortowo w tej sytuacji, bo wiedział, że dobre wychowanie wymagało, aby to on usłużył pani Lubowidzkiej. Ale nie był w stanie znowu wstać o kulach. Wciąż bolało go całe ciało, a nogi miał jak z waty. Po tylu godzinach spędzonych w sądzie czuł się niemal martwy.

– Czy wyjaśni mi pani, w jakiej sprawie do mnie przyszła?

Znowu upiła łyk wina.

– Czy wie pan, kto pana napadł? Ma pan jakieś podejrzenia?

– Ludzie wynajęci przez partię. Być może jedna z bojówek, które opłacał Ignacy.

– Dlaczego to zrobili?

– Bo endecja idzie na dno. I boją się, że zła sława Ignacego pociągnie ich tam jeszcze szybciej.

– Nie znam się na polityce, ale... Czy to możliwe?

– Nie tylko możliwe, ale najbardziej prawdopodobne. Senyk był dla nich idealnym oskarżonym. Obcy element na łonie polskiego nacjonalizmu, podnoszący rękę na przedstawiciela elit. To wymarzona kampania dla partii. Ale wszystko legło w gruzach za sprawą Zuzanny Grabińskiej.

– A te kobiety, które zeznawały? Przecież też mocno zaszkodziły reputacji Ignacego. Co się z nimi stało?

– Nie słyszała pani? – Skrzywił się. – Fakt, o tym w gazetach nie pisano. Pismaki piszą przecież na polecenie różnych partii. Otóż siostra Senyka podobno gdzieś wyjechała, nikt nie wie gdzie. Zapadła się pod ziemię. A kelnerkę parę tygodni temu znaleziono martwą w Wiśle. Policja ogłosiła, że to samobójstwo.



– A Senyk?

– Wciąż czeka na wyrok. Trudno udowodnić mu teraz cokolwiek, co mogłoby być spektakularnym przedstawieniem dla głodnej wrażeń i krwi gawiedzi.

– Ale jest Zuzanna – rzuciła Rozalia z goryczą. – Nad nią pastwią się bez litości. Czytał pan nagłówki gazet? Słyszał pan te okrzyki w sądzie?

Julian przez chwilę patrzył na nią z powagą. Bez trudu dostrzegł, że to, o czym mówiła, bardzo ją dotykało.

– Pani ma dla niej litość. Od początku okazywała jej pani serce.

– Podobnie jak pan. Wiem, co przeżyła. Przez co przeszła... – Spojrzała mu prosto w oczy i Julian po raz pierwszy dostrzegł w nich ból tak potężny, że aż nim to wstrząsnęło. Nie tylko blizna na jej twarzy była świadectwem jej życia z Ignacym. Ona miała ich więcej – na ciele i duszy. Mnóstwo niezabliźnionych ran, z których wciąż sączył się jad do jej kruchej wrażliwości.

– Podczas kolejnej rozprawy chciałabym zeznawać – rzekła nagle drżącym głosem. – Przeciwno mojemu mężowi.

– To może być dla pani trudne i... niebezpieczne.

Widział, jak nerwowo zagryzła wargi.

– Zaryzykuję. Nie pozwolę, żeby ten sukinsyn unicestwił tę kobietę.

– Ona go zabiła.

Rozalia przytaknęła niemo. Z jej oczu niespodziewanie spłynęły łzy.

– Ale zamiast niej to mogłam być ja.

\* \* \*

Gustaw z bijącym sercem patrzył, jak Rozalia szła w stronę sądowej mównicy. Ludzie zebrani na sali rozpraw zamilkli, jakby i oni nie dowierzali temu, co się właśnie wydarzyło. Nikt nie spodziewał się zeznań wdowy. Nikt ich nie oczekiwał. Każdy

głośno wyrażał swój szacunek do żony Ignacego Lubowidzkiego i nikomu nie przyszłoby na myśl, żeby obrazić ją choć jednym słowem. Była przecież wdową. Żoną człowieka bez skazy. Cała jej reputacja opierała się na jego reputacji.

Gustaw wiedział, że to się za chwilę zmieni, i ze ściśniętym gardłem słuchał, jak składa przyrzeczenie, że zobowiązuje się mówić tylko prawdę.

Zuzanna nie spojrzała na Rozalię ani razu, jakby tkwiła w dziwnym letargu. Jakby nie była świadoma tego, co się za chwilę może wydarzyć. Gustaw powoli zaczynał myśleć, że być może tak jest, bo nieświadomość była skutkiem ubocznym głodówki.

Pytania jako pierwszy miał jej zadawać Julian Paluszkiewicz.

– Pani Lubowidzka, przez ile lat była pani żoną pośła Ignacego Lubowidzkiego?

– Pięć lat.

– Jakie to było małżeństwo?

– Sprzeciw! – Prokurator Florczak wstał z ławy. – To pytanie nic nie wnosi do sprawy.

– Oddalam sprzeciw – oświadczył sędzia.

Mecenas Paluszkiewicz powtórzył pytanie.

– To małżeństwo było koszmarem – odpowiedziała Rozalia beznamiętnym tonem.

– Kłamstwo! – Ten okrzyk dobiegł gdzieś z końca sali.

Gustaw odwrócił się i ujrzał swoją matkę, stojącą ponad innymi zebranymi. Była upiornie blada, a czarna sukienka jeszcze tę bladość podkreślała. Zdziwił się jej widokiem, bo nie wiedział, że przyjechała do Warszawy na rozprawę.

– Szanowna pani, proszę usiąść i nie przerywać wypowiedzi świadka – upomniął ją sędzia.

Gustaw ponownie spojrzał na Rozalię. Ona nie wykazywała żadnych emocji, jakby założyła na twarz zimną, nieprzeniknioną

maskę. Przypomniawszy sobie, że dokładnie tak wyglądała, kiedy zobaczył ją ponad rok temu, po przyjeździe na pogrzeb Ignacego.

– Co to znaczy, że pani małżeństwo z Ignacym Lubowidzkim było koszmarem? – zapytał Paluszkiewicz.

– Mój mąż przez większą część małżeństwa bił mnie, gwałcił i więził w swojej rodzinnej posiadłości w Kargominie. Wielokrotnie wyrzucał mnie zimą z domu na mróz, w samej koszuli nocnej, żeby nauczyć mnie... posłuszeństwa. A później wzywał księdza proboszcza, żeby odprawił nade mną... modły.

– Kłamstwo! – dobiegł skowyczący wrzask Leokadii Lubowidzkiej. – Ta bezbożnica kłamie! To perfidna manipulacja!

– Szanowna pani Lubowidzka, proszę się uspokoić, bo nakazę wyprowadzić panią z sali – upomniał sędzia. – A panią ostrzegam, że zeznaje pani pod przysięgą – rzekł, zwracając się do Rozalii.

– Jestem tego świadoma, wysoki sędzie.

– Proszę dokończyć to, co chciała pani powiedzieć – zachęcił ją Paluszkiewicz poważnym tonem.

– Mój mąż był okrutnym człowiekiem. Swoją siłę wykorzystywał przeciwko mnie zawsze wtedy, kiedy przyszła mu na to ochota. Biciem zmuszał mnie do uległości, a gwałtem próbował spółdzić ze mną dziecko. Kilkakrotnie wzywano do mnie lekarza, kiedy pobił mnie tak, że traciłam przytomność.

Szepty na sali przybierały na sile. Zdumienie mieszało się z oburzeniem. Ktoś zaczął szlochać.

Gustaw przysłuchiwał się słowom Rozalii, czując, że wszystkie mięśnie ma napięte do granic wytrzymałości. Był pewien, że jeśli usłyszy jeszcze jedno, nie zniesie dłużej tych okropności. Brutalność jej zeznań biła go po twarzy, bezlitośnie chłostała jego ciało. Czuł się obolały i bezbronny pod ciężarem tego, co jego brat uczynił kobiecie, którą on kochał ponad wszystko.

– Sprzeciwiałam się jego przemocy – mówiła Rozalia beznamiętnym tonem, nie patrząc na nikogo i bezwiednie

przebierając palcami dłoni. – Broniłam się, więc wezwał lekarza, który pod jego naciskiem zamierzał zamknąć mnie w szpitalu dla obłąkanych. Bałam się, więc... poddałam się jego woli.

– Pani Lubowidzka, skąd ma pani bliznę na twarzy?

– To blizna po ranie, którą zadał mi mój mąż. Nożem.

– Czy Ignacy Lubowidzki kiedykolwiek groził pani śmiercią?

– Jego dotyk był jak zapowiedź śmierci.

Gustaw patrzył na siedzącą nieruchomo Rozalię. Była niczym posąg z marmuru, którego nie da się ruszyć. Zimna i twarda. Beznamiętna. Nie patrzyła na nikogo, jakby zamknęła się na wszystko, co wokół niej krzyczało, że kłamie. A on czuł, że przez rozpacz przestaje powoli oddychać. Chciał do niej iść, ukryć ją w ramionach, wziąć na ręce i wynieść z tej przeklętej sali. Jak przez mgłę zobaczył, że Julian coś do niej szepcze.

– Pani Lubowidzka – ponownie zwrócił się do niej Paluszkiewicz, nie zważając na poruszenie na sali sądowej. – Czy kiedy pani mąż żył, wiedziała pani, że ma kochankę?

– Nie.

– A czy wiedziała pani, że jej mąż ma nieślubne dziecko i że jest ojcem Lilianny Grabińskiej, córki oskarżonej?

– Nie.

– A czy sądzi pani, że jej mąż był na tyle brutalnym człowiekiem, że mógł skrzywdzić oskarżoną Zuzannę Grabińską oraz dwie inne kobiety, których zeznania sąd wysłuchał w poprzedniej sprawie?

– Sprzeciw! – ryknął zdenerwowany prokurator. – Te pytania są próbą manipulacji świadkiem.

– Przychyłam się.

Julian Paluszkiewicz zaczerpnął głęboko powietrza.

– Pani Lubowidzka, czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić pani zeznania o tym, że przez lata była pani bita, gwałcona i poniżana przez męża?

– Tak. Adrianna Lubowidzka. Siostra mojego męża.

\* \* \*

Julian patrzył na Adę, wmawiając sobie, że to wszystko nie ma znaczenia. Nie była dla niego nikim bliskim. Nie była kobietą, o której mógłby myśleć. Nie była dla niego.

– Panno Lubowidzka – zaczął rzeczowym tonem, mając wrażenie, że jego głos wypływa jakby z daleka, nie od niego. Nie patrzył jej w oczy, choć ona zdawała się przenikać go wzrokiem. – Czy może pani potwierdzić, że była pani świadkiem któregoś zdarzenia, o którym wysokiemu sądowi mówiła w zeznaniu Rozalia Lubowidzka?

– Tak. – Jej głos brzmiał sucho, nienaturalnie. – Potwierdzam.

– Które zdarzenie może pani potwierdzić?

– Wszystkie.

\* \* \*

Prokurator Florczak krążył po sali sądowej jak sęp. Złość, która narastała w nim z przemożną siłą, skierowana była wyłącznie na nią. Rozalia to wiedziała i przypominała sobie o tym nieustannie, już po opuszczeniu sądu. A mimo to znalazła w sobie siłę, żeby to przetrwać. Siedzący wtedy obok niej Gustaw nie spojrzał na nią ani razu, choć pragnęła, żeby to zrobił. Choćby przelotnie. Żeby dał jej znak, że wciąż jest przy niej. Że będzie przy niej. Ale on zdawał się smutny, nieprzenikniony. Jakby zamknął się w sobie po tym, co głośno wyznała na forum przed sądem. Myślała również o Adzie, która zaraz po przesłuchaniu zniknęła gdzieś i nie dała potem znaku życia. Jakby i ona próbowała uciec od tej potwornej prawdy, którą wyznała publicznie.

Rozalia też chciała uciec. Tylko dokąd?

W noc po zeznaniach, leżąc w łóżku w pokoju hotelowym, nie mogła spać, bo dogłębnie opanował ją strach. Raz po raz

spoglądała tylko na swoje sine od brutalnego uścisku udo i przypominała sobie Żółkowskiego. Ostrzegał ją, a ona to ostrzeżenie zbagatelizowała. A teraz drżała ze strachu przed tym, jakie mogą być tego konsekwencje.

Zapra gnęła czym prędzej znaleźć się w swoim domu. Zaszyć się w ukochanej pracowni i zapomnieć o otaczającym ją złu. Wyciągać z zapachów tylko dobre wspomnienia. Snuć myśli o miłości, która powoli, nieśmiało kiełkowała w jej głowie. O miłości czystej, bezgrzesznej, niewinnej.

Zamiast tego czuła jedynie strach i pustkę. Brakowało jej Gustawa. Jego czułości i ciepła. Jego namiętności. Nie było go przy niej, bo po rozprawie też schował się w swoim pokoju hotelowym i nawet nie zaprosił jej na wspólną kolację.

I brakowało jej Lili.

\* \* \*

Następnego dnia tłum przed sądem był tak ogromny, że trzeba było dodatkowych posiłków policji, żeby zapanować nad porządkiem. Ludziom nie przeszkadzało nawet listopadowe zimno, wiatr i zacinający deszcz. Wrzawa wzmagająca się z minuty na minutę. Tłum rósł, napierał coraz bardziej na drzwi gmachu, jakby to miało przyspieszyć odczyt wyroku, który dzisiaj miał zapaść. Grono dziennikarzy i lichych pismaków już od rana koczowało wzdłuż całej ulicy prowadzącej do sądu, a zwykli gapie zajmowali każdą wolną część chodnika, skwerku czy bramy, żeby zobaczyć zarówno oskarżoną, jak i najbliższą rodzinę nieżyjącego posła Lubowidzkiego.

Rozalia wyczuwała presję tłumu, która rosła z każdą chwilą. Wprawdzie jechała taksówką, ale i tak bała się tego, co się wydarzy, gdy wysiądzie przed gmachem sądu.

Tak jak oczekiwała, wrzawa wybuchła z potężną siłą, gdy tylko Rozalia wyłoniła się z auta. Dziennikarze przepychali się między

sobą i błyskali fleszami tuż przed jej twarzą, ale Rozalia włożyła kapelusz z woalką – ten sam, który chronił ją na pogrzebie przed wzrokiem gapiów. Na krótko zwróciła twarz w stronę czterech młodych dziewcząt, które przemoknięte trzymały w rękach wymalowany farbą na prześcieradle olbrzymi transparent z hasłem: „Precz z przemocą wobec kobiet! Sprawiedliwość zwycięży!”. Zdumiało to Rozalię i równocześnie głęboko wzruszyło. Poczowała podziw dla tych młodych, odważnych dziewcząt i dopiero po chwili zorientowała się, że jedną z nich była Ada. Stała przy transparencie z taką miną, jakby właśnie to, co teraz robiła, było najważniejszą rzeczą w jej życiu.

– Przejście dla szanownej pani! – zabrzmiał tubalny głos komisarza policji, który wyrósł przed nią jak spod ziemi.

Przepychając się przez tłum, wspólnie dotarli do drzwi sądu, i Rozalia najszybciej, jak się dało, wtargnęła do środka, a policja zamknęła za nią drzwi.

Na sali sądowej zastała Gustawa. Siedział tam, gdzie zwykle, a na jej widok podniósł się i wskazał miejsce obok siebie. Parę rzędów dalej wyłaniała się czarna postać Leokadii Lubowidzkiej.

Gustaw musnął dłoń Rozalii, kiedy usiadła przy nim.

Po chwili drzwi do sali się otworzyły i dwóch policjantów wprowadziło Zuzannę Grabińską. Za nimi szedł Julian Paluszkiewicz.

Kobieta wyglądała już jak cień samej siebie, jakby tłąca się w niej iskra życia powoli dogasała. Rozalia z nagłą uświadomiła sobie, że z nikim nigdy nie czuła takiej więzi duchowej jak z tą zranioną, przegraną kobietą, która oddawała swoje nędzne życie dla sprawiedliwości. Nagle z całą mocą zapragnęła do niej podejść i ją przytulić, a pragnienie to było tak silne, że musiała chwycić się dłońmi krawędzi ławki, żeby się powstrzymać. Nie powstrzymała jednak łez żalości, które same spłynęły po policzkach. Ale nie chciała już tego ukrywać. Nie miała siły. Próbowwała sobie przypomnieć, czy jej matka kiedykolwiek

plakała. Czy to możliwe, że Alice Ladoucette, po mężu Tyszkowska, była kobietą tak szczęśliwą, że łzy nigdy nie były jej potrzebne? A może tak dobrze potrafiła tłumić swoje wewnętrzne rozterki?

Mecenas Julian Paluszkiewicz wstał z ławki i stanął pośrodku sali sądowej, tak żeby każdy mógł go widzieć. Nie nosił już tak widocznych śladów pobicia, które jeszcze nie tak dawno szpeciły jego twarz, ale wciąż opierał się na jednej kuli.

– Wysoki sędzie, szanowni panowie przysięgli. Zuzanna Grabińska, przez nikogo nieprzymuszana, z własnej woli przyznała się do zastrzelenia w dniu 18 marca 1924 roku posła Związku Ludowo-Narodowego, Ignacego Lubowidzkiego. Przyznała się, bo wyrzuty sumienia wywołane własnym czynem nie pozwalały jej dalej żyć. Bo zapragnęła okazać skruchę i z całą stanowczością przyznać, że żałuje popełnionego czynu. Ta zbrodnia nie wzięła się jednak znikąd. Oskarżona dokonała jej w stanie absolutnej rozpacz, w geście najwyższej desperacji, która, co potwierdzają wyniki badań doktora Alfreda Węglarczyka, odebrała jej trzeźwość myślenia po tym, jak Ignacy Lubowidzki, będący ojcem jej córki Lilianny, zmusił ją siłą i gwałtem do dokonania aborcji na drugim dziecku. Oskarżona była w ciąży, a ojcem jej drugiego dziecka ponownie był Ignacy Lubowidzki. Czyn, który popełniono na ciele i godności tej kobiety, wbrew jej woli, doprowadziły ją do rozwinięcia się w niej traumy, w wyniku której dokonała zbrodni w afekcie. Zrobiła to z rozpacz i strachu, bo w starciu z kimś tak wpływowym jak poseł Ignacy Lubowidzki, będąc wyłącznie ukrywającą się w cieniu kochanką, nie miała najmniejszych szans na normalne życie. Wykluczono ją ze społeczeństwa. Odrzucono jako kobietę i jako matkę. Wysztydzano i obrażano, a na końcu odebrano prawo do samostanowienia. Dodatkowo okaleczono jej ciało w tak okrutny sposób, że tym samym pozbawiono ją możliwości ponownego zajścia w ciążę. Stała się bezwolną ofiarą mężczyzny,



który zaspokajał wobec niej swoje najniższe instynkty, wykorzystywał, omamiał, żeby następnie poniżyć i zdusić jak robaka. Obiecywał miłość, szarpiąc jej godność, a następnie bezwstydnie i bezkarnie korzystał z jej ciała. Pozwalała mu na to, wierząc, że ją kocha, że da jej lepsze życie. Pozwalała mu, wierząc, że kiedyś stanie się ojcem dla jej córki. Bo tego pragnęła najbardziej. Ale tak się nie stało. Bo Ignacy Lubowidzki był człowiekiem złym, brutalnym, pozbawionym zasad i współczucia dla drugiego człowieka. Bo ta kobieta była dla niego wyłącznie narzędziem do rozładowania seksualnej żądzy. Zuzanna Grabińska, podobnie jak Rozalia Lubowidzka i dwie inne młode kobiety oskarżające posła Lubowidzkiego o gwałt, stała się ofiarą jego złej woli i natury potwora. To przeszkodziło jej w byciu kochającą matką, dobrą obywatelką i chrześcijanką. Dlatego proszę ławę przysięgłych o całkowite uniewinnienie mojej klientki, dając jej tym samym możliwość prowadzenia dalszego normalnego życia, a pięcioletniej dziewczynce zwracając kochającą matkę.



## ROZDZIAŁ 20

Listopad jak żaden inny miesiąc wyzwał tęsknoty za przeszłością; skłaniał ludzi do refleksji i przywoływał wspomnienia o tych, którzy odeszli.

Gustaw tego dnia odczuwał to silniej niż kiedykolwiek. Jakby właśnie teraz dotarło do niego, że cała przeszłość kładzie się cieniem na jego obecnym życiu i nie chce odpuścić. Trzymała go w kleszczach bolesnych wspomnień, niespełnionych pragnień, zerwanych więzi. Myślał nie tylko o Ignacym i o Amelii. Myślał o żołnierzach, kolegach, z którymi poszedł na wojnę walczyć o Polskę. Tę Polskę, która teraz, szarpana ambicjami i interesami ludzi cwanych, owładniętych potrzebą zdobycia władzy, zaspokojenia własnych interesów, tonęła w morzu prozaicznych potrzeb i ułomności.

Gustaw, stojąc ze świeczką w ręku przed pomnikiem poległych w obronie Polski żołnierzy i oficerów francuskich na Cmentarzu Powązkowskim, myślał o Polsce Ignacego Paderewskiego, Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego. Ci trzej ojcowie niepodległości nie takiej Polski chcieli. Nie o takiej ojczyźnie śnili. Teraz, zapewne pozostając w cieniu i obserwując poczynania tych, w których ręce oddali losy ojczyzny, musieli myśleć, jak bardzo ich marzenia odbiegały od rzeczywistości. Jeszcze nie tak dawno ci trzej mężowie stanu na wszelkich uroczystościach upamiętniających odzyskanie niepodległości powtarzali, że

w narodzie jest siła moralna polskiej demokracji. Że gdy tylko spadły okowy z narodu polskiego, dumny lud proklamował niepodległość. I jest ona naszą wolnością, naszą przyszłością i naszym największym skarbem. W atmosferze takich słów Gustaw poszedł bić się z bolszewikami. Bo wiedział, o co walczy. Chciał o to walczyć. Odbicie bolszewickiej nawały stało się symbolem odradzającej się dumy i wielkości narodu. To zwycięstwo budowało jego tożsamość i poczucie wartości, że jest Polakiem i jest z tego dumny. Bo Polska miała prawo być nie tylko waleczna i z fantazją odbijać wroga. Miała prawo być również mądra, piękna i wrażliwa jak kobieta. Ale ludzie pokroju jego brata obdzierali ją z tego piękna i z tej wrażliwości. W imię własnych interesów nie słyszeli skarg krzywdzonych, poniżanych i gwałconych kobiet, które próbowały resztkami godności upominać się o nadanie im praw – tych najbardziej fundamentalnych, jak prawo do samostanowienia, do wolności i do nietykalności. Gdyby te prawa były, gdyby powszechnie funkcjonowały i gdyby były traktowane z należyтым szacunkiem i powagą, Zuzanna Grabińska nie stałaby się ofiarą chorego, bezdusznego systemu, w którym wartości narzucali mężczyźni. W kobiecie widzieli jedynie istotę niższego szczebla, niezdolną do myślenia i działania, wyłącznie ciało, którym można było dowolnie dysponować. Gustaw to wiedział. Miał świadomość, jaką krzywdę kobietom wyrządzali wszyscy traktujący je instrumentalnie, przeznaczając wyłącznie do roli żony i matki. Jako lekarz bezustannie był naocznym świadkiem kobiecych dramatów wynikających z poniżania i bicia. I dotykało go to dogłębnie. Szarpało jego dumę i męskość.

– Osiem lat kary bezwzględnego więzienia, bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie – czytał sędzia w wyroku, który przysięgli wydali dla Zuzanny. – To kara litościwa i wielkoduszna, nieadekwatna do popełnionego czynu. Oskarżona jednak w swoim upośledzeniu nie potrafiła odróżnić dobra od zła,

a tym samym nie umiała dokonać właściwej oceny popełnionego czynu. Wynikało to z choroby psychicznej oskarżonej, która popchnęła ją do popełnienia zbrodni. Okolicznością łagodzącą jest to, że oskarżona sama przyznała się do zabójstwa i jest matką nieletniego dziecka.

Zuzanna zachowała życie. Misja wyrwania jej od śmierci została wypełniona. Julian Paluszkiewicz odniósł spektakularny sukces i uratował jedno nędzne, kobiece życie. I to było najważniejsze. Tylko że Gustaw wciąż myślał o tym, że gdyby ktokolwiek wcześniej zauważył cierpienie tej pięknej kobiety i to, jak niegodziwie traktowana była przez mężczyznę, którego kochała, to ten mężczyzna zapewne wciąż by żył. A ona mogłaby bez przeszkód wychowywać ich dziecko. I być może inaczej potoczyłyby się dalsze losy Rozalii. Być może znalazłaby siłę, by odejść od męża oprawcy.

Myśli te, natrętne, bolesne, zaprowadziły go z Cmentarza Powązkowskiego na warszawską ulicę, gdzie garstka ludzi próbowała na swój sposób świętować rocznicę odzyskania niepodległości, podśpiewując *Pierwszą Brygadę* – ulubioną pieśń legionową, która pobudzała serca żołnierzy do walki. Gustaw też ją lubił. Przypominała mu wzniosłe chwile, kiedy w błękitnym mundurze armii generała Hallera przybył z Francji do Polski, już nie jako zwykły najemnik obcej armii, ale żołnierz polski. Od tamtej pory minęło zaledwie sześć lat, a jemu wydawało się, jakby to było w innym życiu. Bo wtedy czuł, że żyje, a później jego życie na długi czas zawisło w próżni.

Spacerkiem zawędrował do kawiarni, w której umówił się z Rozalią. Nie widział jej od paru dni, od kiedy sąd ogłosił wyrok. Rozstali się w milczeniu, bez obietnic i zapewnień, nie wiedząc, co powiedzieć, jak się zachować. Niby wszystko zakończyło się tak, jak tego pragnęli, a mimo to odczuwali dziwną pustkę. Jednak już następnego dnia Gustaw chciał pojechać do Rozalii. Już czuł niepokojącą tęsknotę za nią, która go frustrowała, ale i dawała do

zrozumienia, że w jego życiu coś się zmieniło. Bo w końcu wiedział, że zakochał się w tej kobiecie bez pamięci. Niestety Rozalia w krótkiej informacji zwrotnej oznajmiła mu, że obie z Lili potrzebują spokoju, żeby pozbierać się po złym czasie, i dlatego powinny być same.

Czekał więc, choć pragnienie narastało w nim z przemożną siłą. Pragnął nie tylko jej ciała. Chciał z nią być, słuchać jej głosu, wdychać zapach. Chciał mieć ją blisko.

Dopiero wczoraj poinformowała go, że wraz z Lili chętnie spotkają się z nim w kawiarni. Wręcz nie posiadał się z radości i niecierpliwie odmierzał te długie samotne godziny, kiedy ją w końcu ujrzy.

Dostrzegł je już w wejściu. Siedziały przy nakrytym stoliku w rogu lokalu. Lili zjadała srebrną łyżeczką deser w pucharku, a Rozalia pochylała się nad nią, coś do niej szepcząc. Dziewczynka w kraciastej sukieneczce, z dwoma warkoczykami przewiązanymi białymi kokardami, wyglądała jak lalka. Spojrzały na niego w tym samym momencie, a on poczuł, jak ścisnęło mu się serce.

– Wujek! – Mała zerwała się z krzesła i dopadła do niego, nie przejmując się wścibskim wzrokiem innych gości kawiarni. Gustaw wziął ją na ręce i przytulił, a dziewczynka ufnie objęła go ramionami za szyję.

– Ciocia mówiła, że masz dla mnie niespodziankę!

– Mam – mruknął i wyjął zza pazuchy płaszcz małego pluszowego królika. Dziewczynka pisnęła z radości i przytuliła maskotkę do policzka.

– To króliczek od mamy?

Gustaw spojrzał na Rozalię. Oboje przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż kobieta, wyraźnie zmieszana, odwróciła wzrok

– Mama prosiła, żebym ci go podarował. Chce, żeby ten króliczek był z tobą wszędzie i przypominał ci o niej.

– Czy ona wróci?

– Kiedyś tak... Zapewne...

Posadził Lili na krzesło i skierował uwagę na Rozalię. Siedziała ze spuszczoną głową, jakby wstydziła się spotkania z nim.

Usiadł przy stoliku i dopiero wtedy uniosła wzrok. Jej nikły uśmiech powiedział mu, że chyba cieszy się, że go widzi.

– Chodźmy stąd – wyszeptał, dotykając lekko jej dłoni, złożonej na blacie kawiarnianego stolika.

– Ciocia obiecała, że pójdziemy do parku nakarmić kaczki – zaoponowała Lili, najwyraźniej bojąc się, że zbyt szybko wrócą do domu.

– Więc idziemy do parku – zdecydował Gustaw.

Wyszli z kawiarni, trzymając się za ręce. W parku Lili biegła wokół drzew, zbierając ostatnie, wilgotne od rosy kasztany, a oni powoli kroczyli obsypanymi liśćmi alejkami.

– Powiedziałaś jej?

– O Zuzannie? – Przez twarz Rozalii przemknął grymas. – Powiedziałam jej, że... mama wyjechała, ale kiedyś wróci. Nie umiałam wyznać jej prawdy. Jest jeszcze taka mała.

– Jak to przyjęła?

– Wciąż za nią tęskni, ale... stara się być dzielna. Julian złożył już do sądu wniosek o moją wyłączną opiekę nad nią na czas... nieobecności Zuzanny. Zuzanna przystała na to. Podpisała wszelkie zgody. Chce, żebym... – Z oczu Rozalii popłynęły łzy, a ona sama spuściła głowę. – Zajęła się jej córką.

– Zawsze tego chciała. Wiedziała, że nikt nie zajmie się nią lepiej od ciebie.

Z gardła Rozalii wyrwało się jakby łkanie, które utonęło w szumie wiatru i w szeleście zeschniętych liści.

– Byłam u niej – rzekła głucho. – Dostałam zgodę na widzenie. Była taka... Krucha i delikatna. Jest chora. Jej ciało nie chce walczyć.

– Usilnie staram się o możliwość zbadania jej, ale nie chcą mi pozwolić. Julian złożył już kilka wniosków w tej sprawie, jednak

uważają, że ze względu na nasze relacje rodzinne to może być odebrane jako niesubordynacja względem wydanego wyroku.

– Służba więzienna zapewnia, że Zuzanna ma opiekę lekarza, ale nie mam co do tego pewności. Ona wciąż się głodzi. Nie chcę, żeby coś jej się stało. Nie w taki sposób. Julian walczył w sądzie o jej życie i udało mu się, a ona jakby... nie chciała już żyć. Oddała mi Lili, rozumiesz? Oddała mi ją!

– Bo wie, że przy tobie Lili będzie na nią czekać. Że z tobą będzie szczęśliwa.

\* \* \*

Kochali się tej nocy. Wszelki opór Rozalii rozpułnął się w gorączce namiętności. Po raz pierwszy dawała mu siebie bez oporów i brała wszystko, co jej oferował. Delektowała się jego bliskością, jego ciałem. Jej pieśczoty były natarczywe, intensywne, głębokie. Doznania bliskie szaleństwu. Gdzieś zniknęły wstyd i strach, które wcześniej czaiły się w głębinach jej oczu. Była kobietą utkaną wyłącznie z pragnień i namiętności. Jakby chciała pokazać mu to wszystko, czego nie umiała powiedzieć. Jakby w ten sposób chciała wyznać mu miłość.

Dużo później, w środku nocy, obudził ją swąd dymu. Otworzyła oczy i gwałtownie usiadła na łóżku.

– Co się stało? – Gustaw też się przebudził.

– Czuję dym. Coś się pali.

Mężczyzna podniósł się na łokciu, a chwilę później wyskoczył z łóżka i zaczął gwałtownie naciągać spodnie.

– Idź do Lili. Szybko!

Założyła koszulę nocną i wybiegła z sypialni. Na korytarzu zapach dymu był silniejszy, gryzący. Poczwała dreszcz strachu.

– Lili! – Wpadła do pokoju dziewczynki i wyciągnęła ją śpiącą z łóżka.



Mała zaczęła płakać i uczepliła się jej szyi, wyraźnie wystraszona, nie wiedząc, czemu Rozalia tak raptownie ją budzi.

– Spokojnie... – szeptała Rozalia gorączkowo, zbiegając po schodach z Lili na rękach. – Wszystko będzie dobrze.

Dopiero w sieni zorientowała się, że płonie jej pracownia. Przez oszklone drzwi widać było buchające w środku płomienie. Serce zadrżało jej z trwogi i przerażenia. Nie mogła się ruszyć. Stała w odrętwieniu i patrzyła jak to, co kocha, trawia bezwzględne płomienie.

– Biegnij wezwać pomoc i zabierz Lili! – krzyknął Gustaw.

Ogień rozprzestrzeniał się coraz szybciej, a zapach dymu, gryzący, utrudniał normalne oddychanie.

– Rozalio! – Gustaw potrząsnął nią gwałtownie, bo stała jak słup soli. – Weź Lili i uciekaj!

Rozalia się ocknęła i wybiegła z dzieckiem w mrok. Dopiero po chwili zorientowała się, że obie były tylko w koszulkach nocnych, a zimno listopadowej nocy było przeszywające. Jej krzyk o pomoc, początkowo paniczny, głośny, z czasem zamienił się w spazmatyczny szloch. W willi znajdującej się kilkanaście metrów od jej posesji zapaliły się światła.

Rozalia zatrzymała się, próbując złapać oddech. Lili cały czas trzymała się jej kurczowo, dygocząc z zimna.

Kobieta odwróciła się za siebie i popatrzyła na majaczący w mroku pałacyk „Magnolia”. Jedno skrzydło, to, w którym znajdowała się pracownia, a w niej wszystkie skarby Rozalii – stała w płomieniach.

\* \* \*

Mimo błyskawicznej akcji Ochotniczej Straży Pożarnej nie dało się uratować nic z tego, co znajdowało się w pracowni. Spłonęły nie tylko zapachy i półfabrykaty potrzebne do produkcji perfum, ale i dziennik Vincenta Lamara, a wraz z nim cała zawarta w nim

wiedza. Oprócz tego doszczętnie spłonął portret Rozalii, namalowany przez Łempicką.

Rozalia stała zdruzgotana po środku dymiących zgliszczy i wpatrywała się we wszechobecny, ciemny popiół, jedyną pozostałość po tym, co strawił ogień. Reszta pałacyku ocalała, choć część sieni wymagała remontu, bo ściany i podłoga czarne były od sadzy.

– Ktoś to zrobił celowo – wyszeptała drżącym głosem, czując, jak rozpacz odbiera jej zdolność widzenia. – Ktoś to podpalił...

Gustaw objął ją ramieniem.

Oparła się o niego, kompletnie bezsilna. Łzy ciekły jej po policzkach z żalu i poczucia ogromnej straty. Myślała tylko o tym, że straciła zapiski pana Lamara, czyli to, co było dla niej najcenniejsze. Co nadawało życiu sens. Straciła to.

– Cieszymy się, że żyjemy – rzekł Gustaw.

Był przemęczony, ślaniał się na nogach. Śmierdział dymem, a twarz miał czarną od sadzy. Całą noc wraz z mieszkańcami Konstancina pomagał strażakom dogaszać pożar, podczas gdy ona z Lili zatrzymały się u najbliższych sąsiadów.

– Pojedziemy do hotelu, odpoczniemy i... Zastanowimy się, co dalej.

Starał się myśleć trzeźwo, choć ona miała już dość wszelkiego rozsądku. Była zrozpaczona. Wraz z pożarem coś w niej pękło, coś się załamało. Jakby przez tyle lat wystawiana na próbę siła tylko czekała, żeby wreszcie ulecieć. Rozalia wiedziała, że to, co się stało, było pokłosiem jej zeznań w sądzie. Ktoś próbował ją zniszczyć i w głębi duszy wiedziała kto. Wciąż pamiętała ten bolesny ucisk palców na swoim udzie.

Oparła głowę na ramieniu Gustawa i zaczęła płakać.

\* \* \*

Policja nie wykluczała, że pożar w pałacyku „Magnolia” mógł być podpaleniem. Jednak nie znaleziono ku temu żadnych dowodów, więc sprawa szybko została umorzona.

Rozalia na czas oględzin i wstępnych porządków po pożarze zamieszkała z Gustawem i Lili w hotelu. Przez pierwsze dni była apatyczna i nie docierało do niej nic, co Gustaw próbował dla niej zrobić, żeby poczuła się lepiej. Trwała pogrążona w apatii i dopiero po paru dniach zaczęła powoli otrząsać się z letargu. Pomagała jej w tym obecność Lili, która pożar zniosła znacznie lepiej niż utratę matki. Może dlatego, że nie widziała zniszczeń, bo po pobycie u sąsiadów została natychmiast przewieziona do hotelu. Tymczasem Rozalia starała się nie myśleć, że wraz z pracownią spłonęło jej serce, ukryte w zapachach, które tam tworzyła. A pieczołowicie odbudowane przez nią poczucie bezpieczeństwa runęło w gruzach.

Gustaw był przy niej cały czas, w każdej minucie, jeśli nie sekundzie. Pocieszał ją i przytulał zawsze, kiedy tego potrzebowała, a nocami trzymał w ramionach tak ciasno, że czuła przenikające ją ciepło jego ciała.

Dopiero któryś ranek otrzeźwił ją na tyle, że uświadomiła sobie ulotność tego, co działo się między nią a Gustawem. Wraz z bladym świtem przypomniała sobie również, że jeśli ma być szczęśliwa, to najpierw musi odnaleźć siebie. Tę dawną Rozalię Tyszkowską, ciekawą życia, chłonącą świat zapachów. Tę, dla której pasja była jak ożywczy haust powietrza.

Patrzyła na mężczyznę śpiącego u jej boku i myślała, że być może on też ma w jej życiu swoje szczególne miejsce. Bo jeśli nie on, to zapewne nikt inny. To jego oczy tak mocno zahipnotyzowały ją tamtego wieczoru przed sześcioma laty. To dla niego stworzyła zapach miłości. Ale najpierw musiała znaleźć spokój duszy, otrząsnąć się z tragedii, żeby pozwolić sobie na porywy serca.

O tym, że zamierza wyjechać do Francji, poinformowała go przy wspólnym śniadaniu. Patrzyła na niego, jak uśmiecha się do Lili

i nakłada dziewczynce na talerzyk tosty z marmoladą. Jego dłonie były zręczne i silne. To były te dłonie, które w nocy dawały rozkosz, a kiedy trzeba było, koily jej ból i strach.

– Do Francji? Tak nagle? – Gustaw nie krył zdziwienia. Miała wrażenie, że dostrzegła w jego oczach coś na kształt zawodu.

– Zawsze mówiłam, że chcę tam wrócić. Teraz jest ku temu najlepsza pora.

– Na długo?

– Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle tu wrócę.

– Rozalio. – Podniósł się gwałtownie z krzesła i złapał ją za ramiona. – Pojadę z tobą.

– Nie. Jadę tylko z Lili.

Potrząsnął nią, patrząc jej uporczywie w oczy, a ona z równym uporem unikała jego wzroku. Odwróciła twarz, więc złapał ją za podbródek i odwrócił ku sobie.

– Kocham cię, do cholery! Nie widzisz tego? – Pocałował ją tak gwałtownie, że aż jęknęła z bólu. Próbowwała się od niego uwolnić, ale trzymał ją mocno. W końcu przycisnął ją do piersi. – Chcę być z tobą. Chcę, żebyś była moją żoną.

Zamarła. Ogarnął ją nagły chłód. Odepchnęła go odruchowo i skuliła się, próbując osłonić przed jego dotykiem.

– Nie. Mówiłam ci, że nie chcę!

– Rozalio, błagam... Pragnę cię, ale takie życie do niczego nie prowadzi!

Gwałtownie potrząsnęła głową. Objęła się ramionami, jakby to miała być jej tarcza.

– Małżeństwo też do niczego nie prowadzi. Wiem coś o tym.

Na jego twarzy malowała się kompletna bezsilność. Znowu próbował ją objąć, przytulić, ale z gniewną miną zrobiła krok do tyłu.

– Nie dotykaj mnie...

– Nie chcę, żebyś była wyłącznie moją kochanką! Chcę się tobą opiekować! Pragnę, żebyś była moja. Nigdy niczego bardziej nie

pragnąłem, teraz to wiem.

– A ja nigdy więcej nie chcę być niczyją żoną!

– Rozalio...

Gwałtownie pokręciła głową.

– Daj mi czas. Potrzebuję go. Muszę odszukać samą siebie.

\* \* \*

Ada niewidzącym od łez wzrokiem wpatrywała się w urzędowe pismo podpisane przez rektora Uniwersytetu Warszawskiego. Oficjalnym i suchym tonem informował ją, że w związku z jej skandalicznym protestem przed sądem, w którym wzięła udział wraz ze swoimi trzema koleżankami z roku, zostaje usunięta z listy studentów w trybie natychmiastowym. Rektor tłumaczył, że ich zdjęcia w prasie, na których trzymają prześcieradłowy transparent, były skandaliczne i ośmieszające oraz że absolutnie niedopuszczalne jest, żeby ktoś taki mógł studiować prawo i uzyskać dyplom pozwalający uprawiać tak poważny i szanowany zawód.

Ada i jej trzy koleżanki były jedynymi kobietami na pierwszym roku prawa. Dumnie znosiły dwuznaczne spojrzenia i absurdalne docinki za strony kolegów, zdeterminowane, żeby się nie poddawać. Wiedziały, że czeka je trudny czas, że będą zmuszone znieść zarówno wyższość, jak i arogancję studentów i profesorów. Ci drudzy zresztą podczas wykładów zwracali się wyłącznie do męskiej części studenckiego gremium, kobiety całkowicie ignorując. Ada nie spodziewała się jednak, że tak szybko i z tak absurdalnego powodu pożegna się z marzeniami o studiach prawniczych. Wizja powrotu do Kargomina była jak myśl o katorgach. Wiedziała, że nie chce tam wrócić. Nie mogła. Nie była już tą samą dziewczyną, która uciekała z rodzinnego domu po spełnienie marzeń. Teraz była odważniejsza i pewniejsza

swojej wartości. Dlatego tak trudno było jej przełknąć tę bolesną porażkę.

Klara, widząc jej rozpacz, nie kryła irytacji.

– Spodziewałaś się, że ktoś tam się będzie nad tobą litował? Chyba nie byłaś świadoma, na jaką drogę wstępujesz. Chciałaś iść pod prąd, wbrew obowiązującym regułom, więc nie płacz teraz, że potknęłaś się po drodze, bo takich potknięć będzie jeszcze sporo.

– Panno Klaro, wyrzucili mnie! Pani to rozumie? To nie jest zwykłe potknięcie!

– Posłuchaj, ty głupia dziewczyno! Też byłam kiedyś młoda jak ty i też miałam garść marzeń w głowie. Wraz z grupą wspaniałych dziewcząt redagowałyśmy feministyczną gazetę, w której uświadamiałyśmy kobiety, żeby buntowały się przeciwko władzy mężczyzn. Gazeta odbiła się szerokim echem zarówno w kręgach inteligenckich, jak i mieszczańskich. Pisały do nas panny, matki, żony i kochanki. Zwierzały się ze swoich problemów i trosk. Mówiły o swoich marzeniach. Skończyło się na tym, że nasza redakcja poszła z dymem, bo ktoś ją naumyślnie podpalił, a moja najbliższa przyjaciółka zginęła w tym pożarze. Byłam w rozpaczach. W rozpaczach! Rozumiesz? Ale podniosłam się, otrzepałam z tych popiołów i poszłam z uniesioną głową przed siebie, żeby głosić na nowo hasła o niezależności kobiet! I założyłam kolejną gazetę. I będę to robić, póki mi starczy sił i głosu! I ty też możesz iść do przodu z wysoko uniesioną głową. Ale możesz też się poddać.

Ada myślała o tym intensywnie i rósł w niej bunt. Bo nie chciała być posłuszna ogólnie obowiązującym zasadom. Nie chciała być miła i cicha, bo ktoś jej zachowanie mógł uznać za skandaliczne. Nie chciała siedzieć beczynnym z robótką w ręku i godzinami czekać z obiadem na męża. Chciała żyć. Uczyć się. I kochać. I te pragnienia tkwiły w niej tak mocno, że nie chciały dać jej spokoju ani się uciszyć.

Bezwiednie pomyślała o Rozalii i wzięła do ręki flakonik z jej perfumami. W tym malutkim kryształowym cudzie tkwiła siła bitej i poniżanej kobiety. Jej wartość i piękno. Jej talent, który miała w sobie od początku.

Ada też musiała w sobie to piękno i talent odkryć.

\* \* \*

Julianowi trudno było udźwignąć zwycięstwo. To zwycięstwo było dla niego moralnie nieakceptowalne. Znał Zuzannę Grabińską i wiedział, jaka była. Pamiętał, jak spotkał ją po raz pierwszy, a z jej urzekającej twarzy przebijała kruchość i delikatność. Wzruszyła go wtedy i sprawiła, że nie mógł o niej zapomnieć, bo pod wieloma względami przypominała mu jego Amelię. I nie było w tym żadnego podtekstu erotycznego; poruszyła go jedynie jej subtelność. A już wtedy była kobietą po przejściach, z głęboką traumą, która w swojej niemej rozpaczycy zabiła człowieka, którego kochała. Teraz, z tej pięknej, wrażliwej kobiety, przeistoczyła się w coś na kształt istoty głęboko okaleczonej duchowo. Jakby kula, którą zabiła Ignacego, odbiła się od niego i rykoszetem trafiła prosto w jej serce, aby dzień po dniu, godzina po godzinie, skracać jej życie w mękach wyrzutów sumienia. Martwił się, że życie Zuzanny wisi na włosku, bo nie walczyła o nie. Nie chciała walczyć. Nawet myśl o córce nie była już w stanie wyrwać jej z uścisku cierpienia.

Rozalia też to widziała, dlatego wizyta w więzieniu była dla niej takim ogromnym wstrząsem. Obrazy więzienne nawiedzały również Juliana, nie pozwalając mu zapomnieć i zdystansować się do tej sprawy. Zwłaszcza gdy wracał do swojego mieszkania, czterech pustych ścian, rozmyślał o tym wyjątkowo intensywnie. Zastanawiał się, czy mógł zrobić coś więcej. Czy mógł pomóc bardziej tej nieszczęśliwej kobiecie? I nie znajdował na te pytania odpowiedzi.

Fizycznie nie był jeszcze całkiem sprawny, ale czuł się już znacznie lepiej. Gustaw zadziwiająco skrupulatnie dbał, żeby Julian ćwiczył mięśnie nóg, aby jak najszybciej wróciły do pełnej sprawności. Badał go też regularnie i Julian wiedział, że przy takiej fachowej opiece lekarskiej w końcu wróci do zdrowia.

O Adzie Lubowidzkiej starał się w ogóle nie myśleć, bo gdyby sobie na to pozwolił, to te niewinne rozmyślania bez trudu zamieniłyby się w obsesję. Panna Lubowidzka była dla niego zakazanym owocem, nieuchwytnym i niemożliwym do zdobycia, więc starał się wymazać jej obraz ze swojej głowy. Dlatego kiedy pewnego listopadowego poranka, niespodziewanie stanęła w drzwiach jego gabinetu, nie posiadał się ze zdumienia. Było w niej coś takiego, co spowodowało drzenie jego ciała. Jego serca. I zaczął zastanawiać się, jak mógł tak długo bez niej wytrzymać? No jak?

Próbując ukryć zakłopotanie, spuścił wzrok na stertę papierów na swoim biurku.

– Panna Ada! Jak miło. Dawno pani nie widziałem.

Dziewczyna śmiało wkroczyła do jego gabinetu. Kątem oka zauważył, że wyglądała inaczej. Miała na sobie ładną sukienkę, jednak w niczym nieprzypominającą tych, które dotąd nosiła. Ta była bardziej nowoczesna. Prosta w kroju, ale modna, z plisowanym dołem i kończąca się na wysokości bardzo zgrabnych kolan. Nie chciał na nie patrzeć, ale siłą rzeczy jego oczy powędrowały w tym kierunku. Po raz nie wiadomo który pomyślał, że panna Ada miała najpiękniejsze nogi, jakie w życiu widział. Do tego włosy – obcięła je i teraz zgrabnie, gęstymi puklami okalały szyję i policzki. W końcu zapatrzył się na jej usta, delikatne, różowe. Zapragnął ich dotknąć. Poczucie pod palcami miękkość tych słodkich warg i aż skrzyknął go w środku, kiedy o tym pomyślał. Bezwiednie westchnął i niedbałym ruchem wskazał jej krzesło.



– Był pan mocno zajęty, więc nie chciałam panu przeszkadzać. Zresztą, też miałam dość zajęć.

– No tak. Studia. Do tego mój ojciec, z tego, co wiem, nie oszczędzał pani.

– Pan Paluszkiewicz był bardzo miły, ale rzeczywiście zasypywał mnie protokołami, które kazał mi niezwłocznie przepisywać. Aż mnie palce od tego bolą. Na szczęście sprawa Zuzanny Grabińskiej dobiegła końca, więc... wróciłam do pana.

Z westchnieniem potarł czoło i opadł na krzesło.

– Panno Ado, wiem, że obiecałem pani...

– Wyrzucili mnie ze studiów – przerwała mu gwałtownie, a on uniósł brwi ze zdumienia.

– Co takiego?

– Wyrzucili mnie. A dokładnie pan rektor.

– Ale jak to? Dlaczego?

– Za protest pod sądem. Widział pan to? Ten transparent z prześcieradła? Był może niezbyt ładny, ale... jestem z niego dumna. Bo dał mi odwagę, żeby działać. Żeby nie bać się mówić głośno o tym, co mi leży na duszy. I na sercu.

– Oczywiście, widziałem. To rzeczywiście było imponujące. Ale wyrzucili panią? Za coś takiego?

Ada zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

– Mnie i trzy moje koleżanki. Pozbyli się nas, jakbyśmy były gorsze albo za głupie! Ale to nic. Ja im jeszcze pokażę!

– Jak to? Więc co pani zamierza? – Starał się nie gapić na jej twarz, ale nie mógł się powstrzymać. Miała w sobie coś takiego...

– Za rok ponownie podejść do egzaminów wstępnych i wrócę na studia. A przez ten czas... Popracuję u pana i sporo się nauczę. Oprócz tego panna Klara ma dla mnie całkiem interesujące zajęcia.

– Właśnie... Jeśli chodzi o tę pracę u mnie... – zająknął się.

– Nie chce mnie pan.

Julian sposepniał i zaczerwienił się aż po cebulki włosów.

– Nie o to chodzi. Po prostu...

– Więc co pana zdaniem powinnam zrobić? – zapytała z wyrzutem Ada, wlepiając w niego swoje śliczne, czekoladowe oczy. A on już prawie przestał oddychać.

– Myślę, że...

– Wyjść za mąż? Pan też uważa, że to najlepszy sposób na życie dla kobiety?

– Nie! Nie o tym myślałem.

Pochyliła się w jego stronę tak, że poczuł jej zapach. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ogarnęło go tak gwałtowne pożądanie.

– Nie? A szkoda. Bo tym razem chyba dałabym się namówić.

– Panno Ado... O czym pani, do cholery, mówi? – Czuł, że głos mu drży od pragnienia, które już zawładnęło jego całym ciałem. A ona patrzyła na niego z tymi iskrami w oczach...

– O panu. Chętnie wyszłabym za mąż za pana. Tylko za pana. Nawet jeszcze dziś, jeśli wyrazi pan taką chęć.

Nie zdążył odpowiedzieć. Nie zdążył nawet pomyśleć, bo obeszła biurko, usiadła mu na kolanach i pocałowała go, wyzwalając w nim mnogość tego wszystkiego, o czym zdążył już zapomnieć.

\* \* \*

– Mam się opiekować twoim domem? Po co? I tak cały zmurszeje od tej samotności – stwierdziła ciotka Klara. – Kupiłaś go tylko po to, żeby teraz go porzucić?

– Kupiłam go, bo stał się moją bezpieczną przystanią. Tutaj. W Polsce.

– I uciekasz stąd, tak jak zwiłaś z Kargomina.

– Nie uciekam. Wyjeżdżam.

– Więc po co zleciłaś remont tej spalonej części?

– Bo może jeszcze tu wrócę. Jedź ze mną, ciociu. Ojciec się ucieszy.

Klara prychnęła.

– Twój ojciec, duszko, cieszy się wyłącznie wtedy, kiedy mnie nie widzi. I niech tak zostanie. Zresztą, mam tu swoje zajęcia, których nie mogę porzucić.

Rozalia chciała odnaleźć we Francji swoją największą miłość. Zapachy. Musiała nauczyć się robić je na nowo. Sama.

Od kiedy podjęła decyzję o wyjeździe, wiedziała, że nic ani nikt nie zdoła jej już od tego odwieść. Potrzebowała wytchnienia. Chciała nauczyć się oddychać powietrzem wolnym od strachu i bólu. Chciała poznać samą siebie.

Czuła pod skórą Gustawa, nie mogła temu zaprzeczyć. Myślała o nim. Im bardziej wypierała z siebie jego obraz, tym mocniej do niej wracał. Musiała go jednak zostawić. Bo tylko tak była w stanie się przekonać, czy to, co do niego czuje, jest prawdziwe, czy Gustaw nie stał się dla niej jedynie przygodą, ucieczką od złych wspomnień i nauczycielem nowych doznań.

Pragnęła za nim zatęsknić.

W tym wszystkim jednak tkwiło pewne ryzyko, że on przestanie tęsknić za nią.

\* \* \*

Tamtej marcowej nocy było zimno. Chłód dawał się we znaki nieprzyjemną, przenikającą do szpiku kości wilgocią. Wraz z gęstniejącym mrokiem na ulicach Warszawy ubywało ludzi. Znikali w swoich domach, mieszkankach, przytułkach, a co weselsi chodzili od kawiarni do kawiarni, od baru do baru, racząc się smakowitymi trunkami, dzięki którym zimno nie było dla nich tak dokuczliwe.

Nawet Krakowskie Przedmieście, zwykle tętniące życiem, gwarne i głośne, teraz cichło w nocnym odpoczynku.

Jednak Zuzanna nie czuła zimna. Jej całe ciało było napięte do granic wytrzymałości, wręcz boleśnie gotowe na to, co za chwilę miało nastąpić. Musiało nastąpić.

Ignacy wyszedł z restauracji, a jej serce zadudniło tak gwałtownie, że się wystraszyła, iż za chwilę wyskoczy z piersi. Na moment pociemniało jej w oczach. Położyła dłoń na wysokości szalejącego serca, jakby to miało je uspokoić, a drugą wymacała w kieszeni płaszcz pistolet. Był tam. Mały, a równocześnie tak rzeczywisty, namacalny. Palcem wskazującym pogłaskała gładką muszkę. W magazynku były tylko dwa naboje, choć zmieściłoby się osiem. Oddała za niego wszystkie pieniądze, jakie miała, wszystkie oszczędności, z których powinna opłacić czynsz i jedzenie. Dodała do tego srebrną broszkę, prezent od Ignacego.

Lubowidzki chwiał się na nogach. Był pijany. Mimo to nadal prezentował się pięknie i elegancko w wełnianym płaszczu, teraz szeroko rozchełstany, i czarnym garniturze. Na szyi miał niedbale zarzucony jedwabny szal. Kapelusz odruchowo założył na głowę, jak tylko wyszedł z restauracji. Jego towarzysze – było ich trzech – podobnie jak on nie mogli utrzymać równowagi. Podtrzymywali się za ramiona. Tylko on kolebał się sam i zamasyście wymachiwał rękoma, bardzo z czegoś zadowolony.

Był blisko. Tak blisko, że widziała dokładnie jego twarz. Zaśmiewał się z czegoś rubasznie. Przypomniała sobie, że próbował ją dzisiaj pocałować, ale odepchnęła go. Nie chciała już jego pocałunków, choć kiedyś tak ich pragnęła.

Wyszła z mroku bramy. Nie widzieli jej. Nikt na nią nie patrzył. Zbyt zajęci byli pijacką przyspiewką i próbami utrzymania równowagi. W którymś momencie Ignacy, zaśmiewając się do rozpuku, odwrócił się do niej. Był nie dalej niż na odległość dwóch metrów. Spojrzał na nią. Ich oczy spotkały się tylko na ułamek sekundy, bo nagle powietrze rozdarł huk wystrzału z pistoletu.

Zuzanna błyskawicznie wsunęła się w mrok bramy. Dudniło jej w uszach. Z dygoczącym sercem opadła na kamienną posadzkę czarnego korytarza, ale natychmiast podniosła się i skryła pod schodami prowadzącymi na piętro. Czekała. Jej oddech, zamiast się wyrównać, nie zwalniał. Był szybki, urywany, bliski szlochowi.

Czekała.

Drzwi od jakiegoś mieszkania otworzyły się i ktoś z nich wybiegł. Na zewnątrz rozgorzała wrzawa, ktoś krzyczał, wołał o pomoc.

Ona wciąż czekała.

„Zaraz po mnie przyjdą” – myślała gorączkowo. Zacisnęła oczy tak mocno, że aż zobaczyła dziwne kręgi pod powiekami. Uświadomiła sobie, że w dłoni wciąż trzyma pistolet. I ta dłoń nagle zaczęła niemożliwie dygotać.

Prędko wrzuciła pistolet do kieszeni i próbowała oprzeć się o zimną ścianę, ale zamiast tego bezwiednie osunęła się w dół, na kamienną posadzkę. Siedziała tak, nie wiedząc, co robić, jak wstać. Całe ciało miała jak z waty.

Po kilku minutach uspokoiła oddech i ciężko podniosła się na nogi. Nikt nie przychodził, więc musiała iść sama. I się pokazać.

Wyszła z bramy na oświetlony chodnik.

Pod restauracją było pełno ludzi – goście, kelnerzy, okoliczni mieszkańcy. Wielu stało w oknach i na balkonach. Panika udzieliła się niemal wszystkim i nikt nie zwracał na nią uwagi. Ruszyła prosto przed siebie, w stronę, gdzie przed kilkoma minutami upadł Ignacy.

Wciąż tam leżał. Żył. Widziała, że jeszcze żył. Jeden z jego kolegów podtrzymywał mu głowę. W okolicy klatki piersiowej zobaczyła powiększającą się plamę krwi.

Podeszła bliżej.

Chciała na niego spojrzeć. Ostatni raz.

Przystanąła tak, dygocząc, a nikt nie zwracał na nią uwagi. Nikt nawet się nie domyślał, że w kieszeni płaszcza trzyma pistolet, który kupiła dwa dni temu wyłącznie po to, żeby zrobić to, co zrobiła.

Z oddali słyhać było sygnał zbliżającego się ambulansu.

„Zaraz tu będzie policja” – pomyślała.

Z ust Ignacego wypłynęła strużka krwi. I dopiero ten widok przejął ją trwogą.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Nikt na nią nie patrzył. Nie zwracał uwagi. Ludzie z przerażeniem wpatrywali się w leżące na chodniku ciało Ignacego.

A ona szła, coraz dalej i dalej.

Na Powiśle dotarła przez nikogo nie niepokojona, nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie. Potykała się o wystające kocie łby na bruku, bo nie patrzyła pod nogi, ale szła, czując w oddali wilgotny zapach rzeki.

W końcu dotarła nad sam brzeg.

Było przenikliwie zimno. Nad Wisłą unosiła się gęsta, prawie mleczna mgła. Zuzanna drżącymi palcami wyjęła z kieszeni pistolet. Przez chwilę trzymała go w dłoni, jakby chciała zapamiętać, jaki był w dotyku, ile ważył. Aż w końcu gwałtownie cisnęła go w nurt rzeki.

Kiedy dotarła do swojego mieszkania na Karowej, Lili spała w łóżku tak, jak Zuzanna ją zostawiła. Zrzuciła z siebie wilgotny płaszcz i położyła się obok córeczki.



## ROZDZIAŁ 21

grudzień, rok 1925

Prowansja

Rozalia zapomniała, jak zimne i porywiste wiatry bywały w tej części Francji. Nie bez powodu jej dom rodzinny w Grasse nie miał okien od strony nawietrznej, żeby huragan nie świszczwał w szybach i nie skrzypiał w okiennicach. Dom jednak pozostał taki sam, jak go zapamiętała. Wybudowany w stylu rustykalnym, z kamienia i jasnej cegły, ze spadzistymi dachami, idealnie wpisywał się w okoliczny pejzaż miasta kwiatów. Rozalia miała wrażenie, jakby wyjechała stąd ledwie miesiąc temu, a cały ten szmat czasu, który spędziła w Polsce, nigdy nie istniał. Ale to było złudzenie. Bo jeśli tu nie zmieniło się nic, to w niej zmieniło się wszystko.

Upływ mijającego czasu dostrzegła dopiero w osobie kamerdynera François. Niegdyś wysoki i postawny, zwracający uwagę dystyngowaną sylwetką, teraz jakby się zgarbił i skurczył pod ciężarem lat. Jego włosy posiwiały, a twarz pokryła się siateczką zmarszczek.

– *Mademoiselle!* – Do jego oczu napłynęły łzy i Rozalia nie mogła się powstrzymać, żeby go nie uściskać. To samo zrobiła z dwiema pokojówkami i kucharką, która zszokowana wybiegła z kuchni. Wszyscy paplali między sobą zdumieni, wzruszeni i spoglądali z zaciekawieniem na Lili, która z pluszowym króliczkiem w rączkach stała pośrodku pięknego holu i rozglądała się, nieco zagubiona.



Od François Rozalia dowiedziała się, że matki nie ma, bo wyjechała do Paryża, a ojciec siedzi sam w swoim gabinecie.

Zdjęła płaszcz, pomogła w tym Lili i, chwytając ją za rączkę, skierowała się wprost do gabinetu ojca.

W tym szczególnym pokoju, do którego Rozalia jako dziecko rzadko miała wstęp, zawsze pachniało tytoniem, kurzem i książkami. Ojciec przesiadywał głównie przy wielkim dębowym biurku, pamiętającym jeszcze czasy Napoleona. Jako mała dziewczynka, Rozalia chowała się nieraz pod tym masywnym meblem, mając nadzieję, że ojciec się nie zorientuje, a dzięki temu ona będzie mogła spędzić tu długie godziny, obserwując go i słuchając, jak pracuje. Feliks jednak ostrym tonem zawsze nakazywał jej wyjść spod biurka i bawić się gdzie indziej.

Teraz ojciec Rozalii nie siedział przy biurku. Odpoczywał w wysokim fotelu, z książką na kolanach. Tuż obok przyjemnie trzaskał ogień w kominku. Wiedziała, że ojciec słyszał poruszenie służby. Musiał się domyślić, że coś się wydarzyło. Że przyjechał jakiś wyjątkowy gość. Ale nie zareagował. Czekał, aż François zaanonsuje mu przybysza.

Rozalia wraz z Lili weszła do gabinetu bez wcześniejszego uprzedzenia.

Ojciec w pierwszej chwili nie spojrzał na nią. Dopiero gdy zamknęła za nimi drzwi, podniósł wzrok znad lektury. Był zmęczony, posępny.

– Przyjechałaś.

– Tak.

Stała pośrodku pokoju, nie mając odwagi ani szczególnej chęci, żeby zbliżyć się do tego postarzałego mężczyzny. Ojciec nie przypominał dawnego siebie. Był wychudzony, skóra wisiała mu na policzkach, a bujne niegdyś włosy mocno się przerzedziły.

– Myślałem, że jednak nie przyjedziesz.

– Nie poprosiłeś mnie o to. Nie wezwałeś. Choć zrobiłabym to w okamgnieniu.

– Bo byłem przekonany, że tam jest twoje miejsce. Zwłaszcza po tym, jak zajęłaś pałacyk „Magnolia”. – Jego głos był znużony, jakby nie miał siły rozmawiać z nią normalnym tonem. Jakby było mu wszystko jedno. – Co to za dziecko? Nie pisałaś, że masz córkę.

– To córka mojej przyjaciółki. Zuzanny Grabińskiej.

– Tej, która...

– Tak.

Feliks spojrzał na dziewczynkę. Przez chwilę przyglądał się jej bacznie, a Lili się zawstydzila i schowała za spódnicą Rozalii. Rozalia pogładziła ją pieszczotliwie po główce.

– Chodź, kochanie, zaprowadzę cię do kuchni. Kucharka przygotuje ci pyszne kakao.

Kiedy wróciła do ojcowskiego gabinetu, Feliks tkwił w tej samej niezmienionej pozycji.

– To jego dziecko? Twojego męża nieboszczyka? – zapytał bez ogródek.

– Wiesz przecież. Ciotka Klara pisała do ciebie.

– Pisała, ale bez szczegółów. Nie pisała, że wzięłaś tę dziewczynkę pod opiekę. Wiem tylko, że jej matka...

– Jej matka to cudowna i piękna kobieta.

Mężczyzna zaśmiał się z sarkazmem, który Rozalia tak dobrze znała. Ojciec zawsze się wywyższał i zawsze drwił z tych, których uważał za gorszych od siebie.

– Zrobiła to, czego ty nie zdołałaś. Urodziła mu dziecko.

Rozalia zadrzała, czując nagły gniew. Mierzył ją grubiański ton ojca. Jego bezduszna obcesowość i obojętność. Jakby było mu wszystko jedno, co się z nią działo przez te lata. Jakby nic go nie obchodziło, że oddał ją człowiekowi, który złamał jej życie i sprowadził na samo dno piekieł. Jakby nie było mu wstyd, że za jego sprawą jej dusza, dotknięta niewyobrażalnym cierpieniem, strachem i bólem każdego dnia małżeństwa wołała o pomoc. I jakby nie cieszyło go, że mimo wszystko stała przed nim żywa. Jego obchodziło tylko to, że nie urodziła Ignacemu dziecka.

– Zrobiła więcej. Poświęciła się i... uwolniła mnie od tego potwora.

– Nie zrobiła tego dla ciebie, więc nie musisz być jej wdzięczna.

– Uratowała mi życie.

– Myślę, że przesadzasz. Gloryfikujesz ją za to, że zabiła człowieka? Twojego męża?

Rozalia zacisnęła zęby. Miała dość wyniosłości ojca, jego konserwatyizmu i wątpliwych moralnie zasad, niemających nic wspólnego z normalnym życiem.

– Oddałeś mnie potworowi! A kiedy pisałam ci o tym, kazałeś mi tkwić w tym związku!

– Bo był twoim mężem. A takich związków się nie zrywa.

– Ojczy, spójrz na mnie!

Mężczyzna popatrzył na nią z dziwną pobłażliwością. Jego wzrok tylko na ułamek sekundy zatrzymał się na jej policzku. Na szpecącej go bliznie.

– On mnie bił i więził! Robił ze mną niewyobrażalne rzeczy!

Feliks nagle podniósł się z fotela i odwrócił do niej plecami, jakby ignorując jej słowa. Zauważyła, że dłonie mu drżały.

– Byłem pewien... że potrzebujesz oglady. Dyscypliny. Byłaś rozwydrzona i zbyt pewna siebie. Miałaś w głowie głupie wyobrażenia o romantycznej miłości. Twoja matka wciąż cię rozpieszczała.

– I dlatego postanowiłaś wybić mi to z głowy? – wyszeptała z niedowierzaniem. – Nigdy mnie nie uderzyłeś. Nigdy nie dałeś mi nawet małego klapsa. Dlaczego więc...?

Odwrócił się do niej gwałtownie i popatrzył jej w oczy.

– Nie rozumiesz? Chciałem, żebyś była kimś! Żebyś z dumą chodziła ulicami mojej ukochanej Polski...

– Jako kto? Żona człowieka bez zasad i honoru? Który był potworem?

– Był szanowanym politykiem. Byłem pewien, że masz przed sobą przyszłość.

– Moja przyszłość była tu. We Francji. A ty wysłałeś mnie w to dziwne miejsce...

– Tu, we Francji, zginęłabyś w tłumie ludzi oświeconych, wybitnych. Byłabyś ledwie pyłkiem. Tam, u boku męża, miałas szansę zaistnieć.

– Tak jak ty, ojciec, zaistniałeś u boku swojej żony – rzuciła z goryczą. – Dlaczego mama wyjechała do Paryża? Dlaczego się do mnie nie odzywa?

Z piersi Feliksa wyrwało się coś na kształt bolesnego westchnienia.

– Zostawiła mnie. Porzuciła i wyjechała. Zrobiła to po tym, jak słałaś te listy, a ja nie pozwalałem ci odejść od męża.

– Kiedy mama odeszła? – zapytała nieco już spokojniejszym tonem.

– Trzy lata temu. Od tamtej pory jej nie widziałem. – Ojciec zamilkł. Nie patrzył na córkę, jakby dając jej tym samym do zrozumienia, że powinna odejść. Kiedyś też tak robił – zbywał ją krótkim słowem lub machnięciem ręki. Nic się nie zmienił. Wciąż był taki sam.

\* \* \*

Rozalia ulokowała się w swojej dawnej sypialni, a pokojówkom nakazała przygotować pokój dla Lili tuż za ścianą.

– Będzie dobrze, Lili. Zobaczysz. – Ukucnęła przed dziewczynką.

Lili, nieco markotna, stanęła na środku pokoiku, który na pewien czas miał stać się jej miejscem. Pokój był zimny i pusty, ale Rozalia planowała jak najszybciej urządzić go tak, żeby dziewczynka poczuła się w nim dobrze.

– Będę przy tobie. Zawsze – rzekła do niej, próbując ją nieco uspokoić.

– A tamten poważny pan? Boję się go.

Rozalia uśmiechnęła się łagodnie.

– Ten pan to od dzisiaj twój dziadek. Możesz tak do niego mówić.

– Będzie zły – mruknęła mała, powątpiewająco marszcząc brwi. „Niech tylko spróbuje” – pomyślała Rozalia buntowniczo.

\* \* \*

To było jak powrót do przeszłości. Coś gwałtownie i boleśnie rwało się w jej sercu, kiedy uważnie rozglądała się po dawnej pracowni Vincenta Lamara. Wszystko wyglądało tu prawie tak jak dawniej – ten sam stół, te same półki i ściany obwieszane suszonymi ziołami. Nie było tylko jego – najważniejszego człowieka, który tworzył w tym miejscu magię zapachów. Samego mistrza.

Wspomnienia uderzyły w nią z ogromną siłą. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz tak gwałtownie płakała. Opłakiwała jego śmierć i opłakiwała stratę jego bezcennych zapisków, które spłonęły w pożarze. Usiadła na małym zydelku i szlochała, wspominając chwile swojej szczęśliwości. Przypominała sobie ciepły, choć stanowczy głos starego perfumiarza, jego przenikliwe spojrzenie, ciemny, długi fartuch, który pachniał jak cała kwiecista łąka.

Z opuchniętą od płaczu twarzą poszła w końcu na pobliski cmentarz, gdzie znajdował się grób Vincenta Lamara.

– Czemu pozwoliłeś mi stąd wyjechać? – pytała, patrząc na skromny nagrobek. – Czemu nie powiedziałeś mi, że życie może być brutalne i złe? Czemu ciągle uczyłeś mnie tylko o pięknie? O zapachach. Nie byłam gotowa na to, co mnie spotkało. Nie umiałam walczyć, bo nie nauczyłeś mnie tego, panie Lamar.

Było zimno. Wiatr szaleńczo hulał po okolicy, kołysząc drzewami. Na cmentarzu nie było nikogo oprócz niej jednej. A ona wpatrywała się uporczywie w skromny kamienny nagrobek z krzyżem, aż w końcu położyła na nim jedną białą różę.

\* \* \*

Alice Ladoucette, matka Rozalii, bez zbędnych i ironicznych uwag przyjęła pod swój dach zarówno córkę, jak i jej podopieczną. Lili stała się istnym światełkiem w ciemności dla tej zgorzkniałej od osobistych zgryzot kobiety. Po tym, jak matka Rozalii odeszła od Feliksa i opuściła Grasse, podupadła na zdrowiu i pogrążyła się w melancholii. Paryż miał ją uleczyć, ale skończyło się na tym, że raz czy dwa Alice wybrała się na przedstawienie do teatru, zagościła w modnej kawiarni, a później nie miała już najmniejszych chęci, żeby opuszczać cztery ściany swojego domu. Zatopiła się w mroku własnych żalów i wyrzutów sumienia. Była niewiele starsza od Klary Tyszkowskiej, ale brakowało jej temperamentu, który miała ciotka Rozalii. Żyjąc przez tyle lat w cieniu swojego męża, Alice milcząco dawała mu na wszystko przyzwolenie, nawet jeśli nie zgadzała się z jego zdaniem. Teraz robiła sobie z tego powodu wyrzuty, popadając w coraz większą zgryzotę. Dopiero Lili swoim dziecięcym urokiem wybudziła ją z marazmu.

– To dziecko jest takie zabawne! – mawiała zachwycona, kiedy Rozalia wracała do domu po kilku godzinach spędzonych na mieście. – W mig łapie słowa po francusku. Mam wrażenie, że nawet ty nie uczyłaś się tak szybko.

Rozalia była zadowolona, widząc matkę w dobrym nastroju. Zwłaszcza że ta nie kryła rozgoryczenia, kiedy opowiadała o tym, jak odeszła od jej ojca.

– Dlaczego do mnie nie napisałaś? Dlaczego oboje udawaliście, że nic się nie dzieje? – Rozalia nie potrafiła ukryć złości i rozczarowania. Miała wrażenie, że właśnie wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała wsparcia rodziców, oni nagle głucho zamilkli, karmiąc się własnymi frustracjami i skupiając się wyłącznie na sobie.

– Co miałam ci napisać? Że źle postąpiłam, bo pozwoliłam na twój ślub z tym okrutnym człowiekiem? Masz świadomość, przez

co przesłam? Co czułam? Ból i wyrzuty sumienia rozrywały mi serce!

„Mój ból był dotkliwszy” – myślała Rozalia z wyrzutem. A i tak nie dało się go porównać z tym, który odczuwała Zuzanna.

Za to Paryż mamił ją swoimi urokami, barwą i światłem. Stanowił centrum kulturalnego wszechświata, w którym artyści odnajdywali swoje dusze, wirtuozi grywali na nutach swobody, a najbardziej szaleni wizjonerzy kreowali nową rzeczywistość. Gdzie porzucało się wszelkie konwenanse, a prym wiodły ekstrawagancja, inspiracja i szeroko pojęta rozrywka. W tym świecie królowała Tamara Łempicka.

Rozalia odwiedziła malarkę w jej atelier natychmiast po rozgłoszeniu się w paryskim domu swojej matki. Z marszu opowiedziała jej, co się stało z portretem, ale Łempicka przyjęła to z pokorą. Tylko bolesny grymas na twarzy malarki powiedział Rozalii, że ta strata bardzo ją dotknęła.

– Wreszcie postanowiłaś odnaleźć siebie, moja piękna Rosalie – skwitowała, kiedy Rozalia wyjaśniła jej powody swojego wyjazdu z Warszawy. – Twoje serce w końcu otworzy się na doznania.

– A może to nie serce, tylko rozum podpowiadał mi, że powinnam tu przyjechać.

– Wyczuwam gorycz w twoim głosie, *mon chéri*.

– To raczej rozczarowanie tym, że nic nie jest tak proste, jak byśmy tego chcieli. Nawet miłość, której niby tak bardzo pragniemy.

– Kochanie, o mrokach miłości wiem akurat wystarczająco dużo. Jeśli ktoś ci powie, że mój mąż jest tylko moim mężem, to wiedz, że bardzo się myli. Ten mężczyzna był największą miłością mojego życia i dzięki niemu doskonale poznałam smak zarówno namiętności, jak i goryczy. Jeśli mężczyzna, który króluje w twojej głowie, sprowadza cię na takie same manowce, to znaczy, że w końcu poznasz smaki życia!

Rozalia nie była tego pewna. Tęskniła za Gustawem, a ta tęsknota wywoływała w niej złość, frustrację i obsesję jednocześnie. Nie chciała jednak zbyt często o nim myśleć. Nie po to przyjechała do Francji, żeby rozpamiętywać mężczyznę, który bądź co bądź, dwa razy poprosił ją, żeby została jego żoną, a którego ona obcesowo odrzuciła. Postanowiła, że będzie w Paryżu świecić nowo odkrytym blaskiem swojej osoby i zawalczy o to, czego pragnęła najbardziej, a co już szerokim echem odbijało się od ścian snobistycznych salonów.

Zapachy. Perfumy.

Na pierwsze, prawdziwie salonowe przyjęcie wybrała się w karnawale, tuż po Nowym Roku. Tamara Łempicka zabrała ją do domu madame Nathalie Legardinier, u której zbierała się snobistyczna śmietanka towarzyska Paryża. Specjalnie na tę okazję Rozalia włożyła długą do ziemi, błyszczącą od kamieni suknię, na ramiona zarzuciła śnieżnobiałą etolę z lisa, a włosy zakręciła w pukle kończące się tuż nad karkiem. Wyglądała wyzywająco i pięknie. Zupełnie inaczej niż niegdyś w Warszawie.

Tak wystrojona i otulona zapachem *La Rose*, wkroczyła w sam środek tego targowiska narcyzmu, przepychu i arogancji. Patrzyła na znudzone miny zebranych, dwuznaczne pozy, ekstrawaganckie stroje i z przekąsem pomyślała, że coś takiego w Warszawie byłoby nie do pomyślenia. Prowincjonalizm tamtego miasta aż kłuł w oczy w porównaniu z zepsuciem i wyrachowaniem, które można było oglądać tutaj. Niepodważalnie królowała tu wielka trójca: absynt, kokaina i jazz. Kobiety swobodnie nastrecały sobie kochanków, wystrojone jak najdroższe kurtyzany świata, a co poniektóre paradowały w męskich garniturach i cylindrach. W tym ociekającym bogactwem, zepsutym światku Antoni Broll zdawał się czuć jak ryba w wodzie. Zdziwił się, kiedy ją zobaczył – tak inną, tak wystrojoną. Ale podszedł do niej bez wahania ze szklanką bursztynowego trunku w dłoni. Rozalia miała wrażenie



że tutaj, w epicentrum zepsucia, był jeszcze przystojniejszy niż parę miesięcy temu w Warszawie.

– Kogo moje oczy widzą! Co za niespodzianka! Pani wreszcie tutaj!

– A pan ciągle tutaj – odparła z uśmiechem.

– Mówiłem, że wybieram się do Paryża.

– I wciąż jest pan sam.

Zaśmiał się.

– Chodzi pani o moją żonę? No cóż, nie wchodzimy sobie w drogę, jeśli nie ma takiej potrzeby.

– Co za wygodny układ.

– Pani podobno poznała go tylko z jednej strony.

– Moj mąż widocznie nie był tak swobodnym w obyciu człowiekiem jak pan i żałował mi przyjemności życia.

– Ale widzę, że w końcu postanowiła pani nadrobić stracony czas. – W jego spojrzeniu pojawił się błysk. Ten sam, którym próbował omamić ją już dawniej. – Wygląda pani pięknie! – powiedział wreszcie, nie kryjąc zachwyty.

Popatrzyła mu w oczy.

– Pewnie mi pan nie uwierzy, jeśli powiem, że wystroiłam się tak wyłącznie dla pana. Tamara zapewniła mnie, że pan tu będzie, więc przyszłam tu celowo.

Rzeczywiście jej nie uwierzył. Patrzył na nią zdumiony, wręcz oszołomiony. Był mężczyzną, któremu zdobywanie kobiet przychodziło zbyt łatwo, a Rozalia stała się dla niego murem nie do sforsowania. Pogodził się z tym, choć nie bez goryczy porażki. A tymczasem ona nagle stanęła przed nim w całej okazałości i do tego twierdziła, że jest tu wyłącznie dla niego.

– Więc jednak Paryż czyni z ludzi istoty bezwolne – mruknął, wpatrując się w jej twarz. A ona pomyślała o Gustawie i o tym, że żaden mężczyzna nie mógł się z nim równać. Nawet tak piękny jak Antoni Broll.

– Nie. Paryż dodaje odwagi – skwitowała krótko.

- Więc co pani proponuje? Czego pani ode mnie oczekuje?
- Że wciąż ma pan ochotę ubić ze mną interes. – Uśmiechnęła się. – Na zapachy. Dam je panu, a pan je wyprodukuje. Dla mnie.

\* \* \*

Gustaw wyrzucał sobie, że nie sprzedał mieszkania w Brześciu, bo podświadomie wiedział, że jeszcze do niego wróci. Zrobił to zaraz po świętach Bożego Narodzenia, które o dziwo spędził w towarzystwie Ady i Juliana Paluszkiewicza. Z początku trudno mu było przyjąć do wiadomości fakt, że jego irytująca siostra postanowiła wyjść za mąż za człowieka, którego on uważał za największego pyszałka i zdrajcę. Później jednak się zreflektował, bo dostrzegł, że to, co narodziło się między Adą a Julianem, było tyleż szalone, co prawdziwe. A on sam nie wiedział, kiedy przebaczył dawnemu przyjacielowi kradzież narzeczonej. Zrobił to dawno temu, tylko duma nie pozwalała mu się do tego przyznać. Teraz jednak, patrząc na Adę i Juliana, czuł pewną zazdrość, bo w jego głowie i sercu królowała bezgraniczna tęsknota, a oni dwoje zachowywali się tak, jakby zupełnie postradali rozumy i nie widzieli nic poza sobą i swoją miłością.

Doktor Godlewski przyjął go w szpitalu w Brześciu ze zdziwieniem, ale i satysfakcją. A młoda pani doktor, która wyraźnie się tutaj zadomowiła, bez skrępowania wodziła za nim wzrokiem. Pomyślał, że być może zaprosi ją kiedyś do kawiarni. Kiedyś. Jeśli zdoła zapomnieć.

Tego wieczoru, kiedy Rozalia brylowała na salonach Paryża, on udał się do Gwieździstej na spotkanie zorganizowane przez pułkownika Żarnowskiego. Doskonale wiedział, po co tam idzie. Nie miał złudzeń, jaki charakter ma to spotkanie, ale zgodził się, czując już kompletną bezsilność. To, na co przystał, było ostatnią deską ratunku dla tego kraju. Dla jego odrodzonej w demokracji Polsce, która jednak zupełnie tej demokracji nie rozumiała.

Dopiero gdy wszedł do zamkniętego tego dnia dla zwykłych bywalców lokalu, uderzyła go prawdziwość tego, co się działo.

Przy dosuniętych na środku sali stołach siedzieli legioniści, sami oficerowie. Nad ich głowami zawisła gęsta chmura tytoniowego dymu.

Widok pułkownika Żarnowskiego Gustawa nie zdziwił, ale już obecność generałów Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego i Gustawa Orlicz-Dreszera uświadomiły mu, że to nie będzie wyłącznie kurtuazyjne spotkanie grupki wojaków.

– Panie doktorze – powitali go. – A może raczej powinniśmy powiedzieć: kapitanie Lubowidzki. Cieszymy się ogromnie, że zechciał pan do nas dołączyć. Marszałek Piłsudski będzie niezwykle rad i na pewno panu tego nie zapomni. Ale przede wszystkim pamiętać o tym będzie nasza ojczyzna.

– Oby tak było, panowie – rzekł Gustaw, siadając między nimi.

\* \* \*

Kiedyś patrzyła na niebo. Na księżyc i gwiazdy. Na słońce.

Księżyc stał się świadkiem początku tej przeogromnej miłości. Tej, która ją pochłonęła bez reszty. Tej słodkiej i zimnej zarazem. Aż od tej miłości zeszła na samo dno.

I tu, w tych głębinach, było jej tak spokojnie. Już nie musiała oddychać. Nie musiała się modlić. Nie musiała czuć. Na dnie znalazła miejsce, gdzie znużona głowa w końcu mogła odpocząć. I wtedy poczuła oplatające jej ciało ramiona, które uniosły ją w miażdżącym uścisku. I niosły ją, pociągały, wciąż w dół. Coraz niżej i niżej. Aż nagle poczuła się szczęśliwa. Wyzwolona od piętna grzesznicy.

I tylko gdzieś, wysoko nad nią, gwiazdy ułożyły się w słowo „Lili”.

\* \* \*

List od Juliana Paluszkiewicza z informacją o śmierci Zuzanny dotarł do Rozalii z parodniowym opóźnieniem. Była wtedy na spotkaniu związku perfumiarzy w Grasse. I nagle to wszystko przestało mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Ze łzami w oczach czytała to, co napisał Julian.

„Umarła z niedożywienia”.

Umarła.

A Rozalia czuła, że wraz z Zuzą odeszła jakaś malutka cząstka jej samej, jakiś fragment duszy, którym była głęboko złączona z tą kobietą.

Wpatrując się w zimne, wypisane czarnym atramentem litery, które informowały o ostateczności, równocześnie spoglądała na Lili. I zabrakło jej powietrza, bo wiedziała, że nigdy nie zdoła powiedzieć tego dziewczynce tak, jak powinna to zrobić. Nie znajdzie właściwych słów.

Jeszcze tego samego wieczora wyszła na pola kiełkującej lawendy. Ukucnęła i wbiła w ziemię zapaloną świeczkę.



## EPILOG

**maj, rok 1926**

**Warszawa**

Ada chodziła wokół brata jak kwoka. Pielęgnowała, karmiła, zmieniała opatrunki.

Gustaw jej nie poznawał. Odkąd wyszła za mąż za Juliana, wydorosłała, spoważniała i... wypiękniała. Z jej twarzy zniknął grymas znudzenia i niepewności, a zastąpił go szczery uśmiech. Była szczęśliwa. Gustaw widział to w każdym jej geście, każdym spojrzeniu, które kierowała na swojego męża. A Julian... No cóż, oszalał na punkcie żony do tego stopnia, że był gotowy zdjąć dla niej gwiazdkę z nieba, gdyby go o to poprosiła. Lecz Ada jedyne, czego chciała prócz szczęścia ich obojga, to móc się uczyć i pracować. Pilnie przygotowywała się do ponownych egzaminów na studia prawnicze i przyjęła posadę w gazecie Klary Tyszkowskiej, gdzie z zaangażowaniem pisała porady prawnicze dla kobiet potrzebujących pomocy.

– Nie wstawaj! – upomniała brata, kiedy Gustaw próbował podnieść się z łóżka. – Rana może się rozejść.

– Nic mi nie będzie – stęknął i podniósł się na łokciu.

Chciał zjeść obiad normalnie, a nie jak obłożnie chory. Usiadł, oparł się o poduszki, a Ada położyła przed nim stolik śniadaniowy z aromatyczną zupą.

– Przypominam ci, że to ja jestem lekarzem i znam się na ranach lepiej od ciebie – mruknął do niej z lekkim uśmiechem.

– A ja przypominam ci, że takie rany leczy się w szpitalu. A ty jeszcze wczoraj miałeś gorączkę.

– Miejsce w szpitalu potrzebne jest dla ciężiej rannych.

To akurat była prawda. W ciągu trzech dni szpitale w Warszawie zaroily się od rannych w starciach ulicznych polskich żołnierzy. A to, co wydarzyło się w Warszawie między 12 a 15 maja 1926 roku, miało zostać w pamięci Polaków na zawsze.

Gustaw wciąż nie mógł uwierzyć, że w walkach, które toczyły się między żołnierzami wiernymi Piłsudskiemu a oddziałami rządowymi, zginęło dwustu piętnastu żołnierzy i stu sześćdziesięciu czterech cywili. To było jak koszmar, na który nikt nie był przygotowany. Bo co innego zabijać wroga z zewnątrz, a co innego strzelać z karabinu do... brata.

Marszałek Józef Piłsudski od dawna toczył zacięty spór z polskim rządem. Mówił o zmianach ustrojowych i przestrzegał przed potężnym zagrożeniem ze strony Niemiec i bolszewickiej Rosji. „Sejmokracja” jednak – jak określał polski rząd, niewiele sobie robiła z jego wyraźnych ostrzeżeń i nacisków na opanowanie kryzysu. Nie było więc nic dziwnego w tym, że w obliczu trwającego przewlekłego kryzysu gabinetowego Marszałek podjął decyzję o powrocie do politycznej gry.

Podlegli mu żołnierze nie mieli najmniejszych wątpliwości, że chcą iść z nim na Warszawę i pomóc mu w przejęciu władzy, żeby uratować kraj przed ostatecznym upadkiem.

– Nie kazał nam jednak strzelać – mówił Gustaw do Juliana, kiedy leżąc ranny na jego łóżku, relacjonował mu zdarzenia z przewrotu. – Chciał pokojowo dogadać się z rządem.

– Ale wiedział, że ma przewagę – skwitował Julian, który nie brał udziału w walkach ulicznych. – Ktoś z jego autorytetem... Musiał mieć świadomość, że dojdzie do rozlewu krwi. Takich spraw nigdy nie rozwiąże się pokojowo, bo raz przejętą władzę trudno oddać.

Gustaw przypominał sobie marsz szwadronów z Rembertowa na Warszawę. Sam brał w nim udział. Po raz kolejny przywdział mundur i oddał się pod rozkazy marszałka Piłsudskiego, choć wielu uważało to za zdradę, bo nie od dziś wiadomo było, że jego dawny dowódca generał Józef Haller miał nie po drodze z Piłsudskim.

Idąc na most Poniatowskiego, gdzie Marszałek miał spotkać się z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim, Gustaw wciąż wierzył, że sprawa ewentualnej walki zbrojnej rozejdzie się po kościach i obaj politycy porozumieją się na tyle sprawnie, że jeszcze tego samego wieczora żołnierze wrócą do swoich garnizonów. Piłsudski domagał się od prezydenta natychmiastowej dymisji nowo utworzonego rządu Wincentego Witosa. Obaj przywódcy nie umieli się jednak dogadać i jeszcze tego samego dnia przed wieczorem oddziały rządowe skierowały pierwszy ogień w stronę żołnierzy Marszałka. Walki trwały trzy dni, a Warszawa zapełniła się czołgami, samochodami pancernymi i żołnierzami na barykadach.

Oddział Gustawa walczył w okolicach Alei Ujazdowskich, niedaleko mieszkania Klary Tyszkowskiej. Bez trudu udało im się przełamać blokadę wojsk rządowych, ale Gustaw został raniony bagnetem w bark i wiedział, że dla niego wojaczka już się skończyła. Natychmiast przewieziono go do szpitala, ale gdy tylko któryś z lekarzy opatrzył i zszył mu ranę, Gustaw zażądał, by go wypuszczono.

Tym razem jednak nie miał gdzie się zatrzymać, bo ostatnie miesiące spędzał w koszarach wojskowych na ćwiczeniach. Chciał wrócić do oddziału, ale Ada uparła się, by zamieszkał chwilowo u niej i u Juliana. Nie wiedział, co działo się później i jak żołnierze Piłsudskiego zdołali odnieść zwycięstwo. Ostatecznie jednak 14 maja rząd Witosa złożył dymisję, a wraz z nim ustąpił również prezydent Wojciechowski.



– Piłsudski nie przyjął prezydentury – poinformował go Julian, kiedy Gustaw leżał w łóżku i wpatrywał się w błękitne, majowe niebo za oknem. – On nie chce takiej władzy.

– A jakiej chce...? – wykrztusił Gustaw, zastanawiając się, czy to wszystko, co robili, miało jakikolwiek sens. Czy Polska ma szansę podnieść się z tej hańbiącej demoralizacji? Czy te oddane życia, z których krew płynęła teraz ulicami Warszawy, nabiorą jakiegoś znaczenia? Zwłaszcza kiedy u bram stał faszyzm w całej swojej okazałości. A może Piłsudski też był faszystą? – myślał Gustaw z goryczą. Może też chciał władzy absolutnej i nieograniczonej?

W tym wszystkim Gustaw był pewien jedynie tego, po której stronie stałby teraz jego brat, gdyby żył.

\* \* \*

### **lipiec, rok 1926** **Grasse, Francja**

Wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola rozkwitłej lawendy. Piękne, tajemnicze, romantyczne. Ich odurzający, magiczny zapach nie tylko silnie pobudzał zmysły, ale i koił nerwy. Dawał wytchnienie. Uspokajał.

Taki widok miała Rozalia z tarasu rodzinnego domu w Grasse.

Delektowała się tym krajobrazem spod wpół przymkniętych powiek, wygodnie leżąc na wyścielonym poduszkami szezlongu. Delikatny wiatr muskał jej wystawioną do słońca twarz.

Jedynie w tej pozycji było jej wygodnie, bo każda inna dawała o sobie znać silnym uciskiem nabrzmiałego brzucha. Odruchowo położyła na nim dłoń i dziecko natychmiast zaczęło fikać koziołki. Ogarnęła ją przyjemna fala ciepła. To było jak cud, którego nie miała prawa oczekiwać. Jak znak, że szczęście było tak blisko. Wystarczyło po nie sięgnąć.

– *Mademoiselle*, przyjechał *monsieur*, którego pani oczekuje – oznajmił kamerdyner, pojawivszy się bezszelestnie na tarasie.

Skinęła głową i próbowała wstać, ale monstrualnych rozmiarów brzuch znacznie jej to utrudniał.

Jej zmagania zobaczył Gustaw, który stanął w otwartych drzwiach tarasu. Zapatrzył się na nią zdumiony, niepewny, czy powinien zrobić krok naprzód. Widziała, jak wlepia oczy w to wyjątkowo wyeksponowane miejsce jej ciała, gdzie nosiła dziecko.

Ogarnęła ją przemożna fala wzruszenia. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo na niego czekała. Jak tęskniła.

– Gustaw... – Uśmiechnęła się delikatnie, nie zdając sobie sprawy, że oślepiający promień słońca rozświetlił jej twarz, czyniąc ją w jego oczach niemożliwie piękną. – Jak widzisz, nie mogłam w takim stanie przyjechać do Warszawy.

– Czy to... – Nie wiedział, co powiedzieć. Po prostu stał i na nią patrzył.

Rozalia pieśczośliwie pogłaskała brzuch.

– Urodzi się za miesiąc.

Zajrzała mu w oczy. Próbowała coś z nich wyczytać, coś w nich zobaczyć. Pragnęła, żeby spojrzeniem powiedział jej to, co wyznał jej kilka miesięcy temu, kiedy oznajmiła, że wyjeżdża do Francji.

Ale on milczał. Wrósł w ziemię jak skamieniały.

Podeszła do niego powoli i położyła jego dłoń na swoim wydatnym brzuchu.

– Jest twoje – wyszeptała, patrząc, jak głaska palcami tkaninę jej sukienki.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – wychrypiał wreszcie.

– Potrzebowałam czasu. Musiałam uporać się z... Zuzą, Lili... I z tym wszystkim. Ta ciąża mnie zaskoczyła. Myślałam, że nie mogę...

– Mój Boże! – Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Żarliwie, namiętnie, przelewając na nią całą swoją pasję i miłość.

– Kocham cię, Gustawie – wyszeptała, wtulając się w niego.

– A Lili? – zapytał wreszcie, kiedy chwilę później usiedli razem na tarasie. – Gdzie jest Lili?

– Poszła z dziadkiem, to znaczy z moim ojcem, na pola lawendy. Ojciec uczy ją, jak zbierać kwiaty.

– Czy ona wie?

– O Zuzannie? Tak... – Do oczu Rozalii napłynęły łzy. – Trudno mi było jej wytłumaczyć, co się stało. I wiem, że bardzo ją tym wyznaniem skrzywdziłam. – Spojrzała na Gustawa. – Chcę, żebyśmy byli rodziną. Wszyscy razem. Bardzo tego chcę, ale...

– Bez obaw – przerwał jej z łagodnym uśmiechem, wpatrując się jak urzeczony w brzuch Rozalii. – Już nigdy cię nie poproszę, żebyś została moją żoną.

Zaśmiała się, próbując ukryć dławiące ją wzruszenie.

– Nie chcę tego! Nigdy...

Gdzieś tam, w oddali na horyzoncie, majaczyła niewyraźna sylwetka starszego mężczyzny, pochylającego się nad małą dziewczynką. A nad nimi unosiły się odurzające zapachy. Zapachy przyszłości.

Koniec

22.10.2021

Zielona Góra



**Genialne powieści psychologiczne Nicole Trope.  
Nigdy ich nie zapomnisz.**

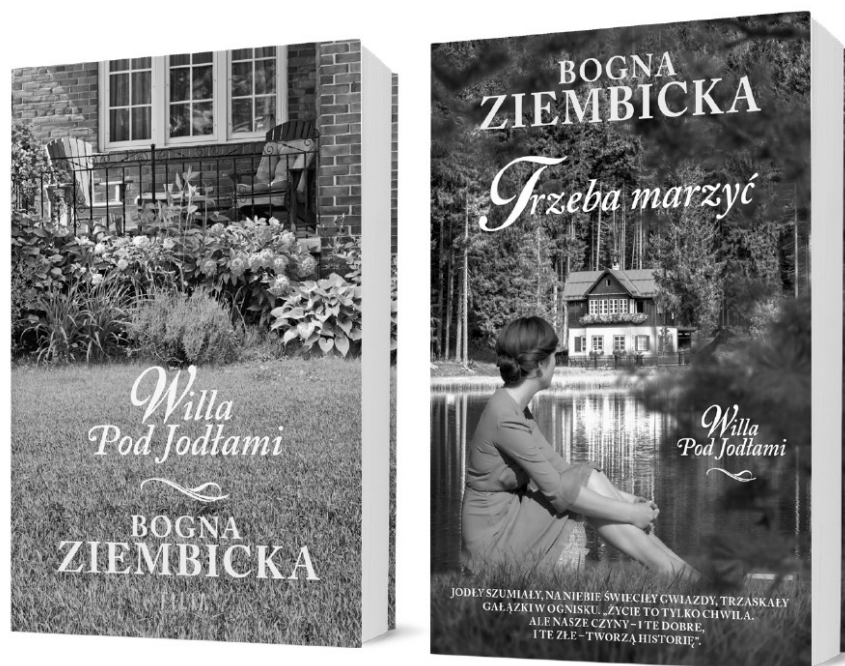


Chwytające za serce, zapierające dech książki, które pokazują,  
co dzieje się za zamkniętymi drzwiami i jak sekrety mogą  
zniszczyć rodzinę.

**FILIA**



ŻYCIE TO TYLKO CHWILA.  
ALE NASZE CZYNY  
- I TE DOBRE, I TE ZŁE - TWORZĄ HISTORIĘ.



FILIA





# SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[EPILOG](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Barbara Wysoczańska, 2021  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Zdjęcie na okładce: © ILINA SIMEONOVA/ Trevillion Images

Redakcja: Malwina Kozłowska  
Korekta: „DARKHART”, Marta Akuszczyńska  
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-920-9

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.